

**Fern Michaels**

**Testament Amelii**  
*(Texas Fury)*

*Przełożyła Ewa Spirydowicz*

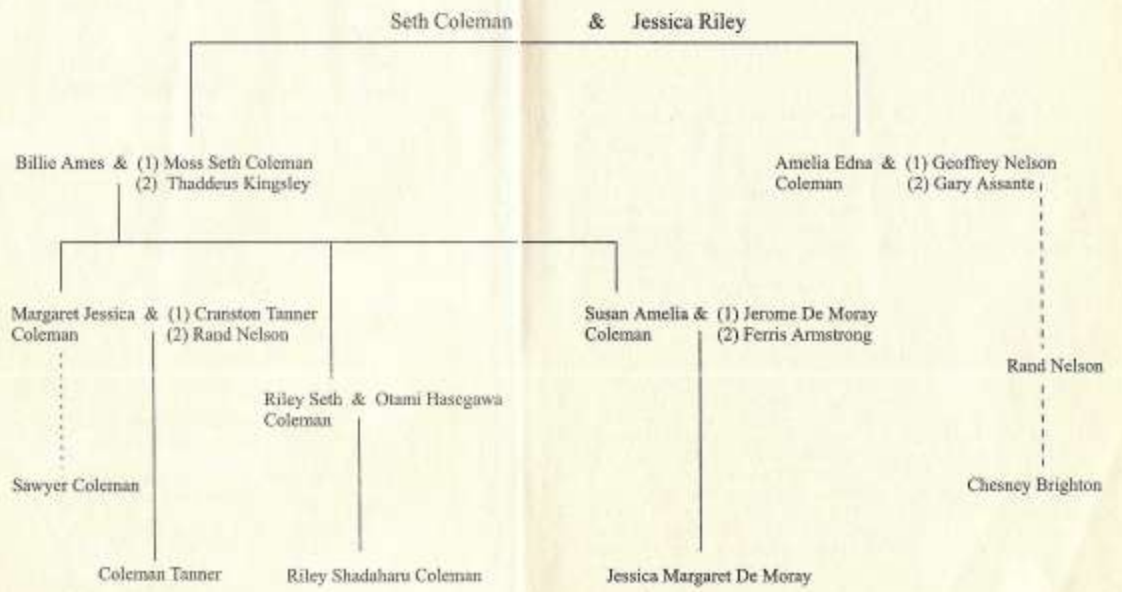
**Tom 5**

cykl

**Saga teksasu**

Drzewo genealogiczne

rodziny Colemanów



## Rozdział pierwszy

Nie była to zwyczajna szeroka wstążka ze sztucznego tworzywa, jaką można kupić w każdym sklepie z pasmanterią, ale wstęga z prawdziwego atlasu, wykonana we Francji na specjalne zamówienie Amelii Coleman Assante i ozdobiona półcalową hiszpańską koronką. Całe jardy tej kosztownej wstążki oplatały zdobne cekinami słupy, przy których straż trzymali dwaj dorodni wartownicy w dobrze skrojonych kobaltowo-błękitnych uniformach. Nożyce, przygotowane na tę uroczystą okazję, nie były przesadnie wielkie, ale za to ze szczerego złota.

– Na naszej uroczystości wszystko musi być w pierwszym gatunku! – szczebiotała Amelia do męża. – Tłumy widzów tego właśnie będą oczekiwać. Uśmiechnij się, kochanie. Życie przed nami!

Cary Assante spojrział na maleńką figurkę na szczycie Wieżowca Assante. Zauważył, że jeden z kamerzystów dał sygnał sprawozdawcy, stojącemu na ostatniej kondygnacji budowli.

– Tu Dave Harrisem z „Nowości Dnia KBT”. Witam państwa ze szczytu Wieżowca Assante w centrum Austin. Państwo, zagłębieni w tej chwili wygodnie w fotelach, powinni się cieszyć, że stali się świadkami tej uroczystości, mogąc pozostać we własnym ciepłym pokoju. Mamy dziś temperaturę grubo poniżej zera! Mróz bije rekordy, drodzy państwo, ale nic w tym dziwnego, zważywszy, że zbliża się okres przygotowań do świąt Bożego Narodzenia. Zaraz oddam głos mojemu koledze, Nealowi Tylerowi, ale najpierw chciałbym powiedzieć państwu kilka słów na temat dzisiejszej uroczystości. Cary Assante, twórca tego ogromnego zespołu architektonicznego, nowej dzielnicy, która sama w sobie stanowi oddzielne miasto, zwane Mirandą, za chwilę dokona uroczystego przecięcia wstęgi. Zanim weszliśmy na wizję, dowiedziałem się, że ze względu na duży mróz nie spodziewano się zbyt wielkiej liczby widzów, ale zebrało się jednak około tysiąca osób. Cary Assante jest mężem Amelii Coleman, a tu w Teksasie wszystko, co wiąże się z tą rodziną, pojawia się zawsze na pierwszych stronach gazet. Dzisiejsza uroczystość, panie i panowie, przesłoniła nawet kryzys paliwowy, który od tak dawna paraliżuje życie naszego stanu.

Są tu obecni gubernator i jego zastępca, a także nowo mianowany

burmistrz Mirandy. Tak, Miranda będzie miała własnego burmistrza, oraz specjalne oznaczenie kodowe. Przybył tu również senator Thad Kingsley ze stanu Vermont wraz ze swą piękną małżonką Billie, która niegdyś była żoną Mossa Colemana. Dostrzegam także dwóch naszych kongresmenów. Wszystkie panie należące do śmietanki towarzyskiej prezentują dziś swe najpiękniejsze futra. Jest z nami również orkiestra z Crystal City, nie zabrakło też drużyny strażackiej i policyjnych służb ratowniczych.

To wspaniały i przełomowy moment w życiu Cary'ego Assante, który trudził się przez ponad dziesięć lat, by stworzyć owo wspaniałe „miasto w mieście”. Dziś wieczorem razem z „Nowościami Dnia KBT” wejdą państwo do wnętrza Wieżowca Assante, by wziąć udział w galowym przyjęciu, odbywającym się w największej sali balowej. Dekoracje na dzisiejszą uroczystość utrzymane są w barwach czerwonej i srebrnej. Sprowadzono z San Diego ponad pięćdziesiąt tysięcy puensecji. Samoloty i ciężarówki, w których przywieziono rośliny, były specjalnie ogrzewane. Widać wyraźnie, że nie żałowano grosza na dzisiejszą pamiętną uroczystość! Zgromadzonym tutaj tłumom bardzo to przypadło do gustu. Mówił Dave Harrison z Mirandy. Oddaję ci głos, Neal.

Orkiestra z Crystal City po raz trzeci zagrzmiała hucznymi tonami „W samym sercu Teksasu”, gdy Cary Assante i miejscowi dygnitarze wchodzili na przybrane wstęgami podium, znajdujące się przed Centrum Turystyczno-Informacyjnym Mirandy. Nowo mianowany burmistrz Mirandy wyprostował się na całą długość swych sześciu stóp i czterech cali wzrostu. Z jego ust wydobywały się kłęby pary. Bohatersko próbował opanować dreszcze, ogarniające go na siarczystym mrozie, ale nie bardzo mu się to udawało. Dygotał i zęby mu szczękały, gdy wygłaszał swą krótką mowę, co było świetnie słyszeć dzięki nagłośnieniu.

– Panie i panowie, mamy wszyscy dzisiaj powód do dumy. Ten stanowiący dzieło sztuki kompleks architektoniczny, którego wzniesienie wymagało dziesięciu lat pracy oraz bilionów dolarów, został zbudowany w obrębie naszego miasta. Ci z państwa, którzy będą mieli szczęście tutaj zamieszkać, nigdy nie odczują potrzeby, by się z Mirandy oddalić. Twórcy tego arcydzieła pomyśleli o wszystkim. Ale nie chcę trzymać państwa dłużej na mrozie; pragnę, żebyście jak najszybciej mogli zaspokoić zrozumiąłą ciekawość. Proszę więc pana

Assante o bezzwłoczne przecięcie wstęgi! Bardzo rad będę powitać państwa dziś wieczorem na uroczystym przyjęciu w Wieżowcu Assante. A teraz – burmistrz podniósł głos – twórca Mirandy, pan Cary Assante!

Cary wystąpił naprzód, z Amelią u boku. Jej uśmiech był olśniewający i pełen dumy, gdy podawała mężowi złote nożyce.

– To chwila twojego triumfu, kochanie. Twoje marzenie stało się faktem!

– Nasze marzenie, dziecinko – szepnął Cary. Ręka mu drżała, gdy przecinał lśniąca wstęgę. Czuł się jakby był na rauszu. Wokół niego rozbrzmiewał gwar gratulacji. Członkowie orkiestry dzielnie starali się go zagłuszyć, wykonując ponownie refren „W samym sercu Teksasu”. Amelia zrobiła krok do tyłu. To była chwila Cary’ego, wszystkie pochwały powinny przypaść wyłącznie jemu. Ona sama marzyła tylko o tym, by odszukać Billie i Thada i wejść wraz z nimi do ciepłego wnętrza.

Amelia Coleman Assante odznaczała się pięknnością charakterystyczną dla wieku dojrzałego i świadcząca o wewnętrznym spokoju. Była wysoka, ale nie aż tak jak jej wybitnie przystojny mąż. Poruszała się z godnością i ubierała stosownie do typu swojej urody w szyte na zamówienie stroje, maskujące jej chudość, będącą skutkiem niedawnej choroby. Jej łagodne szare oczy, przejrzyste jak woda, doskonale harmonizowały z włosami, w których srebro przeważało nad brązem. Delikatne kreski wokół oczu i głębsze bruzdy po obu stronach nosa świadczyły raczej o mocnym charakterze niż o wieku, o którym świadczyły brązowe plamki, nie całkiem zamaskowane makijażem. Idealna biel koron lekko pożółkła pod wpływem zażywanych leków i zbyt często pitej herbaty. Amelia przygryzała dolną wargę, starając się opanować wywołane zimnem drżenie ust. Wszyscy tłumnie zebrani goście, którzy ją znali, mogli się przekonać, że jest równie olśniewająca i majestatyczna jak dawniej.

Billie Coleman Kingsley uściskała swoją szwagierkę.

– Udało mu się, Amelio! Taka jestem dumna! A ty pewnie pękasz z dumy!

– Oczywiście. Wiesz, Billie, były chwile, gdy wydawało mi się to koszmarem, ale Cary potrafi dopiąć swego, gdy mu na czymś bardzo zależy. A co pan o tym sądzi, panie senatorze?

– Sądzę, że dobrze zrobiłem, inwestując w to przedsięwzięcie. –

Thad się roześmiał.

– Jestem tego samego zdania – odparła Amelia z uśmiechem. – Bez twojej pomocy zabrakłoby nam pieniędzy już parę lat temu. A propos, gdzie jest pan Hasegawa? Chcę mu gorąco podziękować, że przybył tu aż z Japonii! Tym bardziej że nie ma zdrowia na takie wyprawy. Jemu też powinniśmy być wdzięczni, że zainwestował w nasz projekt. Dzięki wam obu udało się zrealizować nasz zamiar!

– Pan Hasegawa jest razem z Sawyer – powiedziała Billie. – Ona chyba odwiezie go do Sunbridge. Jest bardzo zmęczony długim lotem i w ogóle ma poważne kłopoty ze zdrowiem. Ale wróci wieczorem na przyjęcie. – Billie zamilkła na chwilę, a gdy znów się odezwała, w jej głosie brzmiał zbożny podziw. – Amelio, nigdy w życiu nie widziałam nic równie wspaniałego, a przewędrowaliśmy z Thadem prawie cały świat!

– Wyglądasz na zmęczoną, Amelio – zauważył Thad; brwi miał zmarszczone, a głos pełen troski.

Amelia uśmiechnęła się.

– No no, nie życzę sobie, żebyście koło mnie skakali! – powiedziała. – Czuję się świetnie. Doktor uznał, że całkiem już wróciłam do siebie po operacji. Po prostu, nie znoszę zimna. I zanim zaczniecie mnie do tego namawiać, z własnej woli pójdę na górę i odpocznę przed wieczorną galą. Naprawdę nie mogę się doczekać otwarcia biblioteki! To Cary zaproponował, żeby ją nazwać na cześć mojej mamy, wiecie? Biblioteka imienia Jessiki Coleman. A wy, co macie zamiar zrobić? – spytała Billie, gdy ta całowała ją w policzek.

– Zagonić całą rodzinę i udać się razem na zwiedzanie Mirandy, jak wszyscy obecni. – Billie patrzyła w ślad za Amelią zmierzającą w kierunku lśniących wind.

– Spotkamy się przy autokarze! – zawołał przez ramię do żony Thad. Zamiast przedzierać się przez tłumy, Billie pozostała na miejscu, myśląc o Amelii. Nie wyglądała najlepiej i było to spowodowane czymś poważniejszym niż zwykłym zmęczeniem. Bez względu na to, co mówiła, operacja wszczepienia bypassów pozostawiła trwałe ślady. Na krótką chwilę ogarnął Billie silny niepokój. Były z Amelią nie tylko szwagierkami: od czterdziestu lat łączyła je zażyła przyjaźń.

Billie była taka młodziutka, gdy po raz pierwszy spotkała Amelię; kochała się wtedy nieprzytomnie w bracie Amelii, Mossie. Bała się

natomiast panicznie ojca ich obojga, Seta. Cóż to był za tyran! Amelia zwierzała się Billie ze swoich przeżyć, a ona także dzieliła się z nią całym swym życiem. Były raczej siostrami niż szwagierkami, potrzebującymi siebie nawzajem, złączonymi najszczerzą przyjaźnią, wspólnie przeżywającymi triumfy i porażki.

Wspomnienia owych czterdziestu lat przemknęły przez głowę Billie. Dzień, w którym towarzyszyła Amelii podczas wizyty u pokątnej „fabrykantki aniołków” – ona sama była wówczas w ciąży, choć nikt o tym nie wiedział. Nienawiść Seta do Amelii, która miała czelność urodzić się dziewczyną! Wsparcie Amelii, kiedy Seth traktował synową jak rozplodową klacz, żądając, by urodziła chłopca – dziedzica fortuny...

Gdy w Anglii rozgorzała wojna i Amelia nie mogła przyjechać do Ameryki na pogrzeb matki, Billie zastąpiła ją, modląc się za Jessikę równie gorąco, jak uczyniłaby to rodzona córka.

To właśnie Amelia zachęciła Billie po śmierci Mossa do tego, by została projektantką odzieży. Dzięki jej pomocy i wierze w talent przyjaciółki, Billie stworzyła własną firmę, która przyniosła wielki sukces: BILLIE LTD. Przedsiębiorstwo to dawało jej siedmiocyfrowy dochód roczny netto.

Do czasu małżeństwa Amelii z Carym Assante Billie była przekonana, że tylko ona naprawdę rozumie przyjaciółkę. Amelia wytrzymała potop nienawiści ze strony swego ojca. Znosiła jego chępliwość i przechwałki, że trzyma w garści cały rząd Stanów Zjednoczonych i któregoś dnia stanie się dzięki temu największym z bogaczy. Jakże nienawidziła jego bezczelnej pewności siebie! Przetrwiała wojnę w tragicznie dotkniętej nią Anglii; po śmierci męża, przeprowadziła sądownie uznanie jego dziecka za swoje i wychowała chłopca w Sunbridge. Był to Rand – obecnie zięć Billie. Jak skomplikowane były więzi łączące ją z Amelią! Jak długo trwała ich przyjaźń – czterdzieści lat!

Czterdzieści lat – więcej niż połowa ich życia. Gdyby mogła przeżyć to wszystko jeszcze raz, nie zrezygnowałaby z niczego – tragedii, smutków i radości, które doprowadziły je do chwili obecnej.

Thad wyszedł z oszklonej kabiny windy. Zamiast kierować się w stronę postojów autokarów, zawrócił do głównego wejścia, gdzie zostawił Billie. Wiedział, że żona jeszcze tam będzie. Zatopiona w

myślach. Jakże była piękna, jaka pogodna i pełna łagodności! Jego serce wezbrało miłością. Każdego dnia składał Bogu dzięki, że pomógł mu cierpliwie czekać na tę kobietę, cudowną dziewczynę, żonę jego najlepszego przyjaciela. Billie była jego życiem. Nie kariera w marynarce, nie Kongres, nie Senat. Jego życiowy partner, jego żona, jego miłość. Za rok miał zamiar zakończyć swą działalność w Senacie, a potem będą znowu tylko we dwoje w Vermont. Myśląc o niedawnej chorobie Amelii błagał w duszy Boga, by nic nie stanęło na przeszkodzie tym wspaniałym planom.

Znał dziesiątki ludzi, zwłaszcza spośród elity Kapitolu, którzy wytrwali w małżeństwie tylko ze względów politycznych, nie pozwalając, by ich kłopoty rodzinne wyszły na jaw. Tym właśnie najbardziej pogardzał, jeśli chodzi o waszyngtońskich notabli: wszystkie te przepychanki, cały ten fałsz i brednie, w których trzeba było brodzić po kostki, tylko po to, by napotkać kolejne nonsensy. Był wdzięczny Billie za to, że stanowczo sprzeciwiła się ternu, by „życie w akwarium”, jak to określała, wtargnęło w ich sprawy prywatne. Wszyscy na Kapitolu wiedzieli, co reprezentuje sobą senator Kingsley i niejedni mu tego zazdrościli. Tak przynajmniej twierdziła Billie, a nie miał powodu, by jej nie wierzyć. Za każdym razem, gdy słyszał plotki o różnych grzeszkach swoich kolegów, potrząsał głową i w duchu dziękował Bogu za Billie. Nie było na świecie innej kobiety, za którą miałby ochotę chociażby po raz drugi się obejrzeć.

Billie była równie atrakcyjna jak jej szwagierka, ale jej uroda miała zupełnie inny charakter. Pociągała przede wszystkim blaskiem oczu i barwnością; to właśnie przyniosło jej sławę w świecie mody. W Billie była dojrzała słodycz i promieniująca z niej radość. Każdy mógł dostrzec, że Billie jest bezgranicznie szczęśliwą kobietą. Jej wysokie kości policzkowe powlekał delikatny rumieniec, a doskonale kształtny nosk stanowił cudowne uzupełnienie ciepłych, piwnych oczu, które, były największym urokiem Billie. Dziś narzuciła zaprojektowany przez siebie olśniewająco szkarłatny szal z szafirową frędzlą. Tryskała wprost życiem i energią.

Niebawem Billie poczuje na sobie jego spojrzenie i odwróci się, Thad był o tym przekonany. Już w następnym momencie dowiodła, że i tym razem trafił w dziesiątkę, jak zwykł mawiać służąc w marynarce, Billie odwróciła się, szukając go oczyma w tłumie. Kiedy dostrzegła męża, na twarzy jej ukazał się szeroki, prześliczny



uśmiech. Bezgłośnie polecił jej: – Trwaj w tym uśmiechu! – Gdy przedzierał się przez tłumku niej, czuł, jak Billie dosłownie pulsuje radością.

– Wiedziałem, że tu zostaniesz – powiedział cicho.

– A ja wiedziałam, że się tego domyślisz. I właśnie dlatego nie ruszyłam się ani na krok. Bałam się, że moglibyśmy się pogubić; a gdyby każde z nas wsiadło do innego autokaru?! Chcemy przecież obejrzeć to razem.

Thad zauważył na twarzy żony cień niepokoju.

– Kochany, powinnam była częściej spotykać się z Amelią, a nie ograniczać się do rozmów telefonicznych i listów. Ona wygląda... – zawahała się, szukając taktownego określenia – niezbyt dobrze.

– Najmilsza, Amelia nie znosi, żeby ktokolwiek z wyjątkiem Cary'ego koło niej skakał. Nie rób sobie żadnych wyrzutów! Ostatni tydzień był dla niej bardzo męczący. Odpocznie przez kilka dni i wróci do formy. – Poczul rosnące napięcie żony. – Nie, Billie, nie mówię tego tylko po to, żeby cię uspokoić – powiedział, czytając w jej myślach. – Nie bagatelizuję poważnej operacji, którą przeszła, i wiem, jak długo musiała odzyskiwać po niej siły, . ale jestem pewien, że Cary i sama Amelia szepnęliby nam słówko, gdyby coś było... nie całkiem w porządku. Filiżanka ziołowej herbaty i krótka drzemka wystarczą, żeby ją postawić na nogi.

– Sam w to nie wierzysz, tak samo jak ja – powiedziała Billie.

– Musimy w to wierzyć, Billie.

Billie schwyciła go mocno za ramię, oczy jej zwilgotniały.

– Wiem, Thad. Straciliśmy wielu starych przyjaciół, a teraz pan Hasegawa jest taki chory... I Amelia...

Cóż można było na to odpowiedzieć? Thad nawet nie starał się znaleźć odpowiednich słów. Otoczył żonę ramieniem i mocno przytulił do siebie. Billie głęboko odetchnęła i wróciła do równowagi.

– Zbierzmy rodzinę, jeżeli nie wybrali się już sami na zwiedzanie!

– Propozycje nie do odrzucenia. Nie mogę się doczekać, żeby dokładnie obejrzeć Mirandę, którą pomogliśmy zbudować. Nie potrafiłem w pełni ogarnąć wizji architektonicznej Cary'ego. Oczywiście, widziałem plany, a potem poszczególne budynki w miarę, jak je wznoszono, ale zupełnie nie byłem przygotowany na ten cud ze szkła i stali.

– Oddzielne, samowystarczalne miasto – zauważyła Billie. – Taka

zwarta całość. Świat zewnętrzny może wydawać się zupełnie obcy i zbędny komuś, kto zapragnąłby tu żyć i umrzeć. Nie wiem, czy to jest słuszne, Thad.

– Rozmaite wybory. Przeróżne możliwości. Każdy ma do nich prawo. Sądzę, że starszym osobom będzie tu cudownie.

– Jeżeli będą mogły sobie pozwolić na pobyt tutaj. Wiesz, ile płać lokatorzy Wieżowca Assante? Pięć tysięcy miesięcznie, a do dziś już 85 procent powierzchni mieszkalnej zostało wynajęte!

Ramię przy ramieniu Thad i Billie wspinali się po szerokich stopniach, wiodących do Centrum. Znalazszy się na górze stanęli, by spojrzeć na przelewający się w dole tłum.

– Jesteśmy na miejscu, ale nie widzę ani śladu Cole’ a ani Rileya. Przed chwilą wydawało mi się, że dostrzegam Maggie, potem gdzieś mi zniknęła. – Thad odwrócił się i spojrzał żonie w oczy z porozumiewawczym uśmiechem.

– Co byś powiedziała, śliczna damo, żebyśmy udali się na tę wyprawę tylko we dwoje? Będę cię trzymał za rączkę, gdyby cię ogarnął strach.

Przewodnik, sprowadzony przez Cary’ego z Disneylandu, wesoło zagadywał wprowadzając pierwszą grupę zwiedzających do budynku, Thad i Billie przyłączyli się do nich.

– Pozwólcie, państwo, że zacznę od tego, iż pięknie wam wszystkim dziękuję za przybycie na uroczystość zorganizowaną przez ACH – mówił przewodnik. – Dla tych z państwa, którzy nie wiedzą, co ten skrót oznacza, wyjaśnię, że są to pierwsze litery nazwisk: Assante, Coleman i Hasegawa. Pan Cary Assante to twórca Mirandy, którą zbudował przy pomocy korporacji Colemanów i koncernu Hasegawa. Chyba nikomu w Teksasie nie muszę tłumaczyć, kim są Colemanowie!

Większość osób spośród tłumu zachichotała świadoma żartu.

– Tym jednak z państwa, którzy nie wiedzą, kim jest pan Hasegawa – ciągnął dalej przewodnik – wyjaśniam, że jest to dziadek Rileya Colemana i właściciel koncernu wydawniczego „Wschodzące Słońce”. Od momentu, gdy został wykonany pierwszy szkic Mirandy, do chwili obecnej minęło dziesięć lat i wydano kilka bilionów dolarów. A rezultat tak się właśnie przedstawia – wskazał szerokim ruchem ręki olbrzymią makietę najdującą się na stole, ustawionym w samym środku Sali Planowania Miasta Mirandy.

Na stole o powierzchni dwudziestu czterech stóp kwadratowych, ozłocona promieniami słońca, wpadającymi przez górne okno, znajdowała się szczegółowa makieta tego wspaniałego miasta. Thad i Billie uśmiechnęli się, słysząc westchnienie zachwytu całej grupy.

Przewodnik, posługując się długą pałeczką, rozpoczął opisywanie poszczególnych części makiety, zaczynając od szmaragdowozielonego parku, znajdującego się w samym jej środku.

– Tutaj, w centralnym punkcie, znajduje się Park Wytchnienia, zadrzewiona owalna przestrzeń o powierzchni 70 akrów. Jednym z projektantów, specjalistą od formowania krajobrazu, a zarazem wykonawcą był sławny japoński architekt Hing Takinara. Na terenie Parku Wytchnienia znajdują się między innymi: zoo, trzy pierwszorzędne restauracje, ścieżki rowerowe i spacerowe, ptaszarnia, zakątki medytacji. Jeździ też tutaj, w wolnym tempie kolejka przeznaczona dla osób starszych, mających trudności z poruszaniem się albo po prostu leniwych.

W tym momencie wszyscy się roześmieli.

– Pod parkiem przebiega najbardziej nowoczesne metro, dzięki któremu można się błyskawicznie przenieść z centrum Mirandy w różne punkty miasta, we wszystkich kierunkach. Zejście do stacji początkowej znajduje się dokładnie pośrodku parku, obok Biblioteki im. Jessiki Coleman oraz Fontanny Lotosu.

Wskazując magistralę biegnącą wokół parku przewodnik kontynuował:

– Oto Aleja Centralna. Jak państwo widzą, można nią dotrzeć do Saksa, Neimana-Marcusa, Marthy. Smakoszom pragnę oznajmić, że do New Fulton codziennie dowożone są świeżutkie produkty żywnościowe ze wszystkich stron świata. Właśnie tam szefowie kuchni tutejszych filii Maxima, La Tout Suite i innych znakomitych restauracji zakupują potrzebne wiktuały.

Jak państwo widzą – ciągnął dalej, wskazując kolejny imponujący budynek na południowym obrzeżu parku – Donald Trump zdołał okopać się w pierwszorzędnym punkcie i stworzył tu sobowtóra swej nowojorskiej fomy. Tutejszy nosi nazwę New Trump's.

Miranda może poszczycić się tym, że na jej terenie znajdują się filie wszystkich większych banków i korporacji o zasięgu ogólnokrajowym. Po państwa lewej stronie znajduje się Wieżowiec Assante, o jedno tylko piętro niższy od chicagowskiego drapacza

chmur Searsa. Jak widzicie, jest to arcydzieło ze szkła i stali. Na dziesięciu górnych kondygnacjach znajdują się apartamenty, należące do kilku najbogatszych ludzi świata. Trzy luksusowe nadbudówki na dachu stanowią własność: państwa Assante, rodziny Colemanów oraz koncernu „Wschodzące Słońce”. Ale dość już czasu spędziliśmy przy makiecie: chodźmy teraz obejrzeć, jak się przedstawia Miranda w naturze!

Na zewnątrz budynku, w blasku pogodnego, mroźnego dnia, wszyscy wpakowali się do wnętrza nowiutkiego, lśniącego autokaru. Przewodnik grupy wziął do ręki mikrofon, postukał, by sprawdzić, czy działa, i kontynuował swój hymn pochwalny. Billie i Thad przytulili się do siebie i starali się zamknąć uszy na jego komentarze, gdy autokar powoli kierował się ku głównej magistrali Mirandy.

Po pięciu minutach widok miasta, rozciągającego się przed nimi w całej okazałości, dosłownie zaparł wszystkim dech w piersi. Od południowego obrzeża Parku Wytchnienia i Ulicy Głównej wjechali w Centralną Aleję. Z daleka można było dojrzeć po lewej stronie coś w rodzaju skrzyżowania Rodeo Dave z Fight Avenue, raj dla międzynarodowej klienteli, rwącej się do zakupów: wielkie domy towarowe wabiły bogato zdobionym wejściem, którego strzegli portierzy w liberiach, oraz parkingiem dla Rolls-royce'ów. Po prawej stronie zachwycał aksamitną zielenią park, pyszniąc się kwietną dekoracją poszczególnych alejek, wyposażonych w wygodne ławki.

Autokar zatrzymał się przed frontem Wieżowca Assante. Przewodnik wprowadził swoje oczarowane stadko do wnętrza i jak szkolną wycieczkę skierował w stronę wysokiego parteru. Oczy wszystkich powędrowały w górę, ku pierwszym pięciu kondygnacjom, zdobnym w krzewy dekoracyjne i pnące rośliny, pełnym eleganckim sklepów spożywczych oraz wszelkiego rodzaju butików. Całość osłaniały ściany z połyskującego zielonkawego szkła. Niczym korona ozdabiały budowle pomalowane na turkusowo, kute artystycznie z żelaza galeryjki i balkoniki. W powietrzu rozchodził się cichy szmer spadającej wody. Na znak przewodnika zwiedzający podzielili się na dwie grupy i podeszli do owalnych, , przeszklonych wind, poruszających się w klatkach z czarnego kutego żelaza. Pod szklanymi stropami, stworzonymi w Tiffany Studios\* [Nie chodzi tu, oczywiście, o słynną firmę jubilerską, której założycielem był Charles Lewis Tiffany (1812-1902), lecz o firmę dekoratorską Tiffany

Studios, założoną w Nowym Jorku przez Lewisa Comforta Tiffany'ego (1848-1923), specjalizującą się w wykorzystywaniu do dekoracji wnętrza szkła opalizującego i kompozycji szklanych w stylu Art. Nouveau (przyp. thim. )] wszyscy unieśli się powoli na piąte piętro.

Gdy zwiedzający nacieszyli się już wspaniałym widokiem, roztaczającym się u ich stóp, przewodnik poprowadził ich w kierunku wielkiej bramy z kutego żelaza, oplecionej bluszczem i kwitnącą glicynią.

– Oto restauracja „Gniazda Kardynała”\*\* [Nazwa pochodzi nie od dostojnika Kościoła, lecz żyjącego w Ameryce ptaka (Richmondina Cardinalis), zawdzięczającego swą nazwę ciemnoczerwonemu upierzeniu (przyp. tłum. )] – oznajmił. – Przywozimy tutaj turystów na samym początku, bo poza kawą znajdziecie tu państwo najwspanialszy widok z lotu ptaka na samo serce Mirandy.

Przewodnik wskazał New Trump's, znajdujące się dokładnie po przeciwnej stronie parku.

– Olśniewająca i majestatyczna studwudziestopięciopiętrowa budowla widoczna jest w całej okazałości, a zarazem jak gdyby wtapia się w tło. Pokryto ją specjalną warstwą szkła lustrzanego, w której odbija się całe otoczenie budynku. Wprost niewiarygodne, ale w lśniącej powierzchni przynajmniej pięćdziesięciu górnych pięter przegląda się błękit nieba i obłoki...

Billie i Thad nie byli już w stanie dłużej słuchać tych egzaltowanych wypowiedzi. Ściskali się nawzajem za ręce i hamowali się, by nie zawyć jak kojoty.

– Przyzwyczyłaś się już do nowego mieszkania, dziecinko? – spytał z uśmiechem Cary.

– Kochanie, z tobą mpglabym mieszkać nawet w psiej budzie – roześmiała się Amelia. – Ale mówiąc szczerze: tak, bardzo je polubiłam. I z pewnością zrobimy dobry użytek ze wszystkich pomieszczeń! Osiem pokoi i trzy łazienki! Zdumiewające, czego też budowniczy nie wymyśla! Mieszkamy tutaj dosłownie wśród obłoków, a nasz apartament jest większy niż domy większości ludzi.

– Wszystko dla ciebie, Amelio! Zaprojektowałam to w najdrobniejszych szczegółach. Wiem, że pragnęłaś kuchni, która byłaby ósmym cudem świata. A mnie najbardziej przypadło do gustu

wpuszczane w podłogę jacuzzi – rzucił żonie uwodzicielskie spojrzenie.

– Zauważyłam to – Amelia odpowiedziała mężowi równie kusicielskim spojrzeniem. – A wiesz, co mnie się najbardziej podoba, Cary? Balkon. Jest taki rozległy jak patio w Sunbridge. Przede wszystkim zainstalowałam na nim mój zegar słoneczny. Idealnie się prezentuje na postumencie. Cary, ubóstwiam ten balkon! Wiem, że będę na nim spędzała mnóstwo czasu przy dobrej pogodzie.

– Możemy też przesiadywać przez okrągły rok. Zapomniałaś, że zainstalowałam specjalne ogrzewanie? Daszek i boki są zabezpieczone izolacją. Będzie nam przytulnie jak pluskwom w dywaniku!

– Zupełnie o tym zapomniałam, Cary! Działa mi czasami na nerwy ciągle przebywanie w czterech ścianach, choćby nie wiadomo jak obszernych. Mam, wówczas ochotę wyrwać się na zewnątrz. Ale bezpośredni kontakt z roślinnością całkiem zmienia sytuację. Dzięki ci, Cary!

Trzymając się za ręce obeszli cały apartament. Za każdym razem, gdy tak po nim wędrowali, co innego przyciągało ich uwagę: jakaś pamiątka, specjalny upominek, coś, co kupili we dwójkę, bo bardzo im się spodobało, kolory, na które zdecydowali się po całych miesiącach przebierania w próbkach różnych tapet i farb, poduszka ozdobiona drobnym haftem. Wszystkie te szczegóły składały się na ich nowy dom w Wieżowcu Assante. W Mirandzie.

– Będziemy tu bardzo szczęśliwi, dziecinko.

– Nie „będziemy”, Cary: już jesteśmy szczęśliwi. Rozpiera mnie duma z ciebie na widok tego wszystkiego!

– Nie dokonałbym tego, gdyby nie ty – wyznał Cary.

Amelia wiedziała, że mąż mówi to szczerze. Cary był chyba najbardziej prawym i rzetelnym człowiekiem, jakiego знаła.

– Kocham cię, Cary.

– I ja ciebie, nad życie. A ponieważ tak cię kocham, zaniósę cię teraz na tę ogromną kanapę, którą kupiliśmy, żeby wygodnie się na niej zmieścić we dwoje. Jeśli dobrze pamiętam twoje słowa, powiedziałaś, że można się na niej całkiem zgubić.

– Bardzo chętnie się zdrzemnę. A ty czym się zajmiesz?

– Dokładnie niczym. Będę się pławić w dumie z Mirandy. Może zresztą wyjdę na balkon i sprawdzę ogrzewanie.

Amelia uśmiechnęła się do męża, gdy układał ją na miękkiej kanapie. Podłożył jej pod głowę jaskrawo-pomarańczowe poduszki i okrył jednym z mocno już spranych pledów, które były niegdyś własnością jej matki.

– Cieplutko jak w puchu – szepnęła Amelia zapadając w sen.

Z ogrzewanego balkonu swego apartamentu, znajdującego się na dachu wieżowca, Cary obserwował jadący w dole autokar. Wyprostował plecy i wypiął pierś. Nie pęknie z dumy... raczej eksploduje! To on stworzył to wszystko, żył tym przez wszystkie dni każdego roku, długie dziesięć lat. Przez chwilę czuł się jak Bóg patrzący na stworzony przez siebie świat. Bóg powołał swe dzieło do życia z nicości. Cary wykorzystał całą swą wyobraźnię, posiadane pieniądze, zaufanie, jakie pokładała w nim jego żona – i zabrał się do pracy. Po pięciu latach fundusze się wyczerpały. Nie mogąc zrezygnować ze swego marzenia Cary poprosił o pomoc Colemanów i pana Hasegawę. Zainwestowali po prostu w niego i nie robili z tego tajemnicy. Od tej chwili Cary podwoił jeszcze swoje wysiłki, zjawiał się na budowie przed świtem i powracał do domu grubo po północy. Amelia miałaby pełne prawo wystąpić o rozwód, bo nie miał dla niej chwili czasu. Ona jednak nadal udzielała mu duchowego wsparcia. Cary był rad, że wytrwał w swym dążeniu. Nie oszukał Colemanów, Thada Kingsleya i Shadaharu Hasegawy obiecując im, że włożone przez nich pieniądze zwrócą się dziesięciokrotnie. Po prostu nie mógł ich zawieść, skoro mieli do niego zaufanie!

Cary miał ochotę śpiewać ze szczęścia. Słowa radosnej piosenki cisnęły mu się na ustach: „Wzlećmy razem w niebo...” Żałował, że nie pamięta reszty tekstu. Nucił melodię, wychylając się przez poręcz balkonu. Wszystko tam, na dole, powstało z jego krwi, potu i łez.

Żadne z dotychczasowych doświadczeń nie przygotowało Cary’ego na tę chwilę triumfu. Dlatego właśnie czuł się jak wewnątrz tęczowej bańki snów. Zasłużył sobie na ów moment samotności, w którym mógł rozkoszować się swoim dziełem. Dotąd, aż do uroczystego otwarcia, Miranda należała do niego. Teraz będzie już własnością całego świata.

„Wzlećmy razem w niebo...” Tak, te słowa pasowały do jego nastroju. Gdyby mógł przypiąć sobie skrzydła i wzlecieć ponad stworzone przez siebie miasto... Gdyby mógł... Pragnął, by nigdy nie opuszczało go to cudowne, upajające uczucie, przenikające w tej

chwili wszystkie komórki jego ciała.

To było jego marzenie. Colemanowie dobrze rozumieli, jak ważna jest realizacja marzeń. Moss, brat Amelii i pierwszy mąż Billie, także śnił własny sen, ale białaczka zabrała go, zanim jego rewelacyjny projekt skośno-skrzydłego samolotu zdołał się ucieleśnić. Po śmierci Mossa Billie z pomocą rodziny kontynuowała dzieło męża i doprowadziła do jego realizacji. Podobnie jak Cary natrafiła na przeszkody, ale tak samo jak on zdołała je pokonać. Dzięki pomocy Shadaharu Hasegawy skośno-skrzydły samolot Mossa Colemana stał się znany całemu światu.

Cary poczuł dreszcz, nie wskutek zimna, choć temperatura spadła grubo poniżej zera. Był to dreszcz uniesienia i dumy. Bez trudu mógł sobie wyobrazić Mossa Colemana, stojącego na wełnistej chmurce i dającego mu uniesionym kciukiem znak, że podziela jego triumf. Prawie słyszał jego słowa: „Sam bym tego lepiej nie zrobił!” – Cary nie miał już żadnych wątpliwości, że znalazł swoje miejsce na ziemi.

Poczucie dumy nie opuszczało go. Owszem, przeżył pewne załamania, rzeczywiście, japońscy powinowaci musieli go wybawić z opresji. Nie lekceważył bynajmniej udzielonej mu pomocy finansowej ani nie zapomniał o zaufaniu, jakim obdarzyli go Colemanowie, uwierzywszy, że jest w stanie zrealizować swój zamiar.

Krok Cary’ego był rażny, a uśmiech rozpromieniał jego twarz. Nie najgorzej się powiodło najdkowi z nowojorskiego sierocińca! Zasmarkany, bosi, niczyj dzieciak z gołym tyłkiem zaszedł tak wysoko! Tu było teraz jego miejsce. Udowodnił samemu sobie, że potrafi zostać jednym z nich.

„Wzlećmy razem w niebo...”

Podmuch zimnego, listopadowego wiatru, zmusił Cary’ego do cofnięcia się za rozsuwane drzwi. Lepiej mu będzie wewnątrz, w ciepłym, przytulnym mieszkaniu. Razem z Amelią.

– Gdybyś ściągnął te okropne buciory, może potrafiłbyś chodzić jak człowiek! Ile razy ci mówiłam, żebyś je zostawiał za drzwiami! Omal mi nie potrzaskałeś moich porcelanowych figurek! – wrzasnęła Tess Buckalew.

Coots\* [Przezwiśko to oznacza kogoś nierozgarniętego, coś w rodzaju „Gapcio” czy „Głuptas” (przyp. tłum. )] Buckalew był w wojowniczym nastroju. Nic mu dziś nie szło tak, jak sobie



zaplanował, a cała ta szopka w Mirandzie wkurzała go dokumentnie. Tess podpisała umowę najmu i powiedziała mu po fakcie, że ma wyłożyć sześćdziesiąt kawałków za wynajęcie na rok apartamentu w Wieżowcu Assante. Nie mógł sobie na to pozwolić. Skręci babie kark!... tak, ale wtedy go przymkną. Za cholere nie spędzi reszty życia w pierdlu z powodu Tess!

Rzucił jej przez ramię głosem kłującym jak żwir i czarnym jak melasa:

– Zamknij się, Tess! Sama mnie w to wpakowałaś, więc, do cholery, ani słowa więcej! Nie zapomniałem twojej wrednej sztuczki z mieszkaniem w Wieżowcu! Nie stać nas na sześćdziesiąt kawałków! Kiedy dotrze to do twojego kurzego mózdzku, że musimy oszczędzać?! I to jak! Tylko mi nie mów, że kupiłaś sobie i dziewczynom nowe ciuchy na dzisiejszy ubaw!

– A właśnie że kupiłam! – wydarła mu się za plecami Tess. Coots omal nie wyskoczył ze skóry. Nie zauważył, jak podkradła się tuż obok. Była teraz może dwie stopy od niego. Sądząc z nabrzmiąłych żył na skroniach i wybałuszonych oczu była wściekle zła. Na samą myśl o tym, że Coots mógłby pokrzyżować jej plany, dostawała szału.

– Mamy się wstydzić przed wszystkimi?! Jasne, nic cię to nie obchodzi! Widzę to po twojej gębie! Wstrętne z ciebie bydło, Coots! Otrzymaliśmy specjalne zaproszenie, a to nie byle co! Musimy się odpowiednio zaprezentować! – Tess dziobnęła go w pierś szponiastym palcem. – Nowe kiecki są konieczne! – Podkreślała każde słowo kolejnym ciosem ostrego paznokcia.

Coots zaczął ściągać z siebie ubranie na samym środku sypialni żony. Wiedział, że ją tym rozwścieczy. Wpieniało ją także, gdy korzystał z jej prysznic. A przecież nigdy nie zostawiał po sobie takiego chlewu jak ona! Chłód od marmurowej posadzki dotarł do jego kostek, a potem wyżej. Pęczniejący członek oklapł. Tess wybuchnęła śmiechem.

– Nie miej złudzeń: nie ty mnie napaliłaś – sarknął Coots.

– Co za rozczarowanie! – zauważyła ironicznie Tess. – Nie martw się, Coots moje złotko: nie interesuje mnie twój tycityciuteński ogonek! Maczałeś go w tyłu kurwach, że całkiem straciłam na niego ochotę! Właśnie dlatego sypiasz na końcu korytarza.

Goots roześmiał się, bynajmniej nie upokorzony.

– Przynajmniej mam wygodnie! Już nie objam się o kościotrupa!

Zrobiło mu się ciepłej. To zabawne: tego rodzaju docinki zawsze ją bolały. Odkręcił kurki prysznic. – Wyglądasz jak strach na wróble! – ryknął przekrzykując szum płynącej wody. – Ile ważysz w tym tygodniu? Osiemdziesiąt pięć funtów? Skóra i kości, nic więcej z ciebie nie zostało! – Wyregulował temperaturę wody. – Ani cycków, ani dupy! – wrzasnął. – W ogóle niczego nie masz! I gęba paskudna, a włosy jak wronie gniazdo! – Ryknął śmiechem, zanim dorzucił: – Tylko ptaszyska powyzydychały! – Wszedł pod prysznic, nadal się zaśmiewając.

Tess nosiło po sypialni, aż stukwały jej trzy calowe obcasy. Gdyby tylko wiedziała, gdzie znajduje się ujęcie ciepłej wody! Zaraz by zakręciła kran i zamknęła drzwi od łazienki! Niechby mu przemarzło to grube dupsko, wcale by sienie zmartwiła! Potem przyszedł jej do głowy jeszcze lepszy pomysł: odparzyć mu tyłek ukropem!

Po piętnastu minutach Coots przemaszerował przez sypialnię odziany tylko w ręcznik kąpielowy. Na środku pokoju zatrzymał się i popatrzył na żonę, która siedziała właśnie przy ozdobionej aksamitnymi różowymi kokardkami i atłasowymi falbankami toaletce. Potem dosłownie zgiął się we dwoje ze śmiechu.

– A więc to jest ten twój wielki sekret! Gumowe opaski do podciągania zmarszczek! Dlatego czupirzysz sobie kłaki jak wronie gniazdo! – śmiał się tak, że prawie nie mógł mówić i klepał się po udach. – Ale będziesz wyglądała, jak ci te gumki trzasną na mrozie!

Tess zignorowała męża. To, co robiła, było wyjątkowo nieprzyjemne, ale reklama wyglądała tak kusząco: „W kilka minut odmłodniejesz o dziesięć lat”. Natychmiast wysłała pocztą dwanaście dolarów. Czy to jej wina, że odziedziczyła po matce taką skórę?! Żadnej elastyczności. Kiedy Coots był w najzłośliwszym humorze, powtarzał, że ma zmarszczki jak bruzdy: gdyby w nich coś zasiać, na pewno by wykiełkowało! Tess zastanawiała się, czy gumowe opaski mogły rzeczywiście trzasnąć od mrozu?! Cholera!

– Coots moje złotko, musisz mi pomóc – zawołała przymilnie. – Zapnij mi suwak, a ja ci zawiążę krawat. Zapomnijmy dziś wieczór o naszych kłótniach. Będziemy się obracać w najlepszym towarzystwie i żadne z nas nie może przynieść drugiemu wstydu. Jesteśmy rodziną, więc stwórzmy wspólny front. Zgoda?

Coots burknął coś, co można było uznać za potwierdzenie. Nie mógł się jednak pohamować i zaciągając suwak wbił żonie jeszcze

jedną szpilę:

– Kupujesz ostatnio bieliznę w sklepie sportowym, co? Stanik z podpinką i watowane majtki!

Ale ostatnie słowo należało do Tess:

– Nic podobnego, Coots, moje złotko. Biustonosz i majteczki kupiłam u Neimana-Marcusa i kosztowały osiemdziesiąt pięć dolarów. Przemyśl to sobie, dzióbku.

Buckalew Big Wells\* [Big Wells – Wielkie Odwierty (przyp. tłum.)] (czyli Tara rodziny O Tiara w prywatnym wydaniu Oakesa i Tess Buckalew) wzięły swą nazwę od tryskających szybów naftowych, które umożliwiły państwu Buckalew budowę wymarzonej przez Tess siedziby. Dom, rozłożysty i dziwny w kształcie, stał na końcu trzymilowej alei wjazdowej, zajmując północnowschodni skraj należącej do nich parceli. Trudno byłoby określić styl, w jakim to domiszczce zbudowano: miało ono kilka skrzydeł i szereg dobudówek, które sterczały we wszystkie strony jak macki.

We wczesnym okresie budowy Tess toczyła boje z każdym architektem, którego zatrudniła. Wyglądało na to, że nikt nie chce związać swego imienia z potworkiem, który uparła się stworzyć. W końcu zatrudniła lokalnych przedsiębiorców budowlanych, chyba z tuzin osób, które wzbogaciły budynek w kopuły, drewniane boazerie w stylu Tudorów i oszkloną galerię, których domagała się Tess. Same tylko łukowate witrażowe okna, otoczone sterczącymi kamiennymi występami w belgijskim stylu, dostarczyły całemu Austin temat do plotek na długie tygodnie. Zatrudnieni przez Tess szklarz i murarz odmawiali wszelkich komentarzy prócz tego, że zapłacono im za robotę sownie.

W czasach, gdy pieniądze nie stanowiły problemu, Oakes (lepiej znany jako Coots) dawał Tess wolną rękę, nie przypuszczając, że Buckalew Big Wells staną się sławne w całym Teksasie, a pewnie i na całym Wschodnim, Wybrzeżu, jako wcielony w życie najkoszmarniejszy sen architekta.

Coots, przebywający od rana do nocy na polach naftowych, pozostawił budowę domu w rękach Tess. Gdyby wrócił konno, pojawiając się w domu po upływie sześciu miesięcy, pewnie by spadł z siodła. Ponieważ jednak wracał pikapem, zahamował tylko gwałtownie na widok pożogi świateł, które kazała zainstalować Tess, a które podkreślały jeszcze wyraźniej brzydotę tego dziwoląga. Nic w

dotychczasowym, spędzonym na ciężkiej harówce życiu Cootsa nie uodporniło go na szok: ta pretensjonalna karykatura pałacu miała być na resztę życia jego rodzinnym domem!

Chociaż Coots nie miał żadnego wykształcenia, osiągnął swój cel dzięki wytrwałej, ciężkiej pracy. Dobrych manier (cokolwiek by to oznaczało w jego wydaniu!) nauczył się późno i stosował się do nich tylko wtedy, gdy miał odpowiedni humor. Z Tess było inaczej: całą swą mądrość czerpała z kobiecych czasopism i filmów. Jedynym jej celem w życiu było dostanie się do najlepszego towarzystwa, to znaczy tego, do którego należeli Colemanowie.

Wśród nafciarzy, z którymi Coots robił interesy, panowała zgodna opinia, że z niego jest równy chłop, ale babę ma pomyloną.

Kobiety okazały się bystrzejsze w ocenie Tess: wiedziały, że gotowa jest na wszystko, byleby tylko wdrzeć się do zakłętą kręgu śmietanki towarzyskiej Austin. Nic dziwnego, że nigdy się jej to nie udało. Snobistyczna i złośliwa elita zadbała o to, by przez wszystkie te lata Tess Buckalew mogła jedynie ślizgać się po obrzeżu, nie mając dostępu do jakichkolwiek ważniejszych funkcji. Ta sama elita bez żadnych jednak oporów wyłudzała od Tess grubszą forszę na swoje cele.

Tess westchnęła i spojrzała na zegarek w świetle lampki z różowym abazurem, stojącej w toalecie. Coots wyniósł się z pokoju i panowała błoga cisza. Ale Tess prześladowały wspomnienia minionych lat. Może dlatego, że dzisiejsza uroczystość stanowiła kamień milowy na jej drodze?

Dobrze wiedziała, że Coots nie ma wielkich marzeń ani ambicji. Nigdy ich nie miał. Pragnął jedynie pracować na polach naftowych, a kiedy Bóg pozwoli – uruchomić kolejny szyb. W obecnej chwili, jak wiedziała, starał się po prostu jakoś przetrwać kryzys paliwowy. Nie było co teraz marzyć o nowych odwiertach! Obecnie Coots chciał jedynie przeżyć.

Tess pograżyła się w marzeniach. Oddałaby bez wahania wszystkie futra i biżuterię za pozycję zbliżoną do Colemanów. Być szanowaną, bogatą, wszędzie przyjmowaną! Jak dotąd, jej sny się nie spełniły. Ale to się jeszcze zmieni! – mówiła sobie Tess. Wszystko się zmienia z minuty na minutę, prawda? Być może przyczyni się do tego jej córka Lacey, jeśli tylko skłoni Rileya Colemana do małżeństwa. Lacey nie powiodło się z Cole'em Tannerem; teraz, za namową ojca, zagięła

parol na Rileya, japońsko-amerykańskiego potomka Colemanów. Jeżeli się pobiorą, Tess spowinowaci się z Colemanami, stanie się jedną z nich. I wtedy wszyscy zaczną nie tylko wyciągać łapę po jej pieniądze, ale i liczyć się z jej zdaniem. Tess śniła na jawie o tym, co na siebie włoży i co powie na każdym towarzyskim spotkaniu czy eleganckiej herbatce, jak będzie celebrować wszelkie ważne funkcje. Uzyska automatycznie wstęp do wszystkich domów, nie tylko na pospolite barbecue, z których słynął Teksas. Zaproszenie na dzisiejszą imprezę, nawet jeśli wynikało tylko z zalotów Rileya do Lacey, stanowiło pierwszy krok!

Tess słyszała, jak Coots kręci się po swojej sypialni. Po raz już nie wiadomo który zadała sobie w duchu pytanie: po co w ogóle za niego wyszła i w dodatku wytrzymała z nim przez wszystkie te lata?! Cóż, był bardzo męski, a ona pełna temperamentu. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu, a Tess, kruszynka, niespełna pięć stóp. Wydawał się jej podporą, wokół której owinie się jak wdzięczny bluszcz. Coots wniósł w ich małżeństwo tylko dwie pracowite ręce i obietnicę, że prędzej czy później da żonie wszystko, o czym tylko zamarzy. Tess otrzymała w spadku po rodzicach siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Suma ta nadal znajdowała się na jej koncie w banku. Od samego początku, bez względu na to, jak ciężka była ich sytuacja, Coots nigdy nie zażądał od Tess ani grosza, a ona sama nigdy nie proponowała mu pomocy. Co było jej, to jej! A to, co miał Coots, należało do nich obojga. Nigdy nie pozwoliła Cootsowi zapomnieć o złożonej obietnicy. Przrzekł zapewnić jej wszystko, czego chciała. A chciała niemało!

Potem przyszły na świat dzieci: Lacey, a po niej Ivy. Chyba właśnie wtedy coś zaczęło się psuć w ich małżeństwie. Coots nie mógł znieść wrzaskliwych bachorów, bałaganu w kuchni i umęczonej żony. Tess ogarnął wstręt do jego brudnego ciała i jeszcze brudniejszych łachów; wzbierała w niej wściekłość, bo wyglądało na to, że obietnki męża nigdy się nie spełnią.

Coots zaczął zadawać się z innymi kobietami. Tess zatoneła w głupich czasopismach i planowaniu wymarzonego domu.

Teraz, kiedy wszystko znalazło się prawie w zasięgu jej ręki, ten cholerny przemysł naftowy musiał akurat wziąć w łeb! Tess pożałowała, że nie zwróciła baczniejszej uwagi na to, co się wokół niej dzieje. Nieznajomość sytuacji bywa niebezpieczna! Wiedziała, że Coots zamierzał kupić ranczo Jarvisów, ale potem Adam Jarvis wrócił

do Teksasu ze swoim pasierbem i postanowił nie sprzedawać ojcowizny. A może powiedział, że sprzeda, ale bez leasingu pól roponośnych? Tak czy owak, Coots stracił grunt pod nogami. Przerwał prace wiertnicze wbrew radom Rileya Colemana, mówiąc, że nawet jeśli Riley był w college'u, to nie znaczy, że zjadł wszystkie rozumy! Coots chciał, żeby Riley przejął niektóre jego leasingi naftowe. Początkowo Riley odmówił, tłumacząc, że zasoby finansowe jego rodziny są wyczerpane i nie byłby w stanie wytłumaczyć się przed krewnymi z wydatków. Potem, zdaje się, zmienił zdanie. Może z powodu Lacey?

Znajomość astrologii, którą Tess pozyskała na kursach korespondencyjnych, upewniała ją w tym, że małżeństwo Lacey i Rileya jest sprawą nieomalże przesądzoną. Z początku nie mogła oswoić się z myślą, że jej zięć będzie półkrwi Japończykiem, ale gdy zważyła wszystkie plusy i minusy tego związku, doszła do wniosku, że jest w stanie pokochać Rileya jak syna: przecież to on zapewni jej wstęp do śmietanki towarzyskiej Austin.

Tess ponownie spojrzała na zegarek. Wokół panowała podejrzana cisza. Gdzie się wszyscy podziewali?!

– Już jesteśmy gotowe, mamó – odezwała się Lacey stając na progu sypialni.

– Ależ ty ślicznie wyglądasz! Obróć się, niech ci się przyjrzę ze wszystkich stron. Ładniutka jak wiosenny kwiatek!

– W samym środku zimy – burknęła stojąca z tyłu Ivy. Temperatura głosu Tess wyraźnie spadła.

– Ivy, a ty w co się ubrałaś? Skąd wytrzasnęłaś coś takiego, mała?!

– Na twarzy Tess odbiło się przerażenie. – Wracaj natychmiast do swego pokoju i przebierz się! Ta sukienka może być odpowiednia dla Lacey, ale nie dla ciebie! Skąd ją masz?

– Lacey mi ją pożyczyła. W co niby mam się ubrać, mamó? – spytała Ivy chłodno.

– Włóż cokolwiek. Byle co! Gołe plecy i głębokie dekolty to nie dla ciebie! Jesteś zbyt masywna na takie rzeczy. Lacey, pomóż siostrze, bo się spóźnimy!

Lacey skrzywiła się.

– Cóż to, mamó, nie słyszałaś, że spóźnianie się jest w dobrym tonie?

– Nie przy takiej ważnej okazji! Pomóż jej się ubrać, i to

natychmiast! – Głos Tess zabrzmiał tak kategorycznie, że obie dziewczyny pospieszyły wykonać jej rozkaz.

Lacey nie kryła gniewu, gdy wbiegła za Ivy do jej urządzonej ze spartańską prostotą sypialni. Kątem oka obserwowała siostrę rozbierającą się do bielizny. Grymas na twarzy Ivy był równie wyraźny jak na buzi Lacey.

Pewnego pięknego dnia, gdy Ivy zadba nareszcie o swój wygląd, będzie z niej istne cudo! Teraz miała zbyt pyzată buzię i stanowczo za dużo różnych okrągłości. Wystarczy zrzucić piętnaście funtów. Lacey poczuła ukłucie zazdrości na myśl, jak Ivy będzie wyglądała, kiedy się w końcu weźmie w garść. Miała zniewalający uśmiech, a zęby tak nieskazitelne, że mogłaby służyć za reklamę pasty do zębów. Gdy Ivy się uśmiechnęła, zapomniało się o wszystkich zbędnych okrągłościach i puciołowatej buzi. Uśmiech ten mówił wyraźnie patrzącemu, że znalazł w Ivy najlepszego przyjaciela. Prawie niedostrzegalny zez nadawał jej spojrzeniu tajemniczą głębię. Kiedy policzki staną się mniej pulchne, cała twarz nabierze innych proporcji. Na razie Ivy nie rwała ludzkich oczu... jeszcze nie. Zanim nabierze uroku, musi jej wystarczyć poczucie humoru i nieugięta postawa życiowa.

– Może po prostu zostanę w domu? Mama od razu lepiej się poczuje. Nie mam nic eleganckiego, a nawet gdybym coś takiego na siebie włożyła, wyglądałabym jak idiotka. Przykro mi, że twoje dobre chęci poszły na marne, Lacey – mruknęła Ivy.

Świeżo wymanikiurowane rączki przebierały między ciuchami wiszącymi w Szafie Ivy.

– To moja wina. Powinnam była się domyślić, jak to się skończy. Mama koniecznie chce, żebyśmy poszły obie. To wszystkie twoje rzeczy?!

Jak to możliwe, żeby u Ivy wisiało tylko kilka sztuk ubrania, podczas gdy jej szafa dosłownie pękała w Szwach, tak że Lacey musiała najkosztowniejšie toalety przenieść do dwóch wielkich szaf w holu?, Ivy obruszyła się, słysząc niedowierzanie w głosie siostry.

– Od kiedyż to mamę obchodzi, czy mam się w co ubrać? Kiedy ostatnio zaproponowała, że kupi mi coś nowego? Wszystko, co tu widzisz, sprawiłam sobie sama. Nigdy nikogo o łaskę nie prosiłam i nie mam zamiaru tego robić! Nie jestem taka jak ty, Lacey – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

– Cóż to ma niby znaczyć? Że ja nic, tylko wyciągam łapę i

chwytam wszystko, co się nadarzy? Może powinnaś wziąć ze mnie przykład. Wszyscy wiedzą, że łatwiej coś wycyganić uśmiechem niż skwaszoną gębą!

– Sama podsumowałaś sprawę. No i co dla mnie wybrałaś? – burknęła niecierpliwie Ivy.

– Chyba tę brązową suknię. Skąd, u diabła, wytrzasnęłaś coś takiego?! Wiem, że dbasz o wygodę, nie o elegancję, ale to już przesada... Może dałoby się to jakoś przyozdobić?!

– Niby jak?~ mruknęła Ivy, wciągając suknię przez głowę.

– Perełki, apaszka, inny pasek?... – miotła się bezsilnie Lacey.

– Naprawdę myślisz, że to coś da? Jeśli wstydzisz się ze mną pokazać, to zmiataj stąd! Zresztą, mogę włożyć perły po babci – skapitulowała Ivy.

Lacey gapiła się na siostrę. Sama nigdy w życiu nie włożyłaby tej musztardowej kiecki, nie tknęłaby jej nawet palcem! Skinęła głową, aprobując pomysł włożenia pereł. Na widok lśniącego naszyjnika w jej oczach błysnęła zazdrość. Bardzo chciała je mieć, próbowała jakoś je wycyganić mimo wyraźnych dyrektyw w testamencie babki. Ona, Lacey, dostała w spadku broszkę z kameą, którą wrzuciła do szuflady i całkiem o niej zapomniała. Złościło ją, że Ivy trzymała perły pod kluczem i nie kwapiła się z pożyczaniem ich siostrze na specjalne okazje. Dziś po raz pierwszy sama zdecydowała się założyć.

– Spójrz w lustro, Ivy! Przy tych perłach twoja cera dosłownie promienieje! – zauważyła Lacey.

– No to pewnie diabli cię biorą, że nie masz ich sama na szyi! – zauważyła z irytacją Ivy.

Za szczerością brzmiącą w głosie Lacey musiał kryć się jakiś podstęp! Siostra nigdy nie mówiła jej miłych rzeczy. Chciała jej znowu odebrać perły, i tyle. Ivy przyglądała się Lacey z mieszaniną niesmaku i zazdrości. Zawsze jej się wydawało, że Lacey natychmiast po wyprodukowaniu pokryto warstwą szelaku, od góry do dołu, cale pięć stóp dziesięć cali. Nigdy nie miała potarganych włosów, złamanego paznokcia czy obłupanego lakieru. Robiła sobie makijaż jakby retuszowała dzieło sztuki: pac tu, pac tam, ostrożnie, delikatnie, żeby jedno stapiało się z drugim. Stanowiła wierną kopię Christie Brinkley, choć pozbawiona była naturalnego uroku tej modelki. Wszystko w Lacey było bez skazy: od czubka głowy uczesanej w najmodniejszym stylu, aż po lakierowane paznokcie u nóg. Lśniące



twardym błyskiem oczu, wysoko osadzone kości policzkowe, mały, kształtny nosek, przeważnie pogardliwie zadarty, i usta o dość wąskich wargach, które bardzo rzadko się uśmiechały. Wszystko w Lacey było sztuczne: przesadnie długie rzęsy, porcelanowe korony na zębach, dolepiane paznokcie i biust uwydatniony silikonowymi implantami. Gdzie kryje się prawdziwa Lacey Buckalew? – zastanawiała się jej siostra.

Lacey najeżyła się. Dlaczego ona i Ivy nie potrafiły być dla siebie miłe? Dlaczego każde ich spotkanie, każda rozmowa musiały skończyć się niemiłym zgrzytem? Może przyczyną tego była zazdrość?. Kiedy wracały do pokoju Tess, Lacey pomyślała, że winę ponosi matka.

Tess zmrużonymi oczyma zmierzyła nieefektywną brązową suknię i sznurek pereł. Strój z pewnością nie podkreślał korzystnie figury Ivy. Jednakże zamrugła ze zdumienia i uniosła brwi na widok czystej, różanej, promiennej cery młodszej córki. Ale mimo to wyglądała ona jak brzydkie kaczątko w porównaniu z czarującą siostrą, wystrojoną w czarną obcisłą spódnicę i lśniąca od cekinów górę. Toaleta Lacey była ostatnim krzykiem mody. Wyglądała jak lalka z witryny – twarda i połyskliwa.

Tess westchnęła. Czowała, że kłopoty ze strojem Ivy stanowią zły omen. Sprawy nie ułożą się tak jak trzeba. Zaniepokoił ją też chytry wyraz oczu Lacey. Nieraz go już dostrzegała. Oznaczał, że Lacey snuła jakieś plany, których by jej matka nie pochwałała. Chodziło pewnie o Cole'a Tannera. Lacey nie była sobą od czasu gdy się rozstali. Jeśli dziś wieczorem znajdzie się przypadkiem w pobliżu Cole'a, może zrobić jakieś głupstwo, którego potem pożałuje. Tess postanowiła, że porozmawia z córką w samochodzie. A może jeszcze lepiej: ostrzeże ją. Zdecydowanie powinna wybić sobie nareszcie z głowy Cole'a!

– Ileż to razy wyobrażałam sobie Sunbridge – pomyślała Julie Kingsley – a teraz wreszcie tu jestem! Wkrótce ujrzę po raz pierwszy ten dom w całej jego okazałości.

Przejechali pod wysokim drewnianym łukiem, który oznajmiał, że są już na terenie Sunbridge. Mile białych ogrodzeń ciągnęły się w nieskończoność. Wysokie, pozbawione teraz liści dęby otaczały aleję wjazdową. Po obu stronach rozpościerały się rozległe trawniki, teraz

w kolorze zgaszonego brązu; widać było rozmieszczone na nich główki spryskiwaczy. Julie wydała głębokie westchnienie. Znała to wszystko z opisów Thada i Billie. Thad mówił, że kiedy gałęzie dębów pokryte są liśćmi, jazda aleją przypomina podróż w zielonym tunelu przetykanym złotymi plamkami słońca, przebijającego przez zielen. Gdy samochód minął ostatni zakręt, na samym końcu alei, w blasku jasnego dnia ukazał się dom.

Położony na łagodnie opadającym wzniesieniu, wielki budynek kąpał się w błękicie teksaskiego nieba. Kiedy wyjechali z zadrzewionego tunelu, Julie pomyślała, że właśnie tu, w Sunbridge, słońce musi być najgorętsze i najbardziej złociste.

Dom był trzypiętrową budowlą z bladioróżowej cegły, z dwoma skrzydłami tej samej wysokości co część centralna, ale cofniętymi do tyłu. Ogrom bryły o barwie polnej róży podkreślały jeszcze białe kolumny podpierające dach werandy, rozciągającej się na całą szerokość domu. Gdy kierowca zatrzymał limuzynę u wejścia na werandę, Julie zauważyła wachlarzowate okno, złożone z wielu drobnych szybek, będące zwieńczeniem ogromnych podwójnych drzwi frontowych. Motyw ten powtarzał się nad każdym oknem górnego piętra. Ozdobne strzyżone krzewy i mirt tworzyły obramowanie fundamentów domu, a wspaniały ogród różany, o którym wspomniała Billie (teraz szary i bez życia, ale pełen altanek i posągów) otaczał biały dom. Julie ponownie głęboko westchnęła. Kraina z bajki.

– To naprawdę robi kolosalne wrażenie! – powiedziała ze zbożnym podziwem. Kierowca uśmiechnął się.

– My tu w Teksasie mówimy o czymś takim: „jest gdzie żyć”. Ranczo Sunbridge ma ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy akrów ziemi. Tyle potrzeba do hodowli bydła i koni. Przeważnie trzyma się je w tylnej części rancza. Ale nie widziała paniusia jeszcze Sunbridge w całej krasie. Kiedy je oświeci gorące słońce, to nie ma światła nic równie pięknego. Znam je od dawna i choć widywałem w życiu to i owo, nigdzie nie znalazłem nic, co by mu dorównywało.

– Rozumiem, dlaczego nazywa się Sunbridge. A skąpane w słońcu musi po prostu zapierać dech w piersiach – powiedziała oczarowana Julie.

– Mówią, że kiedy pan Coleman po raz pierwszy zobaczył to miejsce, mam na myśli Seta Colemana, poczuł, że mógłby stąd

dosięgnąć samego słońca. Podobno kiedyś był z niego biedak, ale gdy wybudował ten dom, spełniły się wszystkie jego marzenia. Powiadają, że chciał mieć wielki dom, niby most, co połączy dawne trudne lata z tym, czego się spodziewał od przyszłości. To wszystko: dom, ziemia, całe ranczo było akurat takie, jak pragnął. Nikt nie wie, czy pierwsza pani Coleman miała coś do gadania przy urządzaniu Sunbridge.

– Jestem pewna, że tak – powiedziała z kobiecą solidarnością Julie.

– No to dojechaliśmy, paniusiu. Niech pani wysiada. Zaniosę panine rzeczy do frontowego holu.

Znalazłszy się na werandzie, Julie rozejrzała się wokoło. Przez chwilę spróbowała wyobrazić sobie rozarium w całej jego pastelowej krasie i rozkwitłe pnącza klematisu wokół ciężkich dębowych drzwi. Była pewna, że założenie ogrodu było zasługą pierwszej pani Coleman. Wygląd zewnętrzny domu bynajmniej nie przygotował Julie na to, co ujrzała w jego wnętrzu. Lśniące dębowe posadzki, masywne belki podtrzymujące strop, grube, ciemne wschodnie dywany, potężne, obite skórą meble, teraz już trochę zniszczone od wieloletniego użytkowania. Stojąc tu przez chwilę Julie miała wrażenie, że słyszy gwar męskich głosów i dudnienie wysokich kowbojskich butów. Na wszystkich ścianach wisiały obrazy przedstawiające zwalistych, ogorzałych mężczyzn przy jakimś czysto męskim zajęciu: piętnowaniu bydła, ujeżdżaniu koni, patrolowaniu rancza. Kierowca miał rację: Sunbridge było domem stworzonym przez mężczyznę, królestwem Setha Colemana. Świadczył o tym każdy najdrobniejszy szczegół tego podniszczonego, ale ciągle imponującego wnętrza. Nagle Julie usłyszała kroki: nie tupot kowbojskich buciorów, tylko lekkie postukiwanie obcasików ciotki Billie.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś! – powiedziała serdecznie Billie Kingsley, obejmując bratanicę męża. – Sunbridge na każdym robi takie wrażenie, gdy widzi je po raz pierwszy – wyjaśniła łagodnie. – Stałam jak wryta, gdy przybyłam tu jako młoda mężatka. Byłam w siódmym niebie, że wyszłam za Mossa Colemana i spadłam na ziemię dopiero wówczas, gdy znalazłam się w tym... mauzoleum. Nawet nie szukaj śladów kobiecej ręki, nie znajdziesz tu nic podobnego. Ten dom wygląda zupełnie tak samo jak wówczas, gdy go po raz pierwszy ujrzałam, a było to już czterdzieści pięć lat temu. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana?

– Sama nie wiem, co czuję – wyznała Julie otwarcie. – Nie potrafię powiedzieć, czego się spodziewałam. Kiedy słyszy się latami o jakimś domu, człowiek zaczyna uzupełniać jego obraz własnymi fantazjami. Wyobrażałam sobie, że w holu wisi żyrandol z czeskiego kryształu, a podłoga jest wyłożona marmurem.

– Kiedyś ci opowiem – powiedziała Billie – jakie ja snułam fantazje na temat Sunbridge, ale nie będę o tym dziś mówiła! Wszyscy niecierpliwie czekają, żeby cię poznać, więc załatwimy to od ręki. Cała rodzina znajduje się w bibliotece; specjalnie się zjechali na dzisiejszą uroczystość, a twoje przybycie stanowi dodatkową atrakcję.

Billie poprowadziła Julie długim korytarzem, na którego ścianach wisiało wiele oprawnych w ramki fotografii, do przytulnej biblioteki. W wielkim kominku z polnego kamienia płonął ogień. Serce Julie trzepotało z podniecenia, ale opanowała się i weszła za ciotką do pokoju.

Gdy Billie przedstawiła gościa, Amelia objęła Julie ramionami. Ta zaczerwieniła się z radości. Amelia zaś porozumiewawczo mrugnęła do Billie. Ostatnimi czasy nikt się jakoś nie czerwienił, a co dopiero dobiegająca czterdziestki kobieta! To doprawdy rozbijające! Julie pasuje do nich!

Amelia bacznie przyjrzała się Julie; zobaczyła atrakcyjną, dość obfitych kształtów kobietę o śmiejących się oczach i asymetrycznym uśmiechu. Jasne piegi na nosie, dokładnie w tym samym kolorze co włosy Julie, dodawały jej tylko wdzięku. Nie była ani młoda, ani stara. Amelia wiedziała, że Julie za parę miesięcy skończy 39 lat i że jest niezamężna.

Wzięła Julie pod ramię i zaczęła przedstawiać jej po kolei wszystkich zgromadzonych.

– To Maggie i Rand. Przez cały rok pławią się w hawajskim słońcu, podczas gdy my trzęsiemy się tu z zimna. Rand jest moim synem; z pewnością już to wiesz, ale bardzo lubię o tym przypominać – roześmiała się Amelia.

– Witaj w Sunbridge, Julie – powiedziała Maggie roześmianym głosem. – Jak będziesz na Hawajach, zjaw się koniecznie u nas! Amelia ma słuszość: tutaj jest dla nas zbyt zimno. To właśnie jeden z powodów, dla których się tam przenieśliśmy.

– A w tym kącie – ciągnęła dalej Amelia – siedzi moja siostrzenica, Sawyer, mój siostrzeniec i bratanek: Cole i Riley. W ich

ręce przekazaliśmy rodzinne interesy. Sawyer i Cole kierują Coleman Aviation, ona w Japonii, a on tu, w Teksasie. Riley zajmuje się bydłem i ropą naftową.

– Bardzo wiele o tobie słyszałam – powiedziała serdecznie Sawyer – a teraz, kiedy się wreszcie zobaczyłyśmy, przekonałam się, że wszystko, co mówili o tobie Thad i babcia, to szczerą prawdą. Witaj w Sunbridge, Julie! – Uścisk dłoni Sawyer był równie energiczny jak Gole’a i Riley’a. Wszyscy skinęli głowami na znak, że w pełni zaaprobowali nowego przybysza.

– Nie daj się namówić Cole’owi na przejażdżkę samolotem – ostrzegła Sawyer – a z Riley’a zwariowany koniarz, więc i przednim miej się na baczności!

Julie uśmiechnęła się do Cole’a.

– Zawsze miałam ochotę włożyć kombinezon i pilotkę z goglami. Ile razy będzie ci potrzebny pasażer, piszę się na to!

– Lepiej kup sobie taki uniform i na tym poprzestań! Wierzaj mi, ten facet jest niepoczytalny, gdy znajdzie się w powietrzu! – roześmiała się Sawyer.

– Stanowczo muszę się postarać o jakieś mocniejsze przeżycia, nim stuknie mi czterdziestka! – Julie zwróciła się w stronę Riley’a.

– Jak szybko pędzą konie?

– Mamy klaczkę imieniem Doolie, która potrafi pokonać milę w trzy godziny! – zaśmiał się Riley.

– Nie wierz temu oprychowi, Julie! – przestrzegła ją dobrodusznie Sawyer.

– Nie patrz na mnie błagalnie, dziewczyno! – powiedziała Amelia prowadząc Julie w stronę baru. – Nie potrafię ci niczego wyjaśnić. To dla mnie stwory z innej planety! Przypuszczam jednak, że racja jest po stronie Sawyer.

– A to moja bratanica Susan i jej mąż Ferris. Mieszkają ją w Minnesocie i kierują fundacją pomocy chorym na rozszczenie kręgosłupa. Cała rodzina jest z nich bardzo dumna.

– No chyba! – wykrzyknęła Julie z zapalem. – Billie i Thad opowiedzieli mi o waszej wspaniałej działalności! Mam nadzieję, Susan, że posłucham kiedyś twojej gry na fortepianie. Twoja matka powiedziała mi, że mogłaby cię słuchać od rana do nocy.

– Z zatyczkami w uszach?

– Idziemy dalej! – Amelia ze śmiechem popchnęła Julie w stronę

mężczyzny siedzącego w fotelu obok kominka. – Oto pan Hasegawa, najwspanialszy człowiek na świecie, jeśli nie liczyć mojego męża! Nazywamy go zbawcą Colemanów.

– Bardzo proszę nie wstawać! – Julie przykucnęła przez kominkiem.

Stary Japończyk był z pewnością ciężko chory. Wyciągnęła ku niemu rękę i zdumiała się, jak energicznie ją uściskał.

– Pewnego dnia mam nadzieję zwiedzić pańską ojczyznę.

– Ogromnie miło mi poznać bratanicę mego przyjaciela. Thaddeus często o pani mówił. Chciałbym odwzajemnić się pani i oświadczyć, że pragnę odwiedzić Vermont, ale tak nie jest. Thad opowiedział mi to i owo o waszym stanie i doszedłem do wniosku, że lepiej spasuję, jak to wy mówicie. – Głos starszego pana był łagodny i kulturalny. – Myślę, że mój kraj spodoba się pani. A gdyby zdecydowała się pani na pracę w którymś z moich wydawnictw, posada czeka.

– To bardzo miłe z pana strony. Przemyślę tę kuszącą propozycję. Proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o Mirandzie?

– Uważam, że każdy powinien realizować swoje marzenia. Jestem szczęśliwy, że przyczyniłem się do urzeczywistnienia projektu pana Assante. Czy pani także ma jakieś marzenia, Julie? – spytał łagodnie Japończyk.

Zaskoczona Julie zawahała się, ale tylko na sekundę.

– Tak, chyba tak. Nic wielkiego. Prawdę mówiąc, to bardzo proste marzenia. Chciałabym kiedyś wyjść za mąż; przekonać się, co to znaczy naprawdę kochać i być kochaną; znaleźć takie szczęście jak Billie i stryj Thad. – Julie zaczerwieniła się ognście pod uważnym spojrzeniem starszego pana.

– To bardzo istotne marzenia. W gruncie rzeczy wszyscy pragniemy właśnie tego i o tym marzymy. Nikt nie powinien być samotny. Każdemu potrzebny jest ktoś bliski. Wy, Amerykanie, macie jakieś powiedzonko o konnym rycerzu, prawda?

– Biały rycerz, ale niekoniecznie na koniu. Jeśli zastuka do moich drzwi, będę szczęśliwa, choćby był pieszo i w trampkach.

– To taki żarcik?

– Nie, chciałam tylko powiedzieć, że przyjąłabym każdego, byleby tylko kochał mnie, a ja jego.

– Ach tak, rozumiem.

– Bardzo się cieszę, że nareszcie miałam okazję poznać pana

osobiście, panie Hasegawa. Mam nadzieję, że jeszcze porozmawiamy, zanim odjadę.

– Czy coś panu podać, drogi panie? – spytała Amelia.

– Nie, nie, dziękuję. Ale może mogłaby pani poprosić mojego wnuka, by tu podszedł, jeśli nie jest zajęty.

Oczy Amelii obiegły cały pokój. Nigdzie nie dostrzegła Rileya ani Cole'a.

– Poszukam go. – Zwróciła się do Julie: – To chyba już cała nasza rodzina, z wyjątkiem Cary'ego. Nie mam pojęcia, gdzie się podział. O, już jest! Poczekaj chwilę, zaraz ci go przyślę. Muszę poszukać Rileya.

Julie spojrzała na mężczyznę, który właśnie wszedł do pokoju, i natychmiast uświadomiła sobie dwie rzeczy. Przede wszystkim, że Cary Assante był jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, z jakimi miała do czynienia. Po drugie, że przez wszystkie lata, gdy stryj i Billie opowiadali jej o Amelii i Carym, ani razu nie wspomnieli o dużej różnicy wieku między małżonkami.

– Bardzo wiele o tobie słyszałem, Julie. Jestem Cary, mąż Amelii.

Żaden z mężczyzn, których Julie знаła osobiście lub ze słyszenia, z pewnością nie przedstawiłby się w ten sposób! Uśmiechnęła się do niego.

– Kocham tę rodzinę – ciągnął Cary. – W dniu, kiedy ożeniłem się z Amelią, włączyli mnie do swego grona. To był najszczęśliwszy dzień mojego życia. Dałbym się pokrajać w kawałki za każdego z nich!

Julie ciekawa była, czy ów dzień okazał się najszczęśliwszym w życiu Cary'ego dlatego, że został mężem Amelii, czy też dzięki temu, że został przyjęty do rodziny Colemanów? Prawdopodobnie jedno i drugie – pomyślała. Cary Assante był niewątpliwie szczęśliwym człowiekiem. Ale z pewnością miał o dwadzieścia lat mniej niż Amelia!

– Bardzo się cieszę, że nareszcie poznałam was wszystkich. Od lat słyszałam o waszej rodzinie. To było tak, jakbym zapoznawała się z kolejnymi odcinkami ulubionego serialu. Śledziłam cały proces powstawania Mirandy. Jest wspaniała! Musisz być z siebie bardzo dumny.

W głosie Cary'ego nieoczekiwanie zabrzmiała skromność.

– Nie dokonałem tego sam. Pomogli mi Colemanowie i pan

Hasegawa. Amelia wspierała mnie na każdym kroku przez cały czas. Ja wymarzyłem sobie Mirandę, ale to oni sprawili, że marzenie się urzeczywistniło.

– A ja słyszałam, że zbudowałeś ją dosłownie własnymi rękami.

– Rzeczywiście, trochę przy tym pracowałem. Przeważnie zresztą przy desce kreślarskiej.

– A jakie będzie kolejne wielkie dzieło?

– Nie przypuszczam, żebym potrafił dokonać czegoś, co zakasuje Mirandę, i chyba bym tego nie chciał. Pragnę poświęcić teraz cały czas mojej żonie. Pewnie zrobimy sobie wakacje. A może będę jej pomagał w tym, czym się obecnie pasjonuje: zapewnieniem starszym ludziom godziwego życia. Czy wspomniała ci o tym?

– Nie, ona sama nie, ale Billie mi o tym opowiadała. Uważam, że to cudowne: poświęca tej sprawie tyle czasu! Prędzej czy później wszyscy się zestarzejemy i chciałabym mieć pewność, że będę miała wówczas czyste łóżko i dach nad głową. Żeby nie wspomnieć o poszanowaniu mojej godności. To, co robi Amelia, jest bardzo ważne.

Cary zamrugnął oczami ze zdumienia. Nigdy jeszcze nie słyszał tak gorącej pochwały działalności żony.

– Jestem dumna, że są takie kobiety jak Amelia. Może liczyć na moje całkowite poparcie.

Cóż to za niezwykła młoda kobieta! Cary przyjrzał się jej uważnie w nieco przyćmionym popołudniowym świetle. Bardzo pociągająca! Sama Amelia to stwierdziła, a ona znała się na kobietach. Łagodna. Ciepła. Wrażliwa. Nie było w niej nic twardego ani ostrego. Ładne oczy i uśmiech miły jak rzadko się spotyka. Cary zastanawiał się, dlaczego Thad i Billie nie przywieźli jej tu wcześniej? Wyglądało na to, że pasuje do rodziny jak ulał. Był z tego rad. Amelia prawdopodobnie będzie ją teraz często zapraszać.

– Bardzo wielu ludzi nie interesuje się problemami osób starszych – ciągnęła Julie. – Pewnie wolą myśleć, że sami nigdy się nie zestarzeją. Albo po prostu mówią sobie: „Niech się ktoś inny tym zajmie!” Powinniśmy się jednak wszyscy do takiej działalności włączyć. Chcę spytać Amelii, czy nie przydałaby się jej pomoc? Chętnie zaproponuję własne usługi.

– Chyba ktoś tu o mnie wspomniał?

– Ta młoda dama chce ci ofiarować swoją pomoc.

– Naprawdę, Julie? Przyda mi się dosłownie każda para rąk!



Wciągnęłam w to Billie, Maggie i Sawyer. Prowadzę kampanię korespondencyjną, chcę pozyskać poparcie teksaskich ustawodawców. Mogłabyś pomóc w pisaniu na maszynie, adresowaniu i wysyłaniu listów?

– Pracuję od dziewiątej do piątej po południu. Potem możesz dysponować moim czasem.

– A twoje życie towarzyskie? – spytała Amelia.

– Obawiam się, że nie istnieje – powiedziała żałośnie Julie. – Ale gdyby nawet bujnie kwitło, też bym znalazła czas, żeby ci pomóc.

– Dzięki ci, dziecko! Kiedy wrócisz do Vermont, przesyłka z materiałami będzie już na ciebie czekała. To krótkotrwała, choć intensywna akcja, nie obawiaj się więc, że będziesz przy tym uwiązana na Bóg wie ile czasu. Chcę, żeby wszystkie te listy dotarły do tych, którzy tworzą prawa i przepisy, jeszcze przed Nowym Rokiem. Może w czasie ferii świątecznych poświęcą minutę czy dwie losom nas, starych ludzi.

Bardzo wyraźny rumieniec na twarzy Cary'ego uświadomił Julie w niemiły sposób, że zapędziła się na bardzo prywatny teren, ale Amelia nadal obejmowała ją ramieniem, a Cary patrzył jej prosto w oczy. Nie mogła nagle się wycofać, nie wprawiając wszystkich w zakłopotanie!

– Starych ludzi! Z całą pewnością nie masz siebie na myśli, Amelio! – wykrzyknęła Julie. – Billie zawsze powtarza, że jest w tobie więcej siły witalnej i wigoru niż u wszystkich ludzi, z którymi się zetknęła!

– Tak było rzeczywiście, ale czas robi swoje. Schodzę już z górki i chyba mnie to nie martwi. Ta moja działalność daje mi ogromną satysfakcję.

– Chyba już pora, żebym poszła na górę i przygotowała się na wieczór – zauważyła Julie lekkim tonem, dostrzegając z ulgą, że rumieniec Cary'ego blednie. – Marzę o długiej, odświeżającej kąpieli. Prosto z lotniska popędziłam do Mirandy.

– Czy ktoś ci wskazał twój pokój? Chodź ze mną, zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz mieszkała przez następne kilka dni. Czego jak czego, ale pokoi w Sunbridge nie brakuje! Albo wiesz co, lepiej oszczędzę sobie wspinaczki po schodach. Cary, zaprowadź Julie na górę! Pokój tuż obok dawnego dziecinnego ma osobną łazienkę. Mam nadzieję, że będzie ci tam wygodnie. – Głos Amelii był pogodny, a oczy lśniły radością, gdy całowała Julie w policzek.

Julie ruszyła w ślad za Carym po szerokich, znajdujących się pośrodku holu schodach. Czuła, że powinna podtrzymać konwersację, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Plecy Cary'ego były sztywnie wyprostowane, a szczęki zaciśnięte. Najwyraźniej ożyły w nim nieznane jej źródła niepokoju. Julie milczała więc, dopóki nie dotarli do jej pokoju.

– Bardzo ci dziękuję. I raz jeszcze najszczerze gratulacje! Miranda to naprawdę olśniewające osiągnięcie!

Cary oparł się o framugę drzwi.

– W tej chwili czuję się jak na Boże Narodzenie, kiedy wszystkie przysmaki zostały już zjedzone, a prezenty rozdane. Jakoś mi pusto, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wydaje mi się, że koniecznie powinienem coś planować, albo przynajmniej mieć jakiś nowy pomysł, ale nie mam pojęcia, co dalej robić.

– Sama zawsze podobnie się czuję po świętach. Oczekiwanie jest przyjemniejsze niż ostateczne spełnienie. Ale nastanie kolejny dzień, a w nim, miejmy nadzieję, wydarzy się coś, co pobudzi naszą wyobraźnię. Jestem przekonana, że projekt jakiegoś nowego przedsięwzięcia pojawi się prędzej niż myślisz i znowu ugrzęzniesz w nim po uszy!

Cary roześmiał się ujmującym męskim uśmiechem, który zachwycił Julie.

– Urocza damo, podbudowałaś moje ego! Wiem, że coś musi się wyłonić, zwłaszcza jeśli się do tego przyłożę. Nie potrafię siedzieć z założonymi rękami ani spoczywać na laurach. Mam przed sobą jeszcze wiele lat... – urwał i na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. – No więc, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wystarczy jedno słówko! Spotkamy się późnym wieczorem. Wyruszymy z Amelią wcześniej niż inni, ale reszta rodziny wybiera się całą paczką. – Wyjaśniał, jakby Julie o tym nie wiedziała. Pomachał wesoło ręką i zamknął bezszelestnie drzwi za sobą.

Julie rozejrzała się po obszernej, choć skąpo umeblowanej sypialni. Nie mogła się zdecydować, czy odczuwa zachwyt czy też rozczarowanie. Od lat słyszała od stryja Thada i Billie o Sunbridge. Głos stryja był zawsze pełen entuzjazmu, a Billie dziwnie smutny. Zupełnie zrozumiałe: Moss Coleman, pierwszy mąż Billie i dziedzic Sunbridge, był najserdeczniejszym przyjacielem Thada w latach wojny i aż do dnia swej śmierci. Julie nie darzyła specjalną sympatią

poprzedniego właściciela Sunbridge. Ze wszystkich półsłówki na jego temat, które do niej dotarły, zrodziło się w niej przekonanie, że Moss nie był równie delikatny, kochający i troskliwy jak jej stryj Thad. Julie nie przypuszczała, by ktoś mógł być jej kiedykolwiek bliższy od stryja.

Gdyby nie on, nie trafiłaby do college'u, nie znalazłaby pracy, a już z pewnością jej noga nie powstałaby w Sunbridge! Miała siedemnaście lat i była w ostatniej klasie szkoły średniej, gdy jej rodzinny dom spłonął do fundamentów. Był to cudowny stary budynek z oknami ozdobionymi architektonicznymi laskami, z przepięknymi schodami o lśniących poręczach, po których nieraz się ześlizgiwała. Pełne tajemniczych zakamarków poddasze było idealnym miejscem zabaw dla małej dziewczynki; znajdowało się tam wiele kufrów i pudeł, w których drzemały skarby, godne obejrzenia w deszczowy dzień. W całym domu było ogromnie dużo kącików i kryjówek, doskonale się nadających do ukrywania przed okiem rodziców dziecięcych skarbów. Kuchnia z plecionymi chodnikami i olbrzymimi oknami na całą ścianę – najbardziej słoneczne miejsce na świecie, była ulubionym pomieszczeniem Julie: ubóstwiała siedzieć w niej pijąc lemoniadę i racząc się cynamonowymi ciasteczkami. Miała psa imieniem Kasper, który nie odstępował jej ani na krok i którego tuliła we śnie. Gdy Julie miała dwanaście lat, złośliwy świstak ugryzł Kaspra w ogon. Pies dostał zakażenia krwi i zdechł po trzech tygodniach. Przynoszono Julie jednego szczeniaka po drugim, ale dziewczynka tylko potrząsała głową. Przyjaciół nie można zastąpić, a Kasper był jednym z nich.

Naprzeciw okna jej sypialni rósł ogromny wiąz, miał chyba kilkaset lat i gałęzie idealnie nadające się do tego, by wymykać się po nich na spotkania z chłopcami. Ześlizgnąć się po drzewie było bardzo łatwo; powrót tą samą drogą kosztował ją więcej siniaków i zadrapań, niż chciałaby się do tego przyznać. Drzewo spłonęło razem z domem i Julie po dziś dzień nie była pewna, którego z nich bardziej żałuje.

Przeżyła w tym domu cudowne lata i zachowała o nim najczulsze wspomnienia. Co jakiś czas nawiedzały ją wyrzuty sumienia, gdyż wymknęła się z sypialni po wiązcie tego wieczoru, gdy wybuchł pożar. Znajdowała się o milę od domu, kiedy zginęli jej rodzice w czarnym, duszącym dymie, który wtargnął do ich sypialni.

Po pogrzebie Julie zamknęła się w sobie i przez cały rok uciekała

od rzeczywistości. To właśnie stryj Thad swą cierpliwością i dobrocią sprawił, że znalazła się z powrotem w świecie żywych. Pomógł jej wybrać college, umieścił ją w nim, wyjaśnił dziekanowi, kim jest, jak przebiega jego służba w marynarce i w jaki sposób w każdej chwili można się z nim skontaktować. Zażądał, by zawsze go zawiadamiano o zbliżających się ważnych wydarzeniach: spotkaniach rodziców, wizytach absolwentów, rozdaniu świadectw. Nie sprawił jej zawodu ani razu.

Thad pomógł jej także znaleźć pierwszą pracę. Julie została ilustratorką katalogów wysyłkowych. Przepracowała tam siedem lat, a kiedy zorientowała się, że nie może już liczyć na żadne nowe zadania ani podwyżki, odeszła stamtąd i znalazła pracę lepiej płatną i obfitującą w ambitne wyzwania. Niestety, jedynym z jej ryzykownych elementów był stały kontakt z mężczyzną, dla którego Julie straciła głowę. Kiedy znajomość doszła do tego stadium, w którym zażądała od partnera, żeby się konkretnie wypowiedział, co dalej z nimi będzie, wyjawiał, że jest już związany: ma żonę i dwoje dzieci. Od tej pory Julie stała się ostrożna i nie ufała mężczyznom. Miała potem kilka innych romansów, ale dziwnym trafem żaden z nich nie trwał dłużej niż parę miesięcy. Z natury pogodna Julie nie pozwoliła na to, by brak stałego partnera wpłynął na nią przygnębiająco. Kochała Vermont i jego ostry, rzeński klimat. Pracowała wytrwale przez długie godziny i wypełniała pustkę swego życia różnorodnymi dodatkowymi zajęciami i działaniami. Była dość szczęśliwa i uważała, że jest nieźle przystosowana do życia, ale nadeszła pora, gdy zapragnęła już nie dalszych wyzwań, ale generalnej zmiany.

Julie doszła do wniosku, że ze wszystkich Colemanów najbardziej podoba jej się Billie, a zaraz po niej Amelia. Chłopcy, Riley i Cole, a także Maggie i Sawyer byli również przemili: tacy naturalni, zupełnie jak jej znajomi z Vermont. Spodziewała się blichtru i pretensjonalności wielkiego świata, może nawet zakłamania. Ludzie mający do dyspozycji wielkie pieniądze, bogaci i wpływowi, przedstawiani byli przez prasę i media jako osoby płytkie i nieszczerze. Jednak Colemanowie wcale tacy nie byli: okazali się serdeczni i życzliwi, ciepło ją przyjęli. Ich dom był stary, gościnny, nie przesadnie elegancki, ale pełen uroku. Julie doszła do wniosku, że pokochała Sunbridge. Poczowała ukłucie zazdrości, że nie urodziła się i nie wychowała gdzieś w pobliżu, w najbliższym czy nieco dalszym

sąsiedztwie. Ale gdzie syropowi klonowemu z Vermont do ropy naftowej z Teksasu! – pomyślała z uśmiechem. Zwyczajna Julie Kingsley, córeczka Simona, najstarszego brata Thada, trafiła jednak do swojej krainy z bajki!

Przez chwilę żałowała, że nie jest młodsza, piękniejsza, zgrabniejsza. Ale taka doskonałość nie byłaby przecież prawdziwą Julie Kinglsey!

W jej obecnym życiu zanosilo się na ważne zmiany: z początkiem nowego roku wyląduje na nowej posiadzie w Nowym Jorku i przy odrobinie szczęścia znajdzie tam krąg nowych znajomych. Wszystko lepsze od dalszego pleśnienia w Vermont! Uważała te przenosiny za kolejne wyzwanie i oczekiwała ich z niecierpliwością.

Krzążając się po pokoju czuła się pełna życia i energii. Na krótką chwilę stają się częścią tej baśniowej krainy, noszącej miano Sunbridge. Jedną z nich.

Jakie to przyjemne uczucie! Jakie zdumiewająco naturalne!

Dość już marzeń! Julie rozpakowała neseser, powiesiła starannie wieczorową suknię na perfumowanym wieszaku, w wykładanej cedrowym drewnem szafie.

Rozkosznie pachnące sole kąpielowe w kryształowym naczynku wywołały w Julie zdumienie i zachwyty. Ten ozdobny pojemniczek wraz ze swą zawartością kosztował zapewne więcej, niż wynosiła jej tygodniowa pensja na posiadzie ilustratorki. Zagłębiła się w pachnącej wodzie. Westchnęła z rozkoszy: kąpiel to najlepszy w świecie lek na zmęczenie.

Grube, niezwykle chłonne ręczniki miały atłasowe obwódki i monogramy. Julie czuła, że bez trudu przystosowałyby się do takich warunków życia. Teraz, gdy już się odprężyła, przyda się krótka drzemka.

Ostatnią myślą Julie przed zaśnięciem, zanim zapadła w nicość, było stwierdzenie: Amelia Assante to bardzo szczęśliwa kobieta!

Cole stał z rękami na biodrach, patrząc przez kuchenne okno na swego kuzyna. Ich wzajemne uczucia uległy zmianie i pogłębiły się od czasu, gdy zaczęli studiować w różnych college'ach. Gniewna rywalizacja ustąpiła miejsca przyjaznemu koleżeństwu, a choć nie przebywali ustawicznie ze sobą, zawsze mogli na siebie liczyć, gdy wyłamały się jakieś trudności. Właśnie teraz Riley znalazł się w

najpaskudniej szych kłopotach. Może wyjść do niego i odegrać rolę powiernika? Do cholery, Riley dobrze wiedział, że wystarczy tylko spojrzeć na kuzyna w dobrze mu znany sposób, by ten rzucił wszystko i oddał na jego usługi cały bagaż doświadczeń swych dwudziestu ośmiu lat!

Riley odwrócił się, czując na sobie wzrok Cole'a. Cole uśmiechnął się do niego łobuzersko zza szyby.

– Nos ci się zmienił w sopel lodu – zażartował, gdy Riley wszedł nareszcie do wnętrza.

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było rzeczywiście. Mróz jak jasna cholera. Gdzie się wszyscy podzieli?

– Siedzą w salonie i rozważają, czy strzelić jeszcze po jednym, czy się przedrzemać przed wieczorną imprezą. Ciocia Amelia wysłała mniej więcej cię odszukał. Dziadek chce z tobą mówić.

– Wiem. Próbuję się jakoś przedtem pozbić. Cole uderzył kuzyna żartobliwie po plecach.

– Dlaczego? Od kiedy to uprawiasz medytacje? – Nagle pojawił przyczynę napięcia Rileya. – O Jezu, nie wiedziałeś, że on jest chory?

– Nie sądziłem, że to coś poważnego. Sawyer powiedziała tylko, że dziadek nie najlepiej się czuje, i nic więcej.

– Nie byłeś z nim w kontakcie, nie pisałeś?

– Nie – odparł krótko Riley.

– Wiem, że to nie mój interes, ale czy nie sądzisz, że...

– Chcesz poznać prawdę? Chyba już od miesiąca przeczuwałem, jak sprawy stoją. I pewien jestem, że dobrze wiesz, co to wszystko znaczy.

– Teraz znaczy tylko tyle, że twój dziadek jest chory i chce z tobą mówić. Nie możesz przed tym uciec, Rileyu. Jego choroba nie zniknie ni stąd, ni zowąd. Ale on sam wkrótce wyjedzie. Jak chcesz to rozegrać? Chyba w ciągu najbliższych kilku godzin nie będziesz musiał podejmować żadnych przełomowych decyzji. Wszyscy zastanawiają się, co się z tobą dzieje? Pamiętaj, że bez względu na to, co postanowisz, cała rodzina murem stanie za tobą!

– Ostatnio dużo myślałem na pewien temat. – Riley wykonał ręką ruch, świadczący o tym, jak mało sprecyzowane jest to, o czym mówi.

– Przyszło mi to do głowy pewnej nocy, ni stąd, ni zowąd: ty powinieneś być mną a ja tobą. Byłbyś w siódmym niebie kierując „Wschodzącym Słońcem”. Dla mnie to byłaby katorga. Kocham to,

czym zajmuję się tutaj... a ty tego nie znosisz. Nigdy co prawda nie powiedziałaś tego wyraźnie... To znaczy... ach, nie mówmy już o tym! Tak to się dzieje, kiedy człowieka zagonią w kozi róg i nie może się stamtąd wydostać.

Cole rozważał słowa Riley'a. Myśl o kierowaniu koncernem wydawniczym „Wschodzące Słońce” była tak zdumiewająca, niesamowita, tak... Przeniknął go dreszcz.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nikt mi nie może pomóc odparł ze smutkiem Riley.

– Chyba się mylisz. Myślę, że twój dziadek zrozumiałby, gdybyś z nim szczerze o wszystkim porozmawiał. Mógłby nie cieszyć się z twojej decyzji, ale na pewno by ją zrozumiał i uszanował.

– Moja matka nie ma pewnie spokoju w grobie. Od samego urodzenia przygotowywano mnie... Oczekiwano, że ja... Jestem jedynym męskim potomkiem. Mój dziadek często ze mną o tym rozmawiał. Matka także by sobie tego życzyła. Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale nie przygotowałem się na to.

– Łudziłeś się pewnie, Rileyu, że twój dziadek spokojnie kiedyś zaśnie i nie obudzi się już. Miałeś nadzieję, że nie będzie cię w pobliżu, gdy nadejdzie moment podejmowania decyzji. Odmówienie gorącej prośbie starego człowieka to coś najtrudniejszego w świecie. Jeśli to potwierdzisz, będziemy mieli jakiś punkt wyjścia. No więc co, mam rację?

– Trafiłeś w sedno. Cole, nie byłem świadkiem niczyjego zgonu ani śmiertelnej choroby. Mój ojciec zginął, zanim mogłem go poznać. Moja matka zginęła w jednej chwili, nie chorowała. Była przy mnie... i nagle gdzieś zniknęła. A teraz te myśli będą mnie nękać w każdym momencie życia, dopóki...

Cole spojrział na zegarek.

– Siedzimy tu stanowczo zbyt długo. Chodź, pomówimy z nim obaj. Będę tkwił przy twoim boku i plótl trzy po trzy, żeby odpędzić grożącą burzę. Cała sprawa się odwlecze, póki nie zostaniesz z nim sam na sam.

Gdy Cole i Riley wpadli przez drzwi wahadłowe, tylko Maggie dostrzegła napięcie na ich twarzach. Colemanowie. Jedyni mężczyźni z rodu Colemanów. Czy Maggie powędrowały w stronę Shadaharu Hasegawy, a następnie spoczęły na matce. Przerwana rozmowa została na nowo podjęta. Usłyszała dźwięczny śmiech Sawyer,

opisującej swój maleńki japoński domek. Zwróciła się do męża:

– Cole jest przy nim. Tylko tego chciałam być pewna. Co pan na to, panie Nelson, żebyśmy we dwójkę zafundowali sobie długi, baaardzo długi i naprawdę gorący prysznic?

– Czyżbyś mi robiła nieprzystojne propozycje, Maggie?

– Co za bystry mężczyzna! A co sądzisz o jedwabnej pościeli?

– Dokładnie to samo, co i ty. Naprawdę mamy na górze jedwabną pościel?

– Tylko dzięki temu, że wzięłam ją ze sobą, a także to cudowne mydło, które tak lubisz... i pachnący olejek kokosowy.

– Idziemy! Prowadź, najmilsza!

– Jeszcze się wszyscy domyśla, i co będzie?...

– Ale skądże! Może zresztą powinienem wejść na górę kuchennymi schodami, a ty od frontu?

– Świetny pomysł! – zachichotała Maggie.

– Kochanie, strasznie rzadko cię ostatnio widzujemy – poskarżyła się Billie, zwracając się do Sawyer.

– Kierowanie Coleman Aviation, i to za granicą, to ciężka praca, babciu. Bardzo bym chciała częściej przyjeżdżać do domu. Poważnie myślę o znalezieniu dwóch zastępców. Na razie najbardziej przeszkadza mi bariera językowa. Mogę się od biedy dogadać łamaną japońszczyzną, ale nic poza tym. Japończycy są takimi świetnymi pracownikami, babciu! Wprost zawstydzają mnie swoją pracowitością, a wiesz, że się na ogólnie lenię. Nie pozwólcie nikomu dziś po południu nawet wspomnieć o kryzysie paliwowym, dobrze? – Następne pytanie Sawyer zadała pozornie niedbałym tonem: – Czy mieliście jakieś wieści od Adama Janasa?

Thad uśmiechnął się.

– Spotkaliśmy się w Waszyngtonie jakieś dwa miesiące temu. Pytał o ciebie.

– Czyżby? Do mnie nie napisał ani razu. Zupełnie się urwał między nami kontakt. Słyszałam o śmierci jego żony i chciałam... Ale chyba nie wypadało.

– Z pewnością wypadało! Adam to taki dobry przyjaciel! – złajęła ją babka. – Jestem doprawdy zdumiona, Sawyer. To niepodobne do ciebie!

– Wiem. Prawdę mówiąc, chciałam wracać pierwszym samolotem.



Musiałam stoczyć ze sobą walkę. W obecnej sytuacji, babciu, Adam powinien wykonać pierwszy ruch. Wiem, że zaprzepaściłam sprawę, ale po operacji i okresie rekonwalescencji nie chciałam, broń Boże, żeby czuł się ze mną związany. Oboje wiedzieliśmy, jak sprawy stoją. Adam postanowił pójść inną drogą, a ja cieszyłam się, że znalazł szczęście. Żał mi było, że go tracę, ale myślałam tylko o tym, żeby on był zadowolony. Widzisz, babciu, umiem już dbać także o innych, jak mnie tego uczyłaś.

– Nie chcę robić plotek – odezwał się Thad – ale Adam nie zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy. Wyznał mi, że było to właściwie małżeństwo z rozsądku. Jak wiesz, ma pasierba. Z tego, co Adam mówił, wydaje mi się, że to trudny chłopiec.

– Wierzę, że Adam cię kocha. Zawsze w to wierzyłam – powiedziała łagodnie Billie. – Uważam, że powinniście oboje spotkać się i odbyć ze sobą dłuższą rozmowę, zanim któreś z was popełni błąd nie do naprawienia.

– Przemyślę to sobie, babciu – odparła równie miękko Sawyer.

Billie zauważyła, że oczy wnuczki krążą po pokoju, wracając co chwila do Riley'a i Shadaharu Hasegawy.

– Czy można znaleźć na to jakąś radę? – spytała Sawyer wiedząc, że jej babka zrozumie, o czym ona mówi.

– Czuję straszną rozterkę Riley'a i dobrze wiem, jak musi czuć się pan Hasegawa. Gdyby tylko mogli jakoś się porozumieć, chyba wszystko dobrze by się skończyło. – Oczy Billie były pełne łez. Thad wyciągnął rękę i mocno ujął dłoń żony. On także dobrze rozumiał.

– Nie licz na to, babciu – powiedziała Sawyer. – Riley nie chce wyrzec się niczego. A pan Hasegawa chce mieć wnuka dla siebie. Tradycja, honor, poczucie obowiązku, to potężna trójca. Rozumiesz, o co mi chodzi? Riley jest w okropnym położeniu: między młotem a kowadłem, jak by to Cole określił. Nie mam pojęcia, jak ostatecznie postąpi. Zamartwiam się o niego, a kiedy próbuję z nim porozmawiać, Riley zbywa mnie mówiąc, że musi to sobie przemyśleć. Uważam, że powinniśmy coś zrobić, jakoś go przekonać!

– Nie, to byłoby najgorsze – wtrącił się do rozmowy Thad. – Gdy Riley zechce naszej pomocy, wie, że może na nas liczyć. Ale swoją decyzję musi podjąć samodzielnie.

– Thad, kochany, może ty mógłbyś pomówić z panem Hasegawą? Opowiedz mu, jak Riley się zadrecza. Wiem, że ciebie Shadaharu

posłucha. Od tylu lat się ze sobą przyjaźnicie!

– Najmilsza Billie, obciąłbym sobie rękę, gdybyś tego zażądała, ale w tej sytuacji nie mogę i nie mam zamiaru się wtrącać. I to z tego właśnie względu, o którym wspomniałaś. Jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat i Shadaharu sam zakreślił granice tej zażyłości, poza które nie wolno mi się posunąć. Zawsze ściśle ich przestrzegałem, podobnie jak on.

– Wiem, wiem! Szukam wszelkich możliwych sposobów! Nadal nie mogę pojąć, jak zdobył się na tę podróż w swoim stanie? I ani razu nie napomknął o swej chorobie. Nie mogłam nic powiedzieć, póki on sam nie poruszyłby tego tematu. Czuję się taka bezradna...

– Nie ty jedna, babciu – stwierdziła sucho Sawyer. – Nie wiem jak wy, aleja zamierzam wziąć milutki ciepły prysznic, a potem uciąć sobie drzemkę. Podobno mamy przetańczyć całą noc, więc chcę być w dobrej formie.

– Chyba masz słuszość, kochanie – powiedziała Billie, podnosząc się z miejsca. – Oczywiście co do prysznica i drzemki. Wątpię, czy byłoby mnie stać na przetańczenie całej nocy. A co pan o tym sądzi, panie senatorze? – spytała żartobliwie.

Thad roześmiał się.

– Mam jakieś przeczucie (tylko przeczucie, nic więcej!), że ci z nas, którzy będą w stanie przetańczyć całą noc, będą szaleć do świtu, a słabsi zawodnicy jakoś się wymkną.

– I znów wywinął się sianem – podsumowała Billie. – Rasowy polityk!

Kiedy pokój opustoszał, Cole zaczął przestępować z nogi na nogę. Riley nieznacznym ruchem głowy dał mu znak, że może również udać się na górę. Cole dotknął ramienia starszego pana i żartobliwie dał sójkę w bok Riley owi.

– Punkt pięta trzydzieści w holu głównym, Coleman! – Nie zawiedziemy – odparł zdawkowo Riley.

W ciszy przerywanej tylko trzaskiem płonących na kominku dREW para młodych oczu wpatrywała się w oczy starca. Nie padło ani jedno słowo. Riley pierwszy schylił głowę przed dziadkiem w pełnym szacunku ukłonie, wypuścił trzymaną w dłoni chudą, pokrytą wypukłymi żyłami rękę. Podniósł się z kanapy i wbił ręce w kieszenie spodni, by ukryć ich drżenie.

Stary Pan odchylił się do tyłu i przyglądał swemu wnukowi. Ileż w

nim było z Amerykanina! Nawet wzrost. Według japońskich norm sześć stóp i trzy cale to o wiele więcej niż przeciętna! Będzie teraz musiał wysłuchać słów z trudem wydobywających się z gardła wnuka. Przeczuwał, co Riley mu powie, i bał się tego. Czekał cierpliwie, aż młodzieniec uporządkuje swoje myśli. Nic w całym jego długim życiu nie przygotowało Starego Pana na ten cios. Jak można – zdumiewał się kochać kogoś tak bardzo, że się poza nim niczego już nie dostrzega? – Czuł, że ręce zaczynają mu drżeć. Mocno je zacisnął i poczuł ból.

– Kocham to miejsce – powiedział Riley zakreślając rękami szeroki krąg. – Porzucić je znaczyłoby dla mnie tyle, co wyrwać własne serce. Sypiam na łóżku mojego ojca w pokoju, który on niegdyś zajmował. Moja baseballowa czapka, która niegdyś także do niego należała, wisi na jego kołku, na wieszaku w Sieni. Ciocia Maggie przepisała na mnie połowę Sunbridge, ponieważ to mój ojciec miał zostać jego właścicielem. Babcia Billie powierzyła mi kierowanie rodzinnymi interesami, dotyczącymi bydła i ropy naftowej. Ty sam mnie tu przysłałeś, dziadku! Ty spieszyłeś tej rodzinie z pomocą w jej najczarniejszych chwilach! – zawołał Riley gwałtownie.

Przysłałem cię tu na wizytę, a nie na zawsze! – chciał odkrzyknąć stary Japończyk. – Tak, pomogłem tej rodzinie zrealizować jej marzenia, a ty byłeś częścią tych marzeń!

Pan Hasegawa nie wymówił tych słów nawet najcichszym szeptem. Chłopiec nie powiedział przecież, że „nie wróci”, tylko że powrót sprawiłby mu ogromny ból.

Powieki starca same opadały, w brzuchu czuł ostry ból. W tej chwili nawet nadzieja i oczekiwanie były uczuciami ponad jego siły.

– Nie zapomniałem o przeszłości, dziadku. Wspominam ją każdego dnia. Porównuję moje obecne życie z tym, jakie wiodłem w Japonii. Wiem, że uważasz, iż przynoszę hańbę naszej rodzinie i gorzko się wstydzę, że nie potrafię... To Cole powinien być twoim wnukiem, nie ja! Cole spełniłby wszystkie twoje oczekiwania, byłby tym, kim ja nigdy nie zostanę. Czemu... czemu to wszystko musiało się zdarzyć?! Moja matka zrozumiałaby mnie... dlaczego ty nie potrafisz? – zawołał Riley z rozpaczą.

Cierpienie w głosie wnuka rozdzierało serce Starego Pana.

– Coleman Tanner nie jest krwią z mojej krwi. Ty jesteś –

powiedział cicho Shadaharu Hasegawa.

– Powinieneś więc zrozumieć, dlaczego chcę tu pozostać! Z nimi też łączą mnie więzy krwi! Jestem jednym z Colemanów! Tutaj jest moje miejsce! Należę do nich! Nie każ mi się tego wyrzekać! Błagam cię, dziadku, nie wymagaj tego ode mnie! – Z desperacją posłużył się po raz drugi imieniem Cole’a. Potem uświadomił sobie, że uczynił to, by uwolnić siebie samego. – To niesprawiedliwe! Cole’owi nie zależy na Sunbridge! A mnie tak! Cole nie może odejść, bo... A nie chce tu być... Już nic, zapomnij o tym, dziadku. Widzę, że jesteś zmęczony i...

– To był długi dzień, wnuku. Proszę, pomóż staremu wejść po schodach, żebym mógł przespać się przed wieczorną uroczystością. Chciałbym, Rileyu, żebyś szedł za mną. – Starszy pan z trudem przełknął ślinę. Jeżeli uda, że nie usłyszał tamtych słów, może nie przepalą jego serca, tak jak choroba trawiła jego ciało.

– Dobrze, dziadku – odparł z szacunkiem Riley. W ten sposób nie zobaczysz moich łez, a ja twoich – pomyślał.

Na drugim piętrze panowała głucha cisza. Riley krążył po swym pokoju, uderzając jedną pięścią o drugą. To było niesprawiedliwe! Sawyer od lat wbijała mu w głowę, że życie nie bywa sprawiedliwe i nie należy na to liczyć. Sama Sawyer była najlepszym tego dowodem. Kochała Randa Nelsona i musiała wyrzec się go, kiedy zakochał się w jej matce. Jakoś się z tym pogodziła. Przeżyła też operację mózgu, a potem musiała znieść małżeństwo Adama Jarasa z inną kobietą. Babcia Billie pozbierała się po śmierci pierwszego męża a wyszła za Thada. Jego własna matka zginęła z winy pijanego kierowcy. To także nie było sprawiedliwe! Ale i on, i jego dziadek jakoś to przeżyli. Ciocia Amelia musiała znieść operację wszczepienia bypassów i, wiele innych cierpień... Cole... Z Cole’em było inaczej; miał wiele kłopotów, ale zawsze potrafił się z nich wykaraskać. Ciocia Maggie była pewnie najbardziej osaczona i najciężej doświadczana przez los spośród wszystkich Colemanów, a jednak w obecnej chwili gotowa była zastąpić swoją matkę i stanąć na czele całej rodziny. Wszyscy z nich zdołali przetrwać. Dlaczego on ma być inny? W jego żyłach płynęła ta sama krew! Riley ukrył twarz w dłoniach. Nie wystarczy jednak wygrana bitwa. Trzeba wygrać wojnę i nie paść jej ofiarą. Musi uwierzyć, że wyjdzie z tego cało, że przetrwa, jak reszta jego rodziny.

Kusiło go łóżko, o którym zawsze myślał jako o „łóżku swego ojca”. Rzucił się teraz na nie i zasnął prawie natychmiast. We śnie prześladował go obraz maleńkich Japoneczek, idących za nim na wzgórzu porośnięte drzewami kwitnących wiśni. On sam grał na flecie, otrzymanym od dziadka, niezapomnianą melodię, którą jego matka tak lubiła. Krzyki i wołania o pomoc, rozlegające się na końcu zagajnika, zagłuszane były przez muzykę i głosy dziewczynek. Japoneczki z podnieceniem wskazywały paluszkami na skraj lasu, gdzie cała jego rodzina, jedna osoba po drugiej, zsuwała się ze stoku w przepaść.

– Tylko ty zostałeś! – wołały dziewczynki. – Tylko ty! – i śmiały się ostro i piskliwie. Przerwał na chwilę grę na flecie i dosłyszał, że pierwsza z dziewczynek nazywa go zbawcą. Japończycy nie używali takich określeń. Zbawca. Wyraz należący do jego chrześcijańskiego słownictwa. Riley obudził się zlany potem, z głową pękającą od bólu. Stojąc pod deszczem kropel siekącym z prysznicą doszedł do wniosku, że jeżeli sam się z czymś nieopatrznie nie wyrwie, to nic się nie stanie. Nie należy się zobowiązywać do niczego, podejmować żadnych decyzji. Trzeba poczekać, co przyniesie jutro, a nie oglądać się wstecz. Jak dotąd była to najlepsza rada, jakiej mógł samemu sobie udzielić.

## Rozdział drugi

To było rzeczywiście jedno z największych wydarzeń w Teksasie. Mirandzie składano hołdy, na jakie potrafił się zdobyć tylko ten stan. Miasto mógł stworzyć Cary Assante, ale tłumy zbiegły się, by ujrzeć i podziwiać rodzinę Colemanów.

Otwarcie przez Amelię Biblioteki im. Jessiki Coleman było ceremonią bardzo kameralną. Cała rodzina jednomyślnie zdecydowała, że odbędzie się ona w wąskim gronie, a szerokie rzesze publiczności i media uszanowały tę decyzję.

Padał lekki śnieżek, gdy rodzina Colemanów skierowała się spod biblioteki w stronę wielkiej sali balowej w Wieżowcu Assante.

– Publiczne wystąpienia to coś, czego nigdy nie mogłam znieść! – mruknęła Billie.

– Uśmiechnij się, kochanie, zrób to dla Cary’ego i Amelii – poprosił żonę Thad, rozglądając się po gromadzącym się zewsząd tłumie. – Boże, chyba zjawił się tu cały Teksas!

– I pozostałe czterdzieści dziewięć stanów! – zachichotała Billie. – Jest tu co najmniej połowa Senatu. Jak myślisz, kogo zostawili do pilnowania interesu?! I dostrzegłam nie mniej niż dwudziestu kongresmenów. Spodziewałam się gubernatora i jego zastępcy, ale ten... ten spęd przypomina mi zupełnie uroczysty pogrzeb na Kapitolu, tyle że bez trupa. Jeśli mi powiesz, że zjawił się prezydent, chyba zemdleję!

– Prezydenta nie ma, ale wiceprezydent przybył – poinformował żonę Thad. – I doprawdy nie ja się do tego przyczyniłem! – zastrzegł się.

– Mamo, nie wierzę wprost własnym oczom! – jęknęła z podziwu Maggie. – Kto to sprawił?! Przed chwilą dostrzegłam Henry’ego Kissingera; jeśli mnie wzrok nie mylił, rozmawiał z Tedem Koppem.

Billie zrobiła wielkie oczy.

– Ted Koppel! Thad, czy to możliwe?! Gdzie on jest?

– Uspokój się, dziewczyno! – roześmiał się Thad. – Maggie, muszę ci wyjaśnić, że Cary zatrudnił speców od reklamy, a Amelia wysłała zaproszenie do gubernatora, upoważniając go do przyprowadzenia wszystkich, kogo tylko będzie chciał zabrać ze sobą na tę uroczystość.

Jak wiesz, gubernator i Amelia są starymi przyjaciółmi. To wyjaśnia jego obecność wraz ze świtą. Członków Senatu i Kongresu chyba możesz zaliczyć na moje konto: zaprosiłem wszystkich, ale nie przypuszczałem, że się zjawią. Bardzo się cieszę, że przybyli, choć wcale się tego nie spodziewałem...

– Thad, widzę, że chyba po raz pierwszy w życiu odebrało ci mowę! – zauważyła Maggie. Thad uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Sawyer oznajmiła mi, że wystąpią Beach Boys, a Cole poinformował, że będzie śpiewał Elton John i John Deiver. Chyba mnie nabierali? Wmawiają mi niesamowite rzeczy, a potem bardzo się cieszą widząc moją głupią minę! – wykrzyknęła radośnie Maggie.

– Wkrótce sami się przekonamy, jak tylko wszyscy wejdą do sali.

– Nie wiem jak wy, ale ja mam zamiar zostać tutaj i gapić się ile wlezie! – oznajmiła Sawyer scenicznym szeptem, przysłaniając usta ręką.

– Ja też! – odpowiedziała jej w podobny sposób Maggie. – Wchodźcie do środka, a my z Sawyer opowiemy wam później, co dostrzegłyśmy. Ze szczegółami!

W oczach Billie zalśnił ciepły uśmiech. Jak bardzo radowało ją to, że Maggie i Sawyer były już nie tylko matką i córką, ale stały się prawdziwymi przyjaciółkami!

– Na parkingu mamy więcej Rolls-royce'ów, ferrari i jaguarów niż w całej Arabii Saudyjskiej! – szepnął Cole do ucha matki. – Dostrzegłem dwóch szejków rozmawiających z panem Hasegawą. Pewnie jego starzy znajomi.

– Świetnie się prezentujesz, Cole. Biegnij teraz i dołącz do armii „pingwinów”! Doceniam to, żeś się wbił w smoking!

– Dla ciebie wszystko, mamo.

Maggie uśmiechnęła się. Wiedziała, że Cole mówi szczerze. Nie zawsze tak dobrze się układało między nimi, przeżyli gwałtowne burze, ale teraz łączyła ich prawdziwa miłość. Cole był jej synem w całym tego słowa znaczeniu, podobnie jak Sawyer jej córką. Jakież to szczęście!

– To większa gala niż rozdanie Oskarów! Aż się roi od gwiazd filmowych. Czuję się, jakbym znów miała szesnaście lat!

– A ja... dziewiętnaście. Muszę być przecież trochę starsza – roześmiała się Maggie.

Matka i córka stanęły z boku, podziwiając najmodniejsze okrycia,

gdy cała procesja wystrojonych dam wchodziła do sali przez szeroko otwarte główne wejście.

– Ta sala jest taka szeroka i długa, że zmieściłyby się w niej co najmniej trzy wielkowiejskie bloki, zgodzisz się ze mną, mamó? – spytała Sawyer.

– Chyba masz słuszość. – Maggie nagle spoważniała. – Jak duże straty ponieśliśmy na rynku paliwowym, Sawyer? I czy kochasz Adama Jarvisa? – Najlepiej działać przez zaskoczenie! – pomyślała.

– Skąd ci to, u diabła, przyszło do głowy?! Sprawy przedstawiają się niewesoło, ale mamy kilka różnych ewentualności. A ja rzeczywiście jestem nadal zakochana w Adamie Jarvisie. Spójrz na te norki od Fischera! O rany, toż to Tess Buckalew!

– Boże wielki! Lacey ma takie same! A mówiłaś przed chwilą, że nafciarze przeżywają kryzys!

– Ivy wygląda jak uboga krewna – zauważyła Sawyer. – Zawsze lubiłam tę małą. Ma więcej oleju w głowie niż cała jej rodzinka! Coots całkiem nieźle się prezentuje, nie uważasz? Boże święty, Mitzi Fanny włożyła prawdziwe rosyjskie sobole! Bill wygląda bardzo elegancko. Maggie przytaknęła. ;

– Dostyc się naoglądałam futer – stwierdziła. – Chodźmy do środka, pora na przegląd kiecek i biżuterii.

Sawyer i Maggie skierowały się w stronę stołu przeznaczzonego dla ich rodziny.

– Mamó – szepnęła Maggie na ucho Billie – nie wierzę własnym oczom! Rozejrzyj się tylko dookoła: kreacje od Galanosa, Adolfo i wszystkich znanych projektantów mody! No i biżuteria od Van Cleefa, Tiffany’ego i Cartiera! A my wszystkie w modelach Billie! Nie widziałam nikogo innego, kto by je miał na sobie. Pewnie są dla nich zbyt kosztowne.

– Nie wiem, czy mnie to cieszy czy wręcz odwrotnie – odparła Billie.

– Powinnaś szaleć ze szczęścia, mamó – stwierdziła Maggie. – Jesteśmy jedyne w swoim rodzaju!

– Nie uwierzysz, ile się nabiedziłam nad twoją toaletą, Maggie. Nigdzie nie mogłam znaleźć odpowiedniego odcienia pomarańczowego złota! Chciałam, żeby podkreślał barwę twoich włosów i ogólny koloryt. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, złotko?



– Mamo, ta suknia to istne чудо! I zdumiewa mnie zawierucha pastelowych barw w toalecie Sawyer. Widzę, że wykorzystyłaś swój ulubiony migotliwy róż!

– To jeden z moich znaków rozpoznawczych. Obie wyglądacie prześlicznie. Nawet zawodowe modelki nie umiałyby lepiej zaprezentować moich kreacji.

Tłum coraz bardziej gęstniał, aż w końcu prawie nie można się będzie przez niego przecisnąć w żadnym kierunku. Sawyer wyciągnęła szyję i zerknęła w stronę stołów zastawionych do bankietu. Poczula głód. Wielka sala balowa miała wymiary boiska piłki nożnej, a dzięki staraniom Cary’ego przeistoczyła się na ten wieczór w krainę z bajki.

Pięciogwiazdkowi mistrzowie kuchni, strojni w śnieżnobiałe fartuchy i wykrochmalone, równie białe czapy, stali obok swych kulinarnych arcydzieł. Stoły miały czterdzieści stóp długości; przykryto je przetykanymi srebrem obrusami i przyozdobiono girlandami z czerwonej atłasowej wstążki, od jednego końca stołu po drugi. Wysokie na trzy stopy rzeźby lodowe, będące miniaturami Wieżowca Assante, wznosiły się pośrodku każdego stołu. Zwisające ze stropów kryształowe żyrandole oświetlały od góry przezroczyste modele, kąpiąc je w czerwonym i srebrzystym blasku, i odbijały się migotliwie w srebrnych półmiskach, na których spoczywały homary, krewetki, polędwica i dziczyzna, pieczone kaczki, bażanty oraz grzyby sprowadzone specjalnie z Japonii. Na innych półmiskach, z najszlachetniejszego kryształu, ułożono różnobarwne jarzyny, przybrane drobnymi gałązkami ostrokrzewu i pierzastym asparagusem. Sery, dostarczone drogą lotniczą z Wisconsin, znajdowały się na specjalnych podstawkach – kręgach z masywnego srebra, obok talerzyków z kawiozem z białugi. Z przebiegających przez wnętrza lodowych rzeźb rurek tryskał szampan Dom Perignon.

– Rocznik 59 – poinformował szeptem jeden z szefów kuchni, napełniając kieliszek gubernatora.

Kelnerki w krótkich szkarłatnych kloszowych spódniczkach, ozdobionych białym futerkiem (dziwnie podobnych do strojów Klakierów Kowbojów z Dallas), krążyły wśród tłumu gości, roznosząc na srebrnych tacach kryształowe kielichy szampana. Za nimi sunęli bezszelestnie kelnerzy w obcisłych czerwonych spodniach i srebrzystych kamizelkach; z powodzeniem można było ich wziąć za

dublerów sławnego zespołu Chippendales. Balansowali, trzymając wysoko w górze tace, pełne kawioru i krewetek.

Zanim Sawyer zaproponowała Cole'owi, by udał się z nią na taneczny parkiet, oczy jej raz jeszcze obieły całą salę, żeby utrwalić na zawsze w pamięci ten niezrównany obraz, najwspanialszy, jaki kiedykolwiek widziała. Zamrugła oczyma i potrząsnęła głową z podziwem, gdy spojrzenie jej powędrowało ku wszystkim czterem ścianom, udekorowanym rzędami puensecji. Uśmiechnęła się na widok obrotowej scenki dla orkiestry, zasypanej tymi jaskrawoczerwonymi kwiatami, zwanymi gwiazdami betlejemskimi; każdemu kojarzyły się one z Bożym Narodzeniem.

– Mam nadzieję – mruknęła do brata – że pewnego pięknego dnia ktoś mi zdradzi sekret, ile to wszystko kosztowało i ile na tym zarobił urząd skarbowy! No, chodź, wiatronogi, pokażmy im, jak się tańczy!

Cole posłał siostrze wymuszony uśmiech i głęboko zaciągnął się papierosem. Bardzo rzadko palił, właściwie tylko wtedy, gdy był zdenerwowany lub wściekły. Chyba tym razem zawiodły go nerwy, bo gniewu nie czuł. Też znalazł sobie miejsce na badanie tajników swojej duszy!

Obiegł spojrzeniem cały stół i siedzącą przy nim rodzinę. Dałby się posiekać w kawałki za każdego z jej członków. Należał do ich grona, był jednym z nich, przynajmniej do tej pory. Zastanowił się, po raz nie wiadomo który, co by się stało, gdyby po prostu zabrał się i wyniósł? Na samą myśl o tym serce zaczęło mu walić. Kiedyś... jeśli w ogóle zdecyduje się odejść, jedyną osobą, która go w pełni zrozumie, będzie Riley. Może jeszcze babcia Billie. Zawsze powtarzała: nie wiąż się na wieki z firmą Colemanów, zorganizuj sobie własne życie, poza obrębem rodziny! Jak, do ciężkiej i jasnej cholery, zdoła tego kiedykolwiek dokonać?!

– No więc? – odezwała się Sawyer wyciągając do niego rękę.

Miał zamiar kiedyś usiąść przy Sawyer i zwierzyć się jej. Była taka nowoczesna, prawdziwa kobieta lat osiemdziesiątych – jak lubiła wszystkim powtarzać. Nieraz w ciągu ostatnich kilku lat, gdy sprawy nie układały się dla któregoś z nich pomyślnie, szczerze omawiali dręczące ich problemy.

Ale Sawyer też miała hopla na punkcie rodziny. Świat zaczynał się i kończył dla niej na Colemanach. Potrafiła być niesłychanie twarda i zdumiewająco bezbronna. Serce podskoczyło Cole'owi do gardła, gdy

przypomniawszy sobie, jak cała rodzina czekała w szpitalu na wieść o wyniku jej operacji. Sawyer o mały włos nie umarła wtedy z powodu guza mózgu.

Trzeba mieć silny charakter i odwagę, gdy się jest Colemanem; Cole czuł, że mu jednej i drugiej cechy brakuje. Bogu dzięki, że nazywał się Tanner! Może w końcu to właśnie ułatwi mu zerwanie rodzinnych pęt?

Cole dopił drinka, bardzo rozwodnionego. Chętnie strzeliłby jeszcze jednego.

– No chodź, braciszku, zatańczmy boogie! – zakomenderowała Sawyer, wstała i objęła go ramionami.

– Uparłaś się koniecznie deptać mi po nogach?! Wszyscy wiedzą, że masz obie lewe! Zupełnie nie mogę pojąć, jak udało się takiej niezgrabie objąć zarząd Coleman Aviation! – burczał dobrodusznie Cole.

– Kieruję Coleman Aviation, bo jestem, do cholery, najlepszym specem od inżynierii lotniczej, jakiego udało się firmie upolować! Stopień magistra i doktorat z aerodynamiki to nie byle co, mój braciszku! Musisz także przyznać, że mam nos do interesów równie dobry, jak nasz dziadek i pradziadek. A poza tym – dodała wyniośle – nie zapomnij, że to ja i tylko ja zdobyłam patent na samolot dziadka Mossa i utrzymałam prawa autorskie w stanie nienaruszonym na twój użytek, gówniarzu! Starczy ci wyjaśnień?

– Chyba tak. Mogę cię o coś zapytać, Sawyer? Odpowiesz mi szczerze? Sawyer ponownie usiadła. Taniec może poczekać. Chodziło o coś ważnego, wyraźnie to czuła. Uświadomiła sobie, jak bardzo Cole jest spięty, gdy tylko przy nim usiadła.

– Jasne! – odparła od niechcenia.

– Czy pomyślałaś kiedyś o tym, żeby rzucić to wszystko? Wynieść się gdzieś, zająć czymś innym... być niezależną od rodziny?

Więc o to mu chodziło! Ten stary upiór: poszukiwanie własnego prawdziwego „ja” odżywał od czasu do czasu.

– Niejeden raz! Ale wiesz, jaki ze mnie tchórz. Tutaj jestem pewna, na czym stoję, a gdybym odeszła, kto wie, co by mnie spotkało? Nieznane przeraża mnie.

– Nie truj!

– Mówię serio – odpowiedziała łagodnie Sawyer. – Nawet wtedy, gdy wiedziałam, że umrę, jeśli nie poddam się operacji mózgu, nie

mogłam się na nią zdecydować. Byłam taka przerażona... Nie wiedziałam, jak... Gdyby nie ty, Adam i Riley, no i w ogóle cała rodzina, nigdy bym... Rozumiesz chyba, co ci usiłuję powiedzieć?

– Tłumaczysz mi, że będziesz kierowała Coleman Aviation, dopóki nie padniesz trupem, bo należysz do Colemanów i oni tego od ciebie oczekują. Jesteś ich niewolnicą czy co?!

Sawyer prychnęła pogardliwie.

– Kiedy tak sprawę stawiasz, rzeczywiście nie najlepiej to wygląda. Wiesz co? Gdyby pewien szlachetny rycerz nazwiskiem Adam Jarvis zjawił się na moim progu i zaproponował mi zamieszkanie wraz z nim w przysłowiowej chatce, rzuciłabym się mu na szyję z takim impetem, że pewnie oboje wylądowalibyśmy na ziemi! Ale dopóki się to nie zdarzy, jestem związana z rodziną i naszą firmą. Mogłabym ją opuścić, ale tylko wówczas, gdyby zależało od tego całe moje szczęście lub moje życie. Pomogłam ci? – spytała niespokojnie.

– Pewnie! Zawsze mi pomagasz. – Cole uśmiechnął się szeroko.

Sawyer nie zadała mu żadnego podchwytliwego pytania. To nie było w jej stylu.

– Wstawaj, kobieto! Pokażmy tym ludziom, jak dwie latorośle Colemanów potrafią tańczyć! – zażartował.

– Całkowicie popieram, braciszku! – roześmiała się Sawyer. Oparła dłoń na ramieniu Cole'a, który torował jej drogę na zatłoczony parkiet.

Kiedy rodzeństwo wracało po skończonym tańcu, Cole natknął się na Ivy Buckalew i zaciągnął ją z powrotem w tłum tancerzy, gdy tylko orkiestra zaczęła grać „Cień twojego uśmiechu”.

– Dobrze się bawisz? – spytał Cole. No no, Ivy całkiem nieźle się prezentowała! Pachniała tak słodko i czysto. Przyciągnął ją bliżej do siebie, ale dopiero po tym, gdy odpowiedziała na jego pytanie.

– Nie. Chciałabym wrócić do domu.

– To mamy wspólne marzenia. Szkoda, że musimy spełniać nasze przykre obowiązki.

– Może ty masz tu jakieś obowiązki, ale ja żadnych. To nie mój... Ja tu nie należę... sam wiesz...

– Tak, wiem – powiedział Cole miękko. Łagodnie odsunął ją od siebie i spojrzał jej w oczy. Zdumiał się, jaka Ivy jest śliczna. Boże,

już całkiem dorosła, a on tego nie zauważył! – Ivy, czasem nie wystarczy, że się czegoś pragnie. Trzeba wystąpić, przebić się do przodu, postawić wszystko na jedną kartę, żeby zdobyć to, czego się chce.

– Jeśli mówisz o tym, o czym ja w tej chwili myślę, dobrze wiesz, że nie mam żadnych szans przy... – Ivy ruchem głowy wskazała swoją siostrę.

– Spójrz mi w oczy, Ivy. Czy zawsze tak nisko się cenisz?

– Raczej tak – wyznała żałośnie Ivy, – Wierzaj mi, nie ma potrzeby! Jesteś naprawdę kimś, pisklaku. Tylko nie chowaj się po kątach, weź się w garść, a zanim się obejrzysz, ten twój rycerz bez skazy ocknie się i zwróci na ciebie uwagę! Czas pracuje dla ciebie, Ivy! Twój idol – Cole ruchem głowy wskazał Rileya – ciągle uważa cię tylko za dobrego kumpla. Od tak dawna się ze sobą przyjaźnicie, że musi trochę potrwać, zanim dostrzeże, jakie w tobie zaszły zmiany.

– Roześmiał się i mówił dalej: – pamiętam, że zawsze najszybciej wdrapywałaś się na drzewa, najsprawniej nabijałaś robaki na haczyk, grałaś w piłkę fantastycznie jak na dziewczynę, że już nie wspomnę o tym Jak płynąc żabką zostawiłaś Rileya daleko w tyle na zawodach. Jeśli dobrze pamiętam, miałaś backhand odrobinę lepszy od niego i. Bóg raczy wiedzieć, ile razy wbijałaś jednym rzutem piłkę do dołka! W dodatku, ilekroć go pokonałaś, dawałaś mu takiego kłapa w plecy, że niemal walił się z nóg! Przyznaję bez bicia, że nic a nic nie znam się na kobietach, ale o chłopakach wiem to i owo. Nigdy nie dałaś mu ze sobą wygrać, Ivy. Jeśli mam być szczery, uważam, że ty go onieśmielałaś!

– Ale... przecież robiłam to wyłącznie po to... żeby mnie dostrzegł... Boże kochany!... Wiesz, pisze do mnie takie fantastyczne listy, całkiem jak do prawdziwego kumpla... Nigdy mi nie dał do zrozumienia... że zaboląca go przegrana... – powiedziała żałośnie Ivy.

– Zaboląca, zaboląca, możesz być pewna – wycedził Cole. – Tyle że prędzej by sobie język odciął, niż przyznał się, że boli go to, że jesteś od niego lepsza. Ivy odsunęła się odrobinę od Cole'a.

– Nie potrafię być laleczką ani bezradnym kociątkiem! Jestem, jaka jestem! No i co z tego, że czasem bywam od niego lepsza? – Roześmiała się szczerze. – Boże, jak ja się brzydziłam tych oślizgłych robali! Wiesz co, nigdy go już nie walnę w plecy. Tylko tyle mogę ci obiecać, choć i tak nie ma to żadnego znaczenia: jest taki zapatrzony

w Lacey, że w ogóle nie wie, że ja żyję.

– Wierzej mi, Ivy, przysięgam ci, że doskonale o tym wie! Słowo honoru! – powiedział uspokajająco Cole, przecinając z nią na ukos parkiet.

Gdy taniec się skończył, Ivy wymknęła mu się. Cole patrzył za nią, póki nie znikła w tłumie. Gdy się odwrócił, ujrzał przed sobą Lacey. Skinął jej tylko głową i pospieszył w stronę stołu zajmowanego przez jego rodzinę.

Lacey Buckalew należała już do przeszłości.

– Zawsze się przechwalałaś, że taka świetna z ciebie tanecznica – poskarżył się Cole siadając z powrotem przy Sawyer – a tym razem nic tylko deptałaś mi po palcach!

– Jeśli ktoś komuś deptał, to na pewno nie ja! Tańczę naprawdę pierwsza klasa. Spytaj Rileya. Lacey zapędziła go właśnie do kąta i nie może się stamtąd ani rusz wydostać. A nawiasem mówiąc – dodała – zauważyłam, jak Lacey spojrzała na ciebie: jakby chciała cię za włosy wciągnąć na parkiet. To nie mój interes, ale nie sądzę, żeby Riley...

– Nie zauważyłaś, żebym z nią tańczył, prawda?

– Ale się zrobiłaś drażliwy! – przekomarzała się Sawyer. Kiedy jednak rzuciła okiem na brata, od razu się wycofała. – Przepraszam cię, Cole. Idzie mi tylko o to, że Riley jest taki... taki wrażliwy. Lacey była twoją dziewczyną przez dobre kilka lat. Myślałam... wszyscy myśleli, że zostanieie ze sobą na dobre. Niepotrzebnie się wychyliłam! Zapomnij, że w Ogóle coś mówiłam.

– To Lacey chciała, żebyśmy się pobrali, nie ja – burknął Cole. Czuł niemal ulgę rozmawiając na ten temat, nawet jeśli stawiał w ten sposób siostrę w trudnej sytuacji, co mu się zresztą już zdarzało!

Sawyer sączyła wino.

– Jeśli wypiję więcej tego świństwa, całkiem mi zaszumi – powiedziała od niechcienia. – Kto prowadzi wóz?

– Ja. Bądź pewna, że dowiozę cię do domu w jednym kawałku. I nie po raz pierwszy przyjdzie mi cię trzeźwić.

– Nieładnie, mały, że mi to wypominasz. W tych okolicznościach... – głos jej się urwał.

– Myślę, że Lacey chce się wydać za Rileya. Przypuszczam, że to ona namówiła go do przejęcia leasingów naftowych jej taty.

Twarz Sawyer zakrzepła w twardą maskę.

– Jeżeli Riley zrobił to głupstwo, niech się sam tym martwi. Jest już całkiem dorosły i ponosi odpowiedzialność za swoje czyny. Nie jest taki cwany jak ty, ale musi się nauczyć unikania takich zasadzek. Jeżeli tak to istotnie wyglądało.

– Czy nie jesteś dla niego zbyt surowa?

– O, startujemy w obronie kuzynka? Podoba mi się to, Cole. Wiesz, nie przypuszczałam, żeby Rileyowi wystarczyły resztki po tobie. Pewnie, że mu zaimponowało, kiedy Lacey skierowała na niego cały ogień, ale żeby się aż zaręczać?... Tego już chyba za wiele!

– Nie twój interes – stwierdził stanowczo Cole.

– Ale może twój, jeśli dziś wieczorem Lacey pobiegła prosto do ciebie? Nie śledziłam was, ale trudno było tego nie zauważyć!

– Wobec tego musiałś też dostrzec moją reakcję. Dla mnie ta sprawa jest skończona. Nigdy bym nie skrzywdził Rileya. Ufamy sobie wzajemnie.

– W takim razie ktoś powinien ostrzec Lacey, zanim Riley się wycofa ze swych małżeńskich planów.

– Już to zrobiłem.

– Więc zmienmy temat. Zauważyłeś minę Thada, gdy ten saudyjski szejek poprosił babcię do tańca?

Cole gwizdnął.

– A jakże, ale dobił mnie dopiero wyraz twarzy babci. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, gdzie oczy podziać! Że też jej przyszło tańczyć z facetem w sukience!

– W żadnej sukience! Długiej szacie. Ten szejek odbył poważną rozmowę z panem Hsegawą. Thad wyjaśnił, że złożył zamówienie na trzydzieści milionów mikroprocesorów. Ot tak, od ręki. Tkwimy w niewłaściwym interesie, braciszku!

Cole chciał jej powiedzieć, że ma słuszość, ale ugryzł się w język. Żałował, że nie ma takiej nonszalanckiej postawy wobec życia jak Sawyer.

– Skoczę teraz przypudrować sobie nos, jeśli uda mi się trafić do toalety. Pilnuj mojego miejsca! – oświadczyła Sawyer.

– Nie wpadnij do dziury – zakpił Cole.

– Nie jestem zalana, ani trochę! Po prostu mi wesoło. Jak przyjdzie ci kiedyś ochota na zwierzenia, chętnie ich wysłucham. Już od dawna zauważałam, że coś cię gryzie i że nie chodzi o Lacey.

Twarz Cole'a przybrała poważny wyraz.

– Będę o tym pamiętał. A teraz leć, zanim zrobisz w majtki.

– Skąd wiesz?!-Sawyer pisnęła.

– Bo przestępujesz z nogi na nogę. Jeśli boisz się, że nie trafisz do „Dla pań”, mogę ci wskazać drogę.

Cole roześmiał się, gdy Sawyer chwiejnym krokiem podążyła we właściwym kierunku. Kiedy wróciła, miała poprawioną fryzurę, świeżą szminkę na ustach i poważny wyraz twarzy. Wyglądała w każdym calu na doskonałego specjalistę w dziedzinie inżynierii lotniczej, którym rzeczywiście była. Jego siostra, którą bardzo kochał.

Tess Buckalew przebiła się przez zatłoczoną salę, torując sobie drogę kościstymi łokciami. Musiała koniecznie odszukać Lacey! Właśnie usłyszała, jak jeden z fotoreporterów powiedział, że chce zrobić zdjęcie rodziny Colemanów. Lacey wkrótce już zostanie członkiem tej rodziny, a jeżeli jej córka, to i Tess także! Oczyma duszy już widziała wielkie zdjęcie na pierwszej stronie „Crystal City Times”, a na nim siebie, stojącą albo siedzącą w najbliższym sąsiedztwie Colemanów. Kiedy, powiedziała Cootsowi, że ma podejść razem z nią do stołu zajmowanego przez Colemanów, zawiruszył się w tłumie. Może to i lepiej. Dosłownie walił się z nóg i był zlany potem. Coots zawsze tak wyglądał po kilku głębszych.

– Dobrze, że cię znalazłam, Lacey moje złotko! – Tess podeszła do córki stojącej z Rileyem o parę kroków od niej. Mieli w rękach kieliszki szampana. – Fotoreporterzy poprosili, żebym was odszukała. Chcą zrobić kilka rodzinnych zdjęć – oznajmiła. Riley jęknął, a Tess odebrała im kieliszki i odstawiła na najbliższy stół.

– Chodźmy, Rileyu. Mama chce się sfotografować. Nie ucieszysz się, kiedy jutro zobaczysz swoje zdjęcie na pierwszej stronie?

– Niespecjalnie. Musiałem im już dzisiaj pozować setki razy.

– Aż tyle? – zawołał skonsternowana Tess. Wobec tego będą mieli duży wybór zdjęć na pierwszą stronę! Poczuli się zawiedziona, ale zaraz się pocieszyła. Jasne, że wybiorą ostatnie zdjęcie wykonane tego wieczora!

– Stańcie za mną, a ja utworzę drogę – burknął niechętnie Riley.

– Mamo, gdzie jest Ivy? Nie widziałam jej przez cały wieczór.

– Wróciła do domu – odparła zwięźle Tess. Riley zatrzymał się i odwrócił ku nim.

– Dlaczego? Dlaczego Ivy wróciła do domu?!



- Na litość boską, nie mam pojęcia, Rileyu! – zaskrzeczała Tess.
- Pewnie dlatego, że nikt na nianie zwracał uwagi. Znasz Ivy, zawsze wynajdzie sobie tysiąc powodów, jeśli się przy czymś uprze.
- Jak wróciła do domu? – dopytywała się Lacey. Riley stał jakby przyrósł do podłogi.
- Obiecałem, że z nią zatańczę.
- Ależ, Rileyu, zatańczysz z nią na waszym weselu z Lacey! No, rusz się! Widzę stąd fotoreporterów: bardzo się niecierpliwia.
- Nie myślisz chyba, Lacey, że Ivy wróciła na piechotę?
- To całkiem do niej podobne! Albo ktoś ją podrzucił. Ivy świetnie sama daje sobie radę. Nie troszcz się o nią.
- Ktoś powinien się o nią zatroszczyć. Na dworze jest siarczysty mróz – zauważył sucho Riley.

Kiedy tylko podeszli do stołu, Riley spytał Thada:

- Widziałeś gdzieś Ivy?
- Od dłuższej chwili nie. Dlaczego pytasz? Czy coś się stało?
- Mam nadzieję, żenię.
- Widziałem jak rozmawiała z twoim dziadkiem odezwał się nie pytany Cole. – Zdaje się, że poprosił jednego z Saudyjczyków, żeby ją odwiózł do domu. Spytaj go o to, ale najpierw ładnie się uśmiechnij! Stanowimy dziś żer dla prasy.

Riley zastygł ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Kątem oka dostrzegł, że Tess wpycha Lacey na miejsce tuż obok Sawyer. Rozzłościło go to, ale znacznie bardziej rozwścieczył go wyraz twarzy Lacey wpatrzonej w Cole'a.

Gdy tylko fotoreporterzy się oddalili, Riley odszukał swojego dziadka.

- Czy to ty zadbałeś, żeby ktoś odwiózł Ivy do domu, dziadku? Starszy pan skinął głową.
- Zaproponowałem, że sam ją odwiozę, ale mi odmówiła. To niezwykła dziewczyna. Mówi to, co myśli. Bardzo rzeczowa. Szkoda, że nie ma nikogo, kto by ją należycie ocenił.
- Rzeczywiście, wali prawdę bez ogródek – przyznał Riley. – A co takiego powiedziała?
- Powiedziała... – Stary Pan złożył wargi w okrągłe „O”. – Powiedziała, że cała ta impreza to bujda z chrzanem. – Riley wybuchnął śmiechem. – Dostrzegłem także, że zraniłeś jej uczucia obiecując, że z nią zatańczysz, a potem...

A więc na domiar wszystkiego dziadek oskarża go o brak wychowania!

– Wynagrodzę jej to. Przyjaźnimy się z Ivy od bardzo dawna.

– Nie, mój chłopcze, nie uda ci się tego jej wynagrodzić. Zniewaga, którą jej wyrządziłeś, była zbyt bolesna dla panny Ivy.

– Jednak spróbuję. – Riley poczuł, że coś go ściska w gardle. – Powiedz mi, dziadku, jak ci się podoba Lacey? Czy nie jest śliczna?

Stary Pan milczał tak długo, że Riley podejrzewał, iż zapadł w drzemkę.

– Ja osobiście – odezwał się w końcu spokojnie – wolę brzydkie kaczątko. Riley skrzywił się. Poczul przeszywający go gniew.

– Prawie nie znasz Lacey, dziadku.

– Chciałem to samo powiedzieć o tobie, mój wnuku. To, co ładne na zewnątrz, nie zawsze bywa równie piękne w środku. Nie trzeba żyć bardzo długo, żeby poznać tę prostą prawdę. – Starszy pan podniósł się z trudem. – Thad stara się ściągnąć moją uwagę – powiedział. – Mam wracać razem z nimi.

– Wobec tego zobaczymy się później, dziadku. Obiecałem odwiedzić Lacey do domu.

– Pożegnaj ją w moim imieniu – powiedział łagodnie stary Japończyk. Riley patrzył za dziadkiem, obchodzącym naokoło stół. Nie spodobała mu się Lacey. Chyba z góry wiedział, że tak będzie. Nikomu z rodziny nie przypadła do gustu. Boże, w co on się wpakował?

Cary i Amelia przechadzali się po wyludnionej już sali balowej.

– No i co myślisz o tej zabawie, dziecinko? Drugiej takiej już nie będzie.

– Podsumowałeś sprawę. Marzę tylko o tym, by udać się na górę i zdjąć nareszcie pantofle!

– Wszystko we właściwym czasie. Nie wiem jak ty, ale ja jestem zdania, że przybycie tych saudyjskich szejków stanowiło punkt kulminacyjny wieczoru. Kiedy zjawili się z całą świtą, nikt nie był w stanie oderwać od nich wzroku. A gdy Billie zatańczyła z jednym z nich, dosłownie nie wierzyłem własnym oczom! Jestem pewien, że ich zdjęcie ukaże się na pierwszych stronach gazet! Poczekaj, a sama się przekonasz!

Amelia ziewnęła.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Jestem szczęśliwa, że to nie my musimy uprzątnąć ten bałagan! – Zerknęła na zegarek. – Dwie minuty po północy. Otwarcie Mirandy przeszło już do historii. Nie patrz tak smutno, kochanie! Zrealizujesz jeszcze niejedyn projekt. Teraz należy ci się odpoczynek.

Gary pochwył! żonę w ramiona.

– A ciebie, kochanie, czeka teraz darmowa jazda, a potem przeniosę cię przez próg. Trzymaj się mocno!

Amelia pisnęła z zachwytem. Cóż za cudowne zakończenia wspaniałego wieczoru!

## Rozdział trzeci

Przytłaczająco wielka limuzyna zatrzymała się na długim podjeździe przed Buckale w Big Wells. Ivy nie czekała, aż szofer w turbanie wysiądzie i otworzy przed nią drzwiczki. Wygramoliła się z samochodu i mruknęła pospiesznie:

– Dziękuję.

Kierowca zmarszczył brwi. Dama powinna była poczekać! Ci Amerykanie są tacy niecierpliwi! Ukłonił się głęboko i odprowadził ją do drzwi frontowych. Ivy zachichotała, ale nagle spoważniała widząc na twarzy eskortującego ją mężczyzny przerażenie na widok znajdującego się na dachu domu renifera. Zrobiło jej się wstyd.

– To... to taka reklama. Dziękuję, nie musi pan mnie dalej odprowadzać. Sama już sobie świetnie dam radę. Czy mogę spytać... to znaczy, nie obrazi się pan?... Proszę mi zdradzić, co też, u diabła, nosicie pod tymi białymi prześcieradłami?!

Kierowca uśmiechnął się szeroko, jego zęby były równie białe jak turban.

– Jak najmniej.

– Aha, właśnie tak sobie myślałam. Bardzo dziękuję za odwiezienie mnie do domu. Naprawdę jestem bardzo wdzięczna. Wiem, że chce pan jak najszybciej wrócić na przyjęcie i w ogóle...

– Tak, wrócę. Będę siedział w samochodzie i czekał, aż się skończy. Miała pani słuszność, wymykając się tak wcześnie. Zabawa wydała mi się... trochę zanadto ożywiona.

– Właśnie. Jeszcze raz dziękuję.

Ivy uśmiechnęła się pod osłoną mroku, zauważywszy, jak kierowca ogląda się przez ramię na krzykliwą dekorację świąteczną na dachu. Gdy dostrzegła, że potrząsa głową w najwyższym zdumieniu, wybuchnęła głośnym śmiechem.

Zamknęła drzwi sypialni i ściągnęła brzydką brązową suknię. Kupiła ją kilka lat temu umyślnie po to, by zirytować matkę. Jej pomysł obrócił się jednak przeciwko niej samej, kiedy Tess stwierdziła:

– W sam raz dla ciebie.

Cieplutko opatulona w elegancki peniuar w kolorze lila, ozdobiony z przodu atlasową lamówką, który Lacey podarowała jej w zeszłym

roku na Gwiazdkę, Ivy usadowiła się w fotelu przy oknie sypialni. Wpatrywała się w czarną, mroźną noc, czekając na powrót Riley'a i Lacey. Była taka pewna, że Riley poprosi ją do tańca! Wyćwiczyła wszystkie najnowsze kroki, żeby nie okazać się niezgrabną lub niepewną tanecznicą, gdy znajdzie się w jego ramionach. Ale nie tylko z nią nie zatańczył, lecz nawet do niej nie podszedł przez cały wieczór. Trzykrotnie usiłowała przedrzeć się w stronę stołu bankietowego, a następnie baru, gdy ujrzała Riley'a zmierzającego w tym kierunku. Za każdym razem nie była w stanie sforsować tłumu. Najwspanialszym dla niej momentem całej imprezy był taniec z Cole'em i ich poważna rozmowa, a także spotkanie z dziadkiem Riley'a. Od pierwszego wejrzenia zakochała się w starym Japończyku.

Niech diabli porwą Riley'a Colemana!

Wieczór nie okazał się jednak totalną klapą. Shadaharu Hasegawa zdecydowanie ją polubił. Udało jej się go rozweselić i skłonić do rozmowy. Gdy zatroszczył się już o jej bezpieczny powrót do domu, pogładził Ivy po głowie, a potem ujął jej dłoń w obie swe kruche ręce.

– Jest coś, co nas łączy, moje dziecko: mój wnuk.

Ivy zaczerwieniła się jak burak, a Stary Pan udął, że tego nie dostrzega. Ivy nie znosiła konwencjonalnych, sztywnych pożegnań, więc zarzuciła mu ręce na 'szyję i ucałowała go mocno w policzek. Aż się rozpromienił z radości; kątem oka Ivy zauważyła, że Lacey rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Bardzo dziękuję – powiedziała Ivy. – Sprawił pan, że ten koszmary wieczór był całkiem do zniesienia! Nasza rozmowa sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Dzięki panu bezpiecznie wrócę do domu. Jeśli kiedykolwiek znajdę się w Japonii, z pewnością pana odwiedzę! – powiedziała szczególnie wesoło, żeby ukryć swój niepokój: dostrzegła, jak bardzo jest chory.

I tak się dla Ivy zakończył ów wieczór.

Zdrzemnęła się, ale zbudził ją warkot silnika bronco i blask reflektorów, który rozświetlił jej pokój. Wyjrzała przez okno, ale nie dostrzegła nic poza oślepiającymi światłami wozu Riley'a. Marzyła o tym, żeby Riley wyskoczył z bronco i, nie zważając na Lacey, rzucił garść żwiru w okno jej sypialni. Scena całkiem w stylu Romea i Julii.

Ivy uklękła, jak zawsze przed snem. Zmówiła pacierz, a potem dodała prośbę, którą powtarzała każdego wieczoru:

– Dobry Boże, spraw, żebym nie czuła nienawiści do mamy i Lacey

i jeśli to możliwe, daj, żeby i one przestały mnie nienawidzić. Tak bardzo się staram, mój Boże, być dla nich miła, ale zawsze w końcu dostaję po gębie. Nie potrafię dłużej nadstawiać drugiego policzka! Wiem, że masz w tym jakiś swój cel, gdy każesz mi tak cierpieć. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym wiedziała, czemu tak musi być! Błogosław im wszystkim. A gdybyś zechciał dać mi jednak Rileyę, byłabym Ci tak strasznie wdzięczna! Czasami człowiek jest czegoś zupełnie pewien, dobry Boże; wiem na pewno, że stworzyłeś mnie dla Rileyę Colemana. On o tym nie ma pojęcia, ale jeżeli Tymi choć troszkę pomożesz, to zdołam, go o tym przekonać! Proszę Cię, daj Lacey szczęście, byle nie kosztem Rileyę. Dopomóż mi, Boże, jeśli to tylko możliwe!

Lacey Buckalew czuła się urażona, choć starała się tego nie okazywać. Ford bronco nie był właściwym pojazdem dla damy odzianej w norki od Fischera. Ale nie tylko to ją wkurzało. Riley był nieobecny duchem: może miał jej za złe rozmowę z Cole'em? Matka przez cały wieczór nakłaniała ją do afiszowania się zażyłością z Rileyem. Jej ojciec dwukrotnie pozwolił sobie na złośliwe drwiny. A potem ta historia z Ivy! Można było przewidzieć, że jej siostra wszystko popsuje! Zdumiewające, że Riley tak skoczył w jej obronie... chociaż właściwie zawsze miał słabość do Ivy.

Chodziła z Rileyem od siedmiu miesięcy. Jej rodzice spodziewali się, że na Gwiazdkę zostaną ogłoszone zaręczyny. Ona sama naciskała Rileyę, starała się przyprzeć go do muru, czując instynktownie, że honor każe mu zaproponować jej małżeństwo. Nie dlatego, żeby się z nią przedtem przespał. Znowu ten honor stawał mu na przeszkodzie! Było to coś, z czego zdawała sobie sprawę, ale nie potrafiła pojąć. Wątpiła, czy sam Riley to rozumie. Gdy go spytała, czy zostanie od niego pierścioneł zaręczynowy, zamrugał tylko oczami i spytał:

– Czy tego właśnie sobie życzysz?

Skinęła głową, choć w gruncie rzeczy wcale tego nie pragnęła. Marzyła o pierścionku zaręczynowym od Cole'a. Kilka godzin temu Cole powiedział jej, żeby się od niego odczepiła i nie próbowała swoich sztuczek z dwoma na raz. Wysyczał to przez zaciśnięte zęby. Zastanawiała się teraz, czy ktoś ze zgromadzonych gości dostrzegł jej rumieniec wstydu. A gdy próbowała zebrać resztki swej godności, Cole zadał jej ostatni cios:

– Zrobiłabyś wszystko, byle wejść do naszej rodziny, co?

Jakimś cudem udało się jej uśmiechnąć, gdyż matka się na nich gapiała, a jej mina wyraźnie mówiła: „W interesie Buckalewów masz się trzymać Riley’a, a nie Cole’a!”

Ale Lacey nie kochała Riley’a. Kochała Cole’a i pewnie zawsze będzie go kochać. Jaka była naiwna, jaka głupia, gdy przypuszczała, że uda się jej skłonić go do małżeństwa! Byli ze sobą długo związani, ale Cole zerwał, gdy przekonał się, że Lacey stara się zmusić go podstępem do małżeństwa, którego – jak dobrze wiedziała – wcale nie miał w planie. Próbowwała płakać, wiedząc, że jej łzy zawsze rozbierały Cole’a, ale tym razem nic to nie dało; zaczęła więc wrzeszczeć jak przekupka, przeklinając i grożąc mu. Jeszcze do dziś pamiętała wyraz niesmaku na twarzy Cole’a. Zwróciła się wówczas do Riley’a po pociechę, a on zapewniał ją, że Cole jest skończonym głupcem. To właśnie Lacey pragnęła usłyszeć. Riley mówił jej, jaka jest śliczna i elegancka, i po każdym komplemente powtarzał, że Cole z pewnością wróci do niej, pożałuje swej pomyłki. Tak się jednak nie stało. I nie wiadomo jak doszło do tego, że zaczęła się umawiać z Rileyem; początkowo były to nie obowiązujące, przyjacielskie spotkania – obiad w restauracji, koncert, kino albo po prostu spacer po ranczu.

Riley był wspaniałym facetem. Żałowała, że nie jest w stanie go pokochać tak jak Cole’a, choć bardzo go polubiła. Riley też nie spieszył się z oświadczeniami. Czy gardził porzuconą kochanką kuzyna? A może bał się tego, co powie rodzina? Wyglądało jednak na to, że zdecyduje się wreszcie na zaręczyny, a od tego już tylko krok do małżeństwa. Warto poczekać, Riley był bardzo przystojny i wysoki: całe sześć stóp i trzy cale. Lekko skośne oczy i złotawa cera dodawały mu zmysłowego, tajemniczego uroku. Był delikatny i wrażliwy, ale wiedziała, że potrafił w interesach okazać się niezłomny i twardy. Jej ojciec mógł coś na ten temat powiedzieć.

Nagle Lacey zorientowała się, że Riley jedzie w stronę jej domu, a nie do Sunbridge. Rozzłościło ją to. Chciała powiedzieć mu coś przykrego, ale ugryzła się w język. Gdyby pojechała z nim do Sunbridge, znowu spotkałaby się z Cole’em. Zdażyła już zapomnieć o swoim upokorzeniu. Marzyła o tym, by go ujrzeć, choćby z daleka. A Riley odmawiał jej tej przyjemności!

- Grosik za twoje myśli, Rileyu! – powiedziała od niechcienia.
- Czyżbyś mnie tak nisko ceniła?

Zorientowała się po tonie głosu, że go uraziła. Cole nie przejąłby się takim głupstwem.

– Chcę po prostu wszystko z tobą dzielić, nawet myśli. Jeżeli coś cię niepokoi, pomówmy o tym. – Miała nadzieję, że jej głos nie zdradza wyrzutów sumienia, gdy spytała Rileyę: – Czyżbym zrobiła coś, co ci się nie podoba? – Nie miała zamiaru wymieniać imienia Cole’a. Niech Riley pierwszy o nim wspomni!

Czy rzeczywiście Lacey była winna? Riley nie wiedział, co o tym sądzić. Poczul gniew, kiedy ujrzał ją rozmawiającą z Cole’em, ale gdy odwróciła się i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem, uspokoił się, że wszystko jest w porządku. Przecież, ostatecznie, podczas przyjęcia każdy rozmawia z każdym. Czemużby więc nie Lacey z Cole’em? Ich związek rozpadł się dawno temu, a obojgu wypadało zachowywać się uprzejmie. Wywin się jakoś z tego! – mówił sobie Riley. – Nie odpowiadaj jej wprost. Lepiej sam zadaj pytanie, jakby od niechcienia.

– Co myślisz o moim dziadku? Widziałem, jak ze sobą rozmawialiście. Lacey przystała na zmianę tematu i szukała odpowiednich, słów. Właściwy ton głosu i słowa miały wielkie znaczenie dla Rileyę.

– Myślę, że to wielkie szczęście mieć takiego kochanego, mądrego dziadka – powiedziała w końcu.

Nie musiała spowiadać się Rileyowi z tego, że podczas trwającej może dziesięć minut rozmowy z panem Hasegawa usiłowała odgadnąć, jak bardzo jest bogaty i jaka część jego majątku przypadnie jej, gdyby wyszła za Rileyę. Rodzice na pewno chcieli, żeby ich o tym dokładnie poinformowała. Staruszek był chory; poznała to po żółtawym odcieniu jego oczu i skóry. Nigdy dotąd nie zetknęła się ze śmiercią. Miała nadzieję, że starszy pan umrze przed jej ślubem z Rileyem, i że nie będzie musiała jechać do Japonii na pogrzeb. W dodatku buddyjski! No cóż, jej matka z pewnością potrafi jej doradzić, jak ubrać się na taką uroczystość. W najgorszym razie zapyta o to gwiazd. Jeżeli dziadek umrze już po ich ślubie, Colemanowie polecą razem swoim odrzutowcem. Ona sama będzie już wtedy częścią rodziny. Cole oczywiście także weźmie udział w pogrzebie. Wiedziała, że był bardzo przywiązany do staruszka. Mogła sobie wyobrazić, jak pocieszają wraz Cole’em pogrążonego w bólu Rileyę, krocząc u jego boku. Chyba tylko ona nie zmartwi się zbytnio tą śmiercią, ale z pewnością zdoła to ukryć. Była przecież nieodrodną



córką Tess Buckalew!

Lacey przysunęła się do Riley'a jeszcze bliżej, choć przeszkadzała jej w tym wewnętrzna konstrukcja bronco. Ciężkie futro też nie ułatwiało sytuacji. Wóz jechał, grzejnik mrucał, a Riley najwyraźniej bujał myślami gdzieś daleko. Cóż, jeśli Riley'a denerwowało każde jej zetknięcie z Cole'em, będzie musiał się jakoś uodpornić. Nic nie zmieni faktu, że ona i Cole byli kiedyś kochankami. Kobiety przeważnie mają kochanków: mało która jest stworzona na zakonnicę. Jakiś głos wewnętrzny szeptał jej jednak, że nie chodzi jedynie o Cole'a, że istnieje jakiś inny powód roztargnienia Riley'a. Poczula do niego pretensję. Powinien myśleć tylko o niej!

– Nie byłeś nigdy w Japonii, prawda? Podwożę cię tylko pod dom, Lacey, i muszę wracać – powiedział Riley jednym tchem. – Chcę spędzić trochę czasu w towarzystwie dziadka.

Lacey zdumiała się. Spojrzenie jej nieprawdopodobnie błękitnych oczu pobiegło w stronę Riley'a. Cóż to ma znaczyć?! Wielki Boże, nie zamierzał chyba wrócić na stałe do Japonii? Nigdy nie wytrzymałaby wśród tych Azjatów, mogli najwyżej pełnić rolę służących. Tylko ją podwiezie! Riley nigdy dotąd tak się nie zachowywał. Prawdę mówiąc, prawie zawsze musiała mu przypominać, że pora już się pożegnać. Poczula ogarniające ją gorąco: zęby przestały jej szczełkać. Kiedy się odezwała, jej głos był równie ciepły i pociągający, jak jej ciało.

– Nie, nigdy dotąd nie byłam w Japonii, bo samotne zwiedzanie tego cudownego kraju byłoby wielkim błędem. Może moglibyśmy spędzić tam miodowy miesiąc? Pokazałbyś mi swoją ojczyznę. Bardzo bym tego chciała. Wiesz, Rileyu, prawie nie miałam dziś okazji porozmawiać z kimś z twojej rodziny. W tym natłoku wrażeń czas po prostu przeciekł mi przez palce. Zabierz mnie ze sobą do Sunbridge... Potem pożyczę od kogoś samochód i sama wrócę do domu.

– Nie dziś. – Powiedział to ostrzej niż zamierzał, ale nie przeprosił za swój ton. – To będzie wieczór rodzinny i chcę spędzić go z moim dziadkiem. – Nie znosił tłumaczyć czegoś Lacey raz po raz. Mówił jej wielokrotnie o zwyczajach Colemanów. Zawsze czuł się niezręcznie, gdy Lacey zmuszała go do usprawiedliwiania się przed nią.

– A ja nie należę do rodziny? To chciałeś powiedzieć? Riley nie dał się sprowokować.

– Jeszcze nie – powiedział lekkim tonem.

Matkę chyba szlag trafi! Riley podwozi ją i ulatnia się jak uczeń po randce! Wydawało jej się, że słyszy głos Tess: „A czemuż to nie jesteś teraz w Sunbridge z jego rodziną? Riley nie chciał, żebyś znalazła się znowu w pobliżu Cole’a, bo go prowokowałaś jak byle wyciruch na oczach wszystkich? O to chodziło, może nie?” Potem ojciec zaczął swoje, ostrzegając ją, żeby nie pokpiła sprawy, i dodał, że potrzeba mu od Riley’a tego czy owego i uda mu się to tylko wtedy, gdy ona będzie trzymała chłopaka mocno w garści! Tata też nie przebierał w słowach: „Pewnie jesteś nie dość dobra dla tej ich zasranej rodzinki, co?”.

Będzie musiała udawać, że źle się poczuła i sama chciała jak najprędzej wrócić do domu. Jej rodzice na pewno nie uwierzą w tę bujdy, ale przynajmniej zachowa twarz wobec Riley’a. Cholera, zaczyna ją rzeczywiście boleć głowa! W porządku, pora na wielką scenę.

– Świetnie, kochany – powiedziała słodko. – Sama jestem bardzo zmęczona. Myślałam po prostu, że chcesz mieć we mnie moralną podporę, ale z pewnością nie będę wpraszać się tam, gdzie mnie nie chcą! – Uderzenie poniżej pasa, w sam raz w stylu Tess. Bardzo łatwo było obudzić w Riley’u poczucie winy. Czekwała, co jej odpowie, ale gdy milczał, pojęła, że nie dotarło do niego ani jedno słowo.

– Riley, zwolnij! Brama!

– Widzę! – odparł niecierpliwie, ujął mocniej kierownicę i skręcił na drogę wewnętrzną pod drewnianym łukiem oznajmującym, że znaleźli się na terenie Buckalew Big Wells. Ilekroć tędy przejeżdżał, miał ochotę parsknąć śmiechem, taka zabawna wydawała mu się pompatyczna nazwa. Dziś jednak poczucie humoru całkiem go opuściło. Buckalew Big Wells tonęły w powodzi świateł, na zewnątrz i od wewnątrz. Wszelkiego rodzaju dekoracje świąteczne błyszczały w mroku nocy, zwłaszcza gigantyczny renifer ciągnący sanie na szczyt domu. Światła na dachu widoczne były na całe mile wokół Big Wells. Riley zastanawiał się, ile też mogła kosztować ta krzykliwa dekoracja?

– Chyba jestem dziś nie w sosie, Lacey. Nie gniewaj się na mnie. Postaram się jakoś ci to wynagrodzić.

Głos Riley’a był chłodny i bez wyrazu. Lacey wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

– Nie umiem gniewać się na ciebie, Rileyu. To niemożliwe, jeśli się kogoś kocha. Nie wychodź z wozu. Sama trafię do drzwi. Zadzwoń jutro. Ciekawam, jak mi chcesz wynagrodzić dzisiejszy zły humor? – spytała słodko.

– Co byś powiedziała na wycieczkę do Rio w przyszłym tygodniu? Zdamy wrócić przed Bożym Narodzeniem. – Gdy tylko wyrzekł te słowa, natychmiast ich pożałował.

– Wyprawa do Ameryki Południowej! Mój Boże, muszę się zastanowić, Rileyu. Dobrze wiesz, że ze mnie pracująca dziewczyna! – Trzeba naradzić się z rodzicami. Wiedziała, że Tess spakuje jej walizki i wypchnie ją za drzwi w przeciągu pół godziny. A ojciec gotów ją zanieść na barana na lotnisko! – To byłyby bardzo miłe przeprosiny. Ale nie zrobiłeś mi nic takiego, Rileyu, za co byś musiał przeproszać. Wiesz, co mam na myśli – wycedziła. Gdyby jej matka to usłyszała, chyba by ją zabiła albo przynajmniej sprząła na kwaśne jabłko! Lepiej wrócić do poprzednich metod. – Dobranoc, Rileyu. Pozdrów ode mnie twoją rodzinę i słodkich snów! – przesłała mu ręką całusa i wysiadła z wozu, zanim zdążył odpowiedzieć.

Riley siedział przez chwilę bez ruchu, zanim wykręcił i wjechał na drogę dojazdową. Zdawał sobie sprawę z tego, że Lacey chce obudzić w nim poczucie winy; rzeczywiście dręczyły go wyrzuty sumienia. Czy to szok, który przeżył uświadamiając sobie prawdziwy stan dziadka, nie pozwalał mu o niczym innym myśleć? Traktować każdą osobę spoza ich kręgu jak intruza? Z pewnością tak. Wierzył przecież, że Stary Pan będzie żył wiecznie, a przynajmniej tak długo, dopóki on, Riley, nie dojdzie do ładu ze sobą i swoim życiem – Wiedział, że płacz sprawiłby mu ulgę, ale Japończyk nigdy nie płacze. W Ameryce mężczyźni okazywali swoje uczucia i ujawniali swe słabości. Jak ma postąpić ktoś, kto jest zarazem Japończykiem i Amerykaninem? Miał poczucie wewnętrznego rozdarcia i wiedział, że nie opuści go ono, dopóki nie zdecyduje ostatecznie, kim jest. Nie po raz pierwszy tego wieczoru uświadomił sobie, że musi poważnie przemyśleć wiele spraw. Jedną z nich był jego stosunek do Lacey. Nie chciał popełniać kolejnych życiowych omyłek.

Ivy miała właśnie zgasić nocną lampkę, gdy Lacey zajrzała do pokoju.

– Jesteś już w domu! Chcesz wiedzieć, czy się wszyscy zamartwiali, gdzie się podziałas? Zrobiłaś to naumyślnie, prawda? To

był jedyny sposób, żeby zwrócić na siebie ogólną uwagę. Przyznaj sama!

– Niech ci będzie. Ty też wcześniej wróciłaś. Czyżby Rileyowi sprzykrzyło się patrzeć, jak się ślinisz na widok Cole’a.

– Bzdury! Wróciłam do domu, bo głowa mnie rozboleła i nie miałam nastroju na wizytę w Sunbridge. Dałabyś sobie uciąć prawą rękę, żeby się tam znaleźć, prawda?

– I lewą też – odparła szczerze Ivy. – Lubię Colemanó w.

– Właśnie. Zauważyłam, jak przez cały wieczór podlizywałeś się Cole’owi i dziadkowi Rileya. Czyżby to była tylko miłość bliźniego? Bo Cole zatańczył z tobą wyłącznie z litości – powiedziała zimno Lacey.

Ivy zakopała się głębiej w pościel.

– Po pierwsze, pan Hasegawa nie należy do rodziny Colemanów. To uroczy starszy pan i bardzo nam się przyjemnie gawędziło. A z Cole’em rozmawialiśmy o wielu ważnych sprawach. Wiem, że gotowa byś mnie zabić, byle się tylko dowiedzieć, co mi powiedział, ale nie puszcę pary z gęby. Wychodząc uważaj, żeby cię drzwi nie walnęły w chudy tyłek!

– Jesteś obrzydliwym, nieznośnym bachorem! Zupełnie nie wiem, po co marnuję czas na rozmowy z tobą. Mówiłam Rileyowi, żeby sienie zamartwiał...

Twarzy Ivy dosłownie zajaśniała. Lacey zdumiała się, jak pięknie wygląda jej siostra w tym mrocznym pokoju. Odeszła jej ochota do kłótni.

A Dobranoc, Ivy. Riley prosił, żeby ci to powtórzyć: bardzo mu przykro, że nie zatańczył z tobą, jak obiecał. Ja sama zatańczyłam z nim tylko raz. Przykro mi z powodu dzisiejszego wieczoru, naprawdę, Ivy. Żałuję, że nie bawiłaś się lepiej.

– Już ci wierzę! – powiedziała gorzko Ivy. Lacey podbiegła do łóżka.

– Dlaczego tak mnie traktujesz, ile razy staram się być dla ciebie miła? Już mi się to przejadło! Matka ma świętą rację: jesteś zepsuta, kłótniową smarkulą! Ivy zerwała się.

– Miła! Kiedyż to starałaś się być dla mnie miła?! Chyba tylko wtedy, gdy ci na czymś zależało! Ciekawam, co teraz chciałaś ode mnie wyciągnąć? O, już wiem: miałaś nadzieję, że ci zdradzę, co powiedział Cole. Nie licz na to! Jesteś takuteńka jak mama, Lacey.

Wynoś się stąd! Rzygać mi się chce, kiedy na ciebie patrzę.

– Ale wyrażonka! Wstydzilibyś się, Ivy! Ktoś ci powinien dać porządne lanie!

– Gdybyś była na moim miejscu, klęłabyś jak szewc! – odcięła się Ivy. Lacey zamknęła za sobą drzwi. Wiedziała, że Ivy zacznie płakać, jak tylko zgasi światło. Omal nie zawróciła, ale pohamowała się. Ma dosyć własnych kłopotów. Ivy musi sama zadbać o siebie. Nie zamierzała marnować życia na ratowanie innych!

– Wyjaśnij mi, Thad, co rozumiesz przez „odgrzebywanie starych porachunków”? – spytał cicho Shadaharu Hasegawa. Siedzieli z Thadem na kanapce stojącej na wprost kominka w bibliotece W Sunbridge. Thad odezwał się serdecznie do starego przyjaciela.

– To coś zbliżonego do waszego zwrotu: „Poruszyć cienie”. Znam ten termin z dzieła waszego wojownika Hiyamoto Masashi.

Kiedy Thad poprzednio widział się z Shadaharu, miał on z pewnością więcej włosów na głowie i nie był taki strasznie wiotki i kruchy, jak suchy liść. I z pewnością ważył o dobre trzydzieści funtów więcej. Widać było od razu, że ten długi wieczór stanowił dla niego ciężar ponad siły. Serce Thada ścisnęło się. Śmierć zabierała wszystkich jego starych przyjaciół. Poczuł, jak wzbiera w nim żal, jakby i tego już utracił.

– Ach tak, już pojmuję. Powiedz mi, kiedy masz zamiar usunąć się z areny politycznej?

– Czyżbyś mi dyskretnie dawał do zrozumienia, że się starzeję?

– Na pewno nie! – wtrąciła się Billie. – Ale i ja chciałabym znać termin.

– Kiedy skończy się ta kadencja – odparł stanowczo Thad – będziesz miała mnie tylko dla siebie. – Radosne spojrzenie, którym Billie obdarzyła męża, było jak pieszczota. Thad uśmiechnął się do żony. Na twarzy Shadaharu pojawił się także uśmiech. Riley poczuł wewnętrzny ból.

Z drugiego końca pokoju Cole obserwował swego kuzyna. Coś było nie tak! Serce gwałtownie podskoczyło mu w piersi, a potem zaczęło tłuc się jak oszalałe. Bał się powrotu Riley, przekonany, że przywiezie ze sobą Lacey. Zjawił się jednak sam i Cole nie wiedział, czy się tym cieszyć czy też martwić. Dostrzegł, że Riley coś dręczy, ale chyba nie Lacey była tego przyczyną. Może powinien sam go

potem zaczepić i porozmawiać z nim? Nieraz tak postępowali w szkole: jeden zawsze umiał znaleźć drugiego, gdy sprawy układały się niepomyślnie. .

Diabeł podkusił Cole'a.

– To mi wygląda na stypę! Co się stało z tą rodziną?! Pamiętam, jak bawiliśmy się do świtu, a potem zasiadaliśmy w najlepszej formie do śniadania. Jest jeszcze całkiem wcześnie: dokładnie wpół do trzeciej.

– Słuchajcie no, co mój syn wyplata! – zawołała Maggie. – Jesteśmy zmęczeni. Może słyszałeś o takim uczuciu? Ogarnia człowieka po dwudziestu godzinach bez odrobiny snu. Do łóżka, smarkaczu!

W całym pokoju rozległ się chór potakiwań. Wszyscy po kolei podnosili się. Najpierw Amelia i Cary, potem Thad i Billie. Susan i Ferris pokleпали Cole'a po plecach i poradzili mu, żeby udał się gdzie indziej na dokończenie dobrze rozpoczętego wieczoru. Pan Hasegawa z trudem stanął na nogi, pot ściekał mu z czoła. Ukłonił się nisko wszystkim zebrany i wyszedł za Billie i Thadem. Sawyer była ostatnia w kolejce. Poklepała Cole'a po ramieniu.

– Jeśli pociąga cię życie towarzyskie, zaproś mnie jutro na lunch – powiedziała ze śmiechem. Ucałowała lekko Maggię i uśmiechnęła się do Randa. – Dobranoc wszystkim!

– Pozwól, dziadku, że pójdę z tobą na górę poprosił Riley.

– Nie ma potrzeby, Rileyu. Dosłownie zasypiam na stojąco. Porozmawiamy jutro, zanim wyjadę. Czy odwieziesz mnie na lotnisko?

– Oczywiście. – Riley lekko położył dłoń na ramieniu Starego Pana i zdumiał się, jak bardzo było kościste. Ogarnął go wielki smutek. Skinął żałośnie głową, dostrzegając współczujące spojrzenie Cole'a.

– No i co? Umiem się pozbyć niepotrzebnych świadków? – roześmiał się Cole. Riley odpowiedział uśmiechem.

– Ty głupku! Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś to umyślnie?

– Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że wpadłeś w tarapaty, albo przynajmniej masz chandrę! – powiedział Cole. – Pamiętasz, jak podwędziłem dla draki statuetkę w college'u, a ty zadzwoniłeś do mnie o trzeciej nad ranem i powiedziałaś: „Mam przecucie, że zrobiłeś jakieś głupstwo!” Tak samo jest teraz. No, wykrztuś, co się dzieje?

– Przeszliśmy razem długą drogę, Cole. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– No pewnie. I krewnymi.

– To też się liczy, prawda? Wspólna krew...

Cole skinął głową.

– On... On chce...

– Żebyś wrócił do Japonii i przejął jego imperium? Gdybym był na jego miejscu, pewnie też bym sobie tego życzył. Co zamierzasz zrobić?

– W tym rzecz, że nie mam pojęcia. Chciałem jutro o tym z tobą pomówić. Mam dwie rodziny. Bez względu na to, jaką podejmę decyzję, zdradzę jedną z nich.

– Paskudnie. Znalazłeś się między młotem a kowadłem. I tak źle, i tak niedobrze. Zawsze ktoś na tym ucierpi. A Stary Pan już cierpi, i to bardzo. Nie mam na myśli jego choroby.

– Wiem – odparł ze smutkiem Riley.

– Odwaliłeś pierwszorzędną robotę w Coleman Oil. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł cię zastąpić.

Riley rozjaśnił się.

– Myślisz, że zostanie po mnie jakiś ślad?

– Jeżeli stąd odejdziesz, mówię „jeżeli”, jasne, że zostanie po tobie nielichy ślad. W tej chwili Coleman Oil to ty. Znajdziemy się w paskudnej sytuacji, gdy ciebie zabraknie. Tak samo będzie z twoim dziadkiem, jeśli zdecydujesz się pozostać tutaj. Chciałbym ci jakoś pomóc, Rileyu.

– Dzięki, ale chyba trochę przesadzasz. Inni robią tyle samo co ja. Choćby ty i Sawyer w Coleman Aviation.

– Może znajdzie się ktoś, kto cię zastąpi, ale na razie nikogo takiego nie ma. Czy wybierasz się w przyszłym tygodniu do Rio? Słyszałem, jak Sawyer mówiła Susan, że wyruszasz w piątek. Jak długo cię nie będzie?

– Najwyżej dziesięć dni.

Z góry doleciał do nich odgłos śmiechu. Cole i Riley zerknęli równocześnie w stronę pokoi na piętrze. Rodzina!

– Jeszcze nigdy nie widziałam takiego tłoku w korytarzu! – roześmiała się Maggie. – Jestem w siódmym niebie, kiedy wszyscy zbieramy się pod jednym dachem.

Amelia objęła Julie ramieniem.

– Przyda nam się trochę młodej krwi! – Podobała się jej ta łagodna młoda kobieta. Przypominała jej Billie, gdy zobaczyła japo raz pierwszy w Sunbridge. Cary przyglądał się Amelii rozmawiającej z Julie. Poczuł, jak przepełnia go miłość do żony i duma z niej, kiedy pochyliła głowę, by ucałować Julie w policzek, Amelia zawsze umiała sprawić, że gość czuł się pożądanym, a teraz najwyraźniej przyjęła Julie do rodziny. Nie było żadnej wątpliwości. Cary ucieszył się. Spodobała mu się Julie Kingsley.

– Czy ktoś miałby coś przeciwko temu, żebym zeszła do kuchni i przyrządziła gorącą czekoladę? – spytała Julie.

– Owszem, mam coś przeciwko temu, żebyś sama tam poszła – odparła Amelia. – Cary, zaprowadź Julie na dół i pomóż jej. Dodajcie koniecznie bitej śmietany! Czekolada na gorąco to specjalność Cary’ego – zaśmiała się Amelia. – Dobrze ci zrobi, kochanie. Wypij podwójną porcję. Zobaczysz, jak cięto zrelaksuje.

– Nic, tylko mną rządzi – burczał dobrotliwie Cary. – Wydano nam rozkazy, młoda damo, i musimy je wykonać. Kierunek kantyna, czy jak to się tam mówi!

Julie roześmiała się i marszowym krokiem zbiegli do hallu. Reszta rodziny przyglądała im się z życzliwym pobłażaniem.

– Najwyższy czas zmyć z twarzy wyroby Estee Lauder i wpełznąć pod pierzynę – oświadczyła Amelia. – Ładnie byśmy wyglądały bez produktów naszej dobrodziejki!

– Chyba chcesz powiedzieć „brzydko”? – zauważyła Billie.

– Trafiłaś w sedno – roześmiała się Amelia. – Dobranoc wszystkim! Kiedy Maggie i Rand zamknęli drzwi swej sypialni, mąż spytał ją ciekawie:

– Kto to taki, ta Estee Lauder?

– Legenda przemysłu kosmetycznego. Widzisz to i to, albo to? A powąchaj tamto! To wszystko Estee Lauder. Mama zawsze używała tych kosmetyków, a my poszłyśmy w jej ślady. Mama wspaniale się prezentuje, nie uważasz?

Rand uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A ja przez cały czas się łudziłem, że to twoja naturalna uroda! I nie myśl, że nie widzę twoich podchodów! Mam przyznać, że twoja matka cudownie wygląda, a potem dodać, że jesteś zupełnie do niej podobna. Nie dam się na to złapać!



– A więc uważasz, że chcę cię złapać? – spytała Maggie demonicznym głosem. – Tak jak pajak muchę?

– Zgadłaś, moja śliczna. Wiesz, przypominam sobie jak przez mgłę, że mieliśmy jakieś plany na resztę nocy?

Maggie udała, że się głęboko zastanawia.

– Czyżby seks?! – wykrzyknęła. – Właśnie! Wróciliśmy tu, żeby się kochać. No to popatrz! – szepnęła odfruwając od męża z gracją tancerki.

Jej ruchy były powolne i zmysłowe, gdy rozpięła pasek na ramieniu, który przytrzymał całą suknię. Jeden z pantofelków na nieprawdopodobnie wysokich obcasach poszybował w lewo, drugi w prawo. Nogi, których pozazdrościłaby jej każda aktoreczka w Las Vegas, okrywały pikantne pończoszki, czarne i cieniutkie. Nie odrywając oczu od płonącego wzroku Randa, Maggie zrolowała je i zdjęła. Potem przyszła kolej na koronkowy staniczek i jedwabne majteczki. I wreszcie stanęła nago, pozwalając, by upajał się jej pięknnością. Była wysoka, ale on znacznie ją przewyższał. Ich milczenie mówiło o wszystkim, co ich łączy: przeszłości, chwili obecnej i jutrze. Maggie podeszła bliżej: upajający zapach perfum otaczał ją niby obłok.

– Pozwól – szepnęła. Gorącymi, niecierpliwymi palcami zaczęła rozpinąć guziki u koszuli Randa. Kiedy i jego ubranie znalazło się na podłodze, Maggie przysunęła się jeszcze bliżej. Jej oczy płonęły w mroku sypialni ciemnym światłem. Rand zadrżał, gdy na ustach poczuł jej rozpalone wargi. Zamknął oczy, oddając się bez reszty urokowi tej chwili. Usta Maggie były słodkie, poruszały się rytmicznie, wysysały z niego dech, sprawiały, że jęczał z rozkoszy. Maggie poczuła rosnące podniecenie męża i dała się unieść tej fali pożądania. W jednym momencie jego ramiona tuliły ją, były nieskończenie opiekuńcze, a w następnej chwili stały się więzącymi ją kajdanami, twardymi, mocnymi, nie do skruszenia. Kochała go właśnie takim: pełnym drapieżnej dzikości – wiedziała, że tylko ona budzi w nim podobne instynkty. Poddawała się jego pragnieniom, przyjmując na siebie ciężar jego ciała, gdy złożył ją ostrożnie na jedwabnej pościeli.

Jego dłonie nurzały się w jej włosach, pieściły jej piersi, aksamitne wnętrza ud. Pobudzał ją, żądał jej współuczestnictwa, i nagradzał pełną uwielbienia pieczęcią warg, wędrujących szlakiem, który

naznaczyły już jego dłonie. W radosnym zapamiętaniu brał ją w posiadanie.

Szeptala mu o swej rozkoszy i obdarzała pieścizotami, które tak kochał. Byli o krok od ostatecznego spełnienia, ale jak dwie ćmy wirujące wokół płomienia igrali z ogniem, odwlekając tę nieskończenie cudowną chwilę, gdy wszystko wokół nich zamieni się w pożar.

– Kochaj mnie, Randle, kochaj mnie! – błagała go niskim, gardłowym głosem; brzmiał w nim pierwotny zew pożądania. Ten dźwięk rozlegający się w ciszy sypialni sprawił, że namiętność Randa zapłonęła jeszcze gwałtowniej. Nakrył Maggie swym ciałem, obejmując mocno muskularnymi udami, pieścizając ją z kunsztem doświadczonego kochanka. Przytuliła jego głowę do swych piersi podsuwając je pod jego pocałunki. Wargi Randa otoczyły najpierw jedną, potem drugą różaną grudkę, ssąc ją, drażniąc, obrysowując wokół niej językiem pieścizotliwe kręgi. Usta jego powędrowały ku płaszczyźnie jej brzucha i miękkiej, ciemnej szczeliny między nogami.

Ciało Maggie sprężyło się instynktownie w łuk, wznosząc ku jego wargom; głowa opadła na poduszki, jakby nie biorąc udziału w nieposkromionej potrzebie zmysłowego ciała. Jej palce zanurzyły się w gęstych, jasnych włosach męża, a całe ciało pulsowało rytmicznie, podniecone jego pieścizotami. Ostateczne spełnienie, gdy wreszcie je osiągnęli, było jak fala oceanu zatapiająca ich, a potem łagodnie się cofająca. Oddech Maggie stał się przerywany, czuła, że płynie, unosi się gdzieś na obłoku, a cały wszechświat ogranicza się do dotyku warg Randa na jej ciele i wzajemnego ich uścisku.

Ruchy Randa były nadal powolne, opanowane, niespieszne, mimo że w uszach dzwoniła mu echem krew tętniąca w żyłach i szalejąca w jego lędźwiach. Chwycił rękoma biodra Maggie, uniósł ją, przyciągając do siebie, wypełnił ją sobą, domagając się spełnienia swych neodpartyh pragnień. Jego oddech stał się przerywany, pierś unosiła się jak po wyczerpującym biegu. Usta ich odnalazły się, przywarły do siebie, pożerały nawzajem, stykając się ze sobą raz po raz. Uwięziony w klatce jej ciała poruszał się nagłaco, rytmicznie, przenosząc ją wraz ze sobą w inny wymiar, w dziedzinę doznań całkowicie odmiennych, ale równie podniecających. Pulsował wewnątrz niej, czując jej opór: zaciskała się wokół niego, jakby

chciała go usunąć ze swego wnętrza – była o krok od oślepiającej eksplozji rozkoszy, w której i on miał znaleźć swoje ostateczne zaspokojenie.

Cieężko dysząc Rand osunął się na ciało żony, starając się uspokoić jej drżenie, tuląc ją w ramionach, dopóki nie ucichły wstrząsające obojgiem dreszcze. , Potem z żalem wysunął się z niej i w milczeniu otulił pościelą. Objął Maggie ramionami kołysząc jak ukochane dziecko. Przygarnęła się do niego, wodząc dłonią po całym jego ciele, zwilgotniałym od kontaktu z jej ciałem. Wtuleni w siebie, złączeni wspólnymi marzeniami, szeptali sobie słowa miłości, dopóki nie zapadli w sen.

Shadaharu Hasegawa z wysiłkiem przesunął się na brzeg łóżka. Potrzebował całej siły woli, by się wyprostować. Pragnął znaleźć się już w domu. Czekala go jeszcze przeraźliwie długa droga. Jakże pragnął, by Riley towarzyszył mu w locie z powrotnym do Japonii! Nie, nie będzie teraz myślał o swoim wnuku. Musi przygotować się na spotkanie kolejnego dnia. Pora na prysznic, ale przedtem zażyje dwie tabletki przeciwbólowe, przed którymi tak się wzdragał. Kilka miesięcy temu, gdy poinformowano go, jak przedstawia się stan jego zdrowia, zdecydował, że nie będzie korzystać ze środków uśmierzających. Zniesie ciężar swej choroby z godnością i wytrzyma ból, podobnie jak czynili to jego przodkowie. Żaden samuraj nie uciekał się do pomocy pigułek! Jego ręka drżała, gdy wytrząsał z fiolki małe tabletki. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby zażył wszystkie na raz? Czy zabiłyby dręczący go ból czy też jego samego? Ale gdyby tak postąpił, okryłby hańbą wszystkie swoje córki, ich mężów i Rileya. Musi wytrzymać, tak nakazuje mu jego wiara. W ciągu kilku minut nieubłagany, ostry ból nieco przygasł, zmniejszyło się też poczucie mdlącej pustki w piersi i brzuchu. Czuł, że będzie teraz w stanie umyć zęby, z ust nie wypłyną razem z żółcią połknięte pigułki. Prysznic też dobrze mu zrobi. Ręce prawie nie drżały, gdy się golił. Być może dzisiejszy dzień nie będzie taki straszny?

Czy popełni wielki nietakt schodząc do kuchni i parząc sobie herbatę? Rodzina Colemanów ciągle mu powtarzała, że powinien czuć się w Sunbridge jak u siebie w domu. W tej chwili miał nawet ochotę na jakąś japońską potrawę. Cień uśmiechu pojawił się na jego wargach, gdy pomyślał o herbacie w torebkach, którą znajdzie w

kuchni. Amerykanie nie mieli pojęcia o jej parzeniu! Pan Hasegawa włożył swój nieskazitelnie skrojony garnitur, uszyty specjalnie na tę podróż. Jego krawiec, niezwykle staranny człowieczek z długą, choć rzadką białą brodą, – zapewniał go, że utrata wagi nie będzie rzucała się w oczy dzięki specjalnym podkładkom, wszytym w odpowiednich miejscach. Wszyscy Colemanowie bardzo taktownie udawali, że nie dostrzegają, jak bardzo się zmienił. Doceniał ich troskę o niego, a także i to, że starali się ją ukryć. Ciekaw był, jak by zareagowali dowiedziawszy się, że pragnie zabrać Rileya do Japonii? Thaddeus i Billie chyba go rozumieją. Wszyscy powinni zrozumieć – powiedział sobie Stary Pan. Wszyscy, tylko nie Riley.

Niebo pobłogosławiło go ośmioma córkami, miał teraz także kilku zięciów, ale chciał, by właśnie Riley przejął jego imperium. Riley to prawdziwy Hasegawa; nieważne, że płynęła w nim także krew Colemanów. Krew. Riley to krew z jego krwi. Stary Pan zwiesił głowę. Nie dało się wyrazić słowami upokorzenia, jakie odczuwał. Nigdy nie przypuszczał, że nadejdzie dzień, gdy jego jedyny wnuk obróci się przeciwko niemu.

Krażył teraz wolnym krokiem po pokoju, czekając, aż jutrenka rozświetli długą, czarną noc. Zlekceważył pierwszy zawrót głowy, starał się opanować go siłą woli. Druga fala oszołomienia sprawiła, że musiał przystanąć i przytrzymać się krzesła. Usiłował wyprostować ramiona, zmusić do posłuszeństwa własne nogi... Nie miał jednak siły samuraja. Poczucie własnej słabości napełniło go smutkiem; chciało mu się płakać na myśl, że nie jest nawet w stanie utrzymać się na nogach.

Odczuł czyjaś obecność, ale zanim zdążył się odwrócić, silne ramiona otoczyły jego plecy. Oto ten, na którego czekał – jego wnuk. Zwrócił ku niemu twarz i ujrzał oczy Rileya ośleplę od łez.

– Nie walno ci się smucić, mój wnuku. Taka jest wola Buddy. Kiedy przybędziesz do Japonii, obiecaj, że zapalisz przed nim kadzidło. Przyrzeknij mi to, Rileyu. Twój Jezus przebaczy ci, że spełniłeś prośbę starego człowieka.

– Obiecuję ci, dziadku. Nie zarzekałem się, że tam nie wrócę. Potrzebuję tylko czasu, by to przemyśleć. Powiedz, że mnie rozumiesz!

Każde słowo było ogromnym wysiłkiem, ale Shadaharu zmusił nieposłuszny, wypełniający całe usta język do wymówienia kilku

zdań.

– Rozumiem cię, Rileyu, ale i ty musisz pojąć, że właśnie czasu mam zbyt mało. Choroba ogarnia mnie całego: najpierw pełzała, teraz już pędzi. Nic jej nie powstrzyma. Najwyżej rok, tak mówią doktorzy.

W głosie Riley'a zabrzmiał gniew.

– Wobec tego powinienesz być, dziadku, oszczędzać swe siły i nie wyjeżdżać z Japonii. Ta podróż zbyt wiele cię kosztowała. – Gniew przekształcił się w bezsilny ból, gdy uzmysłowił sobie, że nie jest w stanie ulżyć cierpieniom dziadka.

– Nasze rodziny są silnie ze sobą związane – powiedział Shadaharu. – Musiałem się zjawić, żeby podkreślić moje poparcie. I ja sam, i inni członkowie naszej rodziny zainwestowaliśmy w miasto stworzone przez pana Assante. Jak mogłem przez swą nieobecność ściągnąć wstyd na naszą rodzinę? Chyba to rozumiesz.

– Rozumiem tylko to, że jesteś bardzo chory, dziadku. Tutaj także są dobrzy, najlepsi w świecie lekarze. Choćby w nowojorskim Instytucie Sloana Ketteringa. – Nie potrzebował wymawiać słowa „rak”, budzącego przerażenie wszystkich ludzi. Sama wzmianka o Instytucie była jasna dla Starego Pana.

– Już na to za późno – stwierdził ze smutkiem Shadaharu. – Dzisiaj wrócę do domu i będę się modlił, by dane mi było ujrzeć po raz ostatni kwitnące wiśnie. – Zamierzał powiedzieć swemu wnukowi, by nie rozpaczał po jego stracie, ale język był zbyt oporny. A może to on sam w gruncie rzeczy nie chciał wypowiedzieć tych słów?

– Chodźmy, chciałbym napić się herbaty, chociaż takiej z torebki. Napij się ze mną, Rileyu.

– Zrobię coś lepszego: sam ci przygotuję herbatę. – Zanim Shadaharu zdążył zaprotestować, Riley pochwycił jego kruche ciało w swe mocne ramiona. – Nie musimy się tego wstydzić, a poza tym w domu wszyscy jeszcze śpią. Spróbuj cieszyć się przejażdżką, dziadku.

Stary Japończyk chciał oponować, ale w końcu oparł głowę o pierś Riley'a i po raz pierwszy w życiu pozwolił, żeby ktoś zatroszczył się o niego jak o dziecko.

Kuchnia w Sunbridge była ciepła i pachnąca. Kiedyś Riley spytał kucharkę, jak to się dzieje, że zawsze tak ładnie tu pachnie? Odparła, że chowa w gorącym piekarniku igły sosnowe i laseczki cynamonu, które wydają taką woń.

Riley krzątał się, gotując wodę i parząc herbatę w czajniku.

Wiedział już, że Stary Pan nie może sam wrócić do Japonii. Wobec tego odłoży na później wszystkie interesy Colemanów i sam odwiezie dziadka. Zapowie mu jednak wyraźnie, że wraca do Teksasu. Rileyowi serce się krajało, gdy patrzył na dziadka przytrzymującego obiema rękami kubek z parującą herbatą. Udał, że nie dostrzega, gdy bursztynowa strużka pociekła po brodzie starca. Po raz pierwszy zauważył, że ma on trudności z przełykaniem. Jednym haustem Riley wypił swoją herbatę i mruknąwszy jakieś usprawiedliwienie wybiegł z kuchni.

Czyjeś nogi dudniły po spiralnych schodach... Riley omal się nie zderzył u ich podnóża ze schodzącym Cole'em. Cole wykręcił się na pięcie i pobiegł za kuzynem.

– Co się z tobą dzieje, do cholery?!

– Muszę pojechać do Japonii. Nie mogę zostawić go samego.

– Oczywiście, że nie możesz. Jak mam ci pomóc?

– W niczym mi nie możesz... albo dobrze! – Riley wrzucił bieliznę i czyste koszule do torby. – Wyjaśnij wszystko Lacey. Nie mogę dzwonić do niej o tej porze: oni późno wstają.

– Riley, wiesz, że ja...

Riley sięgnął po kurtkę podbitą kozuszką. Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem kuzyna.

– Ufam ci, Cole. – Cole wyciągnął do niego obie ręce, a Riley pochwycił je. – Naprawdę, możesz mi wierzyć! – powiedział zduszonym głosem Riley. – Co było, minęło.

– Gdybym ci był pomocny... w czymkolwiek... Zjawię się w ciągu paru godzin.

– W tej zwariowanej „Machinie Snów”? – Śmiech Rileya był wymuszony. – Myślisz, że nie wiem, jak cię nazywają w Coleman Aviation? „As Przewoźny”? Bujasz sobie po niebie, podczas gdy ja ryję w ziemi szukając ropy, aż krzyż mi pęka!

Cole odprężył się. Najtrudniejszy moment minął.

– Ale właśnie dzięki tej ropie płoną ogniska domowe Colemanów, a ich samoloty mogą latać w powietrzu. Nie zapominaj o tym, Coleman!

– Coś w tym jest, Tanner!

Tak po nazwisku zwracali się do siebie w studenckich czasach. Dzwonił telefon: „Hallo, Tanner! Mówi Yale!” „Cześć, Coleman. Notre Dame na linii”.

– Wrócę do Teksasu, wiesz.

– Wiem – powiedział cicho Cole. – Cieszę się z tego, Rileyu. Stali u szczytu schodów.

– Powinienem się zdecydować: na to czy na tamto? – powiedział Riley zduszonym głosem. – Ale nie potrafię. Pragnę zachować wszystko.

Cole zrobił krok w stronę kuzyna.

– Nie byłoby w tym nic złego, gdybyś zdołał się ze wszystkim uporać. A jeżeli sam sobie nie poradzisz, masz, do cholery, całą rodzinę! Jesteśmy z tobą, Rileyu! Pamiętasz, jak wszyscy zlecieli się z różnych stron świata na ratunek, kiedy Ben Simms oskarżył nas o gwałt na jego córce? I zawsze się zbiegną, gdy będą potrzebni. Sam mi to klarowałeś, dupku! Nie sądziłem, że zwątpisz kiedyś we własne słowa. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy twój dziadek spojrzał mi w oczy i powiedział, że nam wierzy. Zmienił wtedy całe moje życie. Zupełnie jakby mi zajrzał prosto w duszę. Takie pełne, nieograniczone zaufanie to było coś, czego nigdy przedtem nie zaznałem i co już pewnie nigdy w życiu mnie nie spotka. Nie umiem ci powiedzieć, jak często myślę o twoim dziadku i tamtej chwili.

Riley wzruszył ramionami.

– Śmierci nie da się pokonać. Będę musiał sam jakoś dojść ze wszystkim do ładu, Cole.

– Wrócę do Teksasu, wiesz – Riley przypomniał sobie własne słowa, skierowane do Cole'a. Minęły zaledwie dwa tygodnie, a jemu się wydawało, że to cała wieczność. Pomacał kieszeń marynarki, żeby upewnić się, że znajduje się w niej bilet powrotny. To jego ostatni dzień pobytu w Japonii. Ostatni dzień spędzony w towarzystwie dziadka. Poczul przebiegający go dreszcz. Nacisnął guzik dzwonka, misternie zamaskowany w furtce rzeźbionej z tekowego drewna, a następnie przez chwilę po prostu się napawał pięknem domu swego dzieciństwa, który miał wkrótce pożegnać. Jakże się różnił od Sunbridge: niska, zajmująca dużą przestrzeń budowla z betonu, pokrytego warstwą drewna tekowego. Każda gałązka, każdy liść i krzew w otaczających go ogrodach były wypielegnowane, tworzyły doskonałą całość. Chyba zawsze tak tu wyglądało. Jako dziecko nie zwracał uwagi na otoczenie, dbał tylko o to, czy jest mu ciepło, wygodnie, czy ma co jeść. Teraz potrafił należycie docenić urok tego

miejsca.

Było tak cicho, spokojnie. Nie docierały tu odgłosy miasta, nawet ptaki ani dzieci nie mąciły ciszy. Doskonała cisza... nie przepadał za nią jako dziecko. Kiedyś zaczął odbijać piłkę od ściany domu i wówczas matka wzięła go za rękę i poleciała, żeby bawił się na trawniku. To wcale mu nie odpowiadało! Gdzież się teraz podziewała wielka czerwona piłka jego dzieciństwa?...

To był inny świat, w którym dziś czuł się obco. Rodzina Hasegawa zawsze mieszkała za grubym murem, odgradzającym ją od reszty miasta, tak aby nikt nie zakłócał ich spokoju. Było go tu aż za wiele. Nawet teraz, w środku zimy, Riley dostrzegał piękno swego dawnego domu, ale wcale nie miał ochoty w nim zamieszkać. Był już tego pewny. Usiłował przypomnieć sobie, czy kochał ten dom w dzieciństwie? Chyba nie.

Stary Pan spał. Riley krążył po jego przestronnej sypialni. Ostatnie słowa, jakie zamienił z dziadkiem, zanim uśpił go silny lek, nadal płonęły mu w mózgu. Odjeżdżał stąd, wracał do Ameryki, do domu swojego ojca. To był teraz jego prawdziwy dom.

Rozejrzył się dookoła. Jakże często jako mały dzieciak, uczeń, młodzieniec przychodził do tego pokoju na długie rozmowy z dziadkiem! Nie pomijali w nich żadnych problemów, ani wielkich, ani mało ważnych... Zawsze, opuszczając ten pokój, czuł się podniesiony na duchu. Dziś po raz pierwszy wyjdzie stąd z jeszcze większym zamętem w myślach. I z cięższym sercem. Ciężar na sercu – jakże kontrastowało to określenie z atmosferą tego zacisznego, pełnego spokoju domu!

Jeszcze raz spojrzął na śpiącego. Pochylił się nad nim, ręce same zacisnęły się boleśnie. Gdyby mógł tchnąć swoje zdrowie i życie w ten kruchy kształt! Jego wargi musnęły pomarszczony policzek. Skóra dziadka przypominała pożółkły papier ryżowy. Oczy Rileya były pełne łez, a serce ścisnęło się z bólu.

Położył obok dziadka list, który napisał wcześniej; doktor wyjaśnił mu, że chory będzie spał dwanaście godzin lub dłużej. Riley nie mógł tak długo pozostać. Musiał zdążyć na samolot do Stanów. Czekają tam na niego obowiązki. Tam była jego rodzina.

Jęk bólu wydarł się z gardła Shadaharu, gdy usłyszał, jak drzwi cicho zamknęły się za wnukiem – po raz ostatni, był tego pewien. Nie miał już żadnej nadziei, nie warto już było walczyć. Łza spłynęła po



jego policzku. Przez chwilę czuł wstyd. To jego pierwsza łza. Będzie zarazem ostatnią.

Zapadł znowu w sen. Odurzający narkotyk zagłuszył ból.

Riley przez skąpo oświetlone wnętrze domu dotarł do ogrodu medytacji. Idealna jego symetria zdumiała go, jakby ujrzał ten zakątek po raz pierwszy. Promienie księżyca kreśliły czarnobiałe wzory światła i cienia. Każdy liść, każdy kamyk spoczywał na właściwym miejscu. Rileyowi wydało się, że cofnął się w świat swojego dzieciństwa. Widział matkę, patrzącą z uśmiechem na biegającego po ogrodzie syna.

Na Rileyę spłynął spokój, jakiego nie zaznał od dłuższego czasu. Był ostatnio przeciążony, nieprawdopodobnie zaganiany. „To się źle skończy!” – ostrzegła go Lacey. Ten ogród nie spodobałby się jej. Był zbyt doskonały, bez skazy. Nie miał w sobie nic z blichtru, żadnych tanich efektów. Panował tu spokój i piękno. Ivy chyba umiałaby je docenić...

Riley spojrział na zegarek. Już czas udać się na lotnisko. Prześpi się podczas lotu, ale i tak odczuje skutki zmiany czasu. Kiedyś może się wreszcie nauczyć, jak trzeba przygotowywać się do takiego lotu na drugi koniec świata. Zdumiał się, czując gęsią skórę na ramionach. Opuścił podkasane rękawy koszuli. Poczował chłód na całym ciele i w sercu. Nie było tu nic, co mogłoby go rozgrzać.

Riley Coleman opuścił dom swojego dziadka, nie oglądając się wstecz. W tym momencie rozstrzygnął o całym swoim życiu.

– Na lotnisko – poleciał zwięźle kierowcy.

Surowe, chłodne dni pod koniec grudnia przekształciły się w podbiegunowe mrozy. Boże Narodzenie minęło w Sunbridge bez żadnych hulanek, a Nowy Rok wślizgnął się bezszelestnie jak zwykły dzień. Amelia cieszyła się początkiem nowego roku. Ubóstwiała zaczynać wszystko od nowa. Jej determinacja, by rozwiązać problem domów dla starców, nasiliła się jeszcze w okresie świąt. Tylu samotnych starych ludzi nie zna wygód, jakie tak bardzo mogłyby umilić im życie. Amelia poświęcała prawie cały czas na zwiedzanie różnych domów opieki i czytanie całych stert książek i artykułów na ten temat. Starła się przynajmniej w zarysie poznać istniejącą sytuację. Cary nie mógł jej zrozumieć. Czytała to w jego spojrzeniu. Gdy tłumaczyła mu, że jest prawie w tym samym wieku co większość

podopiecznych i jedynie dzięki łasce niebios nie znajduje się w podobnej sytuacji, był dla niej miły i wyrozumiały, ale w gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło. Trudno się dziwić. Dla mężczyzny w jego wieku starość to coś bardzo odległego. Amelia wzruszyła ramionami. Starość dopadnie w końcu każdego z nich, nawet Cary'ego. Nie miał dzieci. Kto się o niego zatroszczy, gdy jej zabraknie? Czy on sam...

Była zła na siebie, że czuje się tak marnie. Zadanie, którego się z własnej woli podjęła, wymagało końskich sił. Zawaliła gabinet Cary'ego mnóstwem poradników i broszur, dzięki Billie i Thadowi, którzy przysyłali jej każdy artykuł i ustawę związaną z opieką nad starymi ludźmi. Ale najwięcej miejsca na półkach zajmowały wywiady, które sama przeprowadzała z pensjonariuszami. Po nagraniu rozmowy, na taśmę i przesłuchaniu jej Amelia dawała wywiad do przepisania na maszynie i oprawy. Do każdego z nich dołączona była karta zdrowia jej rozmówcy. Amelia ustawiała akta w porządku alfabetycznym, według nazwisk ankietowanych osób, starających się, by wszystko prezentowało się jak najlepiej. Przy takiej działalności nie wolno o niczym zapomnieć. Chodziło o życie i godność ludzką. .

Amelia postukała krótko obciętym paznokciem o blat biurka. Gdyby tylko Cary bardziej ją wspierał w tym działaniu, a nie uważał go za kaprys żony... Gdyby tylko... ale tamte dni już przeminęły. Nie będzie się już więcej zastanawiać nad tym, „co by było, gdyby”. Wszystko ma Swoją dobrą i złą stronę.

Ołówek sunął po papierze. Tyle wyraźnie zapisanych linijek! I wreszcie koniec strony. Jaki będzie ostateczny wynik jej działania? Wszyscy zmierzają do jakiegoś kresu. Ona sama. Cary. Colemanowie, Wiedziała, co jest jej końcowym celem, ale nie była pewna, ku czemu zmierza Cary. Wydawał się jakiś zagubiony, szukał nowych projektów do zrealizowania, ale nie mógł znaleźć niczego, co pobudziłoby jego wyobraźnię. Ostatnio wydawało jej się, że Cary zaczyna oddalać się od niej. A może to ona odsuwała się od niego? Musiała przyznać, że całkiem ją pochłaniały sprawy związane z domami opieki. Były takie istotne! Czy tylko starsi ludzie: ona sama, Billie, Thad, potrafili to pojąć? Jak ważne są dla człowieka ostatnie lata życia! – myślała Amelia. Każdy ma prawo do tego, by spędzić je godnie. Już Ona się o to postara, z pomocą Bożą, by im to prawo zagwarantować, choćby nawet rozluźniły się przez to więzy łączące ją

z Carym. Trudno. Kiedyś, gdy starość i jego dogoni, pojmie, że Amelia miała rację. Odwiedzi wtedy miejsce na wzgórzu wznoszącym się nad Sunbridge. Przykłąknie i porozmawia z nią. Może nawet przyniesie kwiaty, jeśli o tym nie zapomni? Przeprosi ją. W oczach staną mu łzy. Czy będzie wówczas sam?... Tego Amelia nie była pewna. Łza spłynęła na zapisany papier.

Potem jeszcze jedna. Płacz ścisnął Amelię za gardło. Nie chciała być stara, nie chciała umierać. Gdyby tak cofnąć czas, choćby na chwilę!

Całym wysiłkiem woli opanowała się. Nie pora na użalanie się nad sobą. Bez względu na to, jak się czuła, miała robotę do wykonania. Ważne zadanie. Ważniejsze niż... tak, ważniejsze niż cała reszta jej życia.

Cary stanął w progu i zajrzał do środka.

– Co ty na to, żebyśmy rzucili wszystko i zjedli lunch na mieście?  
– spojrzał na nią zalotnie. – Zrób się na bóstwo!

Amelia spojrzała na niego kusicielsko i wybuchnęła śmiechem.

– Rozkosze lenistwa, co? Bardzo to wygodne, mój panie bezrobotny! Niestety, muszę przejrzeć ostatnie trzy wywiady, które przeprowadziłam w tym tygodniu. Chcę mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, zanim się spotkam z komisją stanową.

Amelia poczuła głęboki niepokój, gdy jej spojrzenie przesunęło się z pełnej męskiego uroku postaci Cary'ego na wywiad z osiemdziesięciosześcioletnim Jethroe Evansem. Ten starzec wydał się jej nagle bliższy niż własny mąż. Uśmiechnęła się, starając się osłodzić swoją odmowę.

– Może ci pomóc? – zaproponował, .

– Nie, nie. To coś, co zawsze wykonuję sama. Co muszę zrobić osobiście. Cary'ego ścisnęło coś w gardle. Nagle poczuł chłód, choć w pokoju było aż za gorąco. Amelia ostatnio potrzebowała więcej ciepła. Cary czuł, że żona mu się wymyka. Na przykład teraz: rozmawiała z nim, uśmiechała się do niego, a jednak myśli jej błądziły gdzieś daleko, były znów przy tych starcach. Ludziach w jej wieku i starszych od niej, jak określiła to bez ogródek, gdy zaczęła się tym zajmować. W jej wieku. Cary nie chciał myśleć o jej latach. Ich wspólne życie było takie cudowne – czemuż by, u diabła, nie miało być takie nadal?! Kochał ją. Guzik go to obchodziło, ile ma lat! Czuł, że coś zajmuje jego miejsce w jej sercu. Nie podobało mu się to, a co

gorsza, nie miał pojęcia, jak z tym walczyć.

– Słuchaj, dziecinko, może mogłabyś urwać się na kilka dni w przyszłym tygodniu i wybrać ze mną do Nowego Jorku? Zbiera się tam paru speców od finansów i prosili, żebym wziął udział w ich spotkaniu. Mam na to ochotę. Od świąt obijam się bez celu. Moglibyśmy pójść do teatru, załatwić różne sprawunki, pospacerować po Central Parku, może nawet zafundować sobie śniadanko z szampanem. Co ty na to? – Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź żony. Wiedział, że się nie zgodzi, ale miał jeszcze trochę nadziei.

Amelia otworzyła jaskrawoczerwony terminarz, w którym było pełno luźnych kartek. Z ilości nagryzmołonych zawiadomień o różnych spotkaniach Cary zorientował się, że żona była ogromnie zajęta, a niecierpliwy ruch ręki przewracającej kartki powiedział mu, że w najbliższym czasie czeka ją jeszcze więcej pracy.

– Kochany, nie będę w stanie w żaden sposób się wyrwać. Codziennie coś ważnego. Może by mi się udało (ale i to wcale nie jest pewne!) wyjechać w piątek wieczór, lecz musiałabym być z powrotem już w niedzielę rano, bo czeka mnie bardzo ważny lunch w Grey Oaks. Sama go zorganizowałam. Będą na nim gubernator i burmistrz. Może odłożymy nasz wypad na później? A na razie jedź sam i baw się dobrze. Potem do mnie zatelefonujesz i przegadamy cały wieczór. Pamiętasz, jak to robiliśmy w początkach naszego małżeństwa, kiedy wyjeżdżałeś w interesach? Nieraz sen nas zmorzył podczas rozmowy. Rachunki telefoniczne były kolosalne!

– Brakuje mi tamtych dni, Amelio – powiedział Cary. – Brakuje mi ciebie. Prawie wcale nie spędzamy już razem czasu.

– Wiem, kochanie, Ale ponieważ nie mamy wiele czasu, postarajmy się wykorzystać jak najlepiej każdą chwilkę! Czy nie sądzisz, że to mądra zasada?

Wcale tak nie sądził. Miał ochotę rozbić coś dużego! Czy Amelia nie widzi, jak bardzo pragnie być razem z nią?! Czuł się jak ostatni głupiec, stojąc tu i zebrząc o okruszek jej cennego czasu – na miłość boską, nie był jakimś nastoletnim nedorajdą! Wyczuwał niecierpliwość żony: chciała, żeby już sobie poszedł. Żałował, że odwiedził wraz z nią jeden z tych domów dla starców. Starął się ukryć swoją odrazę i przerażenie. Nie był jeszcze w tym wieku, żeby rozmyślać o zbliżającej się śmierci. Niektórzy z pensjonariuszy owego

domu rzeczywiście byli rówieśnikami Amelii, na co mu od razu zwróciła uwagę, ale jakże by mógł porównywać ją z którymś z nich! Nigdy, nigdy, cokolwiek by się stało, nie zgodzi się na umieszczenie jej w podobnej instytucji, bez względu na to, jak wspaniałą gwarantowano by w niej opiekę!

Amelia roześmiała się, gdy jej to oświadczył.

– Kochanie, gdy przestanę panować nad swoimi czynnościami fizjologicznymi albo stracę rozum, czy będziesz w stanie nadal się mną opiekować? Życie jest dla tych, którzy naprawdę żyją. Ja staram się zadbać po prostu o to, by ci starzy ludzie mieli jak najlepszą opiekę. Chcę, by traktowano ich łagodnie i serdecznie, a nie jak niepotrzebne śmiecie. Nie umiem wyrazić tego jaśniej. Muszę im pomóc.

– Nie dokonasz tego sama, Amelio. To przerażająco wielkie zadanie – perswadował.

– Przynajmniej spróbuję, a gdy już nie będę mogła zrobić nic więcej, ktoś inny przejmie pałeczkę. Nigdy nie uwierzę, że jestem jedyną osobą, której na tym zależy. Widzę, że to cię zdenerwowało. Nie powinnam była przywozić cię tutaj. Wrócimy razem do domu, a później przyjadę tu znów sama. – Ton jej głosu był zdecydowany i stanowczy. Cary dał się wyprowadzić jak zbesztany uczeń. Po prostu nie mógł znieść myśli o Amelii w domu opieki, Amelii niepełnosprawnej. Kogo próbował oszukać? Jej choroba odbiła się na życiu ich obojga. Czyżby był po prostu egoistą? Powinien cieszyć się, że Amelia żyje i jest szczęśliwa, zajmując się czymś, co sprawia jej satysfakcję. Miłość, prawdziwa miłość, jest pozbawiona egoizmu, myśli jedynie o szczęściu ukochanej istoty.

– Poczytam sobie gazetę – powiedział spokojnie. – Może zrobić ci kawy?

– Przynieś mi filiżankę herbaty, jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

Co za kłopot?! Chętnie wykopałby dla niej studnię, gdyby zapragnęła wody!

– Zaraz będzie gotowa.

Amelia uśmiechnęła się w duchu. Miała herbaty po uszy, ale jeśli Cary'emu sprawia przyjemność, że może coś dla niej zrobić, wypije jeszcze jedną filiżankę! Uśmiechnęła się znowu, gdy mąż wrócił z tacą, na której stały dwie filiżanki, leżały dwie bułeczki maślane, a jakaś zielona gałązka, wetknięta w kubek, miała stanowić dekorację.

Amelia udała, że nie dostrzega piasku, który spadł na tackę od tej zielonej ozdoby. Biedaczek, czuje się taki zagubiony!

– Powinieneś koniecznie pojechać do Nowego Jorku, kochanie. Nie mogę znieść tego, że marnujesz życie, podczas gdy ja jestem taka zajęta. Obiecuj, że pojedziesz, nawet jeżeli nie będę w stanie się wyrwać.

Cary skinął głową.

– Pewnie tak właśnie się czułaś, gdy pracowałem przez dwanaście, czternaście godzin na dobę? – Nie czekając na jej odpowiedź ciągnął dalej: – Wiem, że tak było. Bardzo tego żałuję, Amelio. Straciliśmy tyle czasu. Godzin, dni, nawet lat. Mój Boże, jak bardzo tego teraz żałuję!

– Cary, spójrz na mnie i posłuchaj uważnie! Bardzo mi cię wtedy brakowało, żalowałam, że nie uczestniczę w tym wszystkim. Żyłam czekając chwili, gdy zjawisz się wieczorem w domu, ale wówczas byłeś tak zmęczony, że prawie nie mogłeś utrzymać się na nogach. Rozumiałam jednak, że jest ci to potrzebne; gdyby wszystko miało się wydarzyć jeszcze raz, niczego bym nie zmieniła. Pragnęłam jedynie twojego szczęścia. Jeżeli ty jesteś szczęśliwy, to i ja. Nie skarzę się na nic. Pomyśl tylko, czego dokonałeś! Zostawiłeś po sobie niezatarty ślad! Jestem taka z ciebie dumna! – Głos jej stał się niezwykle miękki. – Tak bardzo cię kocham.

Cary czuł, że łzy napływają mu do oczu. Otarł je. Nie należał do mężczyzn, którzy wstydzą się okazywać swoje uczucia.

– Zawsze umiałaś znaleźć we właściwej chwili właściwe słowa. Co bym począł bez ciebie przez te wszystkie lata?!

Amelia także otarła łzy.

– Znaleźliśmy się nawzajem i nie ma potrzeby zastanawiać się, co by było, gdyby... Idź teraz i zamów sobie bilet do Nowego Jorku. I nie zapomnij mi przywieźć stamtąd prezentu!

Cary pochylił się nad żoną i ucałował ją. Poczował zapach jej perfum. Uściskał jej ramię.

– Jesteś treścią mojego życia. Nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć, Amelio. Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to boli!

Amelia przygryzła dolną wargę i oparła głowę o ramię męża. Ich wspólne życie. Ich miłość.

## Rozdział czwarty

Cary nie umiałby powiedzieć, czy lubi Nowy Jork czy też go nie znosi. Błądził po mieście bez celu już od kilku godzin, gapiąc się na ulicznych handlarzy, oferujących tandetne plastikowe paski i okulary słoneczne, zerkając na wystawy sklepów w nadziei, że idealny prezent dla Amelii rzuci mu się w oczy i skłoni do wejścia do sklepu. Cóż do diabła, ostatecznie nie miał nic lepszego do roboty! Jeśli o niego chodziło, wycofał się z proponowanego mu interesu, dotyczącego nieruchomości, i to z takim pośpiechem, że aż się za nim kurzyło! Coś mu w tej sprawie śmierdziało, a szkoda było czasu na dociekanie, co to takiego. Nie odstraszały go wymieniane sumy, ale uderzyło go nerwowe zachowanie dwóch inwestorów, poważnych ludzi interesu, którzy powinni byli wejść w to bez mrugnięcia okiem. Już na samym początku spotkania zorientował się, że to nie dla niego i wycofał się, oświadczając, że powiadomi o swej decyzji za dzień lub dwa. Pozostawało mu tylko obijanie się po mieście na własną rękę, Cary szedł i szedł, nie dostrzegając rzucanych w jego stronę zachwyconych spojrzeń. Wiatr targał mu włosy. Nie starał się ich przygładzić; wbił ręce w kieszenie. Zatrzymał się przed jednym z ulicznych sprzedawców i kupił od niego nakręcaną zabawkę: dwa niedźwiadki, jeden niósł drugiego na barana. Później Cary kupił jeszcze ciemne okulary w malusieńkim futerale i wyjątkowo ohydny, żółtozielony skórzany pasek tak szeroki, że można nim było opasać konia. Rozśmieszy z pewnością Amelię. Na innej ulicy kupił składaną parasolkę, ozdobioną ząbkami z koronki, oraz szal w olbrzymie seledynowe i fioletowe kwiaty, jako uzupełnienie paska. Roześmiał się na widok oburzonej miny sprzedawcy, małego Murzynka, gdy zażądał zapakowania sprawunku. Śmiech jego był tak szczery i zaraźliwy, że kilka osób w pobliżu uśmiechnęło się także. Cary skinął głową dwóm dziewczynkom, podziwiającym jaskrawy szal. Rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, dokąd go nogi zaniósły, ! postanowił wpaść do domu towarowego Bloomingdale'a i kupić w nim torbę. Za pięćdziesiąt centów dostanie tak pojemną, że zmieszczą się w niej wszystkie jego sprawunki! Może nawet kupić dwie? Znowu roześmiał się, ubawiony tym<sup>^</sup> że zastanawia się nad wydaniem całego dolara! Dwie godziny temu podjął od ręki decyzję w sprawie zainwestowania

siedmiu milionów dolarów we frymuśny, sześciokątny wieżowiec miedzianej barwy! Amelia pewnie roześmiałaby się i powtórzyła porzekadło: „Ściska w garści grosik, gubi sztukę złota!” Kolorowa torba od Bloomiego jakoś pasowała mu do ręki. Cary’emu wydawało się, że osiągnął coś ważnego. Druga torba leżała zwinięta wewnątrz pierwszej i czekała na dalsze zakupy. Pachnąca uroczo ekspedientka skusiła Cary’ego do stoiska z kosmetykami Chanel i wyciągnęła w jego stronę próbkę perfum. Wziął do ręki małą fiołkę i skinął głową na znak, że podoba mu się ten zapach. – Ten gatunek perfum nazywa się „Coco” – wyjaśniła sprzedawczyni. Ona sama, jak wynikało z identyfikatora, nazywała się Betsy Gili; miała żółty kwiatek w butonierce służbowego żakietu. Cary kupił dużą butelkę perfum, puder i pachnące mydło. Wyciągnął z portfela dwa banknoty studolarowe i schował do kieszeni kilka dolarów reszty. Amelii z pewnością ten zapach się spodoba. Cary miał nadzieję, że żona nie będzie skąpić perfum: lubił pachnącą pościel. Postanowił kupić drugi flakon. Sprzedawczyni rozpromieniła się i oświadczyła, że sama chciałaby otrzymać taki hojny podarek. Cary uśmiechnął się nieśmiało.

– To dla mojej żony – zwierzył się.

Stadko kobiet obiegało stoisko z perfumami. Cary usunął się im z drogi, ale zdążył usłyszeć, jak jakiś znany mu (ale skąd?) głos poprosił o próbkę „Coco”. Cary starał się przebić wzrokiem tłum kobiet, ale nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy. Zły na siebie, skierował się do działu męskiego, nie dlatego, żeby coś było mu potrzebne, ale po to, by mógł przynajmniej powiedzieć Amelii, że zapoznał się z najnowszą nowojorską modą dla panów. Zdecydował się kupić kaszmirowy sweter za czterysta dolarów, wiedząc, że spodoba się jego żonie. Idealny na co dzień: elegancki, a nie rzucający się w oczy! – z pewnością tak scharakteryzowałaby go Amelia.

Minęła już pora lunchu i żołądek zaczął domagać się posiłku. Cary pomyślał, że ma ochotę na pikle i kanapkę z pastrami na razowym chlebie z masą ostrej, brunatnej musztardy. Maszerował do Trzeciej Alei w poszukiwaniu delikatesów.

Okazało się, że połączony z barem sklep był zatłoczony: pełno w nim było kupujących oraz zgłodniałych biznesmenów. Stojąc za mosięzną barierką i czekając, aż zwolni się stolik, Cary usłyszał, jak ktoś zamawia kanapkę z pastrami i peklowaną wołowiną na czarnym



chlebie z dużą porcją musztardy.

– I dietetyczną colę – dodał tenże głos. Ten sam, który Cary usłyszał w sklepie Biomingdale’a.

Dwie panie zwolniły stolik i Cary podskoczył w tamtym kierunku. Gdy zajmował miejsce, zauważył, że z tłumu przy kontuarze wyłania się kobieca postać. Już wiedział, do kogo należał tajemniczy głos!

– Julie! Julie Kingsley! – zawołał zrywając się na nogi.

– Pan Assante! Co pan tutaj robi?

– To samo, co i pani. Proszę się do mnie przysiąść. Może pomóc? Zresztą, co lepiej: mam pilnować stolika czy pomóc w transporcie?

Zauważył dwóch mężczyzn, którzy czyhali na wolne miejsca. Mieli identyczne trzyczęściowe garnitury. Madison Avenue. Jeszcze jedna nowinka nowojorska dla Amelii: mężczyźni nadal ubierali się tu na jedno kopyto!

– Proszę pilnować stolika! – zawołała Julie pełnym radości głosem.

– W porze lunchu w Nowym Jorku trzeba walczyć ostro o miejsca. Warto nosić parasolkę z ostrym czubkiem, Nazywają to „walką o przetrwanie”.

Cary podsunął Julie krzesło, a potem sam usiadł.

– Skąd się pan wziął w Nowym Jorku, panie Assante? Czy Amelia też tu jest?

– Myślałem, że już w Austin ustaliliśmy, że obejdzie się bez „pana Assante”. Cóż to za sens mówić do mnie per pan, a do mojej żony po imieniu?!

Julie zarumieniła się.

– Wydaje mi się, że znam Amelię od wielu lat. Thad i Billie stale o niej mówią. Ubóstwiam pańską żonę!... Cary. Billie i Amelia to najcudowniejsze osoby, jakie kiedykolwiek spotkałam.

– Całkiem się z tobą zgadzam. Ale od tej chwili mam być dla ciebie Cary, a ja będę się zwracał do ciebie „Julie”, dobrze? No więc, co tu robisz?

– Pracuję w Nowym Jorku. Po prostu zakochałam się w tym mieście! Postanowiłam przenieść się tutaj i zacząć od nowego roku nowe życie, otrzymałam propozycję pracy wprost nie do odrzucenia. Nieźle się już zadomowiłam. Wolałabym tylko, żeby nowojorczyki mieli dla siebie odrobinę więcej życzliwości!

– Rozumiem, co masz na myśli. Pracujesz gdzieś w pobliżu?

– Kilka domów stąd. A ty, co tu robisz bez Amelii?

– Jestem w interesach. Amelia nie była w stanie się wyrwać. Właśnie robię sprawunki z myślą o niej: ubóstwiałam kupować prezenty!

– Ja też to lubię. – Julie roześmiała się. – Potrafię godzinami chodzić po sklepach, poszukując idealnie dobranego upominku. Nie obchodzi mnie, ile kosztuje, ważne jest tylko to, czy spodoba się temu, kogo chcę obdarować. Zawsze mnie cieszy, kiedy widzę na czyjejś twarzy radość i zaniepokojenie, gdy rozwija prezent!

– Coś mi się wydaje, że sama zbyt rzadko dostajesz upominki! Taka piękna dziewczyna powinna otrzymywać całe kosze błyskotek!

– Dziewczyna? – Julie uśmiechnęła się. – Mam już trzydzieści osiem lat, za dwa dni będzie ich trzydzieści dziewięć. Chyba trudno zaliczyć mnie do dziewcząt.

– Dla mnie każda kobieta zasługuje na to określenie – powiedział Cary i uśmiechnął się szeroko. – Amelia ubóstwiała, kiedy mówię do niej „lalu”. Oczywiście tylko dla żartu – dodał pośpiesznie.

Podobał mu się apetyt, z jakim Julie pałaszowała grubą kanapkę. Zawsze słyszał, że mieszkanki Nowego Jorku głodziły się, żeby wyglądać jak modelki lub zaoszczędzić na jedzeniu pieniądze potrzebne na bardzo wysoki czynsz. Julie energicznie pracowała szczękami, delektując się pikantną kanapką. Porcja była wielka, jak dla chłopca!

– Dlaczego się przyglądasz? – spytała. – Mam musztardę na brodzie?

Jej szeroki uśmiech ukazał kwadratowe, równe zęby, które z pewnością nie wymagały zabiegów ortodonty. Cary nie pamiętał, że były aż tak białe! Prawda, że spędzili razem tylko pół godziny w kuchni przy filiżance czekolady, a w dodatku było tam dość ciemno. On sam był wtedy zresztą nie całkiem przytomny: upajał się swoim sukcesem. Nie dostrzegł wtedy również mnóstwa jasnych piegów na jej policzkach. Lubił piegi. Amelia też je miała – duże brązowe plamki na ramionach i dłoniach, a nawet na szyi.

– Nic podobnego. Podoba mi się twój apetyt, Julie. Oczywiście Julie zmrużyły się, w kącikach ukazały się zmarszczki.

– Dobrze, że nie powiedziałaś bez ogródek, że jestem żarłoczna, choć taka właśnie jest prawda. Kocham jeść.

– To do siebie pasujemy. Czy lubisz mięso z rożna?

– I to jak! Wolę od pizzy, a nawet delikatesowych kanapek. Nie

odkryłam tu jeszcze barów, gdzie by je podawali. Ale z pewnością je znajdę, możesz być pewny. – Pochyliła się ku niemu przez stolik.

– Zupełnie nie rozumiem, jak ludzie mogą wyrzec się mięsa i przejść na wegetarianizm. Chyba jestem z natury mięsożerna!

– Ja też. – Jakże miło siedziało się z Julie gawędząc o jedzeniu!

– Tylko wstyd mnie powstrzymuje od ustawienia się w kolejce po drugą kanapkę – zachichotała Julie. Odchyliła się do tyłu na wiklinowym krzeselku. – A teraz oddam się mojemu jedynemu, ale bardzo zakorzenionemu nałogowi. Pora na papierosa! Pozwalam sobie na siedem dziennie. Nie pamiętam, palisz czy nie?

– Niestety, palę. Zazwyczaj w restauracjach nie wyjmuję papierosa, ale tutaj, zdaje się, nikomu to nie przeszkadza. Obecnie można się w ten sposób bardzo komuś narazić.

Julie głęboko zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła idealnie okrągłe kółeczko dymu. Cary wyraził uznanie dla jej umiejętności zapalając swego camela.

– Wyobrażasz sobie, jakie by to było okropne: nie móc zapalić papierosa po udanym seksie?

Cary zakrztusił się, próbując dorównać Julie w puszczeniu kółek z dymu. W głowie zadzwonił mu ostrzegawczy dzwoneczek, ale postanowił go zignorować.

– Zupełnie sobie nie wyobrażam. – Nie miał do czynienia z dziewczicą, skądże znowu? Zresztą, to nie jego sprawa. W końcu właśnie seks sprawia, że ziemia się kręci!

Julie nie dopytywała się kokieteryjnie, czy zgorszył się jej uwagą? W ogóle nie stosowała żadnych babskich sztuczek. Wszystko otwarcie i po prostu. Naprawdę mu się podobała!

– Jak długo zostaniesz w Nowym Jorku, Cary?

– Kilka dni. Interesy. Będę tu jeszcze w dniu twoich urodzin. Jeśli nie masz innych planów, może mógłbym świętować je razem z tobą? Uczciłbym jubilatkę uroczystym obiadem! Amelia chyba by mnie zabiła, gdybym w takim dniu zostawił cię samą. Należysz przecież do rodziny!

– Bardzo chętnie, Cary. Mieszkam na Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. – Wyjęła kartkę papieru z torebki i podała mu swój adres. – Wracam do domu koło wpół do siódmej wieczór i mogę być gotowa o wpół do ósmej. Może się dziwisz, że tak się do tego palę? To będzie moja pierwsza randka w Nowym Jorku.

Nie spotkałam tu jeszcze żadnego mężczyzny, z którym miałabym ochotę umówić się na wieczór.

Więc on podobał jej się na tyle, że chciała z nim spędzić wieczór! I to swoje urodziny!

– Słuchaj – powiedział pod wpływem nagłego impulsu – nie musimy czekać do twoich urodzin! Może zjesz ze mną dziś obiad? Jestem sam, a wygląda na to, że i ty też. Zgoda? – Cary wstrzymał oddech czekając na jej odpowiedź. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale jej reakcja zaskoczyła go.

Julie zużyła mnóstwo czasu na zamknięcie papierośnicy i schowanie jej do torby. Lubiła Cary’ego Assante. Była zachwycona jego żoną. Podobałi jej się wszyscy Colemanowie. Zachowała bardzo miłe wspomnienie z rozmowy przy wieczornej czekoladzie; nawet już wówczas zdawała sobie sprawę, że chętnie poznałaby Cary’ego bliżej. Do cholery, dlaczego wszyscy interesujący mężczyźni byli już zajęci?! Ale obiad to przecież nic złego, podobnie jak urodziny. Powinny być jakieś przepisy pomagające znaleźć się odpowiednio w takiej sytuacji. Musi spojrzeć na to z punktu widzenia całej rodziny. Wszystko we właściwych proporcjach.

– Zróbmy tak, panie Assante... to znaczy Cary: zadzwonisz do Amelii i powiesz jej, że masz zamiar wpaść do mnie dziś wieczorem na obiad, który sama ugotuję. Jeśli Amelia nie zgłosi sprzeciwu, będzie mi bardzo miło przyrządzić ci spaghetti z Ragu. Dostaniesz także chleb czosnkowy i sałatę. Może nawet bakłażany, jeśli zdążę wpaść do delikatesów.

– Możesz na mnie liczyć. Przyniosę wino i zadzwonię do Amelii. Spodobałaś się jej, Julie. Mnie też. Uważamy cię za kogoś z rodziny. – Zastanawiał się, co to jest „Ragu”?! Musi spytać Amelii.

Rodzina. Jakie to wspaniałe słowo! Thad i Billie stanowili jej rodzinę, ale oprócz kilku Bóg wie gdzie przebywających kuzynów nie miała nikogo więcej. Tyle że Cary Assante nie należał do jej rodziny. Żaden z niego krewny! Szkoda, że tak bardzo jej się podobał. Może powinna myśleć o nim jak o starszym bracie, z którym można o wszystkim porozmawiać, któremu można się zwierzyć?... Albo spędzić z nim nadchodzące urodziny. Trzydzieści dziewięć – coś okropnego! A trzydzieści dziewięć bez męża to jeszcze gorsze! O trzydziestu dziewięciu latach bez własnego domu i dzieci wołała nie myśleć: było to coś tak strasznego, że się po prostu zwijała w środku.

Jej zegar biologiczny tykał ostrzegawczo...

– Będzie mi bardzo miło, Cary. Ogromnie się cieszę, że wpadliśmy na siebie. Przekaż Amelii ucałowania ode mnie. Spotkamy się... koło siódmej? Czy to ci odpowiada?

– Zgoda, ale teraz odprowadzę cię do biura, jeśli zniesiesz moje towarzystwo. Poczekaj tylko, aż zbiorę swoje paczki.

– O, prezenty dla Amelii! Jakie to urocze! Co jej kupiłeś? Pokaż! Mam jeszcze kilka minut.

Cary dosłownie puchł z dumy, gdy Julie podziwiała jego zakupy. Nie mógł powstrzymać się od nakręcenia niedźwiadków. Julie już się nie śmiała, ale dosłownie ryczała ze śmiechu. Za żadne skarby świata nie powiedziała by temu miłemu mężczyźnie, siedzącemu naprzeciwko niej, że Amelia... cóż Amelia zrobi z nakręcanymi misiami?! Uśmiechnie się z pobłażaniem i pomyśli, że Cary kupił zabawkę dla dziecka, które w nim najwidoczniej drzemało. Jaskrawy pasek i szal zachwyliły ją. Mogła sobie bez trudu wyobrazić, jak sama paraduje w nich po Trzeciej Avenue. Czy Amelia włoży coś podobnego? Sama chciałaby to wiedzieć. Cena perfum spowodowała, że Julie aż zamrugła oczyma. Powąchała „Coco” z aprobatą. Dla niej trochę za ciężkie, ale zdecydowanie interesujące!

Amelia powinna być zachwycona. Jaki uroczy i troskliwy był Cary. Skinęła głową, pochwalając jego wybór; uśmiechnęła się olśniewająco, kiedy wkładała sprawunki z powrotem do torby.

– Mądrze dobrana, urozmaicona kolekcja – oświadczyła.

– Jeszcze nie skończyłem zakupów. Mam zamiar wrócić z całym pudłem prezentów dla Amelii. To tylko zabawki, coś, co wprawi ją w dobry humor. Ostatnio jest zbyt poważna, od czasu, gdy zaczęła się zajmować tymi domami opieki.

– Więc tego nie pochwalasz?

Cary sięgnął po rachunek Julie. Podała mu go bez protestów i podeszli razem do kasy. Potem ładnie mu podziękowała i uśmiechnęła się. Wspomnienie jej uśmiechu nie opuszczało go przez resztę popołudnia. Kiedy wyszli na zalaną słońcem ulicę, Julie pociągnęła go za ramię.

– Nie powiedziałeś mi, czy pochwalasz pracę społeczną, w którą się Amelia zaangażowała.

– Nigdy nie zajmowałem się dobroczynnością. Chyba po prostu nie rozumiem ludzi, którzy pracują dla jakiejś idei po osiemnaście godzin

na dobę i nic z tego nie mają. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało egoistycznie. Całe życie musiałem pracować, i to ciężko, żeby do czegoś dojść. Teraz znalazłem się na rozstaju i czuję się nieomal winny. Praca jest mi niezbędna, muszę się czymś zajmować. Chcę przez to powiedzieć, że dobrze jest przyczynić się do czegoś ważnego. To, co Amelia robi, jest wspaniałe, ale ona po prostu dostała obsesji na tym tle! Nie ma już czasu na nic innego! Bardzo pragnąłem, żeby przyjechała ze mną do Nowego Jorku, ale ma całe dni wypełnione spotkaniami! .

– Czujesz się samotny. Masz rację, człowiek musi czymś się zająć. Dlaczego nie przyłączysz się do Amelii i nie pomożesz jej? Zawsze brakuje chętnych do takiej pracy. W końcu niewielka grupka musi odwalać całą robotę. A może nie chcesz się angażować w coś, co wiąże się ze starością?

Trafiła w samo sedno. Cary przytaknął z ponurą miną.

– Chodź już, mamy zielone światło. – Nie chciał rozmawiać o Amelii i jej ukochanym projekcie z tą młodą kobietą. Przynajmniej nie w tej chwili. Czuł się nielojalny wobec Amelii. I tak powiedział już zbyt wiele.

Julie szybko połapała siew nastroju Cary'ego. Szła obok niego, dzięki długim nogom bez trudu dotrzymywała mu kroku.

– A co tam u pani Buckalew? Wiesz, zmusiła mnie po prostu, bym zamówiła u niej horoskop, ale dotąd go nie otrzymałam. Zapłaciłam jej trzysta dolarów. Wiem, że to głupie, ale astrologia zawsze mnie fascynowała. Codziennie czytuję horoskopy w prasie. Kiedy są pomyślne, wierzę w nie, a kiedy złe, mówię sobie, że to wszystko bzdury. Jestem spod znaku Barana. A ty?

– Lew. Nie domyśliłaś się tego? Tess powiedziała Amelii, że jak tylko na mnie spojrzała, wiedziała, że to mój znak. Jak sądzisz, czy nasze znaki są ze sobą zgodne?

– I to jak! – powiedziała Julie cicho. Idealne połączenie: Baran i Lew. Jutro znajdzie podręcznik astrologii i dowie się wszystkiego o ludziach spod znaku Lwa: Napisze do Tess. Buckalew z zapytaniem, co z jej horoskopem? Z pobraniem z góry pieniędzy jakoś się nie ociągała!

– Jesteśmy na miejscu. Pracuję na dwudziestym siódmym piętrze. To był bardzo udany lunch, Cary. Dzięki, żeś mi urozmaicił szary dzień. Do zobaczenia koło siódmej. – Pomachała lekko ręką i weszła

w drzwi obrotowe. Cary spoglądał za nią, licząc, że się odwróci i pomacha mu po raz drugi. Miał zamiar odpowiedzieć podobnym gestem. Ale Julie nie odwróciła się. Czując się dość głupio Cary rozejrzał się dookoła. Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest. Cóż, jeśli samemu nie zna się drogi, trzeba wziąć taksówkę i niech się kierowca martwi.

Akurat do krawężnika podjechała taksówka. Wysiadła z niej dwójka rozchichotanych dziewcząt i towarzyszący im wymizerowany, długowłose młodzian. Cary rzucił torbę na tylne siedzenie wozu i usiadł obok.

– Do Cartiera.

Sklep był urządzony dyskretnie i niezwykle wytwornie. Amelia czułaby się tu jak w domu wśród tych drogocennych klejnotów i czarnego aksamitu. Przyćmione światła sprawiały, że wszystko wydawało się jeszcze bardziej efektowne. Cary powiedział sobie, że mógłby wykupić cały ten kram i sporo by mu jeszcze zostało, nie musi więc mdleć z wrażenia!

– Nie bardzo wiem, czego szukam – oznajmił przyglądającemu się z wyższością sprzedawcy.

– Proszę o jakąś wskazówkę: może kolczyki? Jaki rodzaj kamieni pana interesuje?

– Brylanty. Chyba bransoletka. A może i kolczyki. Dla mojej żony.

– Urodziny? Rocznicę ślubu?

Cary poczuł nagłą ochotę, by dać mu po gębie. Skąd ten gniew? To po prostu śmieszne. Gdyby udał się do sklepu żelaznego po jakieś narzędzia, nie dziwiłby się, że sprzedawca oczekuje od niego pewnych wyjaśnień, by podać właściwy artykuł. Tyle że w tamtym sklepie wszystkie wyroby były na widoku. Tutaj to, co najcenniejsze, znajdowało się w sejfie i przynoszone było stamtąd po jednej sztuce. W sklepie z narzędziami spytano by go, na jaką cenę go stać? Tutaj prawdopodobnie w ogóle nie trafiał klient, który musiał upewniać się co do ceny.

Trzy kwadranse później Cary dokonał wyboru: bransoletka z platyny, koronkowej roboty, wysadzana brylantami, oraz szmaragdowe kolczyki. Wypisał czek i w jednej chwili stał się uboższy o sześćdziesiąt sześć tysięcy czterysta trzydzieści siedem dolarów i dwadzieścia osiem centów. Choćby został najbogatszym człowiekiem świata, nie przyzwyczai się nigdy do takich cen

bizuterii!! Wrzucił wytwornie opakowane pudełeczka do torby od Bloomingdale'a i z satysfakcją zauważył grymas na twarzy wytwornego sprzedawcy. Cary obdarzył go szerokim uśmiechem. Wyszedłszy ze sklepu głęboko odetchnął. Nie znosił takich zakupów!

W pierwszej chwili chciał wrócić do hotelu i zadzwonić do Amelii, potem jednak zdecydował się na spacer po Central Parku. Dzień stał się chyba jeszcze bardziej słoneczny niż przedtem.

Cary przeszedł bez pośpiechu przez Piątą Aleję, zatrzymał się przy Dziecięcym Zoo. Zdumiewał go upór pewnego pięciolatka, wspinającego się, ku przerażeniu matki, na pręty klatki z małpami. Nie mógł powstrzymać się od myśli, jakim też on sam byłby rodzicem? Amelia okazała się dla Randa cudowną matką. Gdyby była młodsza, oboje z pewnością postaraliby się o dzieci. Chyba mózg mu nagle wysiadł! Nie, nie mogliby mieć dzieci – z powodu aborcji, która w młodości trwale okaleczyła jego żonę. Żałował teraz, że Amelia mu o tym opowiedziała. Zresztą, nie odczuwał z tego powodu żadnego braku w swoim życiu. Zastanawiał się po prostu z ciekawości. Ojcostwo wymaga wielkiego zaangażowania. Pewnie nie nadawałby się wcale na ojca. Ale mimo wszystko... przyjemnie byłoby mieć córeczkę. Kogoś, kto mówiłby do niego „tatusiu”. Amelia zadbałaby o jej debiut towarzyski... Cóż to za bzdury! Próbował sobie wyobrazić Amelię w otoczeniu dzieci, w domowej sukni, z maluchem trzymającym się jej spódnicy i z niemowlęciem w ramionach. Zapachy gotującego się obiadu, telewizor włączony od rana do nocy, porozrzucane wszędzie zabawki... Niewielki domek z ogródkiem i płotkiem... Wzdrygnął się. Nie, lepsze takie życie jak teraz! Może gdy będzie starszy, pożałuje, że nie potoczyło się inaczej, ale nie w tej chwili! Boże, miał dopiero czterdzieści osiem lat! A Amelia sześćdziesiąt siedem. Ta myśl sprawiła, że Cary nagle zatrzymał się. Kobieta w sportowych spodniach i opasce na głowie zderzyła się z nim. Cary przeprosił. Przyjęła opryskliwie jego usprawiedliwienie dodając, że jeśli poczuł się niedobrze, to powinien usiąść. Odpowiedział jej skinieniem głowy i skierował się w stronę jednej z ławek, stojących koło ogrodzenia parku, bokiem do alei.

Pełna życia, dowcipna, czarująca, kochająca – sześćdziesięciosiedmioletnia żona. Żadna młodsza kobieta nie mogła się nawet z nią równać! Cóż z tego, że miała brunatne plamki na ramionach i dłoniach? Cóż z tego, że miała delikatne zmarszczki



wokół ust i oczu? Kochał, do cholery, każdą jej plamkę i zmarszczkę i nie zamieniłby Amelii na nikogo innego pod słońcem! Oddałby swoją pracę, swój majątek, swoje życie, gdyby Amelia tego zażądała. Kochał ją ciałem i duszą. Zawsze tak było i tak będzie. Była całym jego życiem – na miłość boską, dosyć już tego idiotycznego, bezcelowego spaceru i wpadania na ludzi! Wróci do hotelu, zamówi drinka albo dwa i zadzwoni do Amelii. Serce zaczęło mu gwałtownie walić. Amelia była jedyną kobietą, która wprawiała jego serce w taki niepokój.

Cary wypił swoje drinki i przez resztę popołudnia usiłował dodzwonić się do Amelii. Kiedy mu się to wreszcie udało, piętnaście po szóstej nowojorskiego czasu, musiał się już spieszyć i był odrobinę opryskliwy. Gdy Amelia zorientowała się, kto mówi, głos jej nabrał ciepłych tonów.

– Staralem się do ciebie dodzwonić przez całe popołudnie, Amelio! Musiałem koniecznie z tobą pomówić!

– No więc rozmawiamy, kochanie. Tak bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś. Tęsknię za tobą, Jak tam w Nowym Jorku?

– Żałuję, że ze mną nie pojechałaś. Boże, strasznie mi cię brak! Na pewno nie zdołasz się wyrwać, choćby na jeden dzień?

– Kochanie, bardzo bym chciała, ale nie mogę. Przerabialiśmy to już przed twoim wyjazdem. Jak się udało spotkanie?

– Wcale się nie udało. Nie mam zamiaru się do tego włączyć. Znajdę sobie coś innego. Nie martw się o mnie. Słuchaj, nigdy się nie domyślisz, kogo spotkałem w delikatesach, kiedy wpadłem na lunch! Po moim zakupowym szaleństwie.

– Aż szaleństwie? – roześmiała się Amelia. – Szybko opowiedz mi, co kupiłeś!

– Kupiłem sobie kaszmirowy sweter u Bloomingdale’a. Obszedłem wszystkie możliwe sklepy: mam pełne dwie torby prezentów.

– Dwie torby?! – pisnęła Amelia jak mała dziewczynka. Cary zaśmiał się. – No, zdradź mi choć jedną tajemnicę! Podpowiedz coś, żebym się mogła domyśleć!

– Nie ma mowy. Musisz poczekać, aż wrócę.

– Nie znoszę, Cary, kiedy tak się ze mną drażnisz!

– A ja bardzo lubię, kiedy ty się ze mną drażnisz. Nie masz pojęcia, jaki jestem na ciebie napalony! Dosłownie stoję na baczność!

– Ubóstwiam, gdy mi mówisz takie rzeczy! Tylko nie strać na mnie

ochoty, zanim wrócisz do domu!

– Nie ma mowy. Będiesz potrzebowała ochrony policji, jak tylko się pokażę w drzwiach!

Amelia zachichotała. Cary czuł, że jego podniecenie rośnie. Pomasował się i aż jęknął. Amelia zachichotała ponownie. Ubóstwiała takie przekomarzanki, on zresztą też.

– A kogo spotkałeś w delikatesach?

– Boże, Amelio, czemu cię tu nie ma?! – wykrztusił Cary przez zaciśnięte zęby. – Julie Kingsley.

– Skąd ona się wzięła w Nowym Jorku? Ma urlop?

– Skądże znowu! Pracuje teraz tutaj. Zjedliśmy razem lunch; oczywiście na mój koszt. Powiedziała, że przeprowadziła się z początkiem roku. Podoba jej się tu, ale czuje się dość samotnie. Chyba jest dość wymagająca, jeśli chodzi o dobór przyjaciół.

– Czy wygląda tak samo ładnie jak wtedy w Sunbridge?

– Wygląda, według mnie, całkiem dobrze. Czy wiesz, że ma piegi? Nie zauważyłem tego poprzednio. Ale nie takie ciemne jak twoje.

– Kochanie, u mnie to są plamki wątrobiane, nie piegi. Oznaka mojego wieku. Ale Julie ma prawdziwe piegi, zauważyłam je. Śliczna z niej kobieta. Mam nadzieję, że zabierzesz ją gdzieś na obiad. Zrób to, Cary. Powinniście zaszaleć! Podoba mi się Julie. To dziewczyna w moim typie!

– Zrobię, jak chcesz. – Cary rzucił okiem na suwak i nie zdziwił się, że spodnie leżały już całkiem płasko. I po wszystkim. Westchnął.

– Nie masz powodu aż tak się nad sobą użalać. Nic ci się nie stanie, jak spędzisz z Julie miły wieczór. Zabierz ją do mojej ulubionej restauracji „Pod Lwią Skałą”. Obiecuj.

– Zgoda. Powiedziała mi, że ma za dwa dni urodziny. Wtedy ją tam zabiorę. W porządku?

– Cudownie, kochanie! I musisz jej kupić jakiś rewelacyjny prezent! Odnas obojga. Julie to pracująca dziewczyna, niech więc będzie to coś takiego, na co sama nie mogłaby sobie pozwolić. Pamiętaj, że będzie miała trzydzieści dziewięć lat! Prawie czterdzieści, a to już średni wiek! Daj jej coś takiego, żeby o tym zapomniała! Pamiętam, że byłam wściekła, kiedy mi stuknęło dwadzieścia dziewięć, a potem trzydzieści dziewięć i czterdzieści dziewięć. Za to gdy doszłam do pięćdziesięciu dziewięciu, byłam w siódmym niebie! Sama nie wiem, czemu. Wszystko jedno, to musi być

naprawdę olśniewający prezent.

– Amelio, przestań już z tym wiekiem! Musisz mi pomóc! Musisz mi pomóc. Nie mam pojęcia, co jej kupić.

– Etołę z norek. Ile pracujących dziewcząt mogłoby sobie pozwolić na coś takiego?

– Pewnie niewiele, ale czy to nie za kosztowny prezent?

– Może i tak, ale jeśli ofiarujesz go od nas obojga, Julie z pewnością przyjmie. Gdybyś sam jej to dał, na pewno nie zgodziłaby się – ona jest tego rodzaju dziewczyną. Chyba jeszcze nosi się etole? A może lepiej kurtkę? Takie futrzane kurtki można nosić do wszystkiego, nawet do dżinsów. Kupuj kurtkę!

– Jesteś tego pewna, Amelio?

– Zupełnie. Kup też kwiaty. Ładne róże, a nie jakieś nowomodne dziwolągi. Zamów dom perignon. Rocznik 55, jeśli uda ci się go zdobyć. Zrób to w wielkim stylu, Cary!

– Bardzo mi cię brak, złotko! Chciałbym już znowu być w Teksasie.

– Kochanie, ja też za tobą tęsknię, ale wierzaj mi, nic nie tracisz, że cię tu w tej chwili nie ma! Leje jak z cebra: ledwie dotarłam do domu. Właśnie szykowałam sobie gorącą kąpiel i zdaje się, że wanna mi się przelewa. Zatelefonuj później! Przez cały wieczór będę siedzieć po uszy w papierzyskach. Mam nadzieję, że ci nie minęła ochota na mnie? Jeszcze o tym pogadamy, zgoda?

Cary cmoknął serdecznie w słuchawkę.

Amelia weszła do łazienki i zajrzała do pustej wanny. Odkręciła kurki i od razu jej wyrzuty sumienia osłabły. Z kryształowego pojemnika sypnęła obficie kolorowe kąpielowe sole. Para unosiła się powoli ku górze, a wraz z nią upajający zapach. Amelia była zmęczona: kąpiel i lekka kolacja przed telewizorem świetnie jej zrobią. Cały wieczór dla siebie! Będzie mogła przemyśleć postępy, jakie poczyniła w kontaktach z lokalnymi i stanowymi władzami.

Rozebrała się, unikając spoglądania w olbrzymie lustro na drzwiach. Nie chciała patrzeć na rażącą bliznę po operacji wszczepienia bypassów. Wyciągnęła się rozkosznie w wannie, myśląc o Carym i ich rozmowie telefonicznej. Julie była wspaniałą młodą kobietą. Ojciec Amelii życzył sobie kiedyś, żeby ona sama była właśnie taka!

Zdaniem Amelii, Cary nie mógł lepiej trafić! Poczula przelotne ukłucie żalu, ale potem przypomniała sobie wszystkie swoje szczęśliwe chwile i dobre lata. Jej życie – w większej części – było cudowne. Nie sam jego początek, ale ostatnie czterdzieści lat. Czterdzieści lat? Boże, jak szybko przeleciały! Najlepsze były lata spędzone z Carym. Aż do ostatniego tchu będzie kochać Cary’ego. To cud, że przeżyła tę operację, że może nadal żyć, kochać i zajmować się czymś pożytecznym, dopóki jej życie nie dobiegnie końca. Wiedziała, że to życie zostało jej darowane w jakimś konkretnym celu. Przypomniała sobie wszystkie swe bezgłośnie modlitwy: „Pozwól mi żyć... Pozwól mi żyć, zrobię wszystko, co tylko zdołam... Pozwól mi żyć, a udowodnię, że potrafię coś więcej, niż tylko wegetować... Błagam Cię, Boże, pozwól mi żyć i znów ujrzeć Cary’ego... Pozwól mi żyć, pozwól mi kochać... „– A potem. w sali pooperacyjnej, gdy zrozumiała, że los ją oszczędził, znów bezgłośnie modliła się, dziękując Bogu i ślubując dokonać czegoś ważnego.

Początkowo nie wiedziała, co to ma być, teraz jednak była tego świadoma. Bóg pozwolił jej nadal żyć i kochać Cary’ego. A ona musi teraz Mu podziękować, spełnić, co obiecała. Szkoda, że Cary jej nie rozumiał, ale ona sama doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co ma zrobić, a to było przecież najistotniejsze. Musi spłacić ostatni, końcowy dług. Otrzymała tyle w darze, więcej, niż większość ludzi ma prawo oczekiwać od życia. Udało jej się przeżyć. Czy to nie Faulkner powiedział, że nic wystarczy przeżyć, trzeba jeszcze zapanować nad samym sobą? Cóż, to jej się także udało. Sprawdziło się wyświechtane stare powiedzenie o dojściu do zenitu. Jej słońce gasło; nastąpił cienisty okres jej życia. Musi się postarać, aby i on nie był bezużyteczny.

Amelia uniosła długą, szczupłą nogę: palce były sztywne i sterczały na zewnątrz. Ostrożnie odkręciła kurek obserwując, jak strumień gorącej wody siecze bańki piany nad otworem odpływowym. Odsunęła stopę i pozwoliła, żeby część ciepłej wody wyciekła. Drobną kroplę opryskiwały jej kolana. Roześmiała się i obracając nogę w różne strony przyglądała się, kiedy mniej uwydatniają się luźne fałdy skóry nad kolanami. Utrata elastyczności skóry – przekleństwo każdej kobiety. Kiedyś rozpaczałaby lub próbowała zlikwidować to operacyjnie. Teraz po prostu nie dbała o to. Była nadal żywa, pełna miłości i miała ważną misję do spełnienia. O nic więcej

nie mogła prosić. Na nic więcej już nie liczyła. Prostota tego spostrzeżenia pobudziła ją do śmiechu. Wyciągnęła ramię, przyglądając się luźnej zwiotczalej skórze i w myśli wzniosła toast za pomyślność Cary'ego i Julie.

– Zdrowie przyjaciół i kochanków! – szepnęła.

Uśmiezek, który błąkał się wokół jej ust, był przejmująco smutny.

Cary kwadrans po siódmej wmaszerował do obskurnego holu na parterze domu, w którym mieszkała Julie. Windziarz przedstawił się jako Angelo i powiedział, że polecono mu zawieźć pana Assante prosto na szesnaste piętro. Cary'ego ubawiło to, że Angelo czekał w drzwiach windy, póki Julie nie otworzyła drzwi.

– W porządku, Angelo! – uspokoił go Cary. – Dzięki! Julie zamykała drzwi na trzy spusty.

– Nie jestem przyzwyczajona do wielkiego miasta. W oknach też mam kraty. Drabinka przeciwpożarowa przechodzi tuż obok mego okna, a w dodatku jest to ostatnie piętro. Nad głową mam już tylko dach. Podnajmuję to mieszkanie od kogoś. Jak ci się ono podoba? Samotna dziewczyna w Nowym Jorku płaci 850 dolarów za podnajęcie mieszkania. Mam szczęście, że w ogóle udało mi się je zdobyć!

– Ważne jest tylko to, czy jesteś tu szczęśliwa i dobrze się w nim czujesz. Podoba mi się wewnątrz: widać, że ktoś tu naprawdę mieszka!

Julie uśmiechnęła się.

– Usiądź, zrobię ci drinka. Czego się napijesz?

– Szkoocka z wodą będzie w sam raz, dzięki. A ty?

– Zrobię sobie szprycerka z wina. Alkohol uderza mi do głowy i mówię wtedy dziwne rzeczy. Wolę być ostrożna.

– Jakie dziwne rzeczy? – Cary chciał wszystko dokładnie zapamiętać, by powtórzyć potem całą rozmowę Amelii. Lubiła takie pogaduszki.

– O tym, jaka byłam gruba w dzieciństwie. O moim trądziku młodzieńczym i kłopotach z pierwszym biustonoszem, takie bzdety. To chyba wewnętrzny przymus. Muszę się zwierzyć, jaka byłam na różnych etapach nieszczęśliwa.

– A z czego się zwierzasz popijając szprycerka? – przekomarzał się Cary.

– Że nie potrafię sama upiec placka, korzystam z półproduktów. I

sos do spaghetti też nie będzie domowej roboty.

– A więc to jest owo tajemnicze Ragù! No to już po sekrecie! – Zabawne. Siedzieli tu we dwoje, w gruncie rzeczy prawie się nie znali, a czuli się ze sobą tak swobodnie i gawędzili o jedzeniu!

– Rozmawiałaś z Amelią?

Wiedział, jak bardzo ważne będzie to, co odpowie: dostrzegł niespokojny błysk w oczach Julie.

– W końcu się do niej dodzwoniłem, godzinę temu. Bardzo się ucieszyła, żeśmy na siebie wpadli. Powiedziałem jej o twoich urodzinach i poradziła, żebym cię zabrał do jednej z jej ulubionych restauracji, „Pod Lwią Skałą”. Przekazałem jej całusy od ciebie i ona też cię gorąco pozdrawia.

Julie zrzuciła pantofle i podwinęła nogi pod siebie.

– Ubóstwiam tę kanapę. Jest taka ogromniasta! Kiedy i jeżeli w ogóle będę miała własny dom, kupię sobie dokładnie taką samą! Jesteś głodny?

– Jak wilk. A ty?

– Gdy się ma przed sobą perspektywę spaghetti z Ragù, trzeba być super-głodnym! Jem je tylko wtedy, gdy umieram z głodu albo jak mi się bardzo spieszy. Billie i stryjek Thad twierdzą jednak, że nie jest ważne, co sieje, tylko w jakim towarzystwie. Zaczynam sądzić, że mają rację.

– Ja też.

Śmiali się i gawędzili. Potem zjedli i razem pozmywali naczynia. Wreszcie usiedli na beżowej kanapie i obejrzeli na wideo „Czarodziejskiego smoka Dymka”. Julie powiedziała, że ten film wprawia ją w fantastyczny nastrój. Cary podał jej swoją chustkę, gdy się rozplakała. Wyjaśniła, że zawsze w tym momencie szłocha, ale to dobry płacz: czuje dzięki niemu, że ma serce na właściwym miejscu i za nic by się tego nie wyrzekła! Był to cudowny, spokojny wieczór. Cary nie pamiętał, kiedy czuł się równie dobrze. Dokładnie o jedenastej Julie zgasła telewizor, odłączyła wideo i oświadczyła Cary’emu, że powinien już się zbierać, bo z niej jest ciężko pracująca kobieta i musi mieć siedem godzin snu; inaczej rano będzie nie do życia.

– Dzięki za obiad. Przepraszam, że zapomniałem o winie. Postaram się jakoś ci to wynagrodzić.

– W porządku. A ja przepraszam za Ragù. Ja też ci to jakoś

wynagrodzę.

– A jak – nalegał Cary, – No... ja... może jakoś... – Julie splonęła ciemnym szkarłatem. Cary natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

– Niespodziewany gość powinien się cieszyć, że w ogóle coś dostał. Spaghetti mi smakowało. Zjadłem podwójną porcję i chyba nie słyszałaś, żebym się skarżył.

– Ja też sienie skarżyłam na brak wina – odparła Julie niepewnym głosem.

– Masz rację, nie skarżyłaś się. Pożegnania to głupia sprawa: miałbym ochotę cię pocałować, ale się powstrzymam. Jak widzisz, szkocka z wodą i mnie skłania do szczerości. Daj mi swój numer telefonu, to jutro do ciebie zadzwonię i może zjemy coś na mieście. Będę aż do czwartku.

Julie podała mu numer, Cary powtórzył go trzy razy, żeby dobrze zapamiętać.

– Wobec tego do jutra. Dobranoc Julie.

– Dobranoc, Cary.

Począł na korytarzu, póki nie usłyszał, że szczęknęły trzy zasuw. Miał ogromną ochotę zagwizdać, ale się pohamował i wezwał windę. Pół godziny później był już z powrotem w swoim hotelu. Wziął prysznic, owinął się ręcznikiem, zadzwonił, żeby mu przyniesiono drinka i rzucił się na łóżko. Była za kwadrans dwunasta, a w Teksasie dochodziła dziesiąta. Amelia na pewno jeszcze nie śpi. Pił już drugiego drinka, gdy piętnaście minut później dodzwonił się do żony. Jej głos bynajmniej nie był senny.

– Kochanie, chciałam już zrezygnować z czekania i położyć się – powiedziała – ale wiem, że dotrzymujesz słowa, więc powiedziałam sobie, że Zadzwonisz. Cóż porabiałeś przez cały wieczór?

Cary poczuł dosłownie w całym ciele, jak opadły go wyrzuty sumienia.

– Wypiłem kilka drinków i oglądałem telewizję. I tak mi jakoś cały wieczór zleciał. – Ściśle rzecz biorąc, nie było to kłamstwo. Cary szczyił się tym, że nigdy nie oszukał Amelii. Jakoś trudno mu szła ta rozmowa, sam nie wiedział czemu.

– Masz taki znużony głos, kochanie. Może byś lepiej odłożył słuchawkę i trochę się przespał? To pewnie nowojorskie powietrze.

– Możliwe. A ty co porabiasz poza tym, że gawędzisz ze mną? Przyjemnie ci minął wieczór? Tęsknisz za mną?

– Kochanie, tęsknię za tobą nawet wtedy, gdy jesteś w drugim pokoju. Jeszcze jak! ... Przejrzałam papiery, zrobiłam kilka notatek, przeczytałam rozdział jednej z tych twoich nowości. Przed chwilą coś przekąsiłam, kilka krakersów i winogrona. No i czekałam na twój telefon. Obiecałam ci... – Amelia przerwała na chwilę, żeby się przekonać, czy Cary pamięta złożoną wcześniej obietnicę. Kiedy puścił tę uwagę mimo uszu, Amelia przymknęła powieki. Jednakże niemal natychmiast otworzyła oczy. Wyprostowała ramiona i spytała lekkim tonem: – Co jadłeś na obiad?

– Spaghetti, sałatę, chleb czosnkowy i jeden czy dwa drinki.

– A gdzie poszedłeś coś zjeść – Chyba to było na Siedemdziesiątej Dziewiątej. Nieźle sobie podjadłem. – Powiedzmy już sobie lepiej dobranoc, kochanie.

– Masz rację. To był długi dzień! Kocham cię, słoneczko. Wiesz o tym, prawda?

– Oczywiście, że wiem. I ja też cię kocham – powiedziała lekko Amelia. – Śpij smacznie, kochanie.

Usłyszał trzask odkładanej słuchawki i połączenie zostało przerwane, Czemu nie powiedział Amelii, że jadł obiad w towarzystwie Julie?! Przecież by zrozumiała! Najgorsze było to, że pewnie i jutro nie powie jej o wspólnym wieczorze z Julie. Czuł się skończonym zgniłkiem. Zadzwoił po następnego drinka. O śnie nie ma co marzyć. Wyrzuty sumienia były dla Cary'ego czymś nowym. Nie sprzyjały odprężeniu.

Amelia odrzuciła pachnącą pościel. Poruszała się z pewnym trudem. Przeniosła się na stronę łóżka zajmowaną zazwyczaj przez Cary'ego, trwało to dość długo. Wygładziła prześcieradło i powłoczkę, tak że na pościeli nie było ani jednej fałdki. Zsunęła z siebie koronkowy peniuar od Diora, otrzymany kilka lat temu od Cary'ego na urodziny, i ułożyła starannie w nogach łóżka po swojej stronie. Przyglądała mu się przez chwilę, a potem przeniosła go na stronę męża, tam, gdzie Cary zawsze kładł swój szlafrok. Oczy jej padły na poduszkę męża. Wydało jej się, że czuje jego zapach.

Cary często wyjeżdżał w interesach, ale nigdy nie wzbudziło to w Amelii podobnych reakcji. Odczuwała jego brak w jakiś szczególny sposób, nieznaną jej dotąd. Podciągnęła kołdrę pod brodę i wpatrywała się w poduszkę męża. Zawsze zbijał ją w okrągłą kulę.



Była wypchana gęsim puchem, więc mu się to udawało. Ona sama wolała twardsze poduszki.

Wokół panowała taka cisza, że Amelia słyszała cichutkie szmery elektronicznego zegarka, stojącego na nocnym stoliku. Cisza i samotność. Spokój. Prawie jak śmierć. Wstrząsnęła się, nie podobał się jej własny przyspieszony oddech. Z przyzwyczajenia zmierzyła sobie puls. Zbyt szybki. O wiele za szybki. Nie było na to rady. Jakoś to zniesie, zapanuje nad tym. Postara się pomyśleć o czymś obojętnym. Ale o czym? Cary był całym jej życiem. Oczywiście, że ostatnio zajmowała się także czymś innym i nie miała dość czasu.

Julie Kingsley. Młoda, pełna życia i ciepła, łagodna, serdeczna. Prawie członek rodziny. Takie same zalety jak Cary. Futrzana kurtka to był głupi pomysł. Musi zadzwonić do Cary'ego z rana. Co też jej przyszło do głowy? Prawdę mówiąc, to był idiotyczny pomysł! Złota bransoletka zupełnie wystarczy.

Amelia spojrzała na cichutko brzęczący zegarek. Powinna już spać, a zamiast tego leżała całkiem wybita ze snu. Dobrze, pomyśli o Zarządzie Finansowym Opieki Zdrowotnej i wywiadach z mieszkańcami domu opieki, wyznaczonych na początek lata. Czuła, że należy sprawdzić rzetelność stanowych inspektorów, zapewniających, że obiekty zgodne są ze standardami Opieki Zdrowotnej. Wszyscy zachwycali się tym, ile zdołała osiągnąć, ale niepokoił się – podobnie jak ona sama – czy uda się jej zrealizować tak ambitny zamiar. Mieszkańcom domu opieki potrzebne było czyjeś zdecydowane wsparcie. Już ona się o to postara, żeby je uzyskali!

Puls Amelii był już normalny, a oddech spokojny. Tess Buckalew. Może powinna znowu poprosić ją o horoskop? Jaka będzie przyszłość jej i Cary'ego? Czy naprawdę pragnęła ją poznać? Z całą pewnością nie chciała, by dowiedziała się o niej Tess Buckalew! Może więc zwrócić się anonimowo do jakiegoś astrologa? To wszystko bzdury! Kto przy zdrowych zmysłach wierzy, że gwiazdy mogą kierować ludzkim losem? Cary śmiał się z tego i skłaniał ją samą do żartów, ale żadne z Buckalewów nie podejmowało poważniejszego kroku, zanim Tess nie poradziła się gwiazd. To okropne żyć w takim uzależnieniu! A jednak wyglądało na to, że Buckalewom nieźle się powodzi. Czy aby na pewno? Cole mówił, że to tylko pozory, że robią bokami jak wszyscy nafciarze. Amelia dobrze wiedziała, że Billie, chłopcy i Sawyer spędzali długie godziny na naradach, starając się

przeanalizować sytuację. Czytywała także wiadomości prasowe. Ceny ropy spadały. Cole był podrażniony, Sawyer ciągle telefonowała z Japonii i miała pretensje do wszystkich. Riley, przeciwnie, nabrał wody w usta, ale w jego oczach widoczny był taki sam niepokój. Sprawy nie układały się najlepiej dla Coleman Oil, a jeśli sytuacja nie ulegnie szybko poprawie, ucierpi na tym również Coleman Aviation. Cóż, nie był to problem Amelii. Jeżeli będzie im potrzebna, zadzwonią do niej i wówczas zrobi, co będzie mogła. A na razie cały jej czas pochłaniało coś ważniejszego od ropy naftowej.

Julie Kingsley. Cary – czterdzieści osiem lat. Julie – trzydzieści dziewięć. Jedno pasowało do drugiego. Ona sama – sześćdziesiąt siedem, a Cary – czterdzieści osiem. Tutaj liczby zupełnie się nie zgadzały. Dziewiętnaście lat różnicy i żona pół-inwalidka, co nie pomagało zapomnieć o dzielących ich latach. Gdyby nie późna pora, Amelia zatelefonowałaby do Billie, ale wiedziała, że Kingsleyowie kładli się spać zaraz po wieczornych wiadomościach. Była więc zdana wyłącznie na siebie. Pomyśl o czymś innym – perswadowała sobie. – Zastanów się nad działalnością Zarządu Finansowego Opieki Zdrowotnej. Nie zastanawiaj się nad głosem Cary’ego: udreńczonym, pełnym poczucia winy!

Amelia opadła na sprężystą poduszkę wypchaną sztuczną gąbką i prawie natychmiast zasnęła. Spała głęboko do czwartej, ale potem już tylko drzemała i nękały ją przerażające koszmary. Kiedy zbudziła się o szóstej, wyraźnie pamiętała ostatni z nich: została oddana do domu opieki, bo przestała panować nad swymi funkcjami fizjologicznymi. Przywiązana do łóżka, z włosami zbitymi w kołtun i ze śliną ciekącą z ust czekała na pięciominutową wizytę Cary’ego, odwiedzającego ją raz na dwa tygodnie. Pielęgniarka, która wprowadziła go do pokoju, była piękną, młodą kobietą w miękkim białym stroju; czepek pielęgniarski otaczał jej głowę jak aureola. Łagodnym głosem szeptała, że Amelia czeka na niego cierpliwie i żyje tylko jego odwiedzinami. Delikatnie przyglądała siwe włosy Amelii i otarła kąciki jej ust.

– Cary już tu jest, Amelio. No, uśmiechnij się do niego.

I Amelia spełniła posłusznie polecenie ślicznej pielęgniarki, która nazywała się Julie Kingsley. Cary nie odpowiedział jej uśmiechem. Zamiast tego odwrócił się, przepuszczając inną pielęgniarkę, która wprowadziła do pokoju kolejnego gościa. Była to Tess Buckalew

wymachująca grubą broszurką.

– Jest tu cała twoja przyszłość, kochanie! Poczekaj, aż przeczytasz! Już po tobie, kotku!

Amelia była pewna, że zbudził ją skrzeczący śmiech Tess. Wzdrygnęła się. Jak to wszystko wyglądało realistycznie!

Wzięła prysznic, a kawa tymczasem się parzyła. Bez kofeiny – zalecenie lekarza. Tylko ona ją piła, Cary’emu zawsze przygotowywała wyborną mieszkanę zamówioną w sklepie delikatesowym. Co jakiś czas robiła sobie filiżankę tego specjału, żeby nie zapomnieć, jak smakuje prawdziwa kawa. Pijąc drugą porcję, usiłowała połączyć się z Carym w Nowym Jorku. Przedtem wygłosiła w pustkę pokój u krótkie przemówienie, żeby jej głos brzmiał naturalnie, gdy będzie rozmawiać z mężem.

– Amelia! Co za wspaniałe powitanie i początek nowego dnia! Nie stało się nic złego, prawda, kochanie?

– Oczywiście, że nie. – Wyjaśniła mu zmianę swojej decyzji co do futrzanej kurtki. Cary powiedział, że się z nią w pełni zgadza.

– Jak ci się spało, najmilejsza?

– Spałam jak suseł – skłamała Amelia wesołym tonem. – A ty?

– Jak drugi suseł – odparł Cary podobnie.

– Co będziesz dzisiaj robił? – spytała Amelia.

– Jeszcze raz pójde na spotkanie, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyłem. Poza tym nie mam nic do roboty. Powinienem już naprawdę wracać, Amelio.

– I pozwolić, żeby Julie była samiutka w dniu swoich urodzin? Nie ma mowy. Billie i Thad nigdy by ci tego nie wybaczyli. Ugość ją z taką klasą, jak mnie w okresie naszych zalotów. Bardzo lubię słowo „zaloty”, a ty?

– Amelio, ubóstwiam wszystko, co kojarzy mi się z tobą. Nie zapomniałem najmniejszego szczegółu naszych wspólnych dni. Kiedyś uwiecznię je w swoich pamiętnikach!

Kiedyś. W dalekiej przyszłości. Jej już wtedy nie będzie. Ludzie nie piszą pamiętników, dopóki nie zestarzeją się i nie nawiedzi ich chęć, by zostawić po sobie jakiś ślad. Długo potrwa, zanim się Cary zestarzeje. No i w każdej chwili może zostać ojcem i zostawić po sobie coś lepszego: własne dziecko! Ta myśl była tak przerażająca, że Amelia omal nie zemdląła.

– Kochanie, co za wspaniały pomysł! Nie zapomnij umieścić mnie

na pierwszej stronie! Muszę już lecieć, mój miły! Czeka mnie pracowity dzień. – Cmoknęła posyłając mu całusa i usłyszała, jak Cary odpowiedział jej tym samym, zanim odłożyła słuchawkę. Ręce strasznie jej drżały. Wetknęła je w kieszenie szlafroka. Myśl wyłącznie o Opiece Zdrowotnej! – powtarzała sobie podczas ubierania.

Amelia uważnie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Twarz wydała jej się blada i zniekształcona. Jakby nie była już w pełni sobą. Może dlatego, że Cary, który był motorem jej życia, odsuwał się od niej?... Myśl o Opiece Zdrowotnej! Ale widok w lustrze był nadal zamazany, zniekształcony, niekompletny.

Czuła, że powłóczy nogami, gdy obchodziła ich luksusowy apartament, gasząc światła, sprawdzając, czy wyłączyła maszynkę do kawy i radio, czy zamknęła drzwi balkonowe. Cary zawsze pokpiwał sobie z tego, że zamyka rozsuwane drzwi balkonu na trzydziestym piątym piętrze. Wzrok jej przyciągnął postument, na którym stał zegar słoneczny. Jeszcze jeden prezent od Cary'ego. Rozsunęła drzwi i wyszła na świeżość poranka, żeby dotknąć go. Zegar, symbol wiecznego życia, nieustającej miłości. Dostrzegła napis: czułe słowa Browninga *„Zestarzej się obok mnie: przed nami najlepsze dni”*\* [Robert Browning, Rabbi ben Ezra, I (przyp. tłum. )] Kłamstwo! Jej najlepsze dni należały już do przeszłości. Nie czeka jej nic więcej! Zegar był jednym z pierwszych podarków Cary'ego. Rozpłakała się wówczas ze szczęścia. Ceniła chyba ten jego dar bardziej niż jakikolwiek inny. Ciekawe, co też się z nim stanie po jej śmierci? „Zestarzej się obok mnie”. No cóż, mój Boże, rzeczywiście się zestarzała! Problem polegał na tym, że Cary nie zestarzał się razem z nią. Jakże by mógł? Czy zrezygnowałby ze względu na nią ze swoich najlepszych lat? Żałowała, że nie zdobędzie się nigdy na odwagę, by go o to zapytać. „Przed nami najlepsze dni”. Tak, mój najmilszy, czekają cię jeszcze najlepsze lata – szepnęła Amelia zdławionym głosem.

Julie Kingsley piła kawę i zagryzała owsianą bułeczką. Nie spała najlepiej, co jej się rzadko zdarzało. Normalnie nawet pożar by jej nie obudził. Ale zeszłej nocy leżała bezsennie, przysłuchując się nocnym odgłosom Nowego Jorku: samochody, syreny, nawet coś, co przypominało buszującą po mieszkaniu mysz. Dziś rano lustro

ostrzegło ją, że sen jest dla niej niezbędny. Sińce pod oczami były z daleka widoczne.

Julie na ogół nie dokuczały nerwy, ale tego ranka podskakiwała z byle powodu i była w fatalnym humorze. Może przyczyną tego było niewyspanie? Na pewno nie zaszkodziła jej kofeina: wypłała tylko jedną filiżankę kawy.

Uświadomiła sobie przyczynę swego niezwyklego nastroju, gdy przewracała całą szafę w poszukiwaniu parasolki. Cary Assante. Spędzili razem przemiły wieczór. Nie pokpiwał sobie z niej, gdy skłoniła go do obejrzenia razem z nią na wideo „Czarodziejskiego smoka Dymka”. Film sprawił mu taką samą przyjemność jak jej. Śmiał się wesoło, gdy cytowała z pamięci fragmenty dialogów, wyprzedzając rysunkowych bohaterów.

Cary miał dzisiaj do niej zadzwonić i zabrać ją na obiad. Nie! – prawie krzyknęła Julie. – Nie mogę tego zrobić! Jutro to co innego: będą moje urodziny i już przyjąłem jego zaproszenie. Ale nie dziś! Zrobiłyby się z tego trzy wspólnie spędzone dni...

– Jaki on był miły! Julie czuła, jak tętno na szyi zaczyna jej gwałtownie bić. Lepiej nie igrać z ogniem!

Bez namysłu podbiegła do znajdującego się w kuchni telefonu i zadzwoniła do domu swój ej szefowej.

– Eleanor, czy znalazłeś już kogoś, kto pojedzie do White Plains w sprawie katalogu? Jeżeli nie, chętnie się tym zajmę. Mogę złapać następny pociąg, a inne prace uzupełnię podczas weekendu, mam wolny. – Słuchała sennego głosu rozlegającego się w telefonie. – Nie mam nic przeciwko temu, Eleanor. Żadnych planów na dzisiejszy wieczór. Naprawdę chciałabym spróbować swoich sił przy tym katalogu.

Cóż to za tragedia, nawet jeśli nie wrócę przed północą? – Znowu słuchała, co mówi jej rozmówczyni. – Cóż, jeśli nalegasz, przyjadę limuzyną, – Zapisała pod dyktando numer telefonu firmy wynajmującej samochody. – Zanotowałam. Do zobaczenia jutro.

Palcami o krótko obciętych paznokciach Julie nakręciła kolejny numer. Bez tchu podała swoje nazwisko i zostawiła wiadomość: „Pani Kingsley wyjeżdża z miasta w nagłej sprawie służbowej i wróci dopiero jutro. Nie można się z nią w tym czasie skontaktować”. Gdy odłożyła słuchawkę, poczuła, że uginają się pod nią nogi. Jednym haustem wypłała resztę kawy. Co innego rodzinna uroczystość, a co

innego intymne obiadki we dwoje! Kochała cały klan Colemanów i nie miała zamiaru specjalnie wyróżniać kogokolwiek z nich! Nawet jej do głowy nie przyszło, że Cary Assante nie był Colemanem. Miała nadzieję, że będzie się potem lepiej czuła, że się jakoś odpręży, kiedy wyjdzie z domu, ale tak się nie stało. Brak snu zupełnie człowieka wykańcza!

## Rozdział piąty

Thad Kmgley kołysał się błogo w jednym z foteli na biegunach, które Billie ustawiła przy kominku. Wielki, stary, rudy kot, w którego posiadanie weszli, wynajmując dom w Georgetown, mruczał z zadowoleniem. Thad patrzył na kota z pewną pogardą. Był, podobnie jak Billie, zdecydowanym psiarzem. Tolerowali zwierzaka, karmili go i regularnie zmieniali mu piasek w kuwecie, ale kocisko o wyjątkowo puszystym ogonie przeważnie ich ignorowało.

Kingsleyom mieszkało siew Georgetown całkiem wygodnie, mimo że Billie nie znosiła stałych wieczornych przyjęć i ciągłej wymiany zaproszeń. Nazywała Waszyngton „akwarium”. Thad śmiał się z tego, ale był mniej rozbawiony, gdy Billie oznajmiała mu, że najwyższej jedna czwarta ważnych układów i decyzji zapada na Kapitolu w toaletach, trzy czwarte zaś podejmuje się przy herbatce i brydżu. Billie porównywała kobiety z „wyższych sfer politycznych” do rekinów i piranii. Późną nocą, gdy leżeli z Thadem w łóżku, przytuleni co siebie, zabawiała męża opowieściami o tych babach i ich pokrętnych sposobach ściągnięcia na siebie ogólnej uwagi.

Thad miał już zdecydowanie dość polityki. W głębi duszy był przekonany, że jest jedynym członkiem Senatu, który się w jakiś sposób nie skompromitował. Może istnieli także inni równie kryształowi, ale on sam nikogo takiego nie znał. To był ostatni rok jego działalności politycznej. Reszta życia należeć będzie już tylko do niego. Trzydzieści lat w marynarce, dwie kadencje w Kongresie, kolejne dwie w Senacie – wystarczy chyba tego wkładu w sprawy kraju?

Billie zasługiwała na to, by poświęcić jej więcej uwagi. Będą robić wycieczki, spacerować po farmie, jeździć ciężarówką do miasta po zakupy albo po prostu włóczyć się z psami. Obojgu zostało jeszcze kilka dobrych lat życia i jeśli tylko od niego będzie to zależało, spędzą je razem. Będzie się trzymał Billie obiema rękami! Jezu, jak on ją kochał! Czuł, że w tej chwili jego żonę coś dręczyło, muszą koniecznie o tym porozmawiać.

Billie weszła do gabinetu męża, niosąc dwie porcje domowych lodów z kawałkami bananów. Na widok góry kremu z wiśnią na czubku, którą ozdobiona była każda porcja, Thadowi pociekła ślinka.

Ten przysmak stanowił tradycyjną okrasę ich piątkowych wieczorów.

– No i co? Odłożymy znowu troskę o smukłość sylwetki do przyszłego tygodnia? – roześmiał się Thad, oblizując wargi.

– Mam w pasie tylko pół cala więcej niż wtedy, gdy się ze mną ożeniłeś – stwierdziła Billie. – Ty za to przytyłeś o jakieś dwa cale. Nie próbuj mnie oszukać, Thad. Wiem, że popuściłeś pasek o dwie dziurki! – Billie uśmiechnęła się szeroko.

– To tylko efekt twoich talentów kulinarnych – oświadczył Thad, zanurzając łyżeczkę w pysznym kremie i unosząc jaku górze. – Ale jeszcze słodszy jest dla mnie twój widok, dziecinko!

Billie zachichotała.

– Na pana miejscu, senatorze, pospieszyłabym się z jedzeniem. To zwariowane kocisko już się oblizuje. Wygląda na to, że zaraz rzuci się na zdobycz!

Delektowali się smakołykiem, oglądając wieczorne wiadomości, program Teda Koppela. Była to kolejna stała atrakcja wieczoru. W piątki zawsze szli późno spać. W sobotę mogli dłużej poleniuchować w łóżku i pozwolić sobie na niespieszny, cudowny seks.

– Uważam, że nie masz racji. Ted na pewno nosi „tupecik”.

– Mylisz się. – Zawsze w piątki sprzecjali się na ten temat. – Spójrz na przedziałek. To jego własne włosy. Ma chłop szczęście! – Dłonie Thada powędrowały w stronę jego własnego coraz wyższego czoła.

– Nikt nie bywa identycznie uczesany dzień po dniu, tydzień po tygodniu – argumentowała Billie. – Raz na jakiś czas fryzjer musi coś sknocić!

– Może sam się strzyże?

– Mówię ci, że to „tupecik” – upierała się Billie.

– Nic podobnego! Jego własne włosy!

– Dlaczego nie spytasz chłopców na Kapitolu? Podobno tam wszystkiego można się dowiedzieć – przekomarzała się Billie. – „Tupecik” i już!

– Mylisz się. Rodzone włosy Teda! A teraz, kiedy już mamy z głowy nasz piątkowy wieczorny rytuał, porozmawiajmy o tym, co ci naprawdę leży na sercu. Z pewnością nie popełniliście pomyłki powierzając zarząd Coleman Oil Rileyowi. Powtarzaliśmy to sobie przecież niejeden raz. Problem stanowi nie Riley, tylko OPEC. Jestem przekonany, że Riley najlepiej potrafi rozwiązać ten problem. Robi



wszystko, co w jego mocy, a my stoimy za nim jak mur.

Billie oparła głowę na ramieniu męża.

– Kochany, nie chcę, żeby Riley poświęcił całe swoje życie dla Coleman Oil. Boję się, że stanie się taki... taki jak Moss. Pragnę, żeby miał własne życie, niezależne od rodziny!

– Riley zrobi to, co jest zgodne z jego naturą. Pracownicy kompanii bardzo go szanują. Już nie jest nastolatkiem, Billie! Słyszałem, jak ci Sawyer opowiadała, że sprowadził rozmaitych ekspertów z całego kraju. – Thad przerwał na chwilę. – Podejrzewam, że niepokoi cię coś innego, Billie.

Gdy Billie odezwała się, głos jej był ledwie dosłyszalny:

– Czy przypuszczasz, że to ma jakiś związek... z Buckalewami?

Teraz wszystko było już jasne! Thad przeczuwał, że sprawa wiąże się ściślej z Buckalewami niż się o tym mówiło. I wcale nie chodziło tu o astrologiczne przepowiednie Tess! Dawna dziewczyna Cole' a, aktualna narzeczona Riley'a. Zdaniem Thada, choć za żadne skarby nie zamierzał wygłaszać tej opinii, Lacey Buckalew należała do najgorszej hołoty. Mogła się stroić w supereleganckie modele, ale kim była, tym była!

Thad ostrożnie dobierał słowa.

– Riley powiedział, że Oakes pomógł mu zdobyć doświadczenie zawodowe. Być może ma zbyt wielkie zaufanie do swego przyszłego teścia. Oakes całe życie spędził na polach naftowych, ale to nie znaczy, że zna się na wszystkim. Uważam, że Oakes, czy, jeśli wolisz, Coots, był dla Riley'a kulą u nogi, jeżeli chodzi o EOR, czyli program wzmożonego wydobycia ropy. Riley chciał się w to wcześniej zaangażować, ale Coots zawrócił mu w głowie i odradził mu to. Podobnie było, gdy Riley usiłował powstrzymać Oakesa od przerwania prac wiertniczych. Cole powiedział mi, że Riley żałuje tego, iż posłuchał Cootsa. Cole nie chciał i o tym mówić, ale nie dawałem mu spokoju i obiecałem, że porozmawiam na ten temat jedynie z tobą. Zostawmy kierowanie przedsiębiorstwem Cole'owi i Rileyowi. Z Buckalewami niech też sobie sami radzą! Jeżeli będzie im potrzebna nasza pomoc, sami o nią poproszą.

– Poproszą, zanim stracimy Coleman Oil, czy już po tym, jak przestanie istnieć? To oznaczałoby ruinę całej rodziny, Thad!

– Czy sądzisz, że Riley o tym nie wie? Chłopak żyje w nieprawdopodobnym stresie. Jego dziadek jest umierający. Riley czuje

się wewnętrznie rozdarty. Jeżeli uważa, że popełnił jakieś znaczące błędy, japońska strona jego natury domaga się, by je naprawił. A jego amerykańskie, ja” zadręcza się śmiertelnie tym, że nie może wrócić do Japonii i być razem z dziadkiem. Znalazł się między młotem i kowadłem, Billie.

– Mamy więc zostawić mu wolną rękę i ufać, że wszystko ułoży się jak najlepiej? Taka jest twoja rada?

– Dokładnie taka, kochanie. – Thad pykał fajkę.

– A jeśli pójdziemy na dno? Co stanie się ze wszystkimi ludźmi, którzy dla nas pracują? I z ich rodzinami? Pomyślałeś o ich rodzinach?

– Zrobimy wszystko, co tylko w naszej mocy. Colemanowie potrafią walczyć.

– Chyba już najwyższa pora udać się do Teksasu na rozmowę z Rileyem i Cole’em. Pod jakimś pretekstem wpadnę do Tess, może zatelefonuję do paru osób i zdobędę dla niej trochę zamówień na horoskopy. Zobaczę, co zdołam z niej wyciągnąć.

– I to mówi ta sama Billie Ames Coleman Kingsley, która tak nienawidzi waszyngtońskich intryg?! – Thad zrobił przerażoną minę.

– Nazwij to jak chcesz. W Teksasie nazywamy to dbaniem o własne interesy! Nigdy nie byłam w tym dobra, ale mam zamiar się teraz nauczyć. Kiedy możemy tam pojechać?

– Zdawało mi się, że przysięgałaś nie wtrącać się w sprawy kompanii i nie dyktować innym, co mają robić? Może w sobotę?

– Nie będziemy się wtrącać, tylko pomagać. To duża różnica. W sobotę? Świetnie. Dziękuję ci, kochany! Czuję, że dziś uda mi się zasnąć.

– To dlatego tak się ostatnio wierciłaś i kotłowałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, Billie?

– Masz wystarczająco dużo spraw na głowie, Thad. Obiecałam ci, gdyśmy się pobierali, że nie pozwolę, by problemy Colemanów zniszczyły nasze małżeństwo. Próbowałam tylko dotrzymać danego słowa.

– Kochanie, twoja rodzina jest i moją rodziną. Bardzo jestem do nich przywiązany. Wiesz przecież, że zrobiłbym wszystko, byle im pomóc. Wystarczyło szepnąć mi jedno słówko. Myślałem, że nie chcesz, żebym wtykał nos w wasze sprawy.

– Thad, łączność pomiędzy nami zaczęła zawodzić! Po raz

pierwszy w ciągu całego naszego małżeństwa żadne z nas nie wiedziało, o czym drugie myśli i co planuje. Dobry Boże, jak to się mogło stać?!

– To przez tego kretyńskiego kota, którego nam wpakowano razem z mieszkaniem – oświadczył Thad z szerokim uśmiechem. – Nie potrafię jasno myśleć, kiedy muszę czyścić jego kuwetę, a w dodatku zaprzęta mnie jeszcze problem fryzury Teda Koppela. Kto byłby w stanie logicznie rozumować borykając się z zagadnieniami tej klasy?!

Billie zwinęła się ze śmiechu. Thad zawsze umiał rozładować sytuację. Nawet jeśli sprawy układały się jak najgorzej, potrafił spojrzeć na nie z odpowiedniej perspektywy.

– Masz absolutną rację, kochany! – Przycisnęła guzik pilota, przerywając wywody Teda Koppela w pół zdania. – Nie ma najmniejszych wątpliwości: to peruka.

– Nic podobnego. Ma chłop wspaniałe włosy! – Thad uśmiechnął się od ucha do ucha. – Wiesz co, ja włożę talerze do zlewu, a ty wszystko pozamykaj. Nie zapomnij o nocnej lampce dla kota i życzy mu dobrej nocy, jak zalecał jego właściciel.

– Dobra, dobra – mruknęła Billie. Prędkiej Nancy Reagan zatańczy kankana na Pennsylvania Avenue, nim ona będzie życzyć miłych snów temu kocisku nazwanym Penelopą! Światło na noc oczywiście zostawi: było to przewidziane w warunkach umowy o najem.

Lacey porzuciła właśnie jedną posadę i czekała na następną. Zdawało jej się, że całe jej życie składało się z rezygnowania z czegoś, szukania innej ewentualności i z okresów pustki między jednym a drugim. Obudziła się z przyzwyczajenia o wpół do siódmej i nie mogła ponownie zasnąć. Krople deszczu stukały w okno. Przypomniała sobie, jak obudziła się kiedyś w podobny deszczowy ranek u boku Cole'a. Deszcz dudnił o szyby, a oni kochali się jak szaleni i znów zapadali w sen. Cały dzień spędzili wtedy w łóżku.

Rileya bardzo lubiła i nie wykluczone, że pewnego dnia go pokocha. Matka powiedziała jej, że tak się stanie: gwiazdy wyraźnie na to wskazywały. Lacey pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę higieniczną. Gwiazdy mogą mieć wpływ na wiele spraw, nie wątpiła w to, ale z pewnością nie spowodują, by pokochała Rileyę tak jak Cole'a! Nie powinna była rzucać pracy; zdenerwowana napięciem panującym między rodzicami pomyliła się w kilku ważnych

rozliczeniach. Wezwano ją na dywanik, a szef poradził, żeby wzięła sobie kilka dni wolnego i doszła ze sobą do ładu a potem poważnie się zastanowiła, czy nadal chce u nich pracować? Pewnie znaleźli już kogoś na jej miejsce. Lacey zastanawiała się, czy ma zgłosić się po zasiłek dla bezrobotnych? Tess dostałaby chyba ataku! Panna Buckalew żyjąca z zasiłku! Coots, odwrotnie, doradziłby jej pewnie, żeby tego nie darowała władzom stanowym: stacje na taki wydatek. Dodałby pewnie, że on sam nie ma zamiaru jej utrzymywać. Spełnił swój rodzicielski obowiązek posyłając ją do jednego z tych modnych college'ów – a kosztowało go to więcej, niż pierwszy dom, który sobie kupił!

Wszystko wskazywało na to, że w Buckalew Big Wells jest krucho z forszą. Wczoraj wieczorem matka przepowiedziała ojcu, że wkrótce otrzymają jakąś większą sumę, ale on roześmiał się tylko i stwierdził, że jeżeli nie zdarzy się to bardzo, ale to bardzo szybko, matka będzie musiała poszukać sobie jakiejś pracy. Ale Tess oświadczyła, że zamówiono u niej horoskopy dla dużej grupy bogatych babek z Dallas. Po pięćset dolarów sztuka, więc wystarczy na jej największe i najbardziej eleganckie przyjęcie weselne, jakie się kiedykolwiek odbyło w Austin. W sali balowej Wieżowca Assante w Mirandzie. Ojciec dosłownie zzieleniał. Ona sama zbladła jak ściana. Nie chciała wychodzić za męża! Nie za Rileya. Pragnęła jedynie Cole'a, jak zawsze. Zaczęła chodzić z Rileym, żeby obudzić zazdrość Cole'a, ale sprawy nie poszły po jej myśli. Matka kazała jej, dosłownie kazała błagać Cole'a, by z nianie zrywał. Wtedy ojciec wkroczył do akcji, nawymyślał jej od smarkul i dziwek, niegodnych nazwiska Buckalew. Kiedy nic to nie dało, wymógł na niej, by zachęcała Rileya i modliła się, by również i on nie puścił jej w trąbę. Lacey gwałtownie protestowała, ale matka znów wjechała na scenę ze swoimi gwiazdami, które prorokowały szczęśliwe małżeństwo. Lacey nie wierzyła w to ani przez chwilę. Nigdy w życiu nie będzie szczęśliwa bez Cole'a!

Połączenie rodzin Colemanów i Buckalewów – o to im tylko chodziło. Zwykła fuzja przedsiębiorstw, a ona była wkładem, który wnosili. Lacey wyraziła zgodę, to właśnie było najgorsze. A teraz znalazła się o krok od narzeczeństwa. Po nim przyjdzie kolej na małżeństwo. Następnie dzieci. Z dużą domieszką japońskiej krwi. Lacey nie przepadała za dziećmi, ale Colemanowie mieli fioła na

punkcie powiększania rodziny, więc będzie musiała spełnić swój obowiązek. Rodzony ojciec ją do tego zmusi. Tess także. Pewnie gdzieś w gwiazdach zostało napisane, że powinna urodzić dwoje i pół dzieci zgodnie ze statystyką planowanego rozwoju rodziny.

Jej ojcu potrzebni byli Colemanowie, a zwłaszcza Riley. O nią się nie troszczył, nigdy zresztą go nie obchodziła. Nie była także pewna uczuć Riley'a. Zresztą, specjalnie jej na tym nie zależało. Zaręczyny i małżeństwo to coś, co nastąpi bez względu na jej własne chęci.

Mieszkańcy Sunbridge pewnie zaczęli już wstawać. Była za dwadzieścia siódma. Cole zdążył się już umyć i ogolić. Chyba kończy ubieranie się. Nigdy rano nic nie jadł, tylko pił kawę i sok, który mu przynoszono do pokoju o wpół do siódmej. Znała te wszystkie szczegóły, bo kiedyś Cole opowiedział jej, jak rozpoczyna dzień, gdy jeszcze dzielili się ze sobą wszystkimi myślami. Właśnie w tej chwili wiąże sznurowadła. Wypije ostatni łyk kawy, zarzuci marynarkę, złapie portfel i klucze, leżące na kredensie, i wyjdzie z domu kwadrans po siódmej. Drżącymi palcami nakręciła jego prywatny numer. Aparat stał tuż obok filiżanki z kawą; Cole podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale.

Niezbyt uprzejmie powiedział „hallo”.

– Cześć, Cole, tu Lasey. Cieszę się, że cię złapałam przed wyjściem. Może byś się zlitował i zabrał mnie na lunch? Jestem bez pracy i siedzenie w domu doprowadza mnie do szału!

Dłoń Cole'a ścisnęła słuchawkę tak mocno, że kostki zbieleły.

– Nie ma mowy, Lacey. Ani dziś, ani nigdy. Myślałem, żeśmy się dobrze zrozumieli.

Lacey poczuła dławienie w gardle.

– A cóż to złego zjeść razem lunch?

– Po pierwsze, Riley wyjechał. Po drugie, to byłoby nie w porządku wobec niego. A po trzecie nie mam ochoty spotykać się z tobą na lunchu. Zerwaliśmy ze sobą, a ty chcesz się zaręczyć z Riley'em. I tak trzymać! Nie życzę sobie, żebyś tu więcej wydzwaniała, chyba że do niego. – Gdy odłożył słuchawkę, poczuł, że ręka mu zdrętwiała i lepi się od potu. Przymknął ze znużeniem oczy. Akurat były mu potrzebne dodatkowe problemy!

Jednak po telefonie Lacey nie mógł się wziąć w garść. Nowy dzień wisiał nad nim jak gigantyczna czarna chmura. Zaraz po przyjściu do biura, zatelefonuje do Sawyer, do Japonii. Musi z nią obgadać pewne

interesy. Jeśli się do tego zabierze jak trzeba, może uda mu się też pogadać z nią na tematy osobiste. Sawyer nade wszystko lubiła udzielać rad.

Cole kręcił się po pokoju, sam nie wiedząc co robi. Stał przy oknie, wyglądając na brukowane cegłą podwórze. Powróciły falą wspomnienia wczesnej młodości. Jego wzrok pobiegł w stronę mieszkania nad garażem, które zajmowali kiedyś seksowna Luana i ten pijak, jej ojciec. Cougar Cole'a i należąca do Riley'a berlinetta parkowały dokładnie pod ich oknami. Teraz Cole zamiast cougar'em jeździł lśniącym czerwonym porsche. Riley też zastąpił berlinetta innym wozem. Głęboko w garażu drzemał lamborghini, z którego Riley zresztą bardzo rzadko korzystał.

Deszcz lał jak z cebra. Nie zaszkodzi przeczekać, aż trochę zelżeje. Nie najlepiej jechało się porsche w czasie ulewy. Cole zawsze lubił, kiedy padało. Lacey nie wiadomo ile razy powtarzała mu, że ubóstwia leżeć w łóżku i przysłuchiwać się, jak deszcz pluszcze po dachu i bije w szyby. Starał się usunąć z pamięci wszelkie wspomnienia o Lacey. Lacey i deszcz. Lacey i deszcz. Mógłby napisać na ten temat piosenkę, gdyby był muzycznie uzdolniony, ale tak nie było. Pełna swoboda, żadnych zobowiązań. Takie życie było wygodne, ale czasami wydawało mu się cholernie jałowe. Żałował, że nie ma w nim nic z charakterystycznej dla Riley'a ślepej lojalności w stosunku do rodziny, jego poświęcenia. Umiał jednak niezłe udawać zaangażowanie, bo nawet Sawyer dopiero niedawno zorientowała się, z jakim trudem brat odgrywa swą życiową rolę.

Karmiono go przez całe życie gadaniną o celach i marzeniach. No i o nadziejach. Po co? Może tym, czego pragnął, czego mu brakowało, był kontakt ze światem zewnętrznym? Przecieranie sobie własnej drogi w życiu, bez obserwującej każdy jego krok rodziny. Upadłeś na twarz, no to sam się podnieś i otrzep! O to mu właśnie chodziło.

Strumień wody walnął w okno. Cole dosłownie podskoczył. Przysiągł sobie w duchu, że zakrzątnie się wokół własnej przyszłości, kiedy tylko sytuacja na rynku paliwowym się poprawi.

Budynek Coleman Aviation tonął w fosforyzującym świetle. Cole rad był, że znajduje się we wnętrzu, do którego nie ma dostępu ponury, dżdżysty dzień. Tutaj nie dogonią go jak w Sunbridge niepożądane myśli, skradające się podstępnie niczym złodziej w nocy,

Cole lubił przebywać w swoim gabinecie. Sam go urządził, dobierając nie drażniące oka złamane szarości i miękkie skórzane obicia. Wszystko tu było wygodne i funkcjonalne. Obrazy Chagalla zawsze wprawiały go w dobry nastrój. Starannie zgromadzone zielone rośliny były dla Cole'a źródłem optymizmu: potrafiły przetrwać w obcym świecie klimatyzacji i sztucznego oświetlenia. Sam je podlewał, przycinał i spryskiwał. W podarowanej mu przez kogoś onyksowej popielniczce przechowywał spinacze i gumki, żeby zniechęcić potencjalnych palaczy. Gdy któregoś z nich i to nie odstraszało, Cole wyjaśniał z uśmiechem, że dym szkodzi jego roślinom.

Nigdy w głębi serca nie czuł się odpowiedzialny za losy Coleman Aviation. To Sawyer tchnęła w nią ducha i życie. Cole musiał tylko dbać o to, by rozpalony przez nią płomynek nie zagaśł. Wykonywał rzetelnie to, czego od niego oczekiwano, ale wszystko w gruncie rzeczy było zasługą Sawyer.

Od pewnego już czasu Cole uświadamiał sobie, że nie chce tu spędzić reszty życia. Na swój sposób Czuł się równie rozdartym jak Riley. Jego kuzyn, w przeciwieństwie do niego, przynajmniej wiedział, czego pragnie, on natomiast dostosowywał się po prostu do dawno ustalonych reguł rodzinnej gry.. Matka przekazując mu połowę Sunbridge związała mu ręce, podobnie jak Rileyowi. Ale oczy kuzyna zajaśniały jak gwiazdy, gdy Maggie wręczyła mu akt własności drugiej połowy Sunbridge. Riley powinien był dostać całą posiadłość. Cole i Sawyer bez trudu pokierowaliby wszystkimi interesami Colemanów.

Kiedy skończą się kłopoty na rynku paliwowym, Cole będzie musiał podjąć kilka niełatwych decyzji. Zawsze, gdy o tym pomyślał, słyszał słowa swej babki Billie: „Nie popełniaj tego samego błędu co twój dziadek! Nie pozwól, żeby ta rodzina i firma zdominowały twoje życie!” – Babcia zrozumie go, kiedy nadejdzie pora podjęcia decyzji. Ale jeszcze nie teraz, gdy Riley jest w kłopotach i potrzebuje jego pomocy. Wybrną z nich razem i w lecie albo na początku jesieni Cole będzie mógł zdecydować o swym własnym losie. Zawsze czuł ulgę, gdy o tym myślał. Wyrodney Coleman! Zapamiętał sobie słowa pewnego Holendra; „Jeśli nie pogwizdujesz, spiesząc do pracy, to znak, że powinieneś ją zmienić”. Cholera, nigdy nie miał ochoty pogwizdywać, od samego początku. Za to Riley jeszcze jak! Tylko trochę czasu i cierpliwości, a wszystko będzie dobrze. Potrząsnął

głową, aby jakoś uporządkować myśli. Sawyer. Jego przyrodnia siostra. Bardzo wiele zawdzięczał i jej, i swojej matce. Co prawda, to prawda. Uśmiechnął się z pewnym smutkiem. Cóż to za wspaniałe kobiety! Facet nie mógł zmarnować życia mając przy sobie dwie takie ostoje. A jeżeli mimo to coś było z nim nie tak, mógł mieć pretensję tylko do siebie. On, który zawsze trafiał w dziesiątkę!

Cole przypomniał sobie, że zamierzał zatelefonować do Japonii. Sam musi załatwić połączenie, bo jego sekretarka zjawiała się dopiero o wpół do dziewiątej. Cole najbardziej lubił tę wczesną porę dnia. Czuł się rześko i raźnie. Taki nastrój będzie bardzo przydatny w rozmowie z Sawyer, wymagającej pełnego skupienia umysłu. Ciekaw był, czy siostra wie, że Adam Jarvis wrócił na rodzinne ranczo ze swym pasierbem? Szkoda, że Sawyer i Adam nie pobrali się. Po operacji Sawyer i jej długiej rekonwalescencji jakoś rozeszły się ich drogi. Adam miał swoje pragnienia, których Sawyer nie chciała czy nie mogła zaspokoić. W końcu ożenił się z elegancką, inteligentną dziewczyną z Kalifornii, która miała synka. Cole 'owi wydawało się, że byli ze sobą szczęśliwi. Wszystko się skończyło, kiedy żonę Adama zastrzelił w domu towarowym jakiś niepoczytalny bandyta. Wszyscy pospieszyli na pomoc Adamowi, póki się wreszcie nie pozbierał i nie zaczął organizować swemu pasierbowi rodzinnego domu. Cole zastanawiał się, jakim też ojcem był Adam? Bez wątpienia wspaniałym. Z Adama w ogóle był pierwszorzędnny gość!

W Japonii jest teraz wczesny wieczór. Sawyer skończyła pracę, podczas gdy on dopiero do niej przystępował. Cole wyobrażał sobie siostrę, odpoczywającą na cytrynowożółtej kanapce i sączącą szprycerka. Poczłł rozczarowanie, gdy nikt nie podnosił słuchawki. Zastanawiał się, dlaczego Sawyer nie włączyła automatycznej sekretarki? Zmarszczył brwi z niepokojem. Dobrze wiedział, że Sawyer rzadko spędzała wieczory w domu, ale zawsze przed wyjściem wpadała tam, żeby wziąć prysznic i odprężyć się. W zadumie odłożył słuchawkę. Nagłe pragnienie rozmowy z matką zdopingowało Cole'a do wykręcenia całego wężyka cyfr, zapewniających połączenie z Hawajami. W jej domu będzie przynajmniej ktoś ze służby i odbierze telefon! Jakiś ludzki głos poinformuje, że matka i Rand są w domu: „Proszę chwilę poczekać!”, albo też poprosi o pozostawienie informacji, która z pewnością dotrze, do kogo trzeba. Cole czekał przy telefonie, a jego niepokój rósł z



każdą chwilą.

Po piątym sygnale ktoś odebrał telefon. „Państwo Nelson są w drodze do Japonii. Mają zatelefonować zaraz po przyjeździe. Czy coś im przekazać?”. Cole poczuł, że wnętrzności kurczą mu się boleśnie. Podał swoje nazwisko.

Podszedł do akwarium ze złotymi rybkami. Posypał na powierzchnię wody trochę sproszkowanych krewetek. Rybki zignorowały poczęstunek i pływały nadal tam i z powrotem wokół kolorowych skałek i wśród morskich roślin. Cole’a nadal coś ścisnęło w żołądku, Wrócił do biurka i otworzył swój terminarzyk. Trzeba się było czymś zająć.

Wypolerowana tabliczka z brązu oznajmiała, że apartament 2B zajmuje Chesney M. Brighton. „M” zostało dodane nie skutkiem kaprysu, lecz z powodu chęci podkreślenia własnej osobowości. Nieważne było, że ten inicjał nie figurował na świadectwie urodzenia, istotnym było to, że ona sama postarała się o dodanie go. „M” oznaczało Madeline, imię, które Chesney bardzo się podobało.

Właścicielka lokalu 2B stała w oknie sypialni, obserwując szary angielski świt. Zdawało jej się, że w niewyraźnym blasku wschodzącego dnia dostrzega zapowiedź pięknej pogody: jasnoróżowe smugi na niebie poprzedzały wschód słońca. Chesney wiedziała, że dzień ten będzie dla niej słoneczny, choćby Matka Natura zakryła złocistą kulę ciężkimi chmurami. Będzie to jeden z najpromienniejszych dni w jej życiu!

Dziś miała wyruszyć na drugi koniec świata w odwiedzinach do Sawyer Coleman, dyrektorki Coleman Aviation. Do tej samej Sawyer Coleman, którą, jak głosiła plotka, łączył kiedyś romans z lordem Randolphem Nelsonem – ojcem Chesney. Zamierzała ona zapytać Sawyer Coleman, gdzie można go obecnie znaleźć, żeby powiedzieć mu... Co właściwie chciała mu powiedzieć? Że jest jego nieślubną córką. Że szukała go przez całe lata. Powinno być akurat na odwrót! – pomyślała Chesney. – To on powinien mnie szukać, ale jakże by mógł to robić, skoro nie miał pojęcia, że w ogóle chodzi po świecie?

Ale teraz wszystko się zmieni. Chesney oznajmi, kim jest, zażąda, by przedstawiono ją ojcu, zaznajomi go z dowodami świadczącymi o jej pochodzeniu, a potem odejdzie.

Jej nowina będzie dla niego cholernym szokiem; należało się

spodziewać, że jej ojciec jakoś się z tym upora, ale jeśli nie, będzie to wyłącznie jego problem.

Chesney powtarzała w myśli różne wersje własnego nazwiska: Chesney Brighton, Chesney M. Brighton, Chesney Nelson, Chesney Brighton Nelson. Gdyby jej rodzice zatrzymali ją przy sobie, ciekawe, jak daliby jej na drugie imię? Lillian? Mary? Nie, nie Mary, zbyt pospolite. Catherine? Dorothy? Amelia? Chesney wiedziała, że tak nazywała się macocha Randa Nelsona, należąca do potężnego klanu teksaskich Colemanów, w dodatku ciotka Sawyer Coleman.

Tak – pomyślała Chesney. – Gdyby ojciec wiedział o moim istnieniu, nazywałabym się Chesney Amelia Nelson.

Wzrok Chesney z zaróżowionego nieba przeniósł się na nocny stolik i stojącą na nim fotografię. Przedstawiała ona Chesney i jej przyjaciółkę Sarę. Jedynie ta fotografia w całym mieszkaniu zasługiwała na oprawienie w ramkę i ustawienie na widocznym miejscu. Było to ciemne, smutne zdjęcie, ale dla Chesney stanowiło dowód zmian, które w niej zaszły. Świadczyło o tym, kim sama niegdyś była i kim stała się obecnie. Przypominało o wszystkim, co wycierpiały obie z Sarą. Ponieważ było tego cierpienia tak wiele, nie można pozwolić, by zostało zapomniane. Chesney M. Brighton – sierota i stewardesa. Chesney M. Brighton poszukująca swoich korzeni, a zarazem patrząca w przyszłość. Jeżeli sprawy ułożą się jak należy, może któregoś dnia stanie się jedną z nich.

Sawyer musiała wrócić w południe do swego małego domku. Postąpiła wyjątkowo głupio, zostawiając w nim najważniejsze papiery, potrzebne jej w ciągu dnia. Przeglądała je rano, zaraz po obudzeniu. Wylała na nie kawę i próbowała osuszyć. Zawsze świadoma upływu czasu, a zwłaszcza od operacji na to uczulona, zorientowała się, że jest już spóźniona i w pośpiechu zapomniała schować dokumenty do teczki. Musiała więc wrócić do domu, przeklinając własne roztargnienie. Postanowiła zrobić sobie kanapkę z serem i napić się herbaty, a potem popracować w czasie przerwy na lunch. Była w połowie kanapki, gdy usłyszała dźwięk dzwonka przy ogrodowej furtce. Podeszła do okna w kuchni. Ogrodnik nigdy nie dzwonił, miał własny klucz. Nie oczekiwała żadnych dostaw ze sklepu. Idąc przez ogród w stronę furtki nie czuła strachu ani paniki, jedynie ciekawość. Wsunęła klucz do zamka i pchnęła drzwi na

zewnątrz. Przed nią stała wysoka kobieta, mniej więcej w jej wieku. Była modnie ubrana, miała prostą, ale zdecydowanie elegancką fryzurę. Leciutko podmalowane oczy. Są bardzo piękne – pomyślała Sawyer.

– I coś w nich... – Przełknęła z trudem ślinę i spytała, czym może służyć. Głos nieznajomej był miękki, kulturalny i bardzo brytyjski.

– Czy pani Sawyer Coleman?

– Tak, to ja.

– Nazywam się Chesney Brighton, choć powinnam właściwie nosić nazwisko Nelson. Jestem córką Randa Nelsona. Próbuję się z nim skontaktować. Być może pani będzie mi w stanie pomóc. – W jej głosie nie było śladu jakichkolwiek uczuć. Chłodne, twarde, rzeczowe stwierdzenie faktów.

Sawyer z trudem odzyskała panowanie nad sobą. Zamknęła furtkę i poprowadziła gościa do domu, starając się uciszyć wzburzone nerwy. Córka Randa! Nigdy nic wspominał o żadnej córce! Ale istniało niewątpliwe podobieństwo, zwłaszcza w oczach. Szykują się kłopoty. Nie dla niej, dla Maggie i Randa. Tak się przynajmniej wydaje, ale może nie będzie żadnych kłopotów?

– Napije się pani herbaty? – byle tylko zyskać na czasie! Musi zebrać myśli.

– Z przyjemnością. Udałam się do Coleman Aviation i powiedziano mi, że znajdę panią tutaj. Musiałyśmy dosłownie minąć się o włos. Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam?

– Ależ skądże. Po prostu nie rozumiem, dlaczego zwróciła się pani do mnie.

– Powiedziano mi, że pani i mój ojciec byliście... jesteście... że mieliście za miar się pobrać. Szukam go od lat.

– To bardzo dawna sprawa. Rand, pani oj... Rand ożenił się z moją matką. Mieszkają na Hawajach. Nie rozumiem... Jeżeli jest pani córką Randa, dlaczego musiała go pani poszukiwać? – Sawyer sądziła, że sama zna odpowiedź, ale chciała usłyszeć wszystko wyraźnie, bez cienia wątpliwości.

Poczuła, że mdli ją w żołądku. Rand nigdy nie pragnął dzieci. Wyznał jej kiedyś, że nie przepada za bachorami. Tylko się wówczas roześmiała, przekonana, że każdy mężczyzna w jakimś momencie swego życia musi zapragnąć potomka, który odziedziczy jego

nazwisko. Rand nie śmiał się wraz z nią; wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej spoważniał i oświadczył, że bynajmniej nie młodnieje, ma ustalony tryb życia i dzieci by mu tylko zawadzały. Była tak zakochana w Randzie, że w owym czasie zaakceptowała jego decyzję bez sprzeciwu.

A więc Rand miał w przeszłości różne przygody! Cóż, mężczyźni przeważnie nie byli święci, chociaż większość z nich nie posiadała nieślubnych córek, które zjawiały się nie wiadomo skąd. Rand nigdy się nawet nie zająknął, że ma dziecko. Sawyer czuła, że ogarniają ją wspomnienia, że wraca do owego dawno minionego dnia, gdy Rand Nelson sprawił, że runął cały jej świat...

„Widzę, że coś się między nami popsuło, Randzie. Wydaje mi się, że mnie unikasz... Czyżbyś się odkochał?” – z zapartym tchem oczekiwała na jego odpowiedź.

„Sawyer, nie potrafię powiedzieć ci tego tak, żeby nie zabołało... Nie ma dla nas przyszłości. Stoimy na przeciwległych biegunach. Jesteś młoda, całe życie przed tobą. Powinnaś mieć dzieci. Ja ich nie pragnę. Chyba... chyba w ogóle nie chcę się żenić”.

„Czy jest jakaś inna kobieta?” – wypaliła, nie mogąc się powstrzymać.

Wydawał się zdumiony jej pytaniem, nawet oburzony. „Nie, oczywiście, że nie ma nikogo innego. Wiesz, że nie skrzywdziłbym cię za skarby świata”.

„Wcale tego nie wiem! Nie wierzę ci! To moja matka! Straciłeś głowę dla mojej matki!” – Sawyer zatkała sobie uszy rękami i zacisnęła powieki.

Czuła, że duszą ją łzy.

Sawyer z trudem wróciła do terażniejszości i uświadomiła sobie, że Chesney coś do niej mówi.

– Jestem nieślubną córką Randa Nelsona. Wychowałam się w sierocińcu. Zostawiono mnie na progu z kartką przypiętą do pieluszek, całkiem jak we wszystkich opowieściach o podrzutkach. Moja matka należała do trupy objazdowego teatru rewiowego. Była młoda, chciała przeżyć podniecającą przygodę. Spotkała mego ojca w Sajgonie. On... Rand Nelson, był pilotem helikopterów na usługach waszego rządu; skierowany został, zdaje się, przez brytyjskie siły powietrzne. Moja matka nie podała mi bliższych szczegółów, ale chyba posiadał podwójne obywatelstwo. Odbывał loty celem wykrycia pożarów w

terenie... Nie było wtedy prawdziwej wojny, jedynie drobne zamieszki... Właśnie dlatego moja matka zdecydowała się pojechać tam na występy. Mój... pan Nelson spędzał wolne chwile w Sajgonie i właśnie tam poznał moją matkę. Najczęściej wpadał do „Gospody pod Tygryścą”. Tak mi opowiadała matka. Mówiła, że spotykał się również z innymi kobietami, ale... zawsze do niej wracał. Podobno bardzo go kochała. Stacjonował w Da Nang.

Sawyer wiedziała o tym od Randa. Miała nadzieję, że przepełniające ją uczucia nie uzewnętrzniły się na jej twarzy. Skąd ta młoda kobieta mogła wiedzieć o „Gospodzie pod Tygryścą?” Skinieniem głowy dała znak Chesney, by mówiła dalej.

– W trupie teatralnej zaczęły się kłopoty, kierownik zespołu zwiął i zostawił dziewczęta na lodzie. Cały zespół się rozleciał. Rand Nelson... opiekował się moją matką, póki nie odwołano go do kraju. Usiłowała zawiadomić go, że jest w ciąży, ale on... nie chciał o tym słyszeć, a poza tym musiał wyjechać. Dał jej pieniądze. Kierownik trupy uciekając zabrał ze sobą paszporty dziewcząt i ich zarobki z ostatniego tygodnia. Zostawił je dosłownie bez grosza. Matka za pieniądze otrzymane od pana Nelsona zdobyła na czarnym rynku wizy tranzytowe, a Czerwony Krzyż pomógł jej bezpiecznie powrócić do Anglii, gdzie się urodziłam. I taki był koniec łzawej historyjki – powiedziała ze smutkiem Chesney. – Odkąd oficjalnie pozwolono sierotom na poszukiwanie swoich rodziców, rozpoczęłam starania i odnalazłam moją matkę. Z początku nie chciała ze mną o niczym mówić. Wyszła za męża, założyła własną rodzinę: nie miała ochoty narażać jej na wstyd. Rozumiałam jej stanowisko. Z początku okłamała mnie, powiedziała, że nie ma pojęcia, kto jest moim ojcem. Podejrzewałam, że nie mówi mi prawdy; nie wyglądała na taką, która nie pamięta, z kim sypiała. Wracałam więc do jej domu, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, aż w końcu udało mi się pokonać jej opory. W jej obecnym życiu nie ma dla mnie miejsca. Wiedziałam o tym i wytłumaczyłam matce, że nie musi się mnie obawiać. Wątpię, czy w życiu mojego ojca znalazłoby się miejsce dla innej, ale chcę się z nim spotkać. Powiedziano mi, że pani i on... Ale informacje były bardzo skąpe; miałam zresztą szczęście, że w ogóle czegoś się dowiedziałam. Czy mnie pani słucha, panno Coleman?

– Bardzo uważnie – wykrztusiła Sawyer. Co z tego wyniknie dla Randa i Maggie? Czy ta sytuacja zwiąże ich ze sobą jeszcze mocniej

czy spowoduje kłopoty? – Czy Rand wie o pani? Chciałam zapytać, czy pani matka zgodziła się na aborcję? Powiedziała mu, że się pozbędzie dziecka?

Jasnoszare oczy patrzyły prosto w pełne niepokoju oczy Sawyer.

– Przypuszczam, że był pewny, że matka usunęła ciążę, a więc odpowiedź na pani pytanie brzmi: nie, nie ma pojęcia o moim istnieniu.

– I chce pani skontaktować się ze swoim ojcem? – Sawyer wstrzymała oddech. Oczywiście, że ta dziewczyna tego chciała! Gdyby ona sama znalazła się w jej położeniu, także by tego pragnęła. Dobrze wiedziała, co to znaczy wychowywać się bez ojca.

– Miałam nadzieję... Pomyślałam, że pani mogłaby... Jak to się mówi?... Utorować drogę, żeby moje pojawienie się nie było dla niego takim szokiem.

Sawyer pomyślała, że dziewczyna jest zdumiewająco opanowana. Miała ochotę zapytać, czego jeszcze Chesney dowiedziała się o Randzie, ale straciła odwagę. Czy powinna upewnić się, że nie ma do czynienia z oszustką? Każdy mógł zgłosić się z takimi pretensjami. Dziewczynie udało się dotrzeć do niej z drugiego końca świata. Nie wyglądała na kogoś, komu na gwałt potrzeba pieniędzy. Tego rodzaju poszukiwania były z pewnością kosztowne. Sawyer wzięła głęboki oddech.

– Jeśli to prawda... – nie skończyła zdania. Chesney czekała, co powie dalej.

– Nie mogę, po prostu nie mogę zakłócić w ten sposób spokoju mojej matki, przewrócić ich całego życia do góry nogami! Nie mam pojęcia, czy nie jest pani oszustką. Czy ma pani jakieś dowody? – Jakby to było potrzebne! Dziewczyna wyglądała jak dokładna kopia Randa. Mogła jednak być jakąś daleką krewną, niekoniecznie jego córką. A Rand był bogatym człowiekiem.

– Rozumiem, co pani czuje – powiedziała Chesney. – Zastanawia się pani nad wieloma różnymi sprawami. Na przykład, skąd wzięłam pieniądze na moje poszukiwania? W normalnych warunkach byłoby to ogromnie kosztowne, ale ja jestem stewardesą. Mogę, kiedy mam wolne, latać dosłownie po całym świecie prawie za darmo. Poza tym nieźle zarabiam i prowadzę oszczędny tryb życia. Tyle wyjaśnień, przynajmniej na razie.

– A jak się nazywała pani matka?

– Marion Brighton. Okazała mi pewną pomoc. Dała mi to. – Chesney wyjęła portfel, otworzyła go i wyciągnęła z niego spłowiałe i podniszczone zdjęcie. Pokazała je Sawyer.

Fotografia była niewyraźna, jakby osoba, która ją zrobiła, nie bardzo umiała obchodzić się z aparatem. Trudno było przysiąc, czy przystojny pilot stojący obok uśmiechniętej dziewczyny to na pewno Rand. Ala nasadzona z fantazją czapka przekonała Sawyer, że to on. Poza tym widziała go nieraz w identycznej pozie. Swobodny, pewny siebie. Oddała zdjęcie dziewczynie.

Gdy Chesney odezwała się ponownie, w jej głosie słyhać było jakąś desperacką nutkę.

– Moja matka opowiedziała mi o różnych sprawach. Wiem, że większość z nich jest ogólnie znana, ale niektóre... osobiste sprawy, takie, o których rozmawia ze sobą para zakochanych... Chyba mogłabym je powtórzyć tylko mojemu ojcu.

Sawyer skinęła głową.

– Tak, ma pani słuszność. Bardzo przepraszam, ale muszę już wracać do biura. Może spotkamy się wieczorem, zjemy razem obiad. O siódmej w Okura? Czy to pani odpowiada?

– Jak najbardziej. Bardzo dziękuję, że zechciała pani porozmawiać ze mną. – Chesney uśmiechnęła się serdecznie i, wyciągnęła rękę. Sawyer ujęła ją mocno. Zawsze była dumna z tego, że potrafi uścisnąć komuś dłoń równie energicznie jak mężczyzna. Tym razem trafił swój na swego.

Popołudnie wlokło się bez końca. Sawyer raz po raz wracała myślami do Chesney. O wpół do czwartej sięgnęła po słuchawkę, by zatelefonować na Hawaje. Rozmawiać z Maggie czy z Randem? Od razu wyrzucić z siebie zdumiewającą nowinę, czy starannie dobierać słowa, żeby złagodzić cios? Bo z pewnością będzie to cios, zwłaszcza dla Maggie. Rand jakoś upora się z myślą, że posiada córkę, wystarczająco dorosłą, by mieć własne dzieci. Maggie. Powinna porozmawiać z Maggie. Ona będzie wiedziała, jak to załatwić. Sawyer odetchnęła z ulgą słysząc głos matki.

– Sawyer! Jak to miło, że dzwonisz! Miałam zamiar dziś do ciebie napisać. Oszczędziłaś mi kłopotu: wiesz, że nie cierpię pisania listów! Nie stało sienie złego, prawda? – spytała z niepokojem Maggie. – Czy pan Hasegawa...?

– Czuje się na tyle dobrze, na ile to możliwe. Nie wiem, czy to, co

mam do powiedzenie, jest dobrą czy złą nowiną. Siedziałam przez kilka godzin zastanawiając się, jak... jak o tym powiedzieć...

– Na litość boską, Sawyer, o co chodzi? Cholera. Randa niema w domu. Pojechał dziś do Hilo w sprawie plantacji trzciny cukrowej. Chce ją kupić. Wybacz, że plotę byle co, Sawyer. Wiem, że jesteś panikarą, ale na miłość boską, wystraszyłaś mnie! Nigdy nie dzwonisz w środku dnia. Co się stało?

Maggie słuchała uważnie, gdy córka opowiedziała jej o nieoczekiwanej rannej wizycie. Sawyer usłyszała zdławiony okrzyk Maggie, ale mówiła dalej:

– Mamy się spotkać wieczorem w Okura. Ona nie wygląda na oszustkę i wiesz, Maggie, jest zupełnie podobna do Randa. Tak bardzo, że to aż niesamowite. Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć.

– Ja też nie mam pojęcia, jak o tym powiadomić Randa?!

Tak samo, jak ja tobie powiedziałam. Po prostu mu o tym powiedz, Maggie, jestem ostatnią osobą na świecie, która miałaby prawo cię pouczać, ale...

– Bądź przy nim, to chciałaś powiedzieć?

– Chyba tak. To będzie szok dla Randa. Niech czuje w tobie oparcie.

– Oczywiście – odparła Maggie rzeczowo. – A poza tym, co słyhać, Sawyer?

– W porządku. Cole zjawi się tu za dziesięć dni. Będziemy wtedy prowadzić bardzo czynne życie! Ilekroć przyjeżdża, wyciąga mnie z łóżka o szóstej rano, żebym poszła z nim na spacer do Ginzy. Ma zupełnego kręcka na tym punkcie. Muszę kiedyś wyciągnąć od niego, skąd mu się to wzięło?

– Pewnie zobaczył na jakimś filmie, że ktoś to robi i spodobało mu się to – powiedziała Maggie spokojnie. W normalnych warunkach roześmiałyby się z serdecznym pobłażaniem, jak zawsze, gdy dowiadywała się jakichś szczegółów z życia syna. Chyba wszystkie matki tak właśnie reagowały.

– Czy chcesz, żebym zatelefonowała wieczorem, po obiedzie?

– Tak. Jak znam Randa, wskoczy w pierwszy samolot. Dziękuję, żeś zadzwoniła, Sawyer. Będziemy w kontakcie. Nie dziw się, jeśli ujrzysz nas na swoim progu jutro lub pojutrze.

– Bardzo się ucieszę! – odparła Sawyer serdecznie.

– Mówisz szczerze, prawda?



– No chyba. – Głupia rzecz te pożegnania: człowiek nie ma pojęcia, kiedy odwiesić słuchawkę lub zamknąć za sobą drzwi. Czasem pożegnanie wlecze się dłużej niż cała wizyta. – Wobec tego zadzwonię dziś wieczorem. Do widzenia, Maggie.

– Do widzenia, Sawyer.

Maggie przez dłuższy czas wpatrywała się w telefon. Tak długo była szczęśliwa, wszystko układało się wprost cudownie. Nie żyła w ciągłym strachu, że coś zmieni się na gorsze, ale wiedziała, że prędzej czy później świat zewnętrzny musi wtargnąć w ich życie. Taka chwila zawsze nadchodzi, bez względu na to, jak pragnęłoby się temu zapobiec. Ale ona już sobie poradzi z tą sytuacją!

## Rozdział szósty

Tess popijała kawę nie przerywając gadania. Nie lada wyczyn – myślał Coots. Jego żona zawsze potrafiła robić dwie albo trzy rzeczy na raz. Czasami miał dla Tess zbożny podziw. Dziś wyglądała jakoś dziwnie i chciał zwać możliwie najszybciej, jak zawsze, gdy była w jednym ze swoich „gwiazdnych” nastrojów.

– Głupia z ciebie dziewczyna, Lacey – besztła córkę. – Powinnaś się uprzeć, żeby Riley zabrał cię ze sobą do Japonii. Konfiguracja gwiazd jest bardzo pomyślna. Kiedy wreszcie uwierzysz w ich przesłanie?

– Pewnie wtedy, kiedy i ja – parsknął Coots. Lubił sobie pokpiwać z astrologicznego żargonu żony i omijał tę część domu, którą określała jako swoją pracownię. Dekoracja owego pomieszczenia wyjątkowo działała mu na nerwy: lśniący półksiężyc i złote gwiazdy, które ponalepiała na obitych czarnym aksamitem ścianach. Dziwaczne wykresy i mapy nieba wiszące w tym pokoju też go irytowały, chociaż nie wierzył wcale, że Tess potrafi przepowiadać przyszłość; czasami jednak udawało jej się trafić w sedno. Dobrze wiedział, że żona nigdy nie podejmowała żadnej decyzji, zanim nie poradziła się gwiazd. Jego zdaniem wszystko to były diabelskie sztuczki i nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

– Aż za dobrze znam twoją opinię na ten temat, Coots, więc zachowaj swoje uwagi dla siebie – powiedziała Tess afektowanym tonem, który przybierała wówczas, gdy coś poszło nie po jej myśli. – Poza tym rozmawiam z moją córkę i chciałabym wiedzieć, co ma mi do powiedzenia. No i cóż, Lacey?

– Mamo, Riley wyjechał, zanim wstałam. Cole zadzwonił i przekazał mi wiadomość od niego. Cóż mogłam zrobić? Po co, na litość boską, miałabym się tłuc do Japonii i z powrotem bez żadnej potrzeby?! Sama wiesz, jak fatalnie wpływa na cerę długi lot odrzutowcem! Skóra się łuszczy. Chyba twoja konfiguracja będzie musiała poczekać na inną okazję. Pojadę do Japonii, kiedy przyjdzie odpowiednia pora, a gwiazdy zagwarantują mi, że będę się tam dobrze bawić.

Tess skinęła głową. Dobrze wiedziała, kiedy nie warto nalegać. Była jednak wściekła i wyładowała zły humor na mężu.

– Pewnego pięknego dnia, Coots moje złotko, będziesz mnie błagać, żebym wskazała ci właściwą drogę! Twój układ gwiazd paskudnie się przedstawia. Merkury jest w regresji, a to zły znak. Jeszcze wspomnisz moje słowa!

– Sama nie rozumiesz, co pleciesz! – burknął Coots. – Jakie plany mają moje panie na dziś? – W gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło, ale powtarzał to pytanie od lat i weszło mu w zwyczaj. Uśmiechnął się do Ivy, swojej ulubienicy. Potrafiła zjeść śniadanie „dobre dla chłopca”, jak to określał, tyle samo co on. Podobało mu się to. Poza tym Ivy miała głowę na karku, co także mu odpowiadało.

Lacey zauważyła pełne aprobaty spojrzenie ojca. Ubodło ją. Wiedziała, że jest ulubienicą matki, a ojciec za nianie przepada. Była mu potrzebna tylko wtedy, gdy chciał przy jej pomocy wycisnąć coś z Colemanów. Nie znosiła tych rodzinnych posiłków. Nigdy nie panował w ich domu naprawdę ciepły, serdeczny nastrój. Nie padały miłe słowa, ciągle słychać było tylko kłótnie i wzajemne oskarżanie się. Zdumiewające, że w takiej atmosferze w ogóle można było coś przełknąć. Ivy nigdy to jakoś nie przeszkadzało, ale ona zawsze się izolowała. Kiedy była jeszcze mała, bajdurzyła, że należy do królewskiej rodziny, tylko w szpitalu zamieniono niemowlęta. Kto wie, może w to nadal wierzyła?

– Ivy, to okropne, jak ty się opychasz! – Siostra puściła mimo uszu jej uwagę. – Mamo, co gwiazdy wróżą Ivy? Pewnie wrzody żołądka albo niestrawność!

Tess także działał na nerwy zdrowy apetyt Ivy. Miała ochotę wymyślić jakąś bajeczkę dotyczącą przyszłości młodszej córki, ale traktowała swe horoskopy z całą powagą, zwłaszcza gdy chodziło o rodzinę.

– Ivy to typowy Skorpion, więc nie ma kłopotów ze zdrowiem – oświadczyła. W jej głosie czuć było napięcie, zupełnie jakby słowa wydobywały się z gardła wbrew jej woli.

Ivy dopiła resztkę kawy i nasmarowała trzecią grzanekę, nie żałując masła i dżemu. Spojrzała na siostrę. Nie przepadała za nią, ale też nie mogła powiedzieć, że jej nie znosi. Podobnie obojętnie odnosiła się do matki. Obie były do siebie podobne jak dwie krople wody i dręczyły ją od urodzenia. Przez wszystkie te lata Ivy stworzyła sobie pancerz ochronny, broniący ją przed ciosami i upokorzeniami, które jej zadawano. Kochała za to swego szorstkiego, prostackiego ojca, prawie

tak mocno jak Rileya Colemana. Riley jednak uważał ją za głupiego bachora, nieopierzonego pisklaka i utrapienie. Łagodnie, ale stanowczo opędzał się od niej.

Właśnie ze względu na Rileya i swojego ojca Ivy wybrała w college'u jako podstawową i dodatkową specjalizację geologię i mechanikę. Zostanie, do cholery, najlepszym geologiem w całym Teksasie! Podwójna specjalizacja to coś, czego nie cła się zlekceważyć! Kiedy tylko poczuje w ręku dyplom, stanie przed nią otworem cały Teksas, cały świat. Zobaczą, kim ona jest! Ivy złożyła serwetkę i wstała od stołu.

Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy skierowała się ku drzwiom. Miała nadzieję, że przynajmniej usłyszy „do widzenia” albo „jedź ostrożnie, Ivy, ten twój stary gruchot to śmiertelna pułapka!”. Niechby powiedzieli byle co, żeby tylko jej pokazać, że należy do rodziny. Zresztą, już o to nie dbała. Mogłaby w jednej chwili wstać od stołu, opuścić na dobre swoją rodzinę i nawet się nie obejrzeć do tyłu. Kiedy była mała, podobnie jak wszystkie dzieci zastanawiała się, czy płakaliby, gdyby umarła. Doszła do wniosku, i do obecnej chwili nie zmieniła zdania na ten temat, że urządziliby całe przedstawienie, ale po tygodniu powiedzieliby sobie „Ivy? A któż to taki?”

– To bardzo wygodne chodzić na zajęcia tylko wtedy, kiedy ma się na to ochotę! I na miłość boską, Ivy, czy nie mogłabyś się porządnie ubrać? Dlaczego upierasz się łązić w tym okropnym kombinezonie na szelkach i w tych idiotycznych chodakach?! – wrzasnęła Lacey.

– Robię ci to na złość – rzuciła jej Ivy przez ramię. – Mam program indywidualny, więc mogę chodzić na zajęcia według własnego wyboru. Czy to moja wina, że niczego cię w szkole nie nauczyli? – Odwróciła się twarzą do siostry, teraz już naprawdę zła. – Zwykła z ciebie flądra, Lacey. Dobrze obie o tym wiemy, ty i ja. Ktoś powinien wyjaśnić Rileyowi, ile jesteś warta. – Ugodziła w bolesne miejsce, dodając:

– Cole'a najwidoczniej ktoś o tym poinformował. Zmądrzał i puścił cię w trąbę, a wtedy przyczepiłaś się do Rileya, żeby się odegrać. Riley zasługuje na coś więcej. – Głos Ivy był pełen goryczy i gniewu. Szkoda, że się z tym wyrwała. Powinna już do tej pory wiedzieć, że Lacey i tak postawi na swoim.

– Pewnie uważasz, że ty byś była dla niego odpowiedniejsza, co? Widziałam, jak siew niego wpatrujesz cielecym wzrokiem! Ale on nie

ma czasu na takie jak ty, więc możesz o nim zapomnieć! Wyjdę za niego i co mi zrobisz?

Ivy prychnęła pogardliwie i ten odgłos dziwnie zdenerwował Lacey.

– Będę się modlić, żeby Riley odzyskał rozum, zanim będzie za późno. Złamiesz mu życie. Czy nic cięto nie obchodzi? Pewnie, że nie! Myślisz tylko o sobie! Posłuchaj mnie uważnie, Lacey: jesteś żmija, dziwka, flądra – Ivy wypowiedziała te słowa powoli i z naciskiem.

Lacey wzdrygnęła się. Poczuała się tak, jakby Ivy zepchnęła ją z krzesła albo mocno uderzyła.

Co za złościca! Niewyżyta, stara panna! Ivy miała ochotę udusić siostrę. Nie znosiła takich rynsztokowych kłótni. Nie trzeba było w ogóle wracać do domu, ale czuła, że musi zobaczyć Rileya i porozmawiać z nim choć kilka minut. Każde spotkanie z nim pozwalało jej jakoś przetrwać do następnej okazji.

Dlaczego Riley miałby zwracać na nią uwagę? W porównaniu z Lacey zupełnie się nie liczyła. Jeśli Lacey to złoty szwajcarski zegarek, to ona jest jak tani budzik. Co kogo obchodzi, że trwały i punktualny? Ivy miała ochotę rozplakać się, wrzeszczeć, że zasługuje na coś więcej. Zamiast tego rzuciła siostrze na pożegnanie zjadliwe spojrzenie.

– Cole miał rozum, że się ciebie pozbył! Chyba napiszę do niego list z gratulacjami. Baw się dobrze, a jakby się kto pytał, wracam do szkoły.

– Krzyżyk na drogę! – warknęła Lacey. Pożałowała tych słów natychmiast, gdy Ivy wyszła. W gruncie rzeczy lubiła siostrę. Było jej żal Ivy, ale z jakiegoś powodu, pewnie przez zazdrość, ciągle żarły się ze sobą jak pies z kotem. Wiedziała, że Ivy osiągnie to, czego pragnie, i w dodatku wyłącznie własnymi siłami.

Lacey długo siedziała przy stole, wysnuwając luźne nitki z rękawa starego szlafroka. Kiedy odpruła w ten sposób cały mankiet, rzuciła go na stół, nie troszcząc się, co się z nim stanie. Nieważne, jak teraz wyglądał jej szlafrok; kiedyś podobał się Cole'owi.

Riley zsunął swą czapkę baseballową jeszcze bardziej na tył głowy. Obserwował, jak wysłużony mustang pędzi po zaśnieżonej drodze, a białe płatki wirują wokół niego niczym przyziemne tornado. Mimo

woli szeroko się uśmiechnął: jeden huragan szalał na zewnątrz wozu, a drugi za jego kierownicą! Analogia pomiędzy Ivy Buckalew a tornado była bardzo trafna. Młodsza siostrzyczka Lacey, jej inteligentna siostrzyczka, czarna owca rodziny Buckalewów! Riley bardzo ją lubił. Potrafił dojrzeć, co kryło się za zewnętrzną fasadą kłótności i arogancji. „Skocz im od razu do gardła, zaatakuj pierwsza, zanim zdążą cię zranić!” – to była życiowa dewiza Ivy. „Samochód zatrzymał się koło niego.

– Cześć, Riley, jak leci?! – wrzasnęła Ivy przekrzykując hałas silnika.

– Cześć! – odparł Riley z szerokim uśmiechem. – Jakim cudem ten stary gruchot jeszcze jeździ?! Czy kiedykolwiek sprawdzał go jakiś mechanik?

– Jest pod stałą kontrolą – odcięła się Ivy. Wysiadła z wozu i zarzuciła Rileyowi ręce na szyję. – Bardzo mi brak naszych rozmów! Za to opowiadam o tobie moim profesorom, wiesz?

Tym razem jej uścisk był jakiś inny. Przez ostatni rok w Ivy zaszła zmiana. Figura jej zrobiła się tu wypukła, tam wklęsła – w bardzo odpowiednich miejscach. Bezkształtny kombinezon i kurtka podbita kuzuszką nie pozwalały dojrzeć tych zmian, ale gdy objął ją ramionami, wyraźnie się o nich przekonał. I chyba zmieniła uczesanie, czy coś w tym rodzaju? Powiedział jej o swoich spostrzeżeniach.

– Nie sądziłam, że zauważysz. Straciłam osiemnaście funtów. Różne chłopaki zabijają się o moje względy, wyobrażasz sobie? Ale nadal jestem dziewicą.

Riley powinien był odpowiedzieć na to:

I tak trzymać! Poczekaj na mnie.

Miał już te słowa na końcu języka i wiedział, że Ivy na nie czeka, ale nie czuł się w jej obecności tak swobodnie jak dawniej. Ivy dorosła, a on tego nie zauważył! Wydało mu się, że przegapił coś ważnego. Uśmiechnął się jakoś sztucznie.

– Pamiętaj, jeśli któryś z tych chłopaków cię w końcu zawojuje, masz mi go przedstawić do aprobaty! Niedługo będziesz moją siostrą i, widzę, że ktoś powinien mieć na ciebie baczne oko!

– Wcale nie chcę być twoją siostrą!

– No to moim najlepszym kumplem. W porządku?

Ivy miała ochotę rozplakać się. Nie chciała być jego siostrą i wiedziała, że nie mogą już być kumplami. Prędzej czy później zdradzi

się ze swoim uczuciem albo ktoś wyciągnie na jaw jej tajemnicę i rozgada. Jej rodzina zacznie z niej szydzić, tak że się chyba zapadnie pod ziemię. Riley, skrepowany, nie będzie mógł jej spojrzeć w oczy. Zacznie jej unikać. Trzymała się jakoś dotąd dzięki spotkaniom z nim, dzięki jego zabawnym rozgadany listom i rzadkim rozmowom telefonicznym. Teraz to wszystko przepadnie. Riley, który zawsze tak świetnie ją rozumiał, zaczynał się orientować, co się święci. Kiedy ożeni się z Lacey, nic już nie będzie takie jak dawniej. Może była głupia, ale nie potrafiła zrozumieć, jak można się związać z porzuconą przez kuzyna dziewczyną i nadal przyjaźnić się z tym kuzynem, jakby nic sienie wydarzyło. Czy Riley nie pamiętał o tym, co łączyło kiedyś Cole'a i Lacey? Czy nie obawiał się, że jego dziewczyna porównuje go z poprzednikiem? Czy wreszcie nie dostrzegął, że Lacey nadal kocha Cole'a? Biedny, głupi, cudowny Riley! Ivy uśmiechnęła się równie sztucznie jak on.

– Zawsze będę twoim kumplem, Rileyu. Ale już na mnie czas! Czeka mnie dalsza droga.

– Czy twoi rodzice nie boją się o ciebie? Ten twój wóz to śmiertelna pułapka! Nie możesz podróżować samolotem jak wszyscy?

– Dobrze mi się myśli za kierownicą. Jestem ostrożna, a ten mój wóz to prawdziwy skarb, nieważne jak wygląda. Motor majak złoto! Ale jeśli chcesz, możesz się o mnie pomartwić. Będzie mi przyjemnie, że komuś na mnie zależy. Moi starzy na pewno się o mnie nie boją. Wiedzą, że umiem sama o siebie zadbać!

– To najdobitniej sza deklaracja niezawisłości, jaką kiedykolwiek słyszałem mruknął Riley.

– Zaraz mi powiesz, że powinnam być mniej samodzielna! Jak śliczna, słodka kruszyna Lacey, pierworodna, oczko w głowie mamusi i tatusia! Cudowna milutka Lacey, której wystarczy się nadać, żeby zdobyć to, czego chce. Dobrze wiesz, że ja jedna z całej tej cholerniej rodziny mam trochę rozumu. Może lepiej powiedzieć: chłopskiego rozumu! – warknęła.

To była dobrze mu znana Ivy. Wygadana i cyniczna. Powtórzył to, co mówił zawsze, słysząc jej narzekania:

– Korzystaj dalej ze swojego rozumu i postaraj się, żebym był z ciebie dumny! Zadzwoń, jak dojedziesz do szkoły. Chcę wiedzieć, że dotarłaś szczęśliwie.

– Nie potrzebuję niańki, Rileyu, więc przestań się wygłupiać! Jak

po drodze na coś wpadnę i wykorkuję, przeczytasz o tym w gazetach. I jeszcze jedno. Nie wierz we wszystko, co wciska ci mój ojciec. Mój stary nieraz kłamstwem dochodził do tego, na czym mu zależało. Zastanów się, ile jest sensu w tym, co gada. Ostrzegam cię, bo jesteś moim kumplem, ale to wcale nie znaczy, że nie kocham starego! – dodała pospiesznie.

Riley przyciągnął ją do siebie i uważnie się jej przyjrzał. Były z Lacey tak różne jak dzień i noc. Objął Ivy i przytulił, czując jej ciepły, świeży zapach. Była w jego ramionach taka miękka, sprawiało mu przyjemność czuć ją przy sobie. Lacey wydawała mu się zawsze twarda i sztywna, pachniała pudrem i perfumami. Obejmował Ivy nieco dłużej niż zwykle, ciesząc się jej bliskością. Pogłaskał ją po głowie i zanim się opamiętał, zanurzył palce w jej miękkich loczkach. Włosy Lacey były sztywne i lepiły się od lakieru, ciągle zresztą słyszał od niej: „Nie popsuj mi fryzury, Rileyu!”. Zorientował się, że zanurzył brodę we włosach Ivy. Wydała jakiś dziwny odgłos, przypominający miauknięcie głodnego kotka. Włosy jej miały cudowny zapach, były odrobinę wilgotne. Ivy podobała się jego dziadkowi. Jak dobrze się zastanowić, to Ivy podobała się wszystkim, z wyjątkiem własnej rodziny.

Pierwsza przerwała ich uścisk Ivy. Łagodnie odsunęła się od niego. Jej wzrok spotkał się z oczyma Riley'a.

– Popelniasz błąd, Rileyu. Lacey to dziewczyna nie dla ciebie. Zrób z tym coś, zanim będzie za późno. Ona kocha Cole'a. Woła go przez sen. Lepiej, żebyś dowiedział się o tym teraz niż potem. Bardzo mi przykro, jeśli zadaję ci ból. Za nic nie chciałabym sprawić ci przykrości. Muszę już jechać. Zadzwoń do ciebie.

Riley patrzył, jak sfatygowany mustang trzęsie się, pędząc po drodze, a z rury wydechowej bucha czarny kłęb spalin, takie minitornado.

Ivy Buckalew. Zawsze nadrabiająca miną. Szczera aż do przesady Ivy. Czarna owca rodziny Buckalewów. Czasami Rileyowi wydawało się, że stanowi z nią jedno, zwłaszcza gdy dostrzegał w jej oczach, że coś ją bardzo zabolalo. Zawsze uważał ją za pisklaka, za małolata, uprzykrzonego bachora... Aż do dziś.

Riley zmrużył oczy od mroźnego blasku zimowego słońca. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie znosi zimy. Ostatnio jakoś wiele rzeczy go irytowało. Ale Ivy Buckalew nie działała mu na nerwy.



Przestroga dotycząca jej ojca i siostry zrobiła na nim takie wrażenie, aż skulił się w sobie. W gruncie rzeczy Ivy potwierdziła tylko jego własne obawy. Ale gdy usłyszał je wypowiedziane przez nią głośno, potraktował je bardziej serio. Musi to poważnie przemyśleć!

Po raz nie wiadomo który pożałował, że związał się z Buckalewami. Coots pozwolił mu skorzystać ze swego doświadczenia; Riley winien był mu za to wdzięczność. Niestety, słuchając jego rad popełnił też kilka poważnych błędów. Coots był starym wyjadaczem, specem nafcianym z dawnych pionierskich czasów. Robił wszystko „na niucha”, pokpiwając sobie z nowoczesnej technologii Rileya. To samo dotyczyło jego kumpli. Wszyscy jakby wyszli z tej samej formy. Rileyowi bardzo pochlebiało, gdy Coots zaproponował mu, że weźmie go pod swoje skrzydła i pokaże, jak zabierają się do roboty prawdziwi teksascy nafciarze. Nie było jednak wątpliwości, że stary Coots i jego kumple zamęcili mu w głowie. Zamiast iść za tym, co dyktowała mu jego wiedza i zdrowy instynkt, Riley dał się sprowadzić na manowce. Teraz, gdy ceny ropy spadły do minimum, a szyby nie działały, znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Podobnie jak wszyscy inni nafciarze w Teksasie.

A potem zjawiała się Lacey Buckalew, jeszcze obolała po zerwaniu z Cole'em. Rileyowi zaimponowało, że dziewczyna poświęca mu tyle uwagi. Coots trochę się od niego odczepił, kiedy Riley zaczął umawiać się z jego córką. Nie na długo. Cole usunął się z placu boju. Riley nigdy nie pytał o to, jak się rozstali, wolał wierzyć, że to Lacey była stroną zrywającą, a nie porzuconą.

Teraz, po upływie wielu miesięcy, Riley sam nie wiedział, jak znalazł się w obecnym położeniu. Wkrótce Lacey zażąda, by oficjalnie ogłosić ich zaręczyny... Riley płynął tylko z prądem, co nie najlepiej o nim świadczyło. Ostatnio ani rusz nie mógł podjąć żadnej konkretnej decyzji. Dlaczego? Dobrze wiedział, dlaczego tak było: po prostu wolał o tym nie myśleć. Uczucie wspólnoty. Rodzina. Duma. Wykonaj dobrą robotę, udowodnij, że jesteś rzeczywiście jednym z nas!... A zamiast tego, Riley wszystko spartolił.

„Ten wystrzałowy małolat ze skośnymi ślipiami” zaczynał tracić na popularności. „Czego się w końcu można spodziewać po tym żółtku?! Umieją robić komputery i stereo, ale co oni tam wiedzą o ropie?” – Riley słyszał podobne szeptki w całym Austin. Uważano też, że unika ludzi, że sam chce zebrać owoce swej chwalebnej

działalności – albo niesławnej, jak przyjdzie co do czego.

Riley chciał porozmawiać na ten temat z dziadkiem, ale w końcu do tego nie doszło. Po co Stary Pan miałby dzielić jego hańbę? Bo to była hańba. Nie spełnił pokładanych w nim nadziei, mówiąc po prostu i bez ogródek.

Może powinien rzucić to wszystko i wyjechać? Wrócić do Japonii. Zrezygnować ze wszystkich planów, z marzeń o tym, że będzie należał do rodziny swego ojca, stanie się jednym z Colemanów. Kim on właściwie był? Japońskim zbawcą, który tchnie nowe życie w Coleman Oil i przywróci mu dawną świetność? Czy godnym pogardy „żółtkiem”, który zwiewa z podwiniętym ogonem do Japonii, pod skrzydła potężnego dziadka?

Jak można być aż tak rozdartym?... Cóż, na pewno nie znajdzie na to odpowiedzi stercząc na mrozie! Japońska strona jego natury podpowiadała mu, by przyjmował wydarzenia w miarę, jak następują po sobie, powoli i stopniowo. Cierpliwość i wewnętrzna równowaga zapewnią w końcu zwycięstwo. Szkoda, że burzliwa, amerykańska natura brała w nim wyraźnie górę.

Dawno rozplynęła się w powietrzu czarna chmura spalin z rury wydechowej mustanga Ivy. Zniknęły także ostatnie promienie słońca. Gęste, szare chmury powoli sunęły po niebie. Znowu spadnie śnieg. Jeszcze więcej śniegu.

Riley wgramolił się z powrotem do bronco. Jego myśli powróciły do Ivy. Przypomniawszy sobie, jak nieraz nazywał ją niepoprawną marzycielką. Pomyślał nagle, że wszystkim potrzebne są marzenia. Bez nich nie byłoby nadziei, a bez nadziei człowiek nie ma po co żyć. Ivy poradzi sobie w życiu! Chociaż to tylko jego przypuszczenia, a nie należy niczego zakładać z góry. Matka powiedziała mu w dzieciństwie, że to najgorszy ze wszystkich grzechów. Riley dołączył troskę o los Iyy Buckalew do sterty innych zmartwień, ciężących na jego barkach.

Cary przechadzał się po Trzeciej. Alei; jego kroki były lekkie, a myśli bez troski. Zamierzał złożyć grzecznościową wizytę swoim nowojorskim doradcom prawnym z firmy Friedman, Leeds i Schornstein. Zabierze Marty Friedmana i Alana Kaufmana na lunch, jeden z tych długich, kosztownych lunchów zakropionych co najmniej trzema kolejkami czegoś mocniejszego i kilkoma butelkami wina.

Przekaze im wszystkie najświeższe nowiny i opowie o dużym przedsięwzięciu, z którego się wycofał. Marty uśmiechnie się swoim charakterystycznym uśmiechem, który Amelia określiła jako „rozbrajający”. Alan wyszczerzy zęby, bawiąc się nieodłącznym długopisem, odchyli się z krzesłem do tyłu i skinie głową z aprobatą.

Porządne chłopy. Wiele się od nich nauczył. Z początku zdawało mu się, że nie traktują go poważnie, ponieważ ożenił się z Amelią, od której był tyle lat młodszy. Zupełnie niepotrzebnie się tym przejmował. I tym razem, tak jak zawsze, sprawdził się i zyskał w ich oczach zasłużone uznanie. Zrozumieli, że nie jest czyjąś marionetką.

Sekretarka oznajmiła mu z żalem, że Alan jest w sądzie, a Marty wyjechał z miasta w interesach. Cary zostawił puszkę ulubionych rajskich orzeszków z Hawajów dla Alana i pudełko czekoladek Godiva dla żony Marty’ego oraz podał numer swego pokoju w hotelu. Miał przed sobą prawie cały dzień i nic do roboty, zanim nie przyjdzie pora, by zabrać Julie na obiad. Załatwił już zakupy, a było zbyt wietrznie i mokro, żeby wałęsać się po ulicach. Po lunchu w barze delikatesowym zdecydował się na kino i torbę prażonej kukurydzy. Obudził się na dziesięć minut przed zakończeniem filmu. Wpadł do toalety, wypalił papierosa w foyer i zdążył wrócić na następny seans. Dopiero teraz zorientował się, co to za film: „Dziewięć śmierci Ninja”. Jak urzeczony przyglądał się mężczyźnie w masce wirującemu w takim tempie, że dosłownie zarył się w ziemi. Wszystkie dziewięć zgonów zagryzał popcornem.

Była już czwarta, gdy wyszedł z kina. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Saksa przy Piątej Alei. Przemierzał wielkie, perfumowane sale dobrze wiedząc, czego w nich szuka. Zatrzymał się przed stoiskiem, w którym sprzedawano droższą biżuterię. Przyjrzał się złotym wyrobom, połyskującym wewnątrz oszklonych gablotek. Broszka? Bransoletka? Lepiej nie okazywać zbyt wiele własnej inicjatywy. Amelia powiedziała, że ma kupić bransoletkę, niech więc będzie bransoletka. Dokonanie wyboru trwało kwadrans: zdecydował się na gustowną, cienką bransoletkę ze złotej plecionki. Opakowanie prezentu zajęło następne dziesięć minut. Na paczuszce widniała srebrną pieczęć Saksa. Wychodząc przez drzwi obrotowe Cary wydał westchnienie ulgi. Zapłacił za bransoletkę sto pięćdziesiąt dolarów. Był to prezent co najmniej o połowę droższy, niż Julie mogła oczekiwać. Cary był pewien, że w uroczy sposób okaże swe

zmieszanie. Ale klejnot od Tiffany'ego lub Cartiera, na który namawiała go Amelia, Julie zwróciłaby natychmiast. Mógł się założyć, choćby o swój nowy kaszmirowy sweter!

Przez ułamek sekundy Cary przechodząc przez hol hotelowy poczuł pokusę wręczenia bransoletki uśmiechniętej recepcjonistce. Błyskotka znajdowała się jednak nadal w jego kieszeni, gdy wieształ palto w szafie. Sprawdził pozostawione dla niego wiadomości, Alan Kaufman zadzwonił, żeby poinformować, że nie może wybrać się z nim na obiad; jest już zajęty. Zatelefonowała także Amelia, o wpół do czwartej. Teraz było już po piątej, w Teksasie trzecia.

Cary nieomal spadł z krzesła obrotowego, gdy sięgał do podręcznego barku po puszkę budweisera. Miał ją już w rękę i szykował się do otwierania, gdy w słuchawce rozległ się głos Amelii. Cary słyszał, jak żona mówi mu „dzień dobry”, ale znacznie wyraźniej zabrzmiało mu w mózgu jej dawne ostrzeżenie, że kobiety nie znoszą cuchnącego piwem oddechu. A ona jeszcze bardziej niż inne! Puszka powędrowała z powrotem do barku. Cary wyjął zamiast tego piwo imbirowe i skrzywił się.

– Zgłaszasz się bardzo szybko, kochanie powiedziała Amelia. – Dzwoniłam tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy wybrałeś jakieś efektowne świecidełko dla Julie? Opowiedz mi, co to takiego?

– Kochanie, kupiłem bransoletkę, jak mi radziłaś. Złotą.

– Jak wygląda? Myślisz, że podobałaby mi się? Są na niej jakieś kamyki, czy tylko samo złoto? Ile za nią dałeś? – w głosie Amelii brzmiało ożywienie i jakaś zupełnie mu nie znana nutka.

– Wygląda zwyczajnie, jak bransoletka. Taka pleciona. Prosta, ale elegancka; ładnie by się prezentowała na twoim ramieniu.

– Ile kosztowała? Nie zrobiłeś mi wstydu, prawda?

– Ile? – Cary szukał wymijającej odpowiedzi. – Najmilsza, czy to nie ty mi tłumaczyłaś, że kiedy człowiek pyta o cenę, to znaczy, że go na to nie stać? Nie pytałem. Po prostu kazałem wpisać na rachunek. – To był błąd! Zapłacił gotówką. Amelia będzie czekała na potwierdzenie wpłaty. Saks zawsze przysyłał klientom kopię rachunku. Chwileczkę: pomyśli, że zapłacił kartą kredytową American Express lub Visa.

– Rozumiem: kwota musi być szokująca! Ubóstwiam, jak postępujesz z klasą, Cary! – szczebiotała Amelia. W jej głosie było coś, czego nie umiał określić. – Zamówiłeś już stół?

– Jezu, wyleciało mi z głowy! Dzięki ci, złotko, za przypomnienie!

– Ależ, kochanie, Czemu się tak denerwujesz? Zapraszasz po prostu śliczną dziewczynę na obiad w dniu jej urodzin. Wczuj się w nastrój chwili i postaraj się, żeby to był dla Julie cudowny wieczór! Może by go zakończyć przejażdżką po parku w konnej dorożce? Obiecuj mi, Cary, że zadbasz o to, żeby się wszystko udało!

– Obiecuję ci, złotko. – Dlaczego czuł się jak ostatni oszust? Nie powiedział ani jednego słowa, które byłoby niezgodne z prawdą!

– Uspokoileś mnie. Teraz nie będę ci już dłużej zawracać głowy: musisz zarezerwować stolik. Zadzwoń do mnie po powrocie i opowiedz, jak się udał wieczór. Będę czekała na twój telefon.

– A jakie ty masz plany? Bardzo bym chciał, żebyś tu była, Amelio.

– Ja też, kochanie, ale czekają mnie dobre cztery godziny papierkowej roboty. Zaczynam jednak dostrzegać światełko w tunelu! Może zadzwonię potem do Billie i Thada. No to udanego wieczoru! – Amelia odłożyła słuchawkę. Sygnał zabrzmiał wyjątkowo głośno. Cary wpatrywał się w telefon. Tak kurczowo trzymał słuchawkę, że aż mu zbieleły kłykcie i z trudem rozwarł zaciśnięte palce. Zrzucił marynarkę, rozwiązał krawat, a potem zadzwonił do recepcji, żeby zarezerwowano dla niego stolik „Pod Lwią Skałą”.

Czując, że jest całkiem wykończony, Cary włączył popołudniowy program, położył się na tapczanie, zrzucił buty i natychmiast zasnął.

Julie Kingsley po raz trzeci obiegła w koło całe swe mieszkanie i dopiero wtedy zmusiła się, by przysiąc i odbyć jedną z intymnych rozmów z własnym sumieniem, jak to określała. Jeszcze nigdy nie była taka podminowana. Cóż, nigdy dotąd nie miała trzydziestu dziewięciu lat – tłumaczyła sobie. Właśnie o to chodziło: o te okropne, zgrzybiałe trzydzieści dziewięć lat! W przyszłym roku stuknie jej okrągła czterdziestka. To okropne być niezamężną mając trzydzieści dziewięć lat! A czterdziestka bez męża – to już stuprocentowe staropanieństwo. Kobiety często rodzą dzieci w tym wieku, ale jej szanse na macierzyństwo były doprawdy znikome, jeśli nie brać pod uwagę sztucznego zapłodnienia. Zresztą i tak na pewno byłaby okropną matką. Bardzo pragnęła uczucia i bliskości kochanego mężczyzny... Dziecko pewnie by w tym przeszkadzało... Jeśli się natychmiast nie weźmie w garść, zacznie się mazać!... Pobiegnęła pod

prysznic. Rytmicznie siekający deszcz gorących kropeł działał kojąco na jej zmęczone, obolałe ciało. Doszła jednak do wniosku, że jedynie długa, niespieszna kąpiel z bąbelkami piany zagwarantuje całkowity relaks. Może zostawić otwarte drzwi do prysznicza i przyjrzeć się swemu odbiciu w ogromnym lustrze? Upnie włosy na czubku głowy, wsypie podwójną porcję soli kąpielowych i zanurzy się po szyję w bąbelkach. Kieliszeczek dobrego wina i dwa papierosy dla uczczenia urodzin bardzo dobrze jej zrobią. Potem gorący prysznic dla spłukanie całej tej piany, a następnie pachnący balsam do ciała i puder o tym samym zapachu (innych pachnidła nie używała) – i już będzie gotowa na ucztę urodzinową dla uczczenia tej trzydziestki dziewiątki!

Po dzisiejszym obiedzie zatelefonuje do Amelii, żeby jej podziękować, że namówiła Cary'ego, by zabrał ją do restauracji. Nie, niezręcznie! – odezwał się w jej mózgu ostrzegawczy głos. Lepiej wysłać kilka słów podziękowania za jakiś tydzień czy trochę później, skierowanych do nich obojga.

Kiedy pienne bąbelki zaczęły się przelewać przez brzeg wanny, Julie zakręciła kran i zanurzyła się w jedwabistej wilgoci. Cholera, zapomniała o papierosach i winie! Nic nie szkodzi. Będzie na nie pora później, po obiedzie.

Obiad. Przyjęcie urodzinowe. W towarzystwie Cary'ego Assante. Męża Amelii. Przecież nie miało to żadnego znaczenia! Co się z nią dzieje? Nieraz już spędzała wieczór w towarzystwie różnych mężczyzn! Nie miała zamiaru zgrywać się na dziewicę. Cary Assante podobał jej się. Może nawet bardziej niż należało: był przecież mężem innej kobiety. Julie miała swoje zasady, a jedna z nich brzmiała „nie umawiaj się z żonatymi”! Ale tym razem to nie była żadna randka – wyśmiała Julie samą siebie. Jak zawsze, robi z igły widły! Zaproszenie na obiad to po prostu miły, przyjacielski gest ze strony Cary'ego. Nic więcej. Zupełnie więc bez potrzeby siedzi tu teraz w pachnącej wodzie, jakby się szykowała na spotkanie z mężczyzną jej snów. Prawdę mówiąc, Cary Assante bardzo przypomina takiego bohatera babskich marzeń. Szkoda, że pochodzi ze snów całkiem innej kobiety!

Julie wyciągnęła pokryte pianą nogi i podważyła wielkim palcem zatyczkę. Woda zaczęła spływać z gulgotem. Julie przyjrzała się sobie w wielkim ściennym lustrze. Numer buta – dziewiątka. Piegi, nie tylko na twarzy, ale dosłownie wszędzie. Nawet na piersiach. Zbyt

szerokie biodra, powodujące kłopoty ze znalezieniem odpowiedniej numeracji garderoby. Była za wysoka. Piersi stosunkowo małe, za to stopy za wielkie, a biodra zanadto rozłożyste. Milion piegów. Krótki gruby nos. Nie sposób nie zauważyć. Na szczęście dobre zęby. Świetnie się prezentują w szerokim uśmiechu. Przejrzyste oczy – jeszcze jeden plus. Krzaczaste brwi, nie poddające się żadnej pęsetce. A la Brooke Shields! Boże, nad czym ona się zastanawia?! Nie robiła takiego remanentu swoich wad i zalet od czasu randek z Iariem Matthewsem, architektem, który wykręcił się od dalszej znajomości, oświadczając, że nie przepada za wysokimi kobietami. Może chciał przez to powiedzieć, że nie lubi wysokich kobiet z wielkimi stopami, szerokimi biodrami, zbyt małym biustem, piegami i krótkim, grubym nosem?

Julie wyszła spod prysznic i owinęła się puszystym niebieskim ręcznikiem, dobranym kolorem do kafelków w łazience. Zanurzyła stopy w miękkiej wykładzinie o podobnej barwie. Wytarła się pospiesznie, potem owinęła głowę ręcznikiem i pobięła na golasa do sypialni w poszukiwaniu szlafroka. Miała wystarczająco dużo czasu na polakierowanie paznokci u rąk i nóg. Napije się wina i może zapali tego wymarzonego papierosa susząc włosy. Potrafiła się ubrać i umalować w piętnaście minut. Zdecydowała już, co na siebie włoży: turkusową suknię z dżerseju z paskiem z tego samego materiału. Do tego apaszka przetykana srebrną nitką, oryginalny model Billie Coleman. Czarne pantofle z krokodyla i kolczyki z pereł będą uzupełnieniem jej stroju.

Julie machała stopami i powiewała dłońmi, żeby lakier szybciej wysechł; pozwoliła swoim myślom powrócić do Cary'ego Assante, mimo że przez ostatnią godzinę starała się od tego powstrzymać. Zaproponuje mu, żeby przeszli się pieszo do restauracji i z powrotem. Jeżeli nawet zasiedzą się dłużej przy obiedzie, i tak musi wrócić do domu nie później niż o wpół do jedenastej. Podziękuje za wspaniały wieczór i pożegna się z Carym. Jutro jest zwykły roboczy dzień i Julie powinna się wyspać. Kiedy znajdzie się z powrotem w swym przytulnym mieszkanku, będzie mogła pośmiać się z samej siebie: zwykły obiad w dniu urodzin wywołał u niej takie emocje! Wówczas będzie należał już do przeszłości. Ot, jedno z miłych wspomnień.

Cary ma takie serdeczne i łagodne spojrzenie, i uśmiech miły jak rzadko. A co ważniejsze, potrafi sprawić, by jego towarzyszka czuła

się kimś zupełnie niezwykłym. No i nie zapominajmy o jego poczuciu humoru – upomniał wewnętrzny głos. Potrafi śmiać się nawet z siebie samego! Ciepłe poczucie humoru to prawdziwa rzadkość w obecnej dobie złośliwości i egoizmu.

Julie poczuła lęk przed Carym Assante.

Riley skończył swój stek z kartofelkami. Nawet gdyby miał na to ochotę, nie zacząłby obgryzać kości w restauracji, jak to właśnie robił Coots. Nie miał w planach tego spotkania, ale Coots przyparł go do muru, zjawiając się nieoczekiwanie w jego biurze.

Coots machnięciem ręki odgonił kelnerkę. Był to znak, że chce pogadać o interesach.

– Ostrzegałem cię, żebyś nie przerywał wierceń, Coots. Powinieneś być mnie posłuchać.

– Do cholery, chłopie, one dawały najwyżej cztery czy pięć baryłek na dzień, a za ich wydobycie musiałem dziennie bulić piętnaście dolców od sztuki. Jaki to miało sens?

– I tak przepuszczasz codziennie forszę na to czy owo – odparł szorstko Riley. – Tkwisz w tym interesie znacznie dłużej niż ja. Powinieneś mądrzej postępować.

– Niedługo będziemy jedną rodziną, synu. Czemu nie dzielisz się ze mną wszystkimi tymi nowomodnymi pomysłami i całą tą technologią, którą ci wpakowali do głowy w szkole?

Riley pienił się ze złości. Miał ochotę powiedzieć staremu, gdzie może go pocałować. Coots i jego kumple uparli się, że nie chcą mieć nic do czynienia z EOR. A teraz stary Coots prawie żebrze o pomoc. Niby chodzi mu o ekspertyzę! Forsa Colemanów – oto, na czym mu zależy!

– Ta cała technologia, jak ją określasz, to w obecnej chwili jedyny ratunek. Każdy nafcjarz w Teksasie żałuje, że się nianie posłużył. Technologia to jedyne wyjście. Coleman Oil także ucierpiał, tak samo jak wszystkie przedsiębiorstwa.

– Nie na tyle, żeby robiło to wam jakąś różnicę! – warknął Coots. – Wszyscy w Teksasie wiedzą o waszych leasingach naftowych w Wenezueli.

– Wobec tego wszyscy powinni też wiedzieć, że nie mamy z nich wielkiego pożytku. Pozwolono nam wejść na teren, zacząć wiercenia, posłużono się naszą ekspertyzą i zabroniono wywozu ropy. To było



jedno z moich pierwszych zawodowych doświadczeń, a od tego czasu sytuacja nie uległa zmianie.

– Jakoś się w końcu dogadasz z tymi czarnuchami. Może nie tak, Riley?

– Mamy leasingi. Rozmawiałem z różnymi urzędnikami, inni zresztą też. Obiecują złote góry i nie załatwiają w końcu nic, Coleman Oil nie stać na to, by wydawać masę forsy bez żadnego pożytku.

– Te czarnuchy nie umieją wydobywać ropy. A ty się na tym znasz. Pogadaj w tym sensie, wiem, że się tam wybierasz w przyszłym tygodniu. Może zabrałbym się z tobą?

– Nie da rady, Coots. Słuchaj, muszę już iść. – Riley rzucił na stół kilka banknotów. Gotów był założyć się o pięć dolarów, że po południu będzie miał telefon od Lacey; powie, że zdecydowała się w końcu pojechać z nim do Ameryki Południowej. Jeżeli nie zabierze ze sobą Cootsa, to pojedzie Lacey. Riley zastanawiał się, czy Ivy ostrzegła go także, żeby nie wierzył w to, co mówi jej siostrą? Wyszedłszy na świeże, mroźne powietrze Riley wciągnął je głęboko w płuca. Było mu żal Cootsa. Przykro wprost patrzeć na tego przegranego starego człowieka. Tym bardziej że Coots był już za stary i zbyt zmęczony, żeby zaczynać wszystko od nowa. Koniec z ropą. Koniec całego świata.

Riley zapuścił silnik forda bronco i z hukiem wyjechał na szosę. Jego babka zapowiedziała swój przyjazd na najbliższy weekend. Wiedział, co to znaczy. Sprawdzanie ksiąg, otwarta konfrontacja. „Powiedz nam bez ogródek, jak sprawy stoją, Coleman!”. Jeżeli Coleman Oil pójdzie pod wodę, podobny los czeka i Coleman Aviation.

## Rozdział siódmy

Sawyer siedziała naprzeciwko Chesney Brighton, starając się znaleźć odpowiednie słowa, które niby coś mówiły, ale w gruncie rzeczy nic nie znaczyły. Przypominało to wynajdywanie odpowiedniej kartki z życzeniami urodzinowymi dla dawnego kochanka, z którym chciało się zachować luźny kontakt.

– Randi moja matka zjawią się tu jutro. Zaaranżuję wasze spotkanie, a dalej wszystko będzie już zależało od pani i od nich – powiedziała.

– To był ból nie do zniesienia – zauważyła cichym głosem Chesney.

Nie było sensu udawać, że Sawyer nie rozumie, co Chesney miała na myśli.

– Przez jakiś czas rzeczywiście bardzo mnie to dręczyło – ciągnęła Chesney. – Ale pogodziłam się z tym i teraz prowadzę przyjemne, niekiedy nawet radosne życie. Wiem, że Rand i Maggie są ze sobą bardzo szczęśliwi. Byłabym zrozpaczona, gdyby coś im to szczęście zakłóciło. Może pani być zupełnie spokojna. Ja tylko chcę poznać mojego ojca i nic więcej. Wyjadę zaraz po tym spotkaniu. Nie mam zamiaru narzucać się ani jemu, ani pani matce. Pewnie pani nie rozumie, dlaczego tak mi na tym zależy... ja nie miałam nigdy żadnej rodziny. Nie wiem, co to słowo właściwie znaczy. Nie mam pojęcia, jak czuje się ktoś, kto w każdej chwili może zatelefonować do siostry albo brata, do kogoś ze swych krewnych. Nie mam nikogo bliskiego. Pogodziłam się z tym. Chcę tylko zobaczyć ojca. Nic więcej. Powinien wiedzieć, że ma córkę. Ma do tego prawo, i ja też. Może któregoś dnia zechce mnie bliżej poznać. Albo wręcz przeciwnie, jego życie może okazać się tak pełne, że nie znajdzie w nim miejsca dla mnie, ani teraz, ani nigdy. Z tym również potrafię się pogodzić. Czy pani to pojmuje? – Łagodne szare oczy błagały Sawyer o zrozumienie.

– Oczywiście. Lepiej niż pani przypuszcza.

– Sama urządziłam sobie życie. Mam pracę i sympatycznych przyjaciół, własne mieszkanie i trochę oszczędności. Powodzi mi się całkiem dobrze. Po prostu w moim życiu, jak w układance, brakowało jednego ważnego kawałka, ale teraz zdołałam go odnaleźć. Bardzo jestem pani wdzięczna.

- Cieszę się, że mogłam pani pomóc.
- Jacy oni są: pani matka i mój ojciec?
- Oboje mają wielką odwagę przekonań. Wiedzą, czego pragną i nie obawiają się po to sięgnąć. Dzięki temu znaleźli się nawzajem. Są dla siebie po prostu stworzeni.
- To brzmi cudownie.
- Oni rzeczywiście są cudowni i bardzo ich kocham.
- Powinnam już się zbierać. Muszę się wyspać, jeśli mam jutro jako tako wyglądać. Mój samolot odlatuje o zachodzie słońca.
- Jutro pani odlatuje? – z trudem wykrztusiła Sawyer. Chesney uśmiechnęła się.
- Jestem pracującą dziewczyną. Obowiązują mnie ścisłe terminy. No i mam przyjaciół, do których chcę wrócić. Chyba pani nie przypuszczała, że mam zamiar tkwić tu bez końca i narzucać się mojemu ojcu?
- Nonie, ale... Myślałam, że... Przyjadą z tak daleka na spotkanie z panią!
- I spotkają się ze mną. A potem odjadę. Następny ruch, jeśli w ogóle do niego dojdzie, musi wykonać mój ojciec. Niech mi pani pozwoli zapłacić za siebie. Ogromnie mi na tym zależy, panno Coleman.
- W końcu Sawyer wyraziła na to zgodę.
- Odprowadzę panią do hotelu, a stamtąd wrócę do domu taksówką – zaproponowała. – Myślę, że świeże powietrze dobrze nam obu zrobi. Nie zapomni pani przyjść jutro w południe do mojego domu? Rand i moja matka zjawią się tam wcześniej. Ja sama będę w pracy. Jeśli się pani uda, proszę zadzwonić do mnie przed odlotem. A jeżeli pani jeszcze kiedykolwiek tu będzie, koniecznie musimy się spotkać. Dam pani także swój teksaski telefon, na wypadek, gdyby zawitała pani do Stanów.
- Bardzo będę wdzięczna. A jeżeli pani zjawi się w Anglii, proszę mnie odwiedzić!
- Niech się pani nie zdziwi, gdy pewnego dnia ujrzy mnie pani na swym progu! – Sawyer uśmiechnęła się. Stały naprzeciw siebie przed hotelem Chesney, czując się trochę niezręcznie.
- Wydaje mi się, jakbym znała panią od dawna, jakbyśmy były prawdziwymi przyjaciółkami – powiedziała nieśmiało Chesney.
- A ja... – Sawyer, niepewna własnych uczuć, nie wiedziała, co

powiedzieć. – Życzę szczęścia podczas jutrzejszego spotkania. Cokolwiek się zdarzy, niech się pani trzyma! Proszę zrozumieć, jaki to szok i że oboje będą musieli...

– Rozumiem. Do widzenia, panno Coleman.

– Czy nie mogłaby pani mówić do mnie „Sawyer”?

– Zadzwońię do ciebie, Sawyer, i jeszcze raz dziękuję ci za wszystko.

– Cieszę się, że mogłam ci pomóc. Nie zapomnij zatelefonować!

W drodze powrotnej do domu Sawyer zdała sobie sprawę, że każde wypowiedziane przez nią słowo było szczerą prawdą. Naprawdę cieszyła się, że mogła jej pomóc, rzeczywiście chciała się z nią znowu spotkać. Nigdy nie zawadzi jeszcze jeden przyjaciel.

Atmosfera w małym japońskim domku była naładowana elektrycznością. Zbliżało się południe.

Rand nerwowo krążył po niewielkiej kuchni, błędząc myślami nie wiadomo gdzie. Po raz pierwszy od dnia ich ślubu Maggie czuła, że „nie nadają na jednej fali” z mężem. Czując się odepchnięta i samotna łąziła za Randem, od czasu do czasu zderzając się z nim. Wydawało się, że mąż tego w ogóle nie dostrzega.

– To zwykłe oszustwo – mówił Rand. – Czułbym to jakoś, gdybym rzeczywiście miał córkę. Jakim cudem mogła obdarzyć mnie nią kobieta, której twarzy nawet nie pamiętam? Mówię ci, że to jakiś spisek dla wyłudzenia forsy! Nie dam się na to nabrać.

Maggie próbowała ułagodzić męża, ale nie była pewna, czyjej słowa w ogóle do niego docierają.

– Więc po co tu przyjeżdżaliśmy? Sawyer nie jest łatwowierna, a powiedziała, że wierzy tej dziewczynie. Proszę cię, dla twojego dobra, nie uprzedzaj . się z góry! Przynajmniej spotkaj się z nią i porozmawiaj. Już tu przecież jesteśmy. Pomogę ci, jak tylko będę mogła.

Na dobrą sprawę mogła się w ogóle nie odzywać. Rand w dalszym ciągu niespokojnie krążył po domu. Maggie przysiadła na jednym z amerykańskich krzesel, które Sawyer zainstalowała w swym maleńkim domku. Mogła już tylko czekać... i słuchać.

– Większość dziewcząt z tego ich zespołu była w ciąży. Wiem, że to nie najlepiej świadczy o mnie i pozostałych pilotach, ale to były dla nas wszystkich okropne czasy. Ustawicznie przerzucano nas z miejsca

na miejsce, wycofywano do strefy zdemilitaryzowanej. Nigdy nie posuwaliśmy się naprzód. Żyliśmy w ciągłym napięciu. Pilotowaliśmy helikoptery, zrzucaliśmy z nich niezbędne zapasy, zabieraliśmy rannych, poszukiwaliśmy jeńców, lataliśmy tak, by nie dostrzegły nas radary... W wolnych chwilach jeździliśmy do Sajgonu, bo to był teren neutralny i... W tej trupie były Angielki, Amerykanki, nawet kilka Francuzek. Potem facet, który był kierownikiem ich zespołu, ulotnił się razem z forszą i paszportami dziewcząt. Wtedy związały się z nami jeszcze silniej. Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać. Robiłem to, co chciałem... sięgałem po to, na co mi przyszła chętka. Wszyscy tak postępowaliśmy, a potem wysłano nas na jeszcze dalsze tyły. Wiedziałem, że już jej nigdy nie spotkam. Dałem jej wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie. Pamiętam, że myślałem: „To wstyd, że dziewczyna będzie musiała przez to wszystko przechodzić zupełnie samiutka!”. Poradziłem jej, żeby zgłosiła się do Czerwonego Krzyża. Mogłem później zasięgnąć o niej jakichś informacji, ale nie zrobiłem tego. Powiedziała, że zdaje się jej, że jest w ciąży. Bóg mi świadkiem, Maggie, nie wspominałem o niej ani razu aż do chwili, kiedy Sawyer do nas zatelefonowała. Wymazałem zupełnie z pamięci ten okres.

Ciągle przierzucano nas to tu, to tam... Nie było linii frontu we właściwym tego słowa znaczeniu; nieprzyjaciel czał się wszędzie. Chłopcy dziesiątkami ginęli na „zarazę pięciu kroków”. Węże, takie zielone mamba, spadały na człowieka z drzewa, a kiedy go ukąsiły, był w stanie przejść najwyżej pięć kroków i padał martwy... To nie była taka zwyczajna wojna, Maggie, tylko coś o wiele gorszego. Nie wolno nam było zrzucać bomb, nie wolno nam było walczyć. Mieliśmy tylko chronić naszych ludzi. Niektórzy z nas byli gorsi niż zaraza, O tym też zapomniałem aż do dziś. Dziewczeta... były takie młode... Myślały, że czeka je przygoda, jak na biwaku... Były wykorzystywane przez mężczyzn. Większość z nich zaszła w ciążę... – słowa jakby zawisły w powietrzu. Maggie nie odezwała się.

– A co do tego, że dałem Marion pieniądze na skrobankę, to... rzeczywiście dałem jej pieniądze, ale słowo „skrobanka” nigdy nie padło. Nie była pewna... Używałem w końcu... Do jasnej cholery, pamiętałbym przecież! To oszustka! – krzyknął Rand.

– To było tak dawno, Randzie...

– To brudna sprawa, Maggie. Ale próbuję się jakoś wytłumaczyć,

znaleźć usprawiedliwienie... Nie jestem pewny... A może właśnie jestem, tylko nie chcę ponosić konsekwencji?

– Nie wiem, kochany. To było inne życie i obowiązywały w nim zupełnie inne zasady. Ale żeby nie wiem co, jestem przy tobie. Nigdy nie będę cię osądzać, Randzie.

– Bogu dzięki za to, że cię mam, Maggie. Byłaś dla mnie prawdziwą ostoją w ostatnich godzinach. A która jest teraz?

Maggie spojrzała na zegarek i przypomniała sobie, że nie przestawiła go na czas japoński. Dokonała szybkiego obliczenia. – Za dwie minuty dwunasta.

– O Jezu!

– Pomódl się, pomoże ci to – szepnęła Maggie cicho.

Odezwał się dzwonek przy furtce. Rand mrugnął oczami. Maggie wiedziała, że to oznacza napięcie.

– Ja otworzę – powiedziała spokojnie. – Weź kilka głębokich wdechów, kochany!

Idąc w stronę furtki Maggie tłumaczyła sobie, że nie wolno jej okazywać na widok gościa żadnych emocji. Ma być po prostu uprzejma. Nie przynieść wstydu Sawyer ani Randowi. Ani oczywiście Billie i Thadowi czy w ogóle komukolwiek z rodziny. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Pchnęła furtkę i czekała, co będzie dalej. Młoda kobieta, która stała przed nią, uśmiechnęła się. Był to uśmiech Randa. Oczy Randa. Usta Randa. Włosy w identycznym kolorze jak jego.

– Proszę wejść. Jestem Maggie Nelson, żona Randa. Oczywiście mam przyjemność z Chesney? Chodźmy do domu, jest bardzo chłodno. – Zdumiewające, jak naturalnie brzmiał jej głos! Znała już prawdę. Tak samo jak Sawyer.

– Kochany, to jest Chesney – powiedziała bez wstępów Maggie. Wyraz twarzy Randa świadczył o doznanym szoku.

– Jak to ładnie, że przybył pan z tak daleka, panie Nelson, żeby się ze mną zobaczyć. Naprawdę jestem bardzo wdzięczna. Mogę usiąść? Przypuszczam, że chce mi pan zadać mnóstwo pytań. Postaram się na nie odpowiedzieć, najlepiej jak potrafię.

Jej sposób mówienia był identyczny jak Randa! Takiego szczerego i otwartego spojrzenia Maggie też nie widziała u nikogo innego. Rand podsunął przybyłej krzesło.

– Może lepiej opowie nam pani wszystko własnymi słowami? – Ta

dziewczyna wyglądała tak, jakby ożyła jego fotografia z lat młodości. Identyfikacyjny rysunek kości policzkowych. Gdyby przebrała się w jego dawny kombinezon lotniczy, byłaby jego doskonałą kopią.

Chesney mówiła spokojnie i prosto. Gdy skończyła swą opowieść, wstała i zapięła płaszcz.

– Miałam nadzieję, panie Nelson, że może kiedyś w przyszłości zechce się pan ze mną znowu spotkać, więc pozwoliłam sobie zanotować na pana użytek mój adres i telefon. Proszę nie mówić niczego, czego w przyszłości oboje moglibyśmy żałować. Wracam dziś do Anglii wieczornym lotem. Daję panu słowo, że nigdy nie będę usiłowała wtargnąć w pańskie życie. Nie wiem nawet, gdzie pan mieszka. Jak już mówiłam, chciałam po prostu pana zobaczyć. Uważałam, że mam do tego prawo, podobnie jak pan powinien wiedzieć, że posiada córkę.

Było mi bardzo miło poznać oboje państwa. Jestem szczególnie wdzięczna, że nie pytaliście mnie, czego od was chcę. Ale gdyby takie pytanie padło, moja odpowiedź brzmiałaby: niczego. Pragnęłam tylko, by dowiedział się pan o moim istnieniu. Potrafię sama o siebie zadbać.

– Ja... odprowadzę panią... – wyjąkała Maggie. Rand najwyraźniej nie był w stanie powiedzieć ani słowa, wykonać żadnego gestu – wpatrywał się tylko w przybyłą.

– Bardzo się cieszę, że panią poznałam – powiedziała Chesney, gdy szły w stronę furtki.

– Ja także bardzo się z tego cieszę, Chesney.

– Pan Nelson wydaje mi się wspaniałym człowiekiem. Pani córka wyraża się o was obojgu z ogromnym podziwem. Może to zresztą niewłaściwe określenie. Ona po prostu bardzo was kocha.

– Tak, wiem. My ją też bardzo kochamy.

– Może pewnego dnia i mnie przypadnie częśćka tych uczuć.

– Może... – to było wszystko, co Maggie zdołała wykrztusić. Zamknęła furtkę i przez chwilę stała, słuchając odgłosu oddalających się kroków. Chesney nie zwlekała z odejściem.

Maggie dosłownie ręce opadły, ale trwało to jedynie przez chwilę. Miała przecież męża i o niego przede wszystkim powinna dbać.

– Podobieństwo o niczym nie świadczy – powiedział Rand zachrypniętym głosem. – Na litość boską, Maggie, przecież musiałbym coś podejrzewać przez te wszystkie lata. Rodzone

dziecko...

– Kochany, jedynie matki obdarzone są takim instynktem. To specyficzna cecha kobiet. Chyba żaden mężczyzna niczego podobnego nie odczuwa. Nie wierzysz, że Chesney to twoja córka?

– Masz rację, do cholery! Nie wierzę! Ale jest cwana, muszę to przyznać.

– Więc dlaczego tak się tym przejmujesz?

– Przejmuję się tym, bo... bo jakaś obca osoba ośmieliła się tu wtargnąć i zakłócić nasze życie... fałszywymi roszczeniami.

Maggie z trudem przełknęła ślinę.

– Nie sądzę, żeby taki był powód twojego zdenerwowania. Myślę, że jej uwierzyłeś. Powiedziałeś, że podobne wypadki często się zdarzały. Zdajesz sobie sprawę, że to brzmi okropnie i masz wyrzuty sumienia. Cieszę się, że matka Chesney nie pozbyła się swego dziecka. Dobrze, że ta piękna dziewczyna żyje. Każdego dnia, zaraz po obudzeniu, dziękuję Bogu, że mama nie pozwoliła mi się pozbyć Sawyer! Co więcej – ciągnęła odważnie Maggie – jestem przekonana, że ta Chesney jest dokładnie tą osobą, za którą się podaje. I nigdy nie uwierzę, że chce cię na coś naciągnąć. Nawet nie zażądała, żebyś się do niej przyznał.

– I nigdy się tego nie doczeka, do cholery! Maggie westchnęła.

– Musimy się z tym jakoś uporać, Randzie, bo inaczej zawiśnie nad nami jak cień i zniszczy całe nasze życie. Zaprzeczanie prawdzie, kochany, niczego nie da. Posłuchaj, Chesney powiedziała mi, kim jest jej matka. Możemy przeprowadzić dyskretne dochodzenie, może nawet z nią porozmawiać i zapewnić, że nie mamy zamiaru zakłócać jej obecnego życia. Możemy udać się do tamtego sierocińca. Możemy poznać opinię pracodawców Chesney. Wiele cennych informacji będzie można też znaleźć w college’u, w parafii, do której należy, u jej przyjaciół. Proszę cię, Randzie, nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji! Nie rób czegoś, czego mógłbyś później żałować.

– Mateczka Maggie!

– Właśnie, chciałabym wam matkować – odparła. – Czy coś w tym złego?

– Idę na spacer – oświadczył Rand i poklepał żonę od niechcenia po głowie. – Muszę rozjaśnić sobie w głowie. Wyglądasz na zmęczoną, Maggie. Weź gorącą kąpiel i utnij sobie drzemkę. Wyciągniemy dziś wieczór Sawyer na obiad do restauracji.



– Taki program bardzo mi odpowiada. A jeszcze bardziej odpowiadałoby mi twoje towarzystwo w kąpielni. Pomyśl, jak bardzo musielibyśmy przytulić się do siebie w tej malutkiej wannie! Nie reflektujesz? W porządku, , więc idź na spacer, a po powrocie obudź mnie, gdybym spała. Wiesz co, Randzie? Kiedy już tu jesteśmy, zostańmy trochę dłużej i spotkajmy się z panem Hasegawą!

Trzeba zachowywać się tak, jakby nic się nie zmieniło – pomyślała.

– W porządku. Wrócę niedługo.

W każdej innej sytuacji Randa pochłonęłoby bez reszty piękno nadmorskiej miejscowości Kamakura. To on doradził Sawyer, by tu zamieszkała podczas swego pobytu w Japonii. Sawyer twierdziła, że droga do pracy zajmuje jej dwadzieścia pięć minut w „dobre dni”, a w „złe” trwa dwie godziny.

Chociaż świeciło słońce, było chłodno. Lekka marynarka i sweter nie dawały wystarczającej ilości ciepła. Zdrowy rozsądek nakazywał włożyć płaszcz. Maggie zazwyczaj mu o tym przypominała, ale dziś była równie zdenerwowana jak on.

Powinien był coś jej powiedzieć, jakoś stanowczo i zdecydowanie skomentować jej bezkrytyczne zaufanie do tej dziewczyny. Kobiety zawsze od razu solidaryzują się ze sobą! Podobnie było z Sawyer. Dwie przeciwko jednemu. Wiedział, że jeśli on sam ani słowem nie wspomni o Chesney, one także będą milczeć. Jak zareagował na słowa żony? Kazał jej wziąć gorącą kąpiel. A Maggie dostosowała się do jego nastroju i próbowała żartem nakłonić go, by jej towarzyszył. Jego cudowne życie z Maggie zostało zakłócone. Nawet jeśli on sam nie wprowadzi w nim żadnych zmian, i tak coś się już popsulo. Rodzina Maggie będzie go krytykować, bo według nich więzy krwi mają ogromne znaczenie. Amelia zwymyśla go od ostatnich i przypomni mu, że gdyby się nim nie zajęła w dzieciństwie, Bóg wie, co by się z nim stało!

A gdyby uznał, że dziewczyna rzeczywiście jest jego córką, co by się wówczas stało? Jego życie zostałoby dosłownie wywrócone do góry nogami. Klan Colemanów powiększyłby się o kolejną osobę. Rand nie miał pojęcia, co to znaczy być ojcem. Nigdy nie odczuwał ciągłot w tym kierunku. Zresztą, ominęło go całe dzieciństwo córki, lata, gdy powstają więzy między rodzicami a ich potomstwem. Po

prostu nie był w stanie wziąć w ramiona dorosłej kobiety, której nigdy przedtem nie widział na oczy, i powiedzieć „Witaj, córeczko!”. Ta dziewczyna... Chesney, to dorosły człowiek, a nie jego dziecko! Ma na pewno własne zdanie, upodobania i uprzedzenia. Do jasnej, ciężkiej cholery, gotowa zniszczyć całe jego życie! Jego i Maggie.

Z kim mógłby pogadać na ten temat? Z Carym? Taki serdeczny, wielkoduszny chłop jak Cary na pewno poradzi mu zabrać od razu córkę do domu! Amelia go poprze. Nie, to problem, z którym sam musi się uporać!

Kośława ławeczka, stojąca obok falochronu, skusiła Randa. Usiadł na niej ostrożnie. Nie miał się jednak czego obawiać, wszystkie te lata, które tu przestała, i całe tony piasku przymurowały ją na amen. Jego myśli pobiegły ku uderzającym o zaporę morskim falom. Woda była brudna i ciemna. Zateśknił za iskrzącym się błękitem Pacyfiku, którym oboje z Maggie codziennie radowali swoje oczy. Przelotnie zadał sobie pytanie, czy Chesney była kiedyś na Hawajach?

Stary Japończyk z nosidłami na ramionach zbliżył się do Randa i wskazał na kosze pełne ryb, zwisające po obu bokach. Oczy starca były wpadnięte i pełne smutku, jego twarz pobrużdżona tak głębokimi zmarszczkami, że utrzymałby się chyba wetknięty w nie ołówek. Nie miał już ani jednego zęba, a jego rzadkie wąsy i broda były pożółkłe i niechlujne. Słomkowy kapelusz, nieodłączny element stroju każdego japońskiego wieśniaka, przekrzywiony był z fantazją na bok, ale Rand wiedział, że kryje się pod nim lśniąca łysina. Stary miał chyba ze sto lat. Rand zastanawiał się, jak też on sam będzie się prezentował około setki? Nie ma obawy: papierosy, alkohol, całe jego nie uporządkowane życie stanowiły gwarancję, że nie doczeka tego wieku.

– Wezmę wszystkie.

Żaden starzec nie powinien z takim trudem zarabiać na życie, ugiąć się pod takim ciężarem. Wydawało się, że stary Japończyk nie zrozumiał Randa. Rand wykonał rękoma okrągły gest. Staruszek uprzejmie skinął głową. W mgnieniu oka wytrząsnął skądś gazetę i zapakował w nią ryby z obu koszy. Rand nie przeliczył nawet pieniędzy, które mu wręczył. Wiedział, że daje o wiele za dużo, ale nic go to nie obchodziło. Teraz stary człowiek będzie mógł wrócić do domu i odpocząć przy ogniu. Tak jak na to zasługiwał.

Godzinę później Rand nadal siedział na ławce, bijąc się z myślami.

Dosłownie szczęka mu opadła, gdy wyminął go po raz drugi ten sam staruszek. Jego ramiona uginały się znów pod ciężarem, a oba kosze były pełne ryb. Rand pomyślał, że to dla niego dobra nauczka: każdy powinien zdobyć się na wysiłek, codziennie brać się do pracy i starać się jak tylko może. Jakże samotny wydał mu się ten starzec! Rand odkrył w nim pokrewną duszę. Nigdy jeszcze w życiu nie czuł się taki opuszczony.

Wyrzuty sumienia. Do tego się to wszystko sprowadzało. Trzeba się uczciwie przyznać przed samym sobą. Dawnymi czasy zachowywał się jak nieodpowiedzialny byczek. Świetny pilot, w dodatku przystojniak. Dziewczeta go oblegały, mógł w nich wybierać i przebierać. Zawsze znalazł sobie najładniejszą! najzabawniejszą i miał z nią dużo frajdy. Ale rzeczywiście była wśród nich jedna, z którą widywał się częściej niż z pozostałymi. Ona właśnie powiedziała mu, że chyba zaszła w ciążę. Zanim wyjechał, oddał jej wszystkie pieniądze. Nie żałował czekoladek, papierosów, nylonów. Cholera, wydawało mu się wtedy, że wyszedł z całej sprawy obronną ręką! Żadnych warunków, żadnych zobowiązań. I żadnych zasad, które by go powstrzymywały.

Ale fortuna kołem się toczy, co, Nelson? Tym razem ta dziewczyna, jego córka, wtargnęła w jego życie i rzuciła mu w twarz słowa, które wtedy on uważał za swoją dewizę: żadnych warunków, żadnych zobowiązań, żadnych reguł gry! Po prostu powiedziała mu to, co chciała zakomunikować, i odeszła. Jak mogła zrobić mu coś takiego?

– Postąpiła tak samo jak ty, Sukinsynu! – wrzasnął przekrzykując wiatr. – Nie wiedziałem! Nie byłem pewny!

Nieprawda, Nelson. Po prostu gówno cię to obchodziło! Czekały cię dalsze loty, inne dziewczyny, kolejne butelki alkoholu. Nic cię nie obchodziło! Przyznaj sam, stary, i nie skarż się na to, co cię spotkało.

Poczucie winy. Spadnie mu na kark, niczym nosidła tego starego. Przygnie go do ziemi, ale czy załamie? Dobry Boże, nie mam pojęcia – mruknął.

Wracając taksówką do swego londyńskiego mieszkania Chesney głęboko wzdychała. Miała teraz prawdziwego, żywego ojca, podobnie jak matkę. Matkę, która wcale się nią nie interesowała, i ojca, który

nie był na sto procent przekonany, że ona rzeczywiście jest jego córką. Big Ben wybił kolejną godzinę. Był to bardzo kojący odgłos; dla Chesney stanowił symbol stabilizacji. Zastanawiała się, od ilu już lat, miesięcy, dni stary Big Ben wydzwaniał godziny? Ktoś to musiał kiedyś wyliczyć; gdyby jej na tym bardzo zależało, wystarczyłoby tylko poszukać. Może kiedyś to zrobi. Ręce jej drżały, gdy sięgnęła do torebki po papierosa. Może powinna zająć się tylko chwilą obecną i planowaniem przyszłości, a nie zamartwiać się Randem Nelsonem, matką i swoim smutnym dzieciństwem? Sama ustaliła niezłomne zasady, zanim rozpoczęła poszukiwanie swoich rodziców. Znajdzie ich, przedstawi im się, powie, gdzie mogą ją znaleźć – a potem odejdzie. Początkowo nie miała wcale zamiaru ich odnajdywać, ale im dłużej na ten temat myślała, tym mocniej była przeświadczona, że ma pełne prawo wiedzieć, czy istnieją jacyś żyjący jej krewni. Może któreś z nich było chore, bezradne, potrzebowało jej pomocy? Ta myśl, bardziej niż wszystko inne, pobudzała ją do działania. Musiała ustalić tylko reguły postępowania, bo nie chciała, żeby stało się z nią to co z Sarą.

Sara była jej najserdeczniejszą przyjaciółką z sierocińca. Prawie każdej nocy od czasu, gdy obie miały po osiem lat, rozmawiały przez długie godziny o tym, jak to któregoś dnia odnajdą swoich rodziców. Sara miała na tym punkcie prawdziwą obsesję, była przekonana, że jej rodzice tylko czekają na to, że się pojawi, a potem pochwycą ją w ramiona i rozplaczą się ze szczęścia. Dziewczynka znalazła sobie dwa miejsca pracy, żeby zdobyć więcej pieniędzy na prowadzenie poszukiwań. Zdobyć wszystkich niezbędnych wskazówek i informacji zajęło jej trzy lata. Zanim odszukała rodziców, była zupełnie wykończona. Wychudła jak szczapa, a na jej twarzy zastygł wyraz ponurej determinacji. Sara przekonała się jednak, że rodzice nie chcą jej wcale znać, na początku nawet zaprzeczali, że coś ich z nią łączy. Jej matka, kelnerka w gospodzie, wychowywała szóstkę dzieci w paskudnym, ciemnym mieszkaniu śmierdzącym gotowaną kapustą i moczem. Jej ojciec, robotnik, także z kupą własnych bachorów, powiedział, że nic go to nie obchodzi, czy Sara może udowodnić jego ojcostwo. Miał już dość gąb do wyżywienia i nie potrzebuje na dodatek bękarta. Czego ona się go w końcu czepia? Niech się stąd wynosi i znajdzie sobie chłopca, żeby ją utrzymywał.

Chesney tuliła Sarę w ramionach i próbowała pocieszyć ją jak

prawdziwa matka, ale to nie było możliwe. Sara marzyła o ślicznej mamusi z pełnymi miłości oczyma, ustami pełnymi czułych słów, która pragnęła wynagrodzić córce wszystkie samotne lata. Zamiast tego wyniszczona, niechlujna kelnerka wygoniła ją brutalnymi słowami i bezlitosnym spojrzeniem. Sara wmówiła sobie, że jej ojciec jest człowiekiem interesu, eleganckim dżentelmenem, który codziennie udaje się do swej firmy w trzyczęściowym garniturze, z aktówką ze skóry krokodyla. Ma piękny wóz z futrzakiem na tylnym siedzeniu. Sara opisywała dokładnie Chesney, na jakie pikniki i wielkie zakupy będzie ją tatuś zabierał. Kupi dla niej najelegantsze stroje i kolczyki z prawdziwych pereł. Zapisze sobie w notesie datę jej urodzin, żeby nigdy o nich nie zapomnieć. Zabierze ją do swego wielkiego domu i zapozna z pozostałymi dziećmi, które początkowo będą o nią zazdrosne, ale potem ją pokochają. Ojciec nie będzie miał żony. Kiedyś ją oczywiście miał, ale zginęła w strasznym wypadku. Sara i jej ojciec będą się nawzajem pocieszali, sącząc brandy po obiedzie.

Po konfrontacji z rzeczywistością Sara się po prostu załamała. Zaszyła się w swoim malutkim mieszkanku i cały czas spędzała na czytaniu powieści o losach szczęśliwych rodzin.

Pewnego razu wracając z trzydniowego rejsu Chesney zajrzała do mieszkania przyjaciółki. Drzwi były zamknięte. Chesney zaczęła się dobijać do nich, wołając, żeby Sara ją wpuściła. Spod zamkniętych drzwi wydobywał się jakiś nieznany jej okropny zapach. Ogarnięta przerażeniem Chesney pobiegła po dozorcę, który otworzył drzwi i natychmiast stamtąd wybiegł. Wkrótce zjawili się policjanci i karetka pogotowia. Chesney czekała na nich, a łzy ściekały jej strumieniami po twarzy.

Oplaciła skromny pogrzeb. Tylko ona jedna stała nad grobem przyjaciółki oplakując ją. Sekcja wykazała, że Sara zmarła śmiercią naturalną, ale nie wyjaśniła, jakie były te naturalne powody. Chesney wiedziała, że przyczyną zgonu Sary było złamane serce. Spakowała ubożuchny dobytek przyjaciółki do taniej walizki ze sztucznego tworzywa i zabrała do swego mieszkania. Wszystkie papiery i dokumenty związane z długotrwałymi poszukiwaniami Sary mieściły się w dwóch dużych torbach. Chesney schowała je w swojej szafie na najwyższej półce. Kilka tygodni później, gdy miała wolny dzień, przejrzała papiery, szukając adresów rodziców Sary. Napisała do

każdego z nich krótki, oficjalny list, zawiadamiając o śmierci córki. Podała swój adres, ale nie zdziwiła się, gdy żadne z nich jej nie odpisało. Chesney doszła do wniosku, że najstraszniejszą rzeczą pod słońcem było urodzić się i umrzeć nie chciana.

Po śmierci Sary Chesney ustaliła swoje reguły postępowania. Postanowiła ich przestrzegać, bez względu na wszystko.

Przeszłość miała już za sobą; swoją przyszłość ukształtuje sama. Nie potrzebuje Randa Nelsona ani Marion Brighton. Może chciałyby ich mieć, ale nie byli jej niezbędni!

Chesney zapłaciła kierowcy i pobiegła do swego mieszkania. Fryderyk, jej perski kot, powitał ją serdecznie, ocierając się o jej nogi. Chesney pochyliła się i wzięła go na ręce. Był ciepłutki i miękki, prawie jak dziecko. Fred polizał japo brodzie, potem wtulił się w jej szyję.

– Głodny jesteś, co? No to chodź, zobaczymy, co uda nam się znaleźć. Tylko najpierw nastawię wodę na herbatę.

Fred z pełnym miłości wyrazem wąsatego pyszczka usiadł podkuliwszy łapki i czekał cierpliwie na rybę i mleko.

Kuchnia, w której krzątała się Chesney, była czyściutka i mądrze zabudowana. Niedawno Chesney zainstalowała w niej nową kuchenkę i lodówkę. W sklepie z używanymi meblami wynalazła wiklinowe krzeselka i dębowy stół. Oczyszczyła je, postarała się o nowe poduszki. Pokryła szelakiem szafki i wyłożyła kuchnię kafelkami, które sama wybrała. Była dumna z tego niewielkiego pomieszczenia, ozdobionego stojącymi na parapecie afrykańskimi fiołkami i wiszącą w kącie paprocią. Reszta małego mieszkanka była również urządzona gustownie. Chesney kupowała meble po jednej sztuce, oszczędzała, by zapłacić za nie gotówką i uniknąć jakichkolwiek zadłużeń. Prawie przez rok sypiała w śpiworze, zanim mogła sobie pozwolić na duże, mosiężne łóżko. Miała własny szerokoekranowy telewizor i wideo, a niedawno zainstalowała automatyczną sekretarkę. Jej oszczędności w banku prawie już wystarczały na zakup pierwszego samochodu. Miał to być żółty jak żonkil wóz marki Lotus. Mając auto będzie mogła zabierać po kilkoro dzieci z sierocińca na wieś w swe wolne od pracy dni.

Wykonała to, co sobie postanowiła. Znalazła oboje rodziców. Zawiadomiła ich, że żyje i dobrze sobie radzi. Patrzyła im prosto w oczy, kiedy oświadczała każdemu z nich, że niczego od nich nie chce.

Nie miała zamiaru skończyć jak Sara!

Wczesny wieczór to wyjątkowo paskudna pora, jeśli chodzi o znalezienie taksówki – doszedł do wniosku Cary. Wkurzało go, że od dwudziestu już minut przestępuje z nogi na nogę stojąc na zimnie. Powinien był wynająć samochód. Już miał zamiar machnąć ręką i pójść pieszo, gdy taksówka podjechała do krawężnika.

Mieszkanie na Siedemdziesiątej Dziewiątej było równie schludne i zadbane jak jego atrakcyjna właścicielka. W przedpokoju stał wielki bukiet świeżych tulipanów. Julie roześmiała się, – Kupiłam je sobie w prezencie urodzinowym. Ubóstwiam kwiaty! A ty?

Cary zastanowił się przez chwilę. Czy naprawdę lubił kwiaty?

– Lubię, kiedy kwitną w swoim naturalnym środowisku – zdecydował w końcu. – Ciągle komuś daję albo posyłam kwiaty, ale nigdy specjalnie nie zastanawiałem się nad nimi. Muszę przyznać, że ozdabiają wnętrza. Ale nie lubię ich zrywać. Nie potrafiłbym też zabić żadnego zwierzęcia – wyznał otwarcie. – Od razu hamuję, jak mi jakieś ptaszysko zbyt blisko podleci.

Oczy Julie spoważniały, a na jej twarzy nie było ani śladu uśmiechu. Mówiła tak cicho, że Cary z trudem dosłyszał, co powiedziała.

– Tak się cieszę, że czujesz dokładnie to samo, co ja. – Gdy zaproponowała mu, żeby się czegoś napił, potrząsnął głową. – Wobec tego może pójdziemy spacerkiem do restauracji? To niezbyt daleko, a przyda mi się dziś trochę świeżego powietrza. Włożę tylko płaszcz.

Cary podał jej okrycie. Julie pachniała cudownie: ciepłem i korzeniami, jak domowa kuchnia w mroźny zimowy wieczór. Przytrzymał kołnierz płaszcza, gdy owijała się długim, wielobarwnym szalem. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Stali bardzo blisko siebie.

– Wszystkiego dobrego w dniu urodzin! – szepnął Cary. Pochylił się, by pocałunkiem w policzek przypieczętować życzenia, tak jak go nauczyła Amelia, ale Julie poruszyła głowę. Ich wargi leciutko się zetknęły. Julie cofnęła się o krok. W jej pełnych ciepła oczach Cary wyczytał pomieszanie i obawę.

– To nic złego, Julie. To nie ma znaczenia. Ludzie zawsze...

– W porządku. Jestem dziś trochę zdenerwowana. Urodziny zawsze tak na mnie działają. – Nie było poco informować go, że całe

jej ciało jest jak naelektryzowane.

– Na mnie też. – Moment napięcia minął. Wyłonił się jednak następny problem: czy wręczyć jej upominek teraz, w restauracji czy też po powrocie do domu? W restauracji znajdą się na oczach wszystkich i Cary nie chciał wprawiać Julie w zakłopotanie. Mogła także pożegnać się z nim w holu na dole, należało więc wręczyć jej prezent już teraz. Sięgnął do kieszeni i wyjął barwnie opakowane pudełeczko. – To drobiazg od Amelii i ode mnie. Sam wybierałem, więc jeśli ci sienie.

– Nie mów już nic – powiedziała Julie zmienionym głosem. – Po co robiłeś sobie tyle kłopotu? Zawsze to powtarzam, gdy mi ktoś daje prezent. Chyba powinnam nauczyć się, jak z wdzięcznością przyjmować upominki. O ile łatwiej i bezpieczniej jest być ofiarodawcą!

Cary poczuł gorąco rozlewające się po całym jego ciele. Zawsze miał identyczne odczucia! Amelia za to potrafiła cudownie przyjmować prezenty. Wydawała zachwycone „ochy” i „achy” i piszczała z radości.

– Jak to wspaniale, że podzielasz moje uczucia pod tym względem – powiedział Cary.

Gdybym tylko mogła, chętnie dzieliłabym z tobą całe moje życie! – pomyślała Julie.

– Bransoletka jest prześliczna, Cary! Nie powinieneś był wykosztowywać się na coś tak wyszukanego. Zupełnie by wystarczyło, gdybyś przyniósł mi bombonierkę.

– Spełniałem wyraźne polecenia Amelii – odparł pogodnym tonem Cary. Spostrzegł, że uśmiech zniknął na sekundę z twarzy Julie, ale zaraz pojawił się znowu. – Pozwól, że ci pomogę ją zapiąć. Ma specjalny zameczek, na pewno jej nie zgubisz. – Amelia automatycznie wyliczyłaby koszt otrzymanego prezentu i zauważyła, w jakim sklepie upominek został kupiony, zanim jeszcze zaczęłaby swoje „ochy” i „achy”. Dlaczego myślał tak krytycznie o żonie? Miała pełne prawo oczekiwać od niego kosztownych, niezwykłych darów. Bardzo prędko nauczył się, że bombonierki i jakieś tam głupstewka nie wystarczają. Co innego drobiazgi najwyższej klasy i ceny!

Julie udawała, że nie dostrzega lekkiego drżenia rąk Cary’ego, gdy zapinał jej bransoletkę na ramieniu. Może to zresztą drżała jej ręka? Rzeczywiście, była całkiem rozdygotana. Cary musiał dosłyszeć



westchnienie, które jej się wyrwało, gdy zameczek nareszcie zaskoczył. Od razu wsadził ręce do kieszeni.

Stał tak blisko. Tego wieczora pachniał innym płynem po goleniu czy może wodą kolońska. Julie miała ochotę wdychać ten zapach bez końca. Był dziwnie upajający. Nie reagowała podobnie od lat! Gdy wyszli na chłodne wieczorne powietrze, Julie bez namysłu ujęła Cary'ego pod ramię. Przysunął się bliżej, gdy szli razem pod wiatr. Cary doszedł do wniosku, że to bardzo miłe uczucie.

– Naprawdę chcesz się przejść? – spytał, a Julie zachichotała i oświadczyła, że pochodzi z zahartowanej chłopskiej rodziny.

– A ja nie wiem, z jakiej rodziny pochodzę. Czasami chciałbym się dowiedzieć, a czasami wydaje mi się, że to nie ma znaczenia. Jestem, jaki jestem.

– Przeważnie też tak myślę. Ludzie muszą mnie zaakceptować taką, jaką naprawdę jestem.

– To słuszne podejście do sprawy. Nie zmieniaj go!

– Spróbuję. Zresztą, ludzie nie ustawiają się w kolejce pod moimi drzwiami po to, żeby mnie bliżej poznać! – roześmiała się dość smutno.

Julie zamówiła whisky z lodem. Cary podniósł ze zdziwieniem brwi: szkocka to trunek dla mężczyzny. Julie uśmiechnęła się szeroko.

– Prawdę mówiąc, nie znoszą whisky. Zamawiam, bo mogę sączyć ją po kropelce i nie martwić się, że mi uderzy do głowy. Bardzo rzadko wypijam dwie.

Cary zamówił dla siebie to samo i przyglądał się, jak Julie usadawia się wygodniej. W łagodnym blasku świec, który podkreślał piękno jej rysów, Cary'emu wydała się jedną z najbardziej urodziwych kobiet, jakie kiedykolwiek widział.

– Co myślisz o tej restauracji? To jeden z ulubionych lokali Amelii.

Jeden z ulubionych lokali Amelii? Julie mrugnęła powiekami, a potem uśmiechnęła się.

– Myślę, że sprawia imponujące wrażenie. Jakim cudem przytaszczyli tu tę skałę?! – spytała, wskazując w stronę olbrzymiego okna z pojedynczej tafli szklanej, które znajdowało się na przeciwnym końcu sali.

– To Nowy Jork! Nie wiesz jeszcze, że w tym mieście można dokonać wszystkiego? Zadałem kiedyś to samo pytanie. Mogę cię zapewnić, że skała jest autentyczna.

– Zastanawiam się, czy nigdy żaden zawiany gość nie próbował się na nią wdrapać? – rozważała Julie. – Za młodu sama miałam na to ochotę! – zachichotała.

– Powiedziałem to samo, słowo w słowo, kiedy tu przyszliśmy po raz pierwszy z Amelią – Cary roześmiał się niewesoło. – Było to już bardzo dawno temu!

– Zabrzmiało to tak, jakbyś uważał czas za swojego wroga, Cary.

Cary łyknął sporą porcję whisky ze swego kieliszka.

– Chyba rzeczywiście tak to zabrzmiało. Czasami tak właśnie się czuję. Akurat teraz jestem jakiś zagubiony. Wszyscy mają coś konkretnego do roboty, a ja tylko się obijam. Nie znoszę tego uczucia. Jestem przyzwyczajony do harówki, lubię tkwić w pracy po same uszy.

– Ale przecież dopiero co zrealizowałeś wspaniały projekt! Czy nie masz ochoty spocząć przez chwilę na laurach?

– I pozwolić, żeby ktoś po mojej głowie wspiął się wyżej? – spytał Cary z udanym przerażeniem.

– Byłoby aż tak źle? – z zaciekawieniem zapytała Julie.

– Chciałbym zrobić sobie wakacje, ale Amelia jest na to zbyt zajęta. Nigdy nie wyjeżdżałem na urlop sam i nie przypuszczam, żebym się w takiej sytuacji dobrze bawił. A jak z tym bywa u ciebie?

– Zazwyczaj jeżdżę sama i takie wakacje najbardziej mnie relaksują. Czasami wybieram się na urlop z przyjaciółką. Zwiedziłyśmy w ten sposób najbardziej znane miejsca: Aruba, Puerto Rico, Floryda, Wyspy Dziewicze. Kiedy spędziło się praktycznie całe życie w klimacie Vermont, nawet Floryda wydaje się rajem. W tym roku wyjeżdżam na urlop wcześniej niż zwykle. Spędzę całe dwa tygodnie na Hawajach. Cztery dni na Maui, a potem zwiedzę kilka innych wysp. Wczoraj dostałam zamówione bilety.

– Hawaje są naprawdę piękne. Na pewno będziesz się dobrze bawić. Zazdroszczę Maggie i Randowi, że mieszkają tam na stałe. Czy zatrzymasz się na Oahu?

– Dokładnie w Waikiki, w tamtejszym hotelu „Nadbrzeżny Wieżowiec”. Tak mi się przynajmniej zdaje: moja agencja turystyczna ciągle zmienia mi miejsce zakwaterowania.

– Musisz złożyć wizytę Randowi i Maggie. Mieszkają na Północnym Wybrzeżu. Jeżeli się dobrze postarasz, Rand zaprowadzi cię na swoją ukochaną plażę Banzai.

– Sama myśl o surfingu po prostu mnie przeraża. Jestem z tych, którzy wolą siedzieć na brzegu basenu. Nie lubię piasku w dupie.

Cary odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Możemy sobie podać ręce! Chociaż przyznam się, że lubię spacerować po plaży, zwłaszcza rano i o zachodzie słońca.

– Ja też. To wspaniały sposób na rozpoczęcie dnia! A potem ogromne śniadanie! Cały dzbanek kawy, dwie wielkie szklanki soku pomarańczowego, gorące bułeczki i dwa jajka na miękko.

– Zawsze zamawiam dokładnie to samo! Przeważnie nosi to nazwę zestawu śniadaniowego nr 3. Amelia mówi, że ze mnie żarłok!

Nie spodobało jej się to określenie. Łakomczuch brzmiałoby milej, a smakosz jeszcze lepiej.

– Chyba i ja jestem żarłoczna. Ale jem jak smok tylko na wakacjach.

– Ja też! – zaśmiał się Cary. Podobieństwa między nimi piętrzyły się niewiarygodnie! Nie miał zresztą nic przeciwko temu!

– Kiedy wyjeżdżasz? – Jej odpowiedź na to pytanie wydała mu się nagle ogromnie ważna.

– Pierwszego marca. Przyślę ci kartkę, co ty na to? Napiszę „Wściekaj się, że cię tu nie ma!”.

– Mściwe i niehumanitarne.

– W porządku, wobec tego napiszę „Świetnie się bawię. Szkoda, że cię tu nie ma”. – Julie pożałowała tych słów natychmiast, gdy je wypowiedziała.

Oczy ich spotkały się.

– Nie chciałbym, żebyś coś takiego napisała, jeśli to nie płynęło prosto z serca – powiedział cicho. Cary.

– No cóż... przeważnie nie wysyłam żadnych kart. I tak zawsze dochodzą już po moim powrocie. Zresztą napisałabym do was obojga, do ciebie i do Amelii. I nigdy... nigdy nie mówię nic takiego, czego bym nie czuła. Wiem, że ludzie... – zupełnie się zaplątała, a Cary nie robił nic, by jej pomóc. Cholera! – Może przyślę wam ananasy. – Po prostu coś do jedzenia. To było bezpieczne!

– Wolałbym dostać od ciebie kartkę. – Skąd się, do diabła, wzięła ta nutka upora w jego głosie? Nadal wpatrywał się w oczy Julie. – Wolałbym kartkę – powtórzył.

– No to dostaniesz. O, popatrz, już nam niosą obiad! Umieram z głodu. Godzinę później Cary odchylił się z krzesłem do tyłu.

– Chyba pora na deser.

– Deser?

– O, już idzie.

Julie odwróciła się i ujrzała kelnera niosącego tort z jedną świeczką. Zarumieniła się, widząc uśmiechy na twarzach pozostałych gości.

Musiała dmuchać aż trzy razy, zanim udało jej się zgasić tę jedyną świeczkę.

– Nie wiem, co mi się stało! – mruknęła nerwowo.

– To nie był mój pomysł, Julie. Amelia zadzwoniła i zamówiła ten tort. Proszę cię, nie bądź speszona.

– Czuję, że zrobiłam z siebie przedstawienie. Ludzie się gapią.

– Owszem, przyglądają ci się, ale z podziwem i z zazdrością. W każdym z nas na dźwięk słowa „urodziny” budzi się dziecko. Wszyscy zachwycają się tobą i zazdroszczą mi, że jestem tu z taką piękną kobietą. No, jedz grzecznie tort i poproś kelnera, żeby zapakował ci resztę; weźmiesz ze sobą do domu. Czy nie pamiętasz, że trzeba włożyć tort pod poduszkę i wypowiedzieć przed snem jakieś życzenie?

– Nie pomyliło ci się z tortem weselnym i druhnami?

– Nie bardzo się znam na takich sprawach – wyznał Cary. – Ale możesz spróbować. Powiesz mi, czego sobie życzysz? – kusił ją jak wąż.

– I zapeszę, żeby się nie sprawdziło? Mowy nie ma!

– A jak się sprawdzi, to mi powiesz?

– Jak się sprawdzi, wsiałę w pierwszy samolot do Austin i poinformuję cię osobiście.

– Umowa stoi! – Cary wyciągnął rękę przez stół, by mogła ją uściskać dla przypieczętowania umowy. Julie ujęła jego dłoń, chcąc nią potrząsnąć, ale zamiast tego poczuła, że jej własna ręka słabnie w uścisku jego palców. Cary wyciągnął ku niej drugą rękę. Impulsywnie Julie postąpiła tak samo i swą drugą dłonią nakryła jego dłoń. Pozostali tak, póki nie zjawił się kelner z kawą.

– Sztama? – szepnęła przez stół Julie.

Cary skinął głową. Wiedział, że gdyby spróbował powiedzieć choćby jedno słowo, z gardła wydobyłby mu się jakiś skrzek. Czuł ogromny pociąg do tej kobiety obdarzonej pięknymi oczyma i przemiłym dowcipem. Zdawał sobie sprawę z tego, że sam też jest dla

niej atrakcyjny, ale Julie walczy z tym, podobnie jak on.

Drogę powrotną odbyli w milczeniu, wiatr popychał ich i prawie zmuszał do biegu. W holu swojego domu Julie stanęła na palcach i ucałowała Cary'ego w policzek.

– Dziękuję ci za cudowny wieczór! Opiszę go na pewno w pamiętniku! – Spojrzała głęboko w oczy Cary'ego w żółtawym świetle kinkietów. – Jeślibym zaprosiła cię na górę, oboje potem byśmy tego żalowali. Zrozum mnie dobrze: nie mam zaufania do siebie samej! Bardzo mnie pociągasz, a jeśli się nie mylę... – Żałosny wyraz twarzy Caryego potwierdził jej domysły.

– Możemy być w kontakcie? – spytał.

– Sama nie wiem. Chyba... nie powinniśmy.

– Bardzo mi na tym zależy. Zadzwoń do ciebie od czasu do czasu.

– Nie mów mi takich rzeczy, bo będę tkwiła od rana do nocy w domu, żeby tylko nie przegapić telefonu od ciebie. Powiedzmy sobie lepiej do widzenia, a jak kiedyś przypadkiem znajdziesz się w Nowym Jorku, zadzwoń. Jakbym ja była w Teksasie, zadzwoń do ciebie. Dobranoc, Cary. – Odwróciła się pospiesznie i zawołała przez ramię: – Pozdrów ode mnie Amelię!

Drzwi windy zamknęły się i w ciągu kilku sekund Julie była już na szesnastym piętrze. Otworzyła wszystkie trzy zamki w błyskawicznym tempie i równie szybko je za sobą zamknęła.

Była bezpieczna.

Na jak długo? Nie miała pojęcia.

Amelia stała na balkonie, otulona w puszyste okrycie, czekając na telefon od Cary'ego. W mroku nocy światła Mirandy zdawały się stapać z gwiazdami. Amelia objęła się ramionami, żeby jej było cieplej; prawdę mówiąc, raczej z nawyku niż z potrzeby; ciepło z apartamentu przenikało przez balkonowe drzwi na zewnątrz. Był to piękny wieczór, taki, który powinno się spędzać we dwoje. Górne światło na sąsiednim balkonie zaskoczyło Amelię. Widocznie mieszkający tam lokatorzy podobnie jak ona rozkoszowali się rześkim, chłodnym wieczorem, zanim pójdą spać. Spojrzała na brązowy zegar słoneczny, błyszczący w świetle padającym od sąsiadów.

„Zestarzej się obok mnie, przed nami najlepsze dni”.

Pora wracać do domu.

Rozsuwane drzwi lekko szurały przy zamykaniu, potem szczęknął zamek. Jeżeli usiądzie w ulubionym fotelu, będzie stamtąd widzieć zegar słoneczny.

Było dwadzieścia pięć po dziewiątej, według teksaskiego czasu, gdy Cary zatelefonował. Amelii wydawało się, że znajdujący się w zasięgu jej ręki telefon po prostu tętni. Podniosła słuchawkę po piątym sygnale.

– Kochanie! – wykrzyknęła radośnie.

– Myślałem, że się już położyłaś do łóżka, Amelio. Chciałem odłożyć słuchawkę.

– Miałabym nie dowiedzieć się, jak minął wieczór? Czekałam na to od... – omal nie powiedziała „samego rana”, ale się pohamowała – ... przynajmniej od jedenastej! – Cary ma dziwnie zgaszony głos – pomyślała Amelia. Ale nie ustępowała. – Miałam załatany, bardzo owocny i strasznie nudny dzień: rozumiesz, co mam na myśli? Jestem zadowolona z tego, co udało mi się dokonać. A teraz opowiedz o waszym wieczorze z Julie. Czy spodobała się jej bransoletka?

– Powiedziała, że tak.

– Co dokładnie mówiła? Powtórz mi, Cary!

– Powiedziała, że nie umie przyjmować prezentów, lepiej jej idzie obdarowywanie innych. Coś w tym rodzaju.

Amelia nagle przymknęła powieki.

– Jakie to z jej strony odważne: przyznać się do czegoś takiego! Widzisz więc, że macie ze sobą coś wspólnego!

– Obiad był dobry i Julie podziwiała skałę. Tort też ją bardzo ucieszył. Zabrała go do domu.

Amelia nigdy jeszcze nie słyszała, by głos Cary’ego był taki bezbarwny.

– Pewnie włoży go pod poduszkę, żeby się spełniło urodzinowe życzenie? – wtrąciła pogodnym tonem. – Mam nadzieję, że dostanie to, czego sobie życzy!

– Ja też... Julie to ogromnie miła dziewczyna. Jest tobą zachwycona, Amelio. Kochanie, skąd to oburzenie w głosie? – miała ochotę spytać Amelia.

– I ja jestem nią zachwycona. Byłam pewna, że spędzicie przemiły wieczór. Co zamówiłeś?

– Szynkę w sosie rodzynkowym, a Julie wątróbkę cielecą z boczkiem i cebulką.

– Odważna dziewczyna: zamówiła cebulę! – Amelia prawie że zachichotała.

– Rzeczywiście. – Gdy teraz o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że Julie chciała mu wyraźnie dać do zrozumienia, że obiad to obiad i nic poza tym. – Jestem trochę zmęczony, Amelio. Za dużo wina przy obiedzie i strzeliłem sobie jeszcze drinka przed snem; to mnie chyba wykończyło. Jeśli nie weźmiesz mi tego za złe, najmilsza, powiem dobranoc. Zobaczmy się jutro koło drugiej. Będiesz w domu, kiedy wrócę?

– Postaram się, kochanie. Szczęśliwej podróży i miłych snów! Poleczenie zostało przerwane. Cary nie powiedział, że ją kocha. Ona też nie zdążyła mu tego powiedzieć. Cary po prostu odłożył słuchawkę.

Amelia wpełzła pod kołdrę. Trudno jej było zasnąć, zanim się zupełnie nie odprężyła. Część jej „ja” prawie żałowała, że Cary zatelefonował. Drugie, ja” chciało dowiedzieć się o wszystkim, poznać wszystkie szczegóły, o których Cary nie wspomniał. Amelia spoczywała nieruchomo jak posąg i zmuszała się do długich, głębokich wdechów, dokładnie według zaleceń doktora. Wszystko, nawet relaks, wymagało zastosowania specjalnych sztuczek. Należało całkowicie opróżnić swój umysł ze wszystkich myśli, skoncentrować się, zmusić swe ciało do reagowania na oddechowe ćwiczenia odprężające: wszystko na raz. Amelia powtarzała sobie monotennie „nie myślę o moich obawach i zmartwieniach. Jestem całkiem odprężona”. Kilka minut później zapadła w sen nie przynoszący ukojenia, pełen poplątanych obrazów.

Wiedziała, że to sen, gdy ujrzała wchodzącą z wyciągniętymi ramionami matkę, która skinęła, by do niej podeszła.

– Nie teraz! Jeszcze nie pora, żebym przyłączyła się do ciebie! – zawołała Amelia. – Nie jestem jeszcze gotowa, mamó! – Nie, matka nie kiwała na nią, tylko coś jej wskazywała. – Nie rozumiem, o co ci chodzi! – Obie tonęły we mgle, gęstej jak chmura. – Nie rozumiem czego chcesz, mamó. To tylko sen! Czy dlatego nie możesz się ze mną porozumieć? – Matka znów wskazywała na coś ręką. Amelia biegła teraz ku niej, chciała się do niej zbliżyć; wydawało jej się, że porusza stopami, ale stała w miejscu. Jessica także pozostawała tam gdzie

poprzednio, ze spokojnym, szczęśliwym uśmiechem nadal wskazywała coś, czego Amelia nie mogła dojrzeć. Powtarzała raz po raz: – Co to jest? Co starasz mi się powiedzieć? – Z nicości wychynął jakiś hałas. Zaraz po nim – uderzenie pięści. Rozległ się grzmot. To ojciec, Seth! Jego twarz była groźna i pełna nienawiści. – Trzeba cię było utopić zaraz po urodzeniu! – Mamo, poczekaj! – Pięść była tuż-tuż... – Nie! – krzyknęła Amelia. – Odejdź ode mnie! Nie!

Kiedy się obudziła, jej ciało było mokre od potu. Leżała w wielkim łóżu, starając się złapać oddech. Jej serce trzepotało rozpaczliwie. Znowu zmusiła się do głębokich wdechów i zdołała się opanować. To tylko sen, zły sen.

O ponownym zaśnięciu nie było już mowy, wobec tego mogła równie dobrze wstać. Nikt nie jest w stanie twórczo działać o trzeciej nad ranem – powiedziała sobie, włączając termostat. Może obejrzeć telewizję? Na pewno znajdzie się jakiś program, który ukołysze ją do snu.

Szczupłe ramiona Amelii były pokryte gęsią skórką, gdy sięgnęła po ukryty na dnie szafy stary, flanelowy, zniszczony szlafrok, który ogrzewał ją ongiś zimą w Anglii. Narzuciła go na siebie. Był jej bliski jak stary przyjaciel. Spojrzała z uśmiechem na wystrzępione rękawy. Pewnie powinna była wyrzucić go już wiele lat temu, ale stanowił pamiątkę z czasów wojny, gdy ciepło było luksusem. Amelia nigdy nie wkładała go, kiedy Cary był w domu, tylko wówczas, gdy była sama, jak teraz. Cary wolał ją widzieć w atłasach, kokardach i falbaneczkach.

Amelia poszła wolno do kuchni. Jakiś głos, potrzebowała czyjegoś głosu! Włączyła radio i mały przenośny telewizorek, stojący na kuchennej półce. Nie starała się zrozumieć, co mówią kłócące się ze sobą głosy, gdy wzięła się do parzenia herbaty.

Z powrotem w salonie, ze stopami podkurczonymi pod siebie, Amelia popijała jagodową herbatę. W jej myślach panował chaos podobny do burzy dźwięków dobiegających z kuchni. Od wielu dni wspominała swoją matkę, ojca i dzieciństwo. W zeszłym tygodniu matka śniła jej się trzy razy – a dzisiaj znów się jej ukazała. Kiedy Amelia budziła się, zawsze tak jak tej nocy miała wrażenie, że Jessica stara się powiedzieć jej coś, czego ona nie była w stanie zrozumieć. A potem pojawiał się ojciec, ze złośliwym i gniewnym wyrazem twarzy. Powtarzał różne wyzwiska i to zdanie, które słyszała przez te



wszystkie lata setki razy: „Trzeba cię było utopić zaraz po urodzeniu!”. We śnie próbowała dotrzeć do matki, ale za każdym razem, gdy robiła krok w jej kierunku, Seth mocnym uderzeniem w twarz zmuszał ją do cofnięcia się.

Boże, jak ona nie cierpiała tego starego sukinsyna! Nawet teraz, po tylu latach, nienawiść w niej gwałtownie pulsowała. Stary Seth nie żył już od siedemnastu lat, ale Amelia wiedziała, że nienawidzi jej nawet za grobem.

Dlaczego ona sama nie złagodniała z wiekiem i nie wybaczyła swemu ojcu? Bo uczynił życie moje i mamy prawdziwym piekłem – powiedziała sobie przez zaciśnięte zęby – i nie zasługuje na wybaczenie!

Myśli jej wróciły do minionych lat; przypomniały jej się wszystkie rany, zniewagi, bezmiar nienawiści... Wróciło też wspomnienie owych dni, gdy długo po śmierci matki Amelia kupiła dom jej dzieciństwa, odremontowała go i umeblowała po dawnemu, po to tylko, by spalić go do fundamentów po ukończeniu swego dzieła. Miało to odczarować przeszłość, odpędzić jej upiory... Boże, czemu o tym rozmyślałam w środku nocy? – Amelia westchnęła ze znużeniem i odniosła filiżankę do kuchni.

Gdy wróciła do salonu, spojrzenie jej pobiegło ku stojącym na gzymsie kominka rodzinnym fotografiom. Mama w ogrodzie z pękiem stokrotek. Jej brat Moss i Billie. Zdjęcia Maggie, Susan i Rileya, dzieci Mossa. Bużki Cole’a i Rileya, jej ciotecznych wnuków. Zdjęcie Maggie i jej męża, Randa, na tle lśniących wód Pacyfiku. Ostatnie w długim szeregu fotografii było zdjęcie ślubne jej i Cary’ego. Ani jednej podobizny jej ojca! Amelia nie życzyła sobie żadnych pamiątek po Secie.

Nagle uderzyła się w czoło. Pamiątki... wspomnienia. Oczywiście! W jej mieszkaniu może nie było fotografii Seta, ale w ostatniej sypialni na końcu korytarza znajdowały się wszystkie dokumenty, związane z jego interesami. Stały na półce, schowane w pudłach. Nie bardzo nawet pamiętała, jakim sposobem weszła w ich posiadanie. Jakoś doszło do tego, że te papierzyska dostały się jej i Cary’emu. Cary kiedyś zaczął coś przebąkiwać na temat pudeł pełnych dokumentów i zaproponował, że ulokuje je w ostatniej sypialni, ale Amelia zbyt była zajęta pracą z dekoratorami wnętrz i zbyła męża machnięciem ręki. Zupełnie zapomniała o tych pudłach, aż pewnego

razu natknęła się na nie czegoś szukając. Chciała je od ręki zniszczyć, ale Cary obiecał, że odwiezie je z powrotem do Sunbridge i ulokuje w piwnicy. Nie zrobił tego jednak. Cóż, dobry Boże, jest teraz równie dobra pora jak każda inna na przeniesienie tych ostatnich pamiątek po ojcu do frontowego pokoju. Nie warto wozić się z nimi do Sunbridge. Pierwsza rzecz, jaką jutro zrobi, to spali cały ten majdan! Amelia ze wściekłą miną poszła szybko długim korytarzem do znajdującej się na jego końcu sypialni.

Ze złością szarpała i ciągnęła ciężkie pudła, aż wreszcie spadły z półki. Księgi handlowe, notatniki, wielkie i małe, rozsypały się po perłowszarym dywanie. Amelia szarpnęła jeszcze raz i odskoczyła, gdy trzecie pudło zważyło się na podłogę. Listy, pojedyncze rachunki, notatki, wszelkiego rodzaju zapiski, niektóre nabazgrane ręcznie, niektóre napisane na maszynie, rozsypały się wokół jej stóp.

– Cóż za bajzel! – jęknęła Amelia.

Pozbierać czy tak zostawić? Jeżeli tak to zostanie, będzie jej to wiecznie przypominać o nienawiści do starego Seta. „Sprzątnij to!” – wrzeszczał jakiś głos w jej mózgu. – „Wyciągnij te pudła z pokoju i wykopsaj na korytarz! Nigdy już nie będziesz musiała na to patrzeć!, Pozbądź się tego! Natychmiast

Amelia spojrzała na pudła. U jej stóp spoczywało całe życie jej ojca. Roześmiała się i kopnęła jeden z rejestrów. Kartki pożółkłego papieru wyslizgnęły się z obwoluty. Amelia zaśmiała się znowu. Przyklękła i z impetem zaczęła zbierać rozrzucone papiery i rachunki, wpychać je byle jak do pudeł. Na samym końcu wpadł jej w ręce pakiet listów owinięty gumową opaską. Kiedy go podniosła, gumka pękła i odpadła. Adres nadawcy widniejący na kopertach sprawił, że Amelia otwarła szeroko oczy: „Rząd Stanów Zjednoczonych, Waszyngton, D. C”. Ostrożnie wyjęła te koperty spośród innych papierów i z pierwszej wyciągnęła dwa arkusiki cienkiego papieru. Skrzywiła się. Zamówienie na wołowinę. Wiele ton wołowiny. Dołączony do zamówienia był konosament firmy Colemanów. W prawym dolnym rogu widniała adnotacja jej ojca: NIEZAPŁACONE. Obwiedziono ją czerwoną kreską. Z zaciekawieniem Amelia otworzyła inne koperty. Wszystkie zawierały to samo: zamówienia rządowe na wołowinę, samoloty, sprzęt elektroniczny i konie. Do każdego zamówienia doczepiony był konosament Colemanów z podkreślonymi na czerwono słowami „NIE ZAPŁACONE”.

Amelia przysiadła na piętach. Cóż to znaczy? Czyżby rząd nie spłacił należności? Większość przedsiębiorców zabijała się o dostawy rządowe, gdyż zysk był pewny jak w banku... Jak w banku... Jej ojciec dobijał się swego zębami i pazurami. Nigdy by nie pozwolił na takie zaniedbanie, gdyby... gdyby nie miał w tym jakiegoś ukrytego interesu.

Ręce Amelii drżały, gdy opróżniały pudło, do którego poprzednio wpychała pojedyncze kartki. Paczki, listów, których nadawcą był Rząd Stanów Zjednoczonych, rzuciły się jej w oczy. Różniły się od poprzednich. Były to również zamówienia na podobne towary, z dołączonymi konosamentami – niekiedy po cztery, pięć kopii. Różnicę jednak stanowiła obwiedziona na czarno adnotacja ZAPŁACONO W CAŁOŚCI. Takich paczek było mnóstwo, chyba koło setki. Amelia uważnie przejrzała każdą z nich. Kiedy wkładała ostatni list do odpowiedniej paczki, na twarzy jej widniał uśmiech. Ty cholerny Stary spryciarzu! – mruknęła.

Świt zalewał krwią niebo, gdy Amelia udała się do kuchni, by zrobić sobie kawę. Nadal się uśmiechała, myjąc ręce nad kuchennym zlewem. Razem z Macem Fleetwoodem podśpiewywała przebój „Małe kłamstewka”. Wyłączyła radio dopiero wówczas, gdy piosenka dobiegła końca. Zgasiła też telewizję. W kuchni zapanowała cisza, ale Amelia uśmiechała się nadal.

Z filiżanką kawy wróciła do sypialni. Siadła na stojącym przy łóżku fotelu, z kawą pod bokiem i pierwszą paczką listów na kolanach. Gdy przeglądała listy, zauważyła notatkę, którą zrobił jej ojciec na ostatniej kopercie. Była skierowana do Agnes, matki Billie, która zajęła się sprawami biurowymi firmy, kiedy obie z córką przybyły na stałe do Sunbridge. Notatka była krótka i jasna: „Aggie, pošlij im jeden konosament, nie więcej. Wyślij listem poleconym i zachowaj dowód nadania. To uchroni nasze tyłki, gdybyśmy kiedykolwiek wpadli w tarapaty. Wiemy o tym tylko ty i ja, Aggie, więc gęba na kłódkę!”.

Zamiast podpisu widniało duże „S”.

Amelii wydało się, że słyszy chrapliwy głos ojca, udzielającego wyjaśnień Agnes: „Główna zasada w interesach, Aggie, to dbać o własny tyłek. Każdy wie, że w Waszyngtonie rządzi banda dupków, których nie tak trudno przechytrzyć. Od dawna robię z nimi interesy, Aggie; nigdy nie płacą rachunków od razu. Jeśli nie wyślemy im

powtórnych upomnień, nasze konosamenty będą leżały gdzieś w całym tym bajzlu. Im dłużej tam poleżą, tym większy procent się uzbiera. Człowiek nigdy nie wie, kiedy przyjdzie na niego zła godzina. Mamy asa w rękawie, Aggie. Wdrapałem się na szczyt i mam zamiar tu zostać. Te rachunki mi to umożliwią. Będę miał na nich kija. Albo lepiej powiedzmy tak, jak mówicie wy, eleganciki z Filadelfii: zadbam, żeby mieć coś w odwodzie.

I jeszcze coś ci powiem, Aggie. Te dupki, o których ci już wspomniałem, będą przekonane, że nabrały głupiego chłopka z Teksasu, który nie umie rozróżnić gówna od pomady. Nie rób mi tu min, Aggie! Człowiek musi wyrażać się dobitnie, jak chcę, żeby coś było jasne! A zamiast »dupki«, Aggie, mógłbym równie dobrze powiedzieć »świńskie sukinsyny«! Więc się przyczajam i jak trzeba, pociągam za sznurki, ale im się wydaje, że to ja tańczę, jak oni mi zagrają. Tak się robi u mnie interesy: pogódź się z tym albo się wypchaj!”.

Amelia niejednokrotnie wysłuchiwała takich peror Setha. Nawet dziś, po upływie dziesiątków lat, słyszała każde słowo wyraźnie i dokładnie. I dobrze wiedziała, co te słowa oznaczały.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się śmiechem, aż łzy jej popłynęły po policzkach. Wykrztusiła z trudem: – No i co, tutuśku, wyszło na to, że zatroszczyłeś się o mój tyłek! Jakby powiedział Clint Eastwood: „Sam zapewniłeś mi zwycięstwo!”.

Było wpół do ósmej, kiedy Amelia zatelefonowała do swojej szwagierki w Waszyngtonie. Jej głos był bardzo opanowany przez cały czas rozmowy, a przetrzymała Billie przy telefonie prawie pół godziny. Billie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Mówię ci, Amelio, do dzieła! Seth był twoim ojcem, nie widzę żadnych przeszkód!

– A co z innymi? Coleman Oil znalazło się w takich kłopotach...

– Inni na pewno poprą twój plan; jeśli chcesz, pogadam z nimi przez telefon, a potem zadzwonię do ciebie. Nie troszcz się o Coleman Oil! Zrób to, na co masz ochotę, Amelio! Poczekaj, skontaktuj się lepiej z Valentine Mitchell i wezwij ją jak najszybciej! Starego Dudleya też! Sądzę, że w tej sprawie będzie ci potrzebne wsparcie kilku takich drapieźników! Boże, nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Thadowi! Powodzenia, Amelio! Zadzwonię do ciebie później, ale wiem z góry, że będę miała dla ciebie dobre

wiadomości!

– Billie, przez ostatni tydzień śniła mi się mama. Sny były strasznie pogmatwane, tata ciągle przeszkadzał, ale miałam wrażenie, że mama usiłuje mi coś powiedzieć... Musiało jej chodzić właśnie o to... Czy wierzysz w takie rzeczy? Pamiętasz, jak Maggie opowiadała, że słyszała anielskie chóry, kiedy Sawyer robili operację?... No, w takie właśnie rzeczy... wierzysz, Billie?

– Oczywiście – przytaknęła spokojnie Billie. – Było ci z góry pisane, że znajdziesz te listy. Mówiłaś, że Pan Bóg pozwolił ci jeszcze trochę pożyć po operacji, żebyś mogła wykonać przeznaczone ci zadanie. Jestem pewna, że to On prowadził cię za rękę!

Amelia wydała głębokie westchnienie.

– Ja też tak myślę. Dzięki ci, Billie, że to potwierdziłaś. Potrzeba mi było, żeby ktoś głośno wypowiedział moje myśli. Zadzwoń koniecznie! – powiedziała radosnym głosem.

Amelia przytuliła pakiet rachunków do piersi, jakby to była Biblia jej matki. Podniosła oczy ku górze.

– Nie wyrównaliśmy jeszcze całkiem naszych rachunków, ale na razie to wystarczy! Słyszysz mnie, tato?

Valentine Mitchell, doradca prawny Colemanów, wyglądała równie efektownie, a zarazem profesjonalnie, jak w owym dniu przed wielu laty, gdy zjawiała się w Sunbridge, by ratować Cole'a i Rileya, gdy wniesiono przeciwko nim fałszywe oskarżenie o gwałt na córce jednego z robotników.

Valentine obdarzyła Amelię szerokim uśmiechem.

– Masz ich w garści, Amelio. Zabiorę cały ten majdan do Dudleya. On i inni dobrze się temu przyjrzą. Zwrócimy ci to jutro. I pozwól sobie powiedzieć: dobra robota!

– Jak wyraziłby się mój ojciec „złapaliśmy tych przygłupów za jaja, pora mocno przykręcić!”.

– A może wydoić? – Valentine roześmiała się.

– Dałoby się? – Amelia uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Muszę już lecieć. Miło było znów cię zobaczyć, Amelio!

– Pozdrów ode mnie Dudleya!

– Jasne!

– Dzięki-dzięki-dzięki-dzięki – szepnęła Amelia.

Po drodze do łazienki sięgnęła po stojące na kominku zdjęcie matki

i zabrała je ze sobą.

– Są rzeczy, o których nie trzeba nikomu mówić, bo ludzie mogliby jeszcze pomyśleć, że mam fioła. Ale Billie rozumie, mam. Byłam pewna, że chcesz mi coś powiedzieć. Więc o to chodziło! Mamusku, jestem przekonana, że wiesz, co mam zamiar zrobić! Nie pojmuję jednak, skąd się o tym wszystkim dowiedziałaś? Tata napisał, że wie o tym tylko on i Aggie. Pewnie tam, gdzie teraz jesteś, wie się o wszystkim. Jeśli jakimś cudem tata jest w pobliżu, powiedz mu ode mnie „dzięki”. – Posłała pocałunek fotografii matki i weszła pod prysznic. Zwariowała? Skądże znowu! W życiu zdarza się wiele cudownych rzeczy, których nie da się wyjaśnić.

Cary przez całą noc przewracał się z boku na bok. Wiedział, że to, co mu dokucza, to nie żadna choroba. W końcu o czwartej nad ranem wstał i włączył telewizję. Ogarniały go dziwne uczucia. Starał się przeanalizować. Miał ochotę wykrzyczeć swoje myśli.

O piątej wziął prysznic. Uczucie skrajnego podniecenia, które nie opuszczało go od chwili, gdy wrócił do hotelu, nareszcie minęło. Czuł się absolutnie wypompowany. O szóstej zjawiał się jako pierwszy klient w barze kawowym. Zamówił zestaw śniadaniowy nr 3 z dodatkową szklanką soku pomarańczowego, ale kiedy danie się zjawilo, poczuł, że wcale nie jest głodny. Wypił duszkiem kawę i wypalił cztery papierosy. Dwadzieścia po siódmej wrócił do swego pokoju. Spakował torbę, sprawdził zawartość aktówki. Obszedł cały apartament sprawdzając, czy niczego nie zapomniał. Minutę po wpół do ósmej podszedł do telefonu i nakręcił numer Julie.

– Hallo – odezwała się jakby nieswoim głosem. – Jakoś nie wyglądasz na zaspanego o tej porze, Cary. Jeszcze raz dzięki za cudowny wieczór!

– Cała przyjemność po mojej stronie. Anie mam zaspanego głosu, bo całą noc nie zmrużyłem oka.

To spokojne stwierdzenie faktu zaniepokoiło ją.

– Ja też nie najlepiej spałam. Mimo to włożyłam kawałek tortu pod poduszkę i wypowiedziałam swoje życzenie.

– Chciałbym się z tobą pożegnać przed odjazdem.

– Pożegnaliśmy się wczoraj wieczór.

– Wiem, ale chciałem powiedzieć ci jeszcze raz „do widzenia”. Chociaż nie znoszę pożegnań.

Julie wciągnęła głęboko powietrze.

– Cary, to nie ma sensu. Nie wolno ufać emocjom, a moje akurat strasznie się rozhuśtały. Nie chcę cierpieć! Nie chcę, żebyś i ty cierpiał, a już na pewno nie chcę, by stała się krzywda Amelii! Rodzina jest najważniejsza, a ja, Cary, nie nadaję się do zabawy w podchody. Zawsze byłam otwarta i szczerą. A teraz muszę już iść do pracy i... wracaj do domu, Cary. Tam jest twoje miejsce.

– Julie, proszę nie odkładaj słuchawki!... – Cary zaklął słysząc sygnał w telefonie. Rozmowa została przerwana. Chciał zadzwonić do niej ponownie. Pragnął tego, jak niczego dotąd! Może uda mu się wytłumaczyć jej... właściwie co? Że był żonaty? Że miał na nią chętkę? Przecież dobrze o tym wiedziała. Ona ma więcej rozumu niż ty, chłopie. Wracaj do domu, do Amelii i swojego życia w Teksasie. Przecież twoje życie to właśnie Amelia!

Pięć po dziesiątej Cary kupił u Macy'ego automatyczną sekretarkę. Podał adres Julie, zapłacił dodatkowo, by posłaniec doręczył urządzenie po szóstej. Kupił je za gotówkę. Nie wiedział, czy poczuł się dzięki temu lepiej czy gorzej. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno.

Dwadzieścia siedem po jedenastej wszedł na pokład samolotu boeing 747, lecącego do Austin. Wracał do domu, gdzie było jego miejsce.

## Rozdział ósmy

Wyjątkowo długi stół w jadalni Buckalew Big Wells był tematem żartów wszystkich członków rodziny z wyjątkiem Tess. Zobaczyła ona taki stół na jakimś filmie i uparła się, żeby mieć identyczny.

Na samym środku stała monstrualnych rozmiarów dekoracja z suchych kwiatów na okrytej koronką podstawce. Po obu stronach stołu były świeczniki, a w nich świece w kolorze lila. Tess lubiła wszelkie odcienie fioleto.

Tego wieczoru siedziała na jednym końcu stołu, a Coots na drugim, dokładnie tak, jak na filmie. Co ją obchodziło, że Coots musiał wrzeszczeć, żeby go usłyszała?

– To kretyńskie! – darł się Coots. – Nikogo tu nie ma oprócz nas! Nie widzę najmniejszej potrzeby, żeby marnować forszę na centralne i elektryczność w tej jadalni! Zupełnie bez sensu! Stale ci wbijam w głowę, że to nie Tara, a z ciebie żadna Scarlett!

– A ty już na pewno nie jesteś Rhettem Butlerem! – odrzyknęła. – Jeżeli mam ochotę uważać Buckalew Big Wells za moją prywatną Tarę, to będę tak uważać, Coots moje złotko, a ty nie masz prawa wybrzydzać! Jemy obiad w normalny, ludzki sposób. Ty nigdy nie miałeś pojęcia o dobrych manierach. – Dziobnęła nożem pierś kurczęcia.

Coots na złość żonie wziął w rękę leżącą na jego talerzu połówkę kurczaka. Zatopił zęby w delikatnym białym mięsie, oderwał jeden, potem drugi kawał, nie zważając na kleisty, słodki sos, który lepił mu się do brody i palców.

– Sukinsyn! – syknęła Tess.

– Dziwka! – ryknął Coots z pełną gębą.

– Wiesz, co mi przypominasz, Coots? Gruby połec zjełczalej słoniny ze starego wieprza! Sam jesteś wieprz!

– A ty suka! – odparł Coots. Wytarł palce w ozdobny koronkowy obrus. Potem głośno czknął. Tess przyglądała się, jak mąż unosi z krzesła gruby tyłek.

Wrzasnęła:

– Nie waż się tego robić w mojej jadalni, bo cię walnę tymi ziemniakami prosto w gębę! Zwykły cham z ciebie. Oakes!

– Ty za to wielka dama, która skołowała durnego wieprza! – ryknął



Coots.

– Nie musisz się drzeć! Świetnie cię słyszę! A teraz, jak już mamy za sobą te pieszczoty, może się dowiem, co złego się święci poza tym, że cię świerzbi w gaciach? Może masz trypra?

– W tobie też nie ma nic z damy, Tess. Przynajmniej ja nie zauważyłem. Ja tam szczerze się przyznaję, że jestem cham i dobrze mi z tym.

– Ale coś cię gryzie! No, Coots moje złotko – poprosiła słodkim głosem – powiedz mi, czemu jesteś aż taki wredny!

– Chcesz wiedzieć, co mnie trapi, to ci powiem! Jesteśmy zrujnowani. Mówiłem ci o tym przez cały zeszły rok, ale nie słuchałaś. Nic, tylko szastałaś forszą. Zamiast mi pomóc, ty i twoje dzieciaki popychałyście mnie tylko do grobu.

– Odwal się od dzieci, Coots! Z nami jest, jak jest, ale one nie zrobiły nic złego!

– Lacey się obija, dobrze o tym wiesz. Nie robi tego, co się jej każe. Wzdychała do Cole'a Tannera, a jak umył od niej ręce, to co zrobiła? Zabrała się za tego żółtka Rileya. Gdyby jej choć trochę zależało na rodzinie, toby go przekonała, żeby przejął te leasingi naftowe. Ale nie, do cholery! Wydzwania do Cole'a po kryjomu i próbuje go znowu namotać. Za grosz rozumu! – powiedział z goryczą Coots; wolał nie pamiętać, że to on skłonił Lacey, żeby uczepiła się Rileya. – Może z Iyy będzie jeszcze jakiś pożytek, ale specjalnie na to nie liczę. No co, dalej będziesz bronić dzieciaków, Tess?

– Jedno ci powiem: Lacey nie ma obowiązku odwalać za ciebie brudnej roboty. Jeżeli nie umiesz sam sobie poradzić jak każdy prawdziwy mężczyzna, to nie każ swoim kobietom, żeby cię wyrećzały. A Ivy to chuliganka, tak samo jak jej ojciec. Sprawa skończona, Coots moje złotko!

– Będzie skończona wtedy, jak już nie będziesz mogła nic kupić na rachunek i jak anuluję umowę najmu na ten frymuśny apartament w Wieżowcu Assante. Wtedy dopiero będzie po wszystkim. Lepiej postaraj się ograniczyć wydatki na dom, bo znajdziesz się na ulicy jak inne stare kurwy w Austin.

Perspektywa wyrzucenia z domu zawsze przerażała Tess, bez względu na to, ile miała pieniędzy w banku. Utrata domu wydawała się jej czymś najstraszniejszym. Co też ludzie powiedzą?! Poza tym kochała Buckalew Big Wells. Kiedyś przyśniło się jej, że Coots

wyrzucił ją w jednej kiece, z podręcznikiem astrologii. We śnie zarabiała na życie jako żebraczka wtykająca wszystkie swoje horoskopy po dziesięć centów na brudnej stacyjce kolejowej. Sen był tak realistyczny, że przez wiele dni dosłownie pociła się ze strachu na samo jego wspomnienie. Nawet i teraz kropelki potu wystąpiły na jej wysokie czoło. Teksasem rządzą mężczyźni, wiedziała o tym równie dobrze jak wszystkie mieszkające tu kobiety.

– Spójrz mi prosto w oczy, Coots! – powiedziała Tess, przechodząc do męża na drugi koniec stołu. – Spójrz mi w oczy i powiedz mi prawdę: możemy stracić Buckalew Big Wells?

– Chyba już po nich – mruknął Coots. – Wszyscy są w podobnej sytuacji co my. Nie ma gdzie szukać ropy, Tess. Byłem pewny, że do dziś będę miał ziemię Jarvisów, ale ten ich synalek nie chce sprzedać. To była moja ostatnia deska ratunku.

– Dopiero teraz mi o tym mówisz?! – zaskrzeczała Tess. – A jakbym cię dzisiaj nie przyparła do muru, to kiedy chciałeś mi o tym powiedzieć? Jak ukaże się w prasie zawiadomienie o licytacji?

Coots wzruszył ramionami.

– Może robisz w nafcie, Coots, ale o interesach to ty nie masz pojęcia.

– A ciebie gwiazdy o tym nie uprzedziły? – ryknął śmiechem Coots. Gdyby się nie roześmiał, pewnie by wybuchnął płaczem.

– Nie, gwiazdy nie uprzedziły mnie o tym – odparła Tess niemiłym tonem – ale mogą nas wyciągnąć z tego gówna! Jeżeli ureguluję wszystkie opłaty hipoteczne, przepiszesz na mnie Buckalew Big Wells?

– Pewnie, czemu nie? Ale masz akurat takie same szanse wyciągnięcia nas z tego co ja.

– Ile mamy gotówki? Coots zwiesił głowę.

– Dziesięć czy dwanaście tysięcy. Mówiłem ci, ale nigdy mnie nie słuchałaś. Tess ponownie zaskrzeczała.

– Tylko tyle?! A zapłaciłeś czynsz za apartament w Wieżowcu?

– Za pierwszy kwartał. Niedługo trzeba będzie znowu bulić.

– Więc przejmuję apartament i nie chcę ani słowa więcej o tym słyszeć! Pewnie go komuś podnajmę. Jutro rano, Coots, chcę mieć tu na stole wszystkie twoje rachunki bankowe. Zrozumiano? Pójdziemy do banku o pierwszej i przepiszesz dom na moją wyłączną własność. Masz coś przeciwko temu, to. gadaj zaraz!

– Jak sobie życzysz, Tess. Już widzę, jak pójdziesz z torbami. W sam raz się do tego nadajesz. Teraz musisz tylko iść do Neimana-Marcusa i zamówić sobie odpowiedni ekwipunek do tej roli; będziesz w każdej chwili na wszystko przygotowana. – Jeszcze raz się roześmiał, ale był to gorzki śmiech pokonanego.

Cole właśnie wychodził z biura, gdy odezwał się telefon. Jego siostra Sawyer dzwoniła z Tokio. Najwyższy czas! – mruknął do siebie Cole.

– Co słychać?

– To ty mi powiedz, Sawyer! Co się z tobą działo, do cholery?! Byłem przekonany, że zadzwonisz do mnie zaraz po tym ich spotkaniu.

– Miałam ważne sprawy do załatwienia. O ile wiem, nic sienie dzieje. Chesney spotkała się z Randem i Maggie, rozmawiali może dwadzieścia minut, a potem wróciła do Anglii. Maggie mówi, że Rand nie wierzy, że to jego córka, ale ona sama nie ma co do tego wątpliwości. Ja też. Jeśli chcesz się z nimi skontaktować, powinni już być z powrotem na Hawajach i odsypiają trudy podróży. W tej chwili leżą pewnie na bielutkim piasku i nie marzną jak my. Zresztą radzę ci, lepiej nie dzwoń. To ich problem. Pozwól, żeby sami się z nim uporali. Jeśli będziemy im potrzebni, wiedzą gdzie nas znaleźć.

– Miałem zamiar wziąć „Maszynę Snów” i polecieć do nich. Też by mi się przydał biały piasek i błękitne morze. Ale nie pojadę, jeśli uważasz, że to nie najlepszy pomysł.

– To wyłącznie moja opinia. Sam musisz zdecydować. A w ogóle, jak leci? Co u Rileya?

– Ostatnio trudno się z nim dogadać. Chyba obwinia samego siebie za cały ten krach w przemyśle naftowym. Widziałaś się ostatnio z jego dziadkiem?

– Wybieram się do niego jutro. Staram się go odwiedzać mniej więcej raz na tydzień. Źle z nim, Cole. Chciałabym, żeby Riley... Zresztą, nieważne.

Cole westchnął. Naprawdę bardzo lubił Starego Pana.

– Thad i babcia zapowiedzieli się na weekend. Riley poinformował mnie o tym dziś rano; jest teraz bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek. Twierdzi, że przyjeżdżają, żeby go skontrolować.

– Nie mieszaj się do tego, Cole.

- Zgoda. Zawsze byś wszystkimi tylko rządziła, cholera!
- Powiedzmy, że tego nie usłyszałam – roześmiała się Sawyer. – A poza tym co nowego?
- Założę się, że nie zgadniesz, dokąd się dziś wieczorem wybieramy z Rileyem. Na obiad, a raczej barbecue.
- Nie mam pojęcia. Sam mi powiedz.
- Adam zaprosił nas na swoje ranczo. Spotkaliśmy się któregoś dnia w Mirandzie. Jest tu razem ze swoim pasierbem. Pytał o ciebie.
- O?
- O? Tylko tyle masz do powiedzenia? Powiedziałem mu, że cholernie zbrzydłaś i że musisz sobie golić wąsy!
- Ty wredny gówniarzu! Zaraz mi to odszczekaj! Mam święte prawo nazywać cię gówniarzem! Jesteś moim młodszym braciszkiem!
- Nie ma między nami żadnej różnicy wieku. Dogoniłem cię. Nie zauważyłaś? Nie jestem już twoim braciszkiem małym, tylko po prostu twoim bratem. I już! A tamto rzeczywiście powiedziałem Adamowi.
- Nic nie gołę, wyrywam pęsetką! I to wcale nie są wąsy, tylko delikatne włoski nad górną wargą! To ty podobno zapuściłaś sobie ostatnio wąsy. I Riley! Boże święty!
- Poważniej się wtedy wygląda. Trzeba wiedzieć, jak postępować, gdy robi się interesy z nafcierzami po pięćdziesiątce. Riley mnie namówił na te wąsy.
- Wspomniałaś, zdaje się, że jesteś już całkiem dorosły? – droczyła się Sawyer. – Pewnie dziewczęta teraz za tobą szaleją!
- Muszę odpędzać się od nich kijem rano, w południe i wieczorem!
- Chciałbyś, co? Ta rozmowa sporo kosztuje, więc chyba się już rozłączę. Pozdrów Adama i powiedz mu, żeby do mnie napisał. Albo napomknij mu, że wrócę do domu na wiosnę; może i mnie zaprosi na barbecue.
- Nie zerwały się całkiem kontakty między tobą a Adamem, prawda? Wahanie Sawyer dawało się dostrzec.
- Niezupełnie. Wysyłałyśmy sobie kartki na święta, coś w tym stylu. Kiedy usłyszałam, że się ożenił, dość ciężko to przeżyłam... Chyba wyobrażałam sobie, że będzie cierpliwie czekał, póki się na niego nie namyślę...
- Jeśli liczysz na wyrazy współczucia, to nie ode mnie – powiedział Cole bez ogródek. – Należałem do tych, którzy uważali (a

nawiasem mówiąc, nadal tam uważam), że byliście dla siebie stworzeni.

– Cóż, moja strata, Cole.

– Adam jest znowu do wzięcia.

– Nie wystąpię pierwsza z inicjatywą. Co nam sądzone, to będzie. Niech Adam o to zadba. Nie mówmy już o tym, dobrze?

– Możemy nie mówić.

– Pozdrów go ode mnie, i tyle. Bardzo za wami wszystkimi tęsknię, naprawdę. Czasem czuję się tu okropnie samotna.

– Ktoś musi odwalać czarną robotę! – roześmiał się Cole. – Ubóstwiam cię, siostrzyczko!

– Ja ciebie też.

Cole zatrzymał się obok Riley. – Jeśli na mnie poczekaasz, zabierzemy się razem. Muszę wyskoczyć z tych ciuchów. Góra dziesięć minut!

– Zrobione.

Riley siedział w brorico wpatrzony w mieszkanie nad garażem. Jakże to było dawno! Pomyślał wtedy przez chwilę, że jego życie zostało zmarnowane. Zastanawiał się, gdzie też podziewa się teraz Luana? I jej ojciec. Może Cole wiedział? Teraz stał w obliczu większych problemów. Wyglądało na to, że są one nie do pokonania. W owym dniu, gdy Luana oskarżyła ich o gwałt, on i Cole nagle przestali być małolatami. W ciągu kilku minut stali się dorośli, mimo młodego wieku. Teraz młodość całkiem od niego uciekła – był po prostu mężczyzną, który musi pokierować losem Coleman Oil i swoim własnym życiem. Dlaczego najpierw pomyślał o firmie, a dopiero potem o swoim życiu? Może dlatego, że dobrze znał zasady niezbędne do prowadzenia przedsiębiorstwa, a jego życie zbyt było rozdarte i zagmatwane, żeby mógł się w nim jakoś połapać i zorientować się, co należy zrobić.

– Gotowe, możemy jechać – powiedział Cole, zapinając pas bezpieczeństwa. – Wziąłem i dla ciebie jabłko. Z Adama fatalny kucharz. Mam nadzieję, że nakarmi nas w domu, a nie uprze się przy jedzeniu na patio.

– Adam nie jest taki głupi.

– Właśnie że jest – powiedział Cole wgryzając się w jabłko. – Pamiętasz, jak raz w Nowym Jorku zapakował kanapki i kazał nam

siedzieć w parku i upajać się urokami natury? Jak nie posiedzimy, to nie dostaniemy żarcia. Kanapki były z jajkiem, jeżeli dobrze pamiętam. I z sezamem, czy innym takim świństwem.

– I z kupą majonezu. Nie znoszę majonezu.

– No to jedz jabłko. Nawiasem mówiąc, Sawyer dzwoniła, kiedy właśnie wychodziłem z biura. Przesyła ci całuski. Ona naprawdę wierzy, że cię pocałuję w buźkę. – Cole krótko opowiedział kuzynowi, jak przedstawiają się sprawy jego matki i Randa. – Co o tym myślisz, Rileyu? Czy to naprawdę jego córka?

– A po co miałyby ją udawać? Przecież od razu odjechała. Jak mówi Sawyer, przyszła, powiedziała, co chciała powiedzieć, i zabrała się. Teraz zależy tylko od Randa, co będzie dalej. Ale on nie wykona następnego ruchu. Przynajmniej nie od razu. Będzie tylko zadreślał siebie i ciocię Maggie. Zupełnie jak pies z kością w zębach!

– Nie zaszkodzi środowiku – mruknął Cole, wyrzucając ogryzek przez okno. – Moja matka zrobi, co tylko będzie mogła. A byli tacy szczęśliwi!

– Pewnie. Weźmie ciężar Randa na swoje barki. Spójrz choćby na nas! Gdyby nie ona, kiblowalibyśmy do dziś w federalnym pierdlu albo czymś takim.

– Właśnie, w czymś takim. Czy wiesz, co się stało z Luana? Zawsze się nad tym zastanawiam, kiedy patrzę na to cholerne mieszkanie nad garażem.

– Nie mam pojęcia i specjalnie mnie to nie interesuje – zgrzytnął Riley.

– Słyszysz? Co to takiego?

– Piła łańcuchowa. – Riley podniósł brwi. – Czyżby Adam?...

– Pewnie zobaczył na jakimś filmie. – Cole uśmiechnął się szeroko. – I doszedł do wniosku, że jak się ma własne ranczo, wypada samemu piłować drewno. Przecież to karykaturzysta! – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Nie mogę uwierzyć, że chce zrezygnować ze swej kariery i gospodarować na ranczu. Zupełnie się na tym nie zna!

– No więc, kto mu o tym powie, ja czy ty?

– Chyba lepiej będzie, jak się przekona na własnej skórze. A jeśli się okaże, że jest gorzej niż źle, narysujemy mu jego własną karykaturę!

Najpierw wymienili męskie uściski dłoni, a potem padli sobie z

impetem w objęcia.

– Aleście wyrosli, chłopaki! – zauważył Adam. – Nowi władcy Sunbridge! Nieźle to brzmi. Pamiętam, jak byli z was jeszcze zupełni gówniarze i musieliśmy się z wami użerać, Sawyer i ja. Mam teraz podobne zadanie, ale brakuje mi pomocy Sawyer – dodał żałośnie.

– Wygląda na to, że nie idzie ci z tym najlepiej?

– Ano nie. Jaff jest wściekły, że tu tkwimy. Miałem cień nadziei, że wy dwaj jakoś... cholera, sam nie wiem, na co liczyłem. Piwa?

– Najlepsza propozycja, jaką dziś usłyszałem – odparł Riley, uśmiechnął się i przypomniał sobie o swoim żołądku; powinien na niego uważać! – Kto teraz obsługuje piłę?

– Jeff. Przestała hałasować, sami słyszycie. Pewnie ten cholerny smarkacz odpiło wał sobie nogę. Hej, Jeff! Chodź no tutaj!

Oczy chłopca były poważne nad wiek, ale on sam był wysoki i niezdarly, z typową figurą chudego nastolatka.

– Chodź do nas, Jeff. Chcę, żebyś się przywitał z tymi facetami, o których ci mówiłem.

– Tych dwóch szpanerów z Ivy League, co mieszkają za szosą? – spytał chłopiec. Cole zerknął na kuzyna.

– Czujesz się szpanerem z Ivy League, Rileyu?

Riley spojrział groźnie na Jeffa.

– Jak nie będziesz się zachowywał jak trzeba – oznajmił – to Cole zawiesi cię tu, na tym haku. Widzisz go? – Z muru patio wystawał olbrzymi gwóźdź.

– Cholera, same osiłki i waźniaki z Ivy League, co?

– Wieszamy go – stwierdził Cole.

Riley nie mógł wyjść z zadziwienia, jak chudziutkie ciało skrywała gruba flanelowa koszula i sztywne džinsy. Nożyska były cienkie jak patyki. Tylko zniszczone tenisówki pasowały do jego wieku: dzieciak bez, zdartych gumiaków był jak niemowlę bez pieluchy.

– A teraz zrobimy dziurę w tej szykownej nowej koszulce!

– Skurwysyny! – darł się chłopak. – Adam, zdejmij mnie, ale już!

– Zachowuj się przyzwoicie, to może zdejmujemy cię na obiad – pocieszył go Cole. – A tak nawiasem, co z tym obiadem?

W kuchni Adam oparł się o zlew.

– Może powinienem był odesłać go do jego ciotki na Long Island, ale Jeff jej nie znosi, a i ona za nim nie przepada. Mały ma dosłownie tylko mnie. Z tego, jak teraz stoi, a raczej wisi, można wyciągnąć

wniosek, że nie najlepszy ze mnie opiekun. Zdejmijcie go, chłopaki, i delektujmy się wreszcie tą ucztą, nad którą tyle się napociłem.

– To było coś, czego długo nie zapomnę – stwierdził Riley w drodze powrotnej do domu.

– Nie można powiedzieć, żeby ten gówniarz dawał się lubić, ale nie jest całkiem zły. Po prostu dzieciak, a tutaj wszystko jest dla niego całkiem obce. Myślę, że się przyzwyczai. Zgrywa się na twardziela, żeby ukryć swoje prawdziwe uczucia. Ty i ja postępowaliśmy tak samo. Żaden z nas nie pozwoliłby drugiemu zgadnąć, co naprawdę przeżywa. Mały jest wyraźnie zainteresowany jedzeniem i tym, jak sieje przyrządza. Może wyrośnie z niego szef kuchni? – zaśmiał się Cole.

Riley prychnął pogardliwie.

– Smarkacz bluzga jak z nut! Trzeba przyznać Adamowi, że ani mrugnął na jego popisy. Myślę, że tak właśnie powinni postępować rodzice. Jeśli starzy się przyczepiają, dzieciak popisuje się jeszcze bardziej. Jeżeli nikt na to nie zważa, może mu się prędzej znudzi... Coś w tym stylu. Powiedziałem Adamowi, żeby skorzystał z naszych starych motorowerów i rowerów, które stoją w garażu. Miejmy nadzieję, że system nagród okaże się skuteczny.

– Czy ja byłem równie okropny na początku znajomości? Tylko mów prawdę!

– W skali jednego do dziesięciu dałbym, ci wtedy pięć punktów. Ten dzieciak wyciąga najwyżej trzy. Adam będzie miał pełne ręce roboty.

– A nie wydaje ci się przypadkiem, że wszyscy trzej będziemy mieli pełne ręce roboty? Nie zauważyłeś, jak zgrabnie Adam włączył nas do programu wychowawczego? Kto, do jasnej cholery, może przejść obojętnie koło takiego małolata i nie współczuć mu?

– No to mamy to, czego nam akurat potrzeba: kolejny problem. A obiad był Straszny. Jak wrócimy do domu, zjedzmy coś porządnego. Ty smażyysz jajka, Cole.

– Dam ci w ucho! – roześmiał się Cole.

– Adamowi bardzo by się przydała przy wychowywaniu tego szczeniaka Sawyer z jej spokojem i rozsądkiem. Szkoda, że on sam tego nie widzi.

– Nie widzi? Cholera ciężka! Jak myślisz, po co nas zaprosił?!



Zadowolili się drugą ligą, bo pierwsza nie do wzięcia. Jak się Sawyer pojawi, będziemy sobie mogli odpuścić.

– Niech mnie szlag! – mruknął Riley.

– Czasem wy, żółtki, strasznie wolno myślicie, chociaż kiedy indziej takie z was niby bystrzaki! – Była to najczęstsza odzywka Cole'a. Riley uśmiechnął się od ucha do ucha.

O wpół do pierwszej Amelia zdecydowanym ruchem zamknęła swoją aktówkę i opuściła gmach sądu w Austin w wyśmienitym nastroju. Jeżeli ruch drogowy nie stanie na przeszkodzie, zdąży do domu jeszcze przed powrotem Cary'ego. Będzie miała dość czasu na to, by się odświeżyć i naparzyć kawy. W drodze do sądu kupiła pudełko kokosowych makaroników, które Cary bardzo lubił.

Dobry humor nie opuszczał jej, gdy układała sobie w myśli, co powie Cary'emu na temat swego planowanego wyjazdu do Waszyngtonu, gdzie miała przemawiać przed specjalną komisją Kongresu, zajmującą się sprawami obywateli w podeszłym wieku. Amelia nawiązała wiele kontaktów i wszystkie jej wysiłki zaczęły przynosić rezultaty. Powiedziała sobie, że ma prawo do dumy z własnych osiągnięć. A co na to powie Cary?

Amelia poczuła miły dreszczyk na myśl o powrocie Cary'ego. Na pewno się stęsknił. Ona sama była w dobrej formie, więc popołudnie zapowiadało się wspaniale. Najpierw napiją się kawy, do której będą ulubione ciasteczka Cary'ego. Mąż opowie jej o swej podróży ze wszystkimi szczegółami, potem podroczy się z nią na temat prezentów, które kupił, a wreszcie zaprezentuje je równie efektownie, jak pan Cecil B. De Mille swoje filmy.

Amelia odegra swoją rolę jak należy, Cary będzie zadowolony ze swego wyboru i pewnie ugryzie ją w ucho. Wówczas nadejdzie odpowiedni moment, by powiedzieć mu o planowanej wyprawie do Waszyngtonu. Cary z pewnością okaże zainteresowanie, zacznie komentować, doradzać, a na koniec powie, jak bardzo jest z niej dumny. I jak zawsze, to, co najlepsze, będzie na końcu. Amelia wymasuje męża słodko pachnącym balsamem i wspomni mimochodem, że czeka na nich jacuzzi z wszystkimi atrakcjami, włącznie ze schłodzonym szampanem. Trzeba postawić butelkę na lodzie, jak tylko wróci do domu! A potem będą się kochali – długo, bez pośpiechu, cudownie. Później się zdrzemną, wróci im ochota na

pieszczoty, a w końcu Amelia przyrządzi jajecznicę na boczku, którą zjedzą przy blasku kominka. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Prawie podbiegła do drzwi, gdy tylko usłyszała zgrzyt klucza męża.

– Amelio! Jesteś w domu?

– Czekam na ciebie, kochanie! Tworzę jednoosobowy komitet powitalny. Strasznie się za tobą stęskniłam!

– Ja za tobą też – odparł Cary z pewnym roztargnieniem. – Boże, jak tu zimno!

Amelia obserwowała, jak starannie wiesza palto. Zazwyczaj rzucał je na oparcie krzesła. Następnie ułożył na półce swoją teczkę z pedantyczną dokładnością. Odwrócił się, ucałował lekko żonę w policzki i powędrował do sypialni.

– Przywiozłem ci kilka prezentów. Są w torbie. Idę pod prysznic. Może mogłabyś mi zrobić kanapkę czy coś takiego?

Coś takiego! Amelia wbiła drżące ręce w kieszenie swojej nowej sukni z malinowej wełny. Kupiła ją specjalnie dla Cary'ego.. Ubóstwiał ten kolor i powiedział, że lubi, kiedy szeroka, fałdzista spódnica wiruje wokół jej nóg.

– Kupiłam makaroniki i zaraz zrobię kawę tego gatunku, który tak lubisz! – zawołała Amelia, kierując te słowa do pleców oddalającego się męża.

– Nie zawracaj sobie tym głowy! Mam już kawy powyżej uszu. Wypiłem jej za dużo w samolocie. Poza tym obwód w pasie mówi mi, że trzeba na jakiś czas rozstać się ze słodyczami. Kanapka z serem i szklanka mleka będą w sam raz. Jeśli to nie będzie dla ciebie zbyt duży kłopot.

Zbyt duży kłopot? Gotowa była wydoić krowę, do cholery, gdyby to było konieczne! Więc jej plany wzięły w łeb! Zrobi kanapkę i zanieś do sypialni, zanim Cary Wyjdzie spod prysznic. Otworzy prezenty, kiedy on będzie jeszcze paradować w ręczniku kąpielowym. Wówczas trzeba mu będzie tylko zerwać ten ręcznik – i voilà! – mamy już scenę miłosną à la Assante.

Amelia pomaszerowała do kuchni. Obrała ze skórki cztery plasterki sera i wpakowała je między dwie kromki białego chleba. Spojrzała krytycznie na nieciekawą kanapkę. Masło, majonez i listek sałaty powinny sprawić, że będzie bardziej apetyczna. Na srebrnej tacce ustawiła talerz przyozdobiony trzema gałązkami zielonej

pietruszki. Położyła też kilka importowanych z Chile winogron. Wybrała dojrzałą brzoskwinę, też rodem z Chile, i umieściła ją na tacy. Karton z mlekiem nie chciał się otworzyć, musiała więc sięgnąć do szuflady po nożyczki, żeby przeciąć upartą tekturę. Nalała szczerze mleka w dużą kryształową szklanice. Położyła jeszcze na tacce nową lnianą serwetkę i była gotowa. Ostrożnie niosła tacę przez całą długość wielkiego salonu.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy ujrzała Cary'ego śpiącego w nogach łóżka. Na jego ramionach lśniły krople wody. Nawet mu się nie chciało wytrzeć. Przez jedną krótką chwilę Amelia miała ochotę zwalić całą zawartość tacy na świeżo wymyte ciało męża. Pohamowała się jednak i postawiła tacę na kredensie, przykryła Cary'ego pledem i wyszła z pokoju.

Ręce Amelii nie drżały, kiedy wyciągnęła je w stronę ognia. W jej oczach nie było łez. Miała przed sobą perspektywę wlokącego się w nieskończoność popołudnia i wieczoru. Cary będzie tak spał Bóg wie ile godzin. Cóż, każdemu od czasu do czasu nie spełniają się marzenia. Zawsze zresztą czekała na nią góra nie kończącej się papierkowej roboty. Miała też nową powieść, wypożyczoną z Klubu Miłośników Książki. Mogła poczytać ją, opychając się czekoladkami Godiva. Albo zacząć szykować obiad, wymyślić coś, co trzeba długo przyrządzać i jeszcze dłużej pichcić. Mogła rozpakować rzeczy Cary'ego albo nawet pooglądać seriale telewizyjne. Zadzwoić do znajomych i posłuchać najnowszych ploteczek albo zaprosić gości na obiad. Miała pewne zobowiązania towarzyskie, za które powinna się zrewanżować. A jeżeli nie odpowiadała jej żadna z tych wszystkich możliwości, pozostawał jeszcze spacer. Mogła nawet pojechać do Sunbridge. Pora znowu złożyć wizytę tym, którzy leżą na wzgórzu.

Amelia na palcach przeszła do łazienki. Malinowa suknia zsunęła się na podłogę, a jej miejsce zajęły grube spodnie i kaszmirowy sweter o barwie lśniącego topazu. Jej spacerowe buty miały ciepłą wyściółkę, a podbita barankiem kurtka sprawiała, że Amelia była dobrze przygotowana na wyprawę do jedyne miejsce, które mogło przynieść jej ukojenie.

Szybko zatelefonowała, najpierw do garażu, żeby podstawiono jej samochód przed główne wejście, i natychmiast potem do kiosku z kwiatami, znajdującego się w holu na dole.

Przybranymi w mitenki rękoma Amelia wpakowała przygotowane

przez kwiaciarkę pudło fiołków do wielkiej torby na zakupy. Ochroni ona kwiaty podczas wspinaczki na wzgórze.

Sunbridge w popołudniowym słońcu wydało jej się dziwnie opuszczone. Amelia nigdy nie uważała, że jest to miejsce tchnące serdeczną gościnnością bez względu na porę roku. Gdyby nie cmentarzyk na wzgórzu oraz spotkania rodzinne, noga jej nigdy by nie powstała na ranczu Colemanów.

Uważnie patrzyła pod nogi, szukając ścieżki prowadzącej na wzgórze. Pod jej butami chrzęściła lodowa skorupka i zamrożone grudki śniegu.

Zrobiło się przeraźliwie zimno, wiatr smagał bezlitośnie nagie, powyginane drzewa. Amelia z trudem chwyciła dech, rada, że jest już prawie na miejscu..

Cieężko dysząc oparła się o nagrobek swego ojca. Z wyzwaniem w oku przysiadła na jego podstawie. Obok znajdował się mniej okazały grób jej matki. U jego stóp ustawiono kwiaty w kamiennym wazonie. Ktoś z rodziny, pewnie Cole pomyślał o Jessice.

Było tu równie pusto i samotnie jak na ścieżce. Ziemia zamarzła, na wszystkie strony sterczały z niej gałązki i uschłe liście. Amelia miała kłopoty z oddychaniem. Być może przyczyną tego była nie tylko wspinaczka, ale i zdenerwowanie z racji powrotu Cary'ego. Doszła do wniosku, że dzisiejsza wyprawa na cmentarz nie była najlepszym pomysłem. Pomyślała ponuro, że niebawem zawita tu na dobre.

Amelia podciągnęła szalik do góry, żeby zakryć usta. Gdy jej oddech stał się znów regularny, sięgnęła do torby po fiołki. Na tym mroźnym powietrzu ich delikatne płatki natychmiast zamarzną. Teraz przyszła chwila na rozmowę, na to, żeby się zwierzyć ze swych kłopotów.

– Stało się tak, jak przewidywałam, a ja nie potrafię tego zaakceptować! Co innego snuć plany, a co innego widzieć, jak się urzeczywistniają. Poczułam się zupełnie tak, jakby mnie ktoś rąbnął między oczy, mamó. Wybieranie mojej następczyni u boku Cary'ego to był z początku tylko niemądry kaprys. Nie mam prawa wtrącać się w to i nigdy bym tego nie zrobiła, gdyby Julie Kingsley nie nadawała się tak idealnie do tej roli! Miałam zamiar wszystko zaaranżować, ale, jeśli mam być całkiem szczerą, nie mogę się na to zdobyć. Jeszcze nie teraz. Byłoby lepiej, gdyby to się wydarzyło potem... kiedy będę już

razem z tobą.

Jadąc tu myślałam o takich sprawach, jak los i przeznaczenie. Jeśli coś ma się wydarzyć, to się wydarzy i tak. Niektóre rzeczy są nam z góry przeznaczone. Wszystko sobie ułożyłam w myślach: jak to Cary zamknie się w sobie, rozpaczając po mojej śmierci, a Julie swoją serdecznością i cierpliwością pomoże mu otrząsnąć się z tego. Mamo, wyobrażałam sobie przeróżne sceny. Sama przebywałam gdzieś w górze, ale stamtąd patrzyłam na ziemię. Chciałam zabawić się w Pana Boga i On mnie za to ukarał! Jak duże było prawdopodobieństwo spotkania Cary'ego z Julie w Nowym Jorku? Tam przecież mieszka około dziewięciu milionów ludzi! Nawet sobie nie wyobrażam, jak maleńka jest szansa odnalezienia się w takiej ciżbie!

Cała sprawa wymknęła mi się z rąk, mamo. Nie wiem, co począć. Jestem pewna, że nic się jeszcze nie stało, ale Cary już czuje, że na coś się zapowiada. Nie wie, jak pokierować sprawą. Jak dalece potrafię być pomocna i kochająca? To, co planowałam, miało się zdarzyć... kiedy mnie tu nie będzie. Wiem, że nie zostało mi już wiele czasu, mamo. Cary jest całym moim życiem – chyba nie potrafię się nim dzielić z inną osobą.

Billie uważa, że albo kocha się kogoś bezgranicznie, albo wcale. Jeżeli ma rację, to powinnam usunąć się na bok i umożliwić Cary'emu to, co jest dla niego najlepsze. Mogłabym ofiarować mu to w taki sposób, że nie miałby pojęcia, co robię. Będzie to dla mnie coś całkiem nowego, bo przeważnie brałam, a nie dawałam. Dawanie jest takie trudne. Ale na tym ostatnim okrążeniu powinnam pozbyć się mego egoizmu. Mam przecież równie silny charakter jak tata! – Łzy spływały po policzkach Amelii. Otarła je niecierpliwie ubranymi w mitenki dłońmi. – Chyba jestem w stanie to znieść, mamo, ale co będzie, jeśli się mylę? Jeżeli nie potrafię? Jeśli wyrwę się z czymś podłym i złośliwym? Jeżeli odstręczę od siebie Cary'ego? Umrę! Nie będę chciała dłużej żyć, mamo, kiedy opanuje mnie zazdrość, a tak się stanie! A może zniszczę w ten sposób Cary'ego? Moje serce jest tak przepełnione miłością do niego, że czasami wydaje mi się, że rozsadzi mi pierś! Zdobyłam tak wiele, więcej niż ktokolwiek miałby prawo oczekiwać! Nie chcę tego utracić, mamo! – Amelia rozplakała się. – Czy powinnam się całkowicie pogрузić w pracę? Nie mieć ani jednej wolnej chwili i pozwolić Cary'emu, by zajmował się wówczas czym tylko chce? Jestem taka zboląła, mamo! Odwaga i siła to dwie różne

rzeczy.

Te moje sny, mamó... Przez jakiś czas mnie przerażały, a potem wytłumaczyłam je sobie. Wiedziałam... po prostu wiedziałam, że chcesz mi coś powiedzieć... Nawet zadzwoniłam do Billie i powiedziałam jej... Próbuję ci po prostu podziękować. Znalazłam te papiery. Umówiłam się z Billie, że uzyska zgodę reszty rodziny. Uda nam się ten pian, czuję to w kościach!

Amelia ze zdumieniem spostrzegła, że się uśmiecha, że zrobiło jej się ciepło. Posłała pocałunek w stronę grobu matki.

– Wrócę tu, mamó. Może po to, żeby znowu pogadać z tobą, a może... żeby tu spocząć. Tak czy owak, czekaj na mnie!

Stare podbite barankiem okrycie, które miała od dziewiętnastego roku życia, zaczepiło o wystający kant grobu jej ojca. Amelia pociągnęła za nie i w swej niecierpliwości szarpnęła zbyt mocno. Odgłos rozdieranego materiału rozległ się jak grzmot. Amelia odwróciła się z oczyma pełnymi nienawiści, z pogardliwym grymasem ust.

– Zawsze wszystko niszczyłeś, stary awanturniku! Nawet teraz ci się to udaje! Ale cię w końcu pokonałam! Mama pomogła mi... i co ty na to? Nigdy mnie nie mogłeś znieść, a teraz, kiedy... Wszystko jedno, nie wart jesteś tego, żeby się przed tobą tłumaczyć! Sukinsynu! syknęła przez szal zakrywający jej usta.

Amelii wydawało się, gdy schodziła ze wzgórza, że słyszy szyderczy krzyk ojca: „Ty, dziwko!”. Wybuchnęła śmiechem.

Amelia po cichu otworzyła drzwi od mieszkania. Zdjęła buty i ustawiła je starannie na gumowej podstawce w szafie na korytarzu. Wymachując ramionami zrzuciła kurtkę i powiesiła ją na masywnym drewnianym wieszaku, który mógł utrzymać jej ciężar. Jutro zabierze okrycie do miasta i odda do naprawy.

Było już prawie ciemno. Mieszkanie wyglądało ponuro. Cary pewnie nadal spał. Po drodze do kuchni włączyła światło. Zupełnie jej nie w głowie było teraz jedzenie, ale przynajmniej zajmie się gotowaniem; może uda jej się wymyślić coś ciekawego, czego dotąd nie przyrządzała? Będzie się wówczas musiała skoncentrować na przepisie, a nie borykać ze swymi myślami.

Zawartość zamrażarki była mało zachęcająca. Paczki mrożonych naleśników i gofrów. Dietetyczna lasagna. Sześć opakowań „Pożywnych obiadów” Swansona i pasztet z indyka w puszkach.

Zepchnięty na sam tył dwudziestofuntowy udziec jagnięcy. Półki na drzwiczkach wypełniały różnego rodzaju jarzyny. Amelia zamknęła zamrażarkę z niesmakiem.

Lodówka okazała sienie lepsza. Pojemnik soku pomarańczowego, cztery jajka, pół bochenka chleba. Cztery paski boczku w zamkniętej torebce, pokryte maleńkimi, sinymi plamkami. W kąciku masło i dżem jagodowy tuliły się do dwóch słoików kiszonych ogórków. Najniższa półka była wypełniona puszkami jasnego piwa i pojemnikami chłodzonego wina kalifornijskiego. Amelia uznała, że musi zrobić listę niezbędnych wiktuałów i wysłać przychodzącą trzy razy w tygodniu sprzątaczkę po zakupy.

– Amelia! To ty, dziecinko? – zawołał Cary z salonu. Amelia wzięła głęboki oddech.

– We własnej osobie, kochanie.

– Wystraszyłaś mnie jak diabli! Jesteś tu i nagle, w jednej chwili, gdzieś znikasz! Gdzie się, do cholery, podziewałaś?! Zawsze zostawiasz jakąś kartkę – ciągnął oskarżycielskim tonem. – Spałem tylko dwadzieścia minut. Chciałem po prostu zmrużyć ślipia. Wiesz, jak mi spojówki wysychają w samolocie.

Ślipia? To chyba nowojorskie wyrażonko. Dwadzieścia minut? Wobec tego, dlaczego ma w dalszym ciągu na sobie tylko ręcznik kąpielowy? Gotowa była założyć się, że tacka stoi nietknięta tam, gdzie ją postawiła, a rzeczy Cary’ego także nie zostały rozpakowane. Nie darmo spędziła z nim tyle lat; doskonale orientowała się, że obudził się zaledwie kilku minut temu. Dlaczego tak ją prowokuje?

– Bardzo mi przykro, Cary. Byłam przekonana, że prześpisz całe popołudnie. Pojechałam do Sunbridge.

– O tej porze? Beze mnie?

Czyżby słyszała w głosie męża oburzenie?

– Nie przypuszczałam, że będziesz miał ochotę wybrać się na cmentarz od razu po powrocie do domu. Dlaczego się nie ubierzesz? Zrobię ci przez ten czas drinka. Posiedzimy sobie przy kominku. Możesz mi wierzyć, na dworze panuje niezły chłodek – prawdę mówiąc, znacznie więcej niż chłodek: dwadzieścia trzy stopnie Fahrenheita.

Cary wymaszerował z kuchni. Wyraźnie czekał, że Amelia podąży za nim. Zamiast tego poszła do salonu i dołożyła jeszcze jedno polano do ognia.

W sypialni Cary zerwał z siebie ręcznik, który poszybował w powietrzu i upadł w kącie obok sztucznego fikusa z jedwabiu.

Amelia wie o wszystkim! – pomyślał. – Niby o czym, na litość boską?! Nic złego nie zrobiłem! Co z tego, że kupiłem automatyczną sekretarkę? Przecież nic zostawiłem na niej żadnej wiadomości! W tym, że pocałowałem Julie, też nie było nic złego! Nic się przecież nie stało! – Ale miałeś ochotę, żeby się stało, przyznaj sam! – Wcale nie, kocham Amelię. Moje miejsce jest przy niej! – Cary rozejrzał się niespokojnie na wszystkie strony. Wzrok jego padł na tackę. Amelia pewnie starała się o to, żeby wszystko wyglądało apetycznie, ale teraz chleb wysechł, a pietruszka zwiędła. Na mleku zrobił się kożuch. Winogrona były dziwnie matowe, a brzoskwinia wyglądała jakby miała zaraz pęknąć. Nic dziwnego, cholera jasna! Musi tu być chyba z dziewięćdziesiąt stopni! Podskoczył w stronę termostatu. Niewiele się omylił, osiemdziesiąt dwa! Zmniejszył na siedemdziesiąt. Amelia będzie musiała włożyć sweter i już.

Jego rzeczy nie były rozpakowane. Amelia zawsze najpierw się do tego zabierała. Wrzucała to, co brudne, do kosza, wieszala garnitury i marynarki w szafie na korytarzu, żeby je oddać do pralni. Obuwie trafiało na prawidła i stawało w równym rzędzie wewnątrz jego szafy. Prezentów też nie obejrzała. Jezu, wie o wszystkim! Amelia była zupełnie jak dziecko, jeśli chodzi o prezenty. To jeden z wielu powodów, dla których tak ją kochał. Oczy jej błyszczały, śmiała się takim zaraźliwym śmiechem! Nagła myśl „Zadzwońię do Julie, poradzi mi, co mam robić!” sprawiła, że zrobiło mu się niedobrze.

Wrócił do domu, wlokąc za sobą cały ogon kłamstw. W, dodatku ciągle ich przybywało. Skłamał mówiąc, że spał tylko dwadzieścia minut. Obudził go zgrzyt klucza Amelii w zamku. Przeczekał kilka minut, żeby przekonać się, czy nie zajrzy do sypialni; leżał wsparty na poduszkach, z niesamowitą erekcją. Amelia nie otworzyła drzwi. Jezu, na pewno wie o wszystkim!

Ubrał się pospiesznie w wygodne dżinsy i stary żółty sweter, który – jak mówiła Amelia – budził w niej dziką ochotę, żeby się na niego rzucić. Darował sobie skarpetki i pantofle, wsunął tylko stopy w stare kapcie.

Wieczór spędzony w domu z żoną.

Pamiętaj, Cary, jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie, i zanim się zorientujesz, nie będziesz już w stanie wyplątać się z nich. Dotąd



twoje życie było cudowne. Stałeś na rozstajach. Spotkanie z Julie należy już do przeszłości, zapomnij o nim! Twoje małżeństwo zbyt jest udane, by je narażać. Pilnuj się, chłopie!

Amelia leżała zwinięta w kłębek na obszernej kozetce naprzeciw kominka. Na stojącym obok stole była tacka z dzbankiem gorącej czekolady i talerzem makaroników. Czy wspomniał coś o unikaniu słodczy? Jeśli nawet tak, nie pora teraz do tego wracać.

– Siądźmy na kanapie, złotko – poprosił Cary. – Nie mam ochoty przypalić sobie brwi od ognia. Masz rozgrzaną całą buzię. (Pocętkowaną czerwonymi plamkami. .. Skąd mu się wzięło takie określenie?!).

– Bardzo tu gorąco. Siądź dalej, ale pochyl się ku mnie, potrzymany się za ręce, kiedy będziesz opowiadał o całej podróży.

Cary nie nadawał się na aktora. Chociaż starał się mówić pogodnym tonem, czuł, że brzmi to sztucznie i nudno. Przez pół godziny głądził o ryzykownym przedsięwzięciu i o znajomych prawnikach. Potem zbył w kilku słowach chwile spędzone z Julie i zakończył wykrzyknikiem:

– Boże, zapomniałem ci wręczyć prezenty!

– Mamy cały wieczór przed sobą. Co chcesz na obiad? Zanim podejmiesz jakąś decyzję, lepiej zapoznaj się z zawartością lodówki. Możesz mi wierzyć, że czeka cię wielka różnorodność i trudny wybór! A jeśli masz ochotę na kuchnię orientalną, możemy zamówić jakąś chińską czy japońską potrawę. No i co?

– Krakersy z serem?

– Krakersy bez sera. Zużyłam resztkę na twoją kanapkę. (Tę, której nie tknąłeś! – miała ochotę dodać).

– Omlet?

– Jajecznica. Mamy cztery jajka.

– Grzanki i kawa? – – Mogą być z masłem i galaretką – dodała lekkim tonem Amelia.

– Uczta godna króla – zauważył równie lekko Cary.

– Teraz?

– Później. Chcę ci wręczyć prezenty. Obiecuj, że je należycie docenisz!

– Jak zawsze.

Uśmiech Amelii znikł, gdy tylko Cary wyszedł z pokoju. Zastanawiała się, czy Julie pomagała mu kupować prezenty? Od razu

będzie wiedziała, kto robił zakupy. Uśmiech pojawił się z powrotem, gdy Cary wrócił do pokoju z dwiema torbami od Bloomingdale'a, które pogniotły się w walizce.

– Od Bloomingdale'a, no no!

Cary przyglądał się Amelii, wydającej okrzyki zachwytu i gratulującej mu dobrego gustu przy każdym upominku. Kiedy przyszła kolej na nakręcaną zabawkę, rozchichotała się jak mała dziewczynka. Zsunęła się z kanapy na podłogę, śmiejąc się i bawiąc misiami.

– Podobają ci się prezenty, dziecinko? – spytał Cary.

– Cary, jestem wszystkim zachwycona, bo wiem, że o mnie myślałeś, chociaż wyjechałeś w interesach. Gdybyś mi przywiózł dwa zwykłe ołówki, też byłabym nimi zachwycona. – Miała nadzieję, że nie dosłyszał westchnienia ulgi, które jej się wyrwało, gdy zorientowała się, że sam załatwiał zakupy.

– Chodź no tu, mała! – powiedział Cary. Ucałował ją. Był to długi, prawie bolesny pocałunek, wymagający równie namiętnego odzewu. Całował niewątpliwie ją. Kiedy jednak usta jego stały się delikatne i nieśmiałe, Amelia zrozumiała, że miejsce jej zajęła Julie Kingsley.

Cary przez długi czas słuchał równego oddechu żony. Zazwyczaj po pieśczościach z nią spał jak niedźwiedź w zimie, ale nie dziś. Cholera, równie dobrze mógł wstać! I co niby robić? Włączenie radia lub telewizji natychmiast obudziłoby Amelię, a potrzebowała wypoczynku. Jasna, ciężka cholera! Jeżeli nie uda mu się zasnąć, będzie tak leżał i zacznie porównywać Amelię z Julie, i odwrotnie! Przynajmniej połowa jego problemu leży w tym – doszedł do wniosku – że zbyt długo był bez pracy!

Nie był przyzwyczajony do tego, żeby się obijać! Harował przez całe życie. Człowiek może popaść w lepsze tarapaty, kiedy sam nic nie robi, a jego żona się zamecza. Zastrane życie! Naprawdę uwierzył Amelii, kiedy mu obiecała, że po otwarciu Mirandy urządzi sobie długie wakacje. Nigdy jej o tym nie wspomniał, ale kupił dla nich obojga bilety na rejs dookoła świata. Myślał, że to będzie niespodzianka. No i miał niespodziankę! Ostrożnie przewrócił się, żeby nie zbudzić Amelii. Boksował miękką poduchę, aż przybrała kształt piłki, jak lubił. Dwadzieścia minut później nadał był całkowicie przytomny. Może powinien wymknąć się do salonu i poczytać? To takie spokojne zajęcie. O wiele za spokojne, do pioruna!

Może by się ubrać i wyjść na spacer? Świeże powietrze i w ogóle... Dobrze wiedział, że i tego nie zrobi.

Przypomniały mu się pierwsze projekty Mirandy. Znał na pamięć wszystkie szkice, pamiętał najdrobniejszą notatkę nabazgraną grubym żółtym ołówkiem. Koszt wszystkiego wyliczony co do grosza; zdawało mu się, że na oświetlonym księżycem suficie widzi cień tych wszystkich projektów. Może by tak zaprojektować drugą, mniejszą o połowę Mirandę, albo coś jeszcze mniejszego? Coś takiego małego nie będzie wymagało niczyjej pomocy, mógłby sam wszystko puścić w ruch. Tylko do czego właściwie zmierzał? Amelia coś mruknęła przez sen. Musi wstać z łóżka... i to już! Zsunął się na sam brzeg, poczekał chwilę, żeby przekonać się, czy nie zbudził żony. Jej oddech był nadal głęboki i równy.

W kuchni Cary zabrał się do przyrządzania czekolady na gorąco. Podgrzewając mleko bazgrał coś swoim prywatnym szyfrem. Amelia nigdy by tego nie odcyfrowała, nawet gdyby wpadło w jej ręce.

Po wypiciu czekolady Cary wymyślił i wypłukał filiżankę i garnek. Lepiej, żeby Amelia nie dowiedziała się o jego bezsenności. Wetknął notatki do kieszeni szlafroka. Zupełnie wystarczy, jeśli jutro zacznie zakładać kartotekę.

Po policzku Amelii spłynęła łza, gdy Cary z powrotem wsunął się do łóżka. Leżała bez ruchu, słuchając jego oddechu. Nadal nie spała, gdy zaczęło się rozjaśniać. Jej oczy były pełne miłości, ale bardzo smutne, kiedy patrzyła na śpiącego męża. Nie pozwoli sobie na rozmyślania o wczorajszej klęsce. Zaczyna się nowy dzień. Tylko od niej zależy, jaki będzie! Pocałunek, którym musnęła policzek męża, był ciepły i słodki.

– Tak bardzo cię kocham – szepnęła miękko.

## Rozdział dziewiąty

Diley szybko rozprawił się z lunchem i zażył dwie tabletki przeciw nieuchronnej niestrawności. Piekące bóle w żołądku zmusiły go do dbania o siebie. Doktor ostrzegł, że z wrzodami żołądka nie ma żartów! Wrzody w jego wieku! Jak tylko będzie mógł, zasięgnie opinii innego lekarza. Ograniczyć stresy! Łatwo powiedzieć!

W tym właśnie momencie był tak napięty, że wydawało mu się, iż zaraz trzaśnie. Pora zadzwonić do Sawyer. Było akurat południe, więc w Japonii jest północ.

Gdy w słuchawce rozległ się daleki głos Sawyer, Riley od razu przystąpił do rzeczy:

– Co z dziadkiem?

– Wczoraj się z nim widziałam. Czuje się tak samo jak w ubiegłym tygodniu, gdy telefonowałeś. Proszę cię, Rileyu, zadzwoń do niego! Po prostu zamień z nim kilka słów. On tak cierpliwie na to czeka.

– Wszyscy Japończycy umieją cierpliwie czekać – powiedział Riley bezbarwnym głosem.

– A jeśli nie chcesz telefonować, napisz – to będzie miało dla niego ogromne znaczenie. I nie wciskaj mi kitu, że nie jesteś w stanie tego zrobić! Nie siedzę tu po to, by odwalać za ciebie brudną robotę! Twoje postępowanie jest niewybaczalne, , sam dobrze wiesz! Nie chcę znowu słyszeć tego zwietrzałego bajdurzenia, że postępujesz tak, ponieważ nie możesz inaczej! Gówno prawda, wiesz o tym przecież, do cholery! Zachowuj się jak porządny Wnuk, a nie jak ostatni skurwysyn!

– Nic nie rozumiesz, Sawyer.

– Jeszcze jak cię rozumiem, psiakrew! Chciałbyś mieć wszystko naraz. Ale tego się nie da zrobić!

– Mój dziadek mnie rozumie. Czy wspomniałaś mu o moich telefonach?

– Nie – skłamała Sawyer. Nie była psychiatrą, ale miała z nimi tyle do czynienia, że bez trudu rozpoznawała, co kryje się za udęczonym głosem Riley'a. – Stary Pan nie zna reguł takiej bezwzględnej gry, w jaką go wciągasz. Nie zasługuje na podobne traktowanie, Rileyu!

– Myślisz, że o tym nie wiem? Dla mnie też nie jest to łatwe. Nie rozumiesz mentalności Japończyków, Sawyer.

– Wybacz mi, Riley san\* [San – japoński tytuł grzecznościowy, wyrażający szacunek, odpowiednik naszego „pan” lub „pani”. Tutaj oczywiście użyty ironicznie (przyp. tłum. )], ale sędzę, że to ty nie rozumiesz mentalności Japończyków. Dostyc na ten temat. Jak tam w Teksasie?

– Nie najlepiej. Kilka dni temu byliśmy z Cole'em u Adama. Wygląda na to, że twój stary przyjaciel podjął się czegoś, co przekracza jego możliwości. Jego pasierb to trudny dzieciak. Adam wziął sobie na kark małolata, który nawet nie jest mu za to wdzięczny.

– Adam jakoś sobie z tym poradzi. Takie sprawy wymagają czasu. Dzięki Bogu, Adam potrafi być bardzo cierpliwy. Pozdrów go ode mnie, jak się z nim spotkasz.

– W przyszłym tygodniu jadę do Rio; mówię to na wypadek, gdybyś chciała się ze mną skontaktować. Uważam, że warto utrzymać tamtejsze leasingi naftowe. W biurze załatwili mi już zakwaterowanie, więc gdybyś musiała ze mną pogadać, dadzą ci numer, pod którym mnie złapiesz.

– W porządku. Pamiętaj, nie wojuj z wiatrakami! Niedługo znowu pogadamy.

Riley odłożył słuchawkę. Ten żołądek całkiem go wykończy! Sięgnął do kieszeni po lekarstwo przepisane przez gastrologa. Zamiast jednej, zażył dwie pigułki. Cole pękłby chyba ze śmiechu, gdyby się dowiedział o tych wrzodach! A reszta rodziny wsadziłaby go w pierwszy samolot lecący do Japonii!

Riley wiedział, że nie nadeszła jeszcze właściwa chwila.

Telefon w waszyngtońskim mieszkaniu senatora zadzwonił cztery razy, zanim włączyła się automatyczna sekretarka oznajmiając, że państwo Kingsley wyjechali do Austin w Teksasie.

Maggie przyjęła tę informację ze zdumieniem. Co za lekkomyślność ze strony matki i Thada: zostawiać taką wiadomość! Dawali przez to do zrozumienia, że dom jest pusty, jeśli nie liczyć tego zwariowanego kota; chyba zresztą i jego oddali gdzieś na przechowanie. Prawdę mówiąc, było to akurat w stylu mamy! Zawsze pragnęła, by rodzina wiedziała, gdzie jej szukać.

Maggie nakręciła kolejny numer. Po trzecim dzwonku usłyszała głos matki.

– Maggie, jak miło, że dzwonicz! Czy próbowałaś skontaktować

się z nami w Waszyngtonie?

– Tak. Mamo, nie powinnaś zostawiać na sekretarce takich informacji. Co będzie, jeśli ktoś włamie się do waszego domu?

– Kochanie, mogą nam najwyżej coś ukraść, a jeżeli bardzo będzie im na tym zależało, zrobią to nawet wtedy, gdy będziemy na miejscu. Thad musi zawsze zostawiać numer, pod którym można się z nim skontaktować, a ja nie chcę, żeby któreś z was telefonowało i nie mogło mnie znaleźć.

Maggie powiedziała serdecznie:

– Potrzebuję twojego matkowania i twojej rady, mamo. W głosie Billie natychmiast ozwał się niepokój.

– Co się stało, Maggie? Chodzi o Randa, prawda?

– Tak, chodzi o Randa, chociaż nic mu nie dolega. To znaczy, nie rozchorował się ani nic w tym sensie.

– Więc co się stało, kochanie? Po głosie poznaję, że to coś poważnego. Maggie opowiedziała o tym, co zaszło w Japonii w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– Biedny Rand! Jak to musi go dręczyć! Jedyne, co możesz zrobić, kochanie, to być przy nim! Postaw się tylko na jego miejscu, Maggie, Kiedyś znajdowałaś się w podobnym położeniu.

– Mamo, nigdy nie wypierałam się Sawyer. To, co robiłam, było o całe niebo gorsze! Próbowałam to wyjaśnić Randowi, ale nie potrafię do niego dotrzeć. Przez cały czas siedzi pod małą czaszą i udaje, że drzemie. Nastęczała mu się okazja, by kupić plantację trzciny cukrowej w Hilo, ale chyba ją przepuści, bo nie odbiera telefonów. Siada do posiłków, ale nie ma pojęcia, co je. Mogłabym mu podać choćby *poi* jestem pewna, że nawet by tego nie zauważył, a wiesz przecież, że to święństwo smakuje całkiem jak klej!

– Najtrudniejsze jest wyczekiwanie – zauważyła Billie – i zawsze jakoś przypada w udziale kobietom. Może dlatego, że Bóg obdarzył nas cierpliwością, choć nie wszystkie mamy jej równie wiele – dodała łagodnie.

– Mogłabym wszystko za niego załatwić, mamo. Wynajęłabym prywatnego detektywa. Skontaktowałabym się z sierocińcem. I zrobię to, jeśli...

– Nie, Maggie, nie możesz tego zrobić To sprawa Randa.

– Jak długo może się zachowywać w ten sposób?!

– Dopóki sam nie dojdzie do wniosku, że nie zniesie dłużej tej

niepewności.

– Rand tak się zawsze upierał przy tym, że nie chce mieć dzieci!

– Może właśnie ta dziewczyna jest tego powodem? Jeżeli (mówię tylko jeżeli, nic więcej), otóż jeżeli Rand dał jej matce pieniądze na skrobankę, mogło to spowodować wewnętrzny uraz. Odebranie życia, zabicie dziecka, płodu, jak tam chcesz, wywołuje niekiedy taką reakcję. Osoba dająca pieniądze na ten cel ponosi jeszcze większą odpowiedzialność niż kobieta poddająca się zabiegowi. To wszystko tylko domysły, Maggie, a właściwie nie mamy do nich prawa. Wdzieramy się w najgłębsze tajniki myśli Randa i w jego najbardziej osobiste sprawy. Znalazł się w paskudnym dołku. Kiedy będzie w stanie wyciągnąć ku tobie rękę, chwycić ją i nie wypuszczaj z uścisku!

– Wiedziałam, że znajdziesz radę, mamó. Billie roześmiała się.

– Wyraziłam po prostu głośno twoje myśli, ale jeśli chcesz przypisać mi całą zasługę, nie mam nic przeciwko temu!

– Bardzo za wami tęsknię.

– Ja także tęsknię za tobą, kochanie. Żałuję, że nie mogę być teraz przy tobie. Wyjechałam z Waszyngtonu, gdzie leży z dziesięć cali śniegu, i dotarłam tutaj, gdzie jest go sześć cali. O niczym bardziej nie marzę niż o tym, by zanurzyć stopy w sześciu albo i więcej calach rozgrzanego piasku!

– Będiesz zawsze najmilszym gościem! Reszta rodziny też.

– W jakiej formie była Sawyer, kiedy się z nią widziałaś? Żadnych nawrotów choroby, prawda?

– Sawyer czuje się świetnie. Nie ma kłopotów ze zdrowiem. Mówi tylko, że bywa zmęczona, jak zarwie kilka nocy, no i ma od czasu do czasu kłopoty z pamięcią. Ale lekarze zapewniają ją, że to nic poważnego i że jest wyleczona. Regularnie odwiedza pana Hasegawę. Poszłam tam razem z nią. Mamó, rozplakałam się po tej wizycie. I odkryłam coś dziwnego, o czym przedtem nie wiedziałam... Dlaczego rodzicom trudno w to uwierzyć, kiedy dowiedzą się o swoim dziecku czegoś wyjątkowo dobrego?

Billie roześmiała się.

– Wszyscy boimy się rozczarowania, więc chronimy się w szczelny kokon. Kiedy usłyszymy coś naprawdę dobrego, powinniśmy się z niego wymotać. A co usłyszałaś na temat Cole' a?

– Skąd wiedziałaś, że chodzi o Cole' a? – dopytywała się Maggie.

– Bo o każdym ze swoich dzieci mówisz innym tonem. Oba są

pełne miłości, ale jeden jest wyraźnie przeznaczony dla Sawyer, a drugi dla Cole'a. Zauważyłam to już dawno temu. No, cóż takiego o nim usłyszałaś?

– Cole prowadzi regularną korespondencję z panem Hasegawą. Cole pisze do niego odręczne listy, a pan Hasegawą swoje dyktuje. Nie pozwolił mi ich przeczytać, tylko o nich powiedział. Myślę, że to ich wspólna tajemnica, bo rozmawiał o tym ze mną, a nie z Sawyer, więc nikomu o tym nie wspominaj, mammo! Pan Hasegawą powiedział, że Cole opowiada mu o wielu swoich sprawach. Byłam ogromnie zadowolona.

– Czy to nie cudownie, gdy nasze dzieci potrafią okazać dużo serca?

– No pewnie! Mammo, co ty właściwie robisz w Teksasie?

– Niepokoję się o losy Coleman Oil. I, wyobraź sobie, jestem tu także po to, żeby Tess Buckalew opracowała mój horoskop. Namówiłam grupkę żon senatorów, żeby też u niej zamówiły swoje horoskopy. Mam więc dobry pretekst, by się z nią spotkać. Uważam, że Buckalewowie za bardzo starają się zbliżyć do naszej rodziny. Chcę porozmawiać z Rileyem Cole'em. Zbyt wiele jest rodzin, których cały byt zależy od nas. Nie chciałabym, żeby coś zmieniło tę sytuację.

– I wobec tego spytasz gwiazd o radę? – Maggie parsknęła nerwowym śmiechem.

– W pewnym sensie. Ciekawam, co Tess będzie miała mi do powiedzenia. Może, jak to określa Thad, szczekam pod niewłaściwym drzewem, ale mam jakieś przeczucie... – Billie nie dokończyła swej myśli.

W normalnych warunkach Maggie ciągnęłaby dalej konwersację, ale dziś wszystkie jej myśli biegły w stronę męża.

– Zadzwoń do ciebie za dzień lub dwa, mammo. Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać!

– Maggie, kochana moja, jeżeli jest coś, co albo ja, albo Thad będziemy mogli dla ciebie zrobić, zadzwoń koniecznie! Zawsze jesteśmy z tobą. – Billie przez dłuższą chwilę siedziała ze słuchawką w rękę. Kiedyś wyobrażała sobie, jak wszyscy rodzice, że w miarę jak dzieci rosną, kłopoty z nimi maleją. Wcale tak nie jest, pomyślała ze smutkiem. Małe dzieci mały kłopot, duże dzieci duży kłopot.

– To nasze pierwsze zaproszenie na obiad i nie życzę sobie, żebyś



zaprzepaścił wszelkie szanse na otrzymanie dalszych’ – rzekł Adam. – Doszło do ciebie, Jeff?

– Aha stwierdził naburmuszony chłopiec.

– Zjesz w Sunbridge pyszny obiad. Jonquil gotuje obficie i smacznie. Obu nam przyda się porządny posiłek. Niech no ci się przyjrzę.

– Wyglądam jak stuknięty pedał – poskarżył się chłopak.

– Wyglądasz w sam raz. Właśnie tak jak każdy cholerny małolat powinien wyglądać.

– Ciekawe, kiedy ostatnio widziałeś małolata pod krawatem!

– Zawsze nosiłem taki sam, wążiutki. Jak był odpowiedni dla mnie, to wystarczy i dla ciebie. O co chodzi?

– O rany, przecież to było sto lat temu! Teraz mamy lata osiemdziesiąte! Dlaczego nie mogę się ubrać jak wszyscy? Ciągle powtarzasz, że mam się tu czuć jak w domu. Wyglądam jak przebieraniec!

– Mokasyny, porządne spodnie i zapięta pod szyję koszula to ma być strój przebierańca?

– Powtarzam ci od Bóg wie jak dawna, ale mnie nie słuchasz! Tylko różne dziadki, co chodzą w panamach i mieszkają pod równikiem, noszą takie ciuchy. Nawet nie wiem, z czego te portki są zrobione!

– Z tropiku. Sam je nosiłem w lecie – odparł Adam z pewnym wahaniem.

– No właśnie.

– To jak chciałbyś się ubrać? – spytał Adam, jakby sam tego dobrze nie wiedział.

– Jak zawsze. W to, co noszą inne małolaty. Dżinsy, koszulkę i adidasy. Adam skapitulował.

– W porządku. Przepraszam. Chciałem, żebyś porządnie wyglądał. Żeby moi znajomi widzieli, że o ciebie dbam. Umyłeś uszy?

Jeff zawołał przez ramię:

– Chcesz zobaczyć, czy nie sparszywiałem od tego mydła? Nie jestem flejtuchem! Umyłem też zęby i zmieniłem bieliznę.

Adam musiał przyznać, że chłopiec wyglądał jakoś normalniej, kiedy schodził z powrotem po schodach.

– I jeszcze coś. Zaklniesz choćby raz i skroję ci tyłek przy wszystkich! Masz być uprzejmy. Zachowywać się przyzwoicie.

Mówić: „tak, proszę pana” i „nie, proszę pana”, i podziękować Jonquil za obiad. Możesz poprosić, żeby ci dała coś do domu. Tylko nie waz się pisnąć, że ja cię do tego namawiałem! Pokazywałem ci, jak masz posługiwać się widelcem i jak rozłożyć serwetkę. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś.

– Rany Julek, przecież idziemy tylko do twoich kumpli! Guzik ich obchodzi, co robię albo jak wyglądam! O co tyle szumu?!

– Boja tak sobie życzę, do cholery! Musi ci wystarczyć. Rusz tyłek, idziemy do wozu. Nie wypada się spóźniać.

Weszli do Sunbridge kuchennymi drzwiami. Wielkie pomieszczenie było aż gęste od korzennej woni cynamonu. Adam wywrócił oczyma w kierunku Jonquil i udał się do biblioteki. Jeff został w kuchni; ojczym usłyszał jego pytanie:

– Co tak fajnie pachnie?

– Gdzieś podział swój cień? – zdziwił się Cole z szerokim uśmiechem.

– Został w kuchni, pewnie bierze lekcje gotowania. Minęła godzina, a Jeff nadal tkwił w kuchni.

– Może lepiej zobacz, co z nim poradził Riley.

Adam wrócił po minucie i skinął w milczeniu na Cole’a i Rileya, żeby szli za nim. Uchylił drzwi kuchenne na jakiś cal. Wszyscy trzej zajrzeli do środka i usłyszeli:

– Jak zmieszasz cukier z cynamonem i lekko posypiesz po wierzchu, to zrobi się taka ładna, brązowa skorupka. Możesz tak samo ozdobić francuskie grzanki. I jeśli będziesz wszystko robił według przepisu, pamiętaj użyć dziewięcio-, a nie ośmio-calowej patelni. No to ile masz już przepisów?

– Cztery. Z tym na francuskie grzanki pięć. Bardzo mi się podoba ten przepis na udziec jagnięcia. Morele z galaretką miętową.

– Masz – powiedziała Jonquil wręczając mu przepis ze swojego zbioru. – Znam go na pamięć, możesz sobie wziąć.

– O rany, Jonquil, dzięki! Mam ich w domu ponad sto pięćdziesiąt! Jeśli chcesz, to ci wszystkie pokażę. Niektóre wyglądają naprawdę fantastycznie! Tylko nic nie mów Adamowi, co? Jeszcze pomyśli, że mam świra.

– Dlaczego?

– Boja wiem? – Jeff wzruszył ramionami. – Chyba mnie wyśmiej albo co.

– Nie bój się, nie sypnę. Ani mru mru! – uspokoiła go z uśmiechem Jonquil. – Myślę, że dzisiejszy obiad będzie ci smakował.

Trzej spiskowcy wycofali się spod drzwi na paluszkach, tłumiąc śmiech, ale, gdy znaleźli się z powrotem w gabinecie, Riley i Cole zaczęli po prostu ryczeć.

– Więc. od początku chodziło o żarcie?! – zdumiewał się Adam.

– Mogę go zrozumieć, a ty nie, Riley? Przypalone hot dogi i niejadalny prażony bób Adama zmieniłyby każdego dzieciaka w potwora! Powiedział mi, że upiekłeś kiedyś bułeczki z cynamonem, które wystrzeliły na dwie stopy!

– To wszystko przez kuchenkę mikrofalową. Nie wiedziałem, że nie można ich do niej wkładać – tłumaczył się zmieszany Adam.

– Myślisz, że dzieciak trochę się zaaklimatyzował? – spytał go Riley.

– Jestem dobrej myśli, a jakże. – Adam machnął ręką. – Ja też muszę się wiele nauczyć. Kazałem mu przed przyjściem do was z wizytą ubrać się zupełnie idiotycznie. Na szczęście spytałem go, co jest nie tak, a Jeff mi to wyjaśnił.

Obiad był bardzo udany. Jeff docenił należycie każde danie, odpowiadał na wszystkie pytania dodając słowo „pan”, a nawet uhonorował Jonquil zwrotem „psze pani”. Kiedy wychodzili o dziewiątej, Jeff wyciągnął rękę, a Riley mocno ją uścisnął i po przyjacielsku zmierzwił chłopcu czuprynę.

– Zrobimy jeszcze z ciebie Teksańczyka! – Cole oświadczywszy to zauważył, że dzieciak zmaga się z chęcią odpowiedzenia mu zgoła niecenzuralnie.

Powiedział jednak w końcu:

– Tak, proszę pana – i Adam aż się rozpromienił z dumy. Kiedy wracali do domu, Adam oświadczył:

– Byłem dziś z ciebie naprawdę dumny!

Jeff zarumienił się w ciemności. Już miał się odszczeknąć, ale zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie ma na to ochoty. Kiedy Adam wyciągnął rękę i objął go, chłopcu zrobiło się przyjemnie. Następnego dnia, gdy Adam zszedł na dół, śniadanie już na niego czekało. Francuska grzanka pokryta warstwą cynamonu i cukru oraz cztery delikatnie przyrumienione kielbaski leżały na jego talerzu. W wysokiej szklance był sok dopiero co wyciśnięty z pomarańczy.

– O rany! – powiedział Adam z uznaniem.

- Lepsze niż te rzygliwe jajka, które zawsze przyrządzałeś, co?
- No cóż, Jeff, chyba lepsze. O której wstałeś, żeby to wszystko przygotować?
- Dwadzieścia minut wcześniej niż zwykle, i tyle.
- Wiesz, Jeff, nie miałem pojęcia, że umiesz gotować!
- W ogóle mało o mnie jeszcze wiesz – odparł Jeff z szerokim uśmiechem. – Ja zrobiłem śniadanie, więc ty zmywasz. Muszę lecieć, bo mi ucieknie autobus.

Adam siedział przez dłuższy czas przy nakrytym do śniadania stole. Cholernie smaczne jedzenie. Wiedział, że problem nie został całkiem rozwiązany, ale to już był jakiś początek!

Nalał sobie trzecią filiżankę kawy. Czekają go niemiłe obowiązki. Czy najpierw zrobić pranie, czy pozmywać naczynia? A może powinien posłać łóżka i posprzątać łazienki? Piętrzyła się cała sterta rzeczy do prasowania; no i trzeba kupić sporo żywności. Jezu, jak on nie znosił gospodarowania i zakupów! Ale (Bóg raczy wiedzieć dlaczego) nie miał nic przeciwko piłowaniu drewna! Był dumny z czterech sągów zgromadzonych na tyłach garażu. Gdyby tak miał jeszcze kominek!

Skończył kawę. Wiedział, na co ma ochotę: żadne tam zasrane sprzątanie! Prawie że pędem pognął do swej pracowni. Ołówek śmigał po papierze. Nieważne, czy opublikuje gdzieś to, co teraz rysował. Robił to dla własnej satysfakcji. To było coś; co naprawdę umiał!

Tess przeżywała męki niepewności, zaglądając do wnętrza swej ogromnej szafy. Co włożyć na lunch z Billie Kingsley? To coś w kolorowe paski? Kaftan? Doszła do wniosku, że jest zanadto pretensjonalny. Na pewno nie kostium ani bluzkę ze spódnicą. Zbyt urzędowy strój jak na środek dnia. Jej chude palce przesuwają obite materiałem, pachnące wieszaki. Włoży suknię, prostą, ale elegancką. Najlepiej coś nie rzucającego się w oczy. Wybrała w końcu wełnianą suknię w kolorze złamanej zieleni z paskiem ze skórzanej plecionki. Miało to być przecież spotkanie w interesach. Billie zwraca się do niej jako klientka, a ona sama otrzyma wynagrodzenie za swoje usługi. Dziesięć horoskopów po pięćset dolarów sztuka przyniesie całkiem okrągłą sumkę. Wystarczy przynajmniej na opłacenie rachunków za prąd, gaz i wodę, nad którymi Coots labiedził od rana do nocy.

Tess ani rusz nie mogła odgadnąć, dlaczego Billie Kingsley akurat

teraz zdecydowała się na zamówienie horoskopu. Musiała mieć jakiś ukryty motyw. Tess nie była głupia, choć Coots codziennie jej to wmawiał. Billie zachowywała się zawsze uprzejmie, tak jak wszyscy Colemanowie, ale tym razem Tess po raz pierwszy dostrzegła pewien ton... koleżeństwa. W porównaniu z Buckalewami Colemanowie należeli do „starej arystokracji”, przepaść między nimi była więc ogromna. Ona i Coots mieli tylko forszę, albo raczej już jej nie mieli, o czym się dowiedziała dziś rano.

Jak szybko te cholerne snoby, Colemanowie, zapomnieli, że stary Seth nabił sobie kabzę wierząc nowe szyby całkiem jak Coots. Też znał się tylko na jednym – poszukiwaniu ropy. Żadnych tam szerokich horyzontów. Klapki na oczach. Ograniczony pod każdym względem. Kropka w kropkę jak jej mąż!

Coots tylko się roześmiał, gdy mu powiedziała, że Billie chce zamówić u niej horoskopy dla swoich znajomych z Waszyngtonu.

– Robi sobie kpiny z ciebie i tego twojego hokuspokus, a ty jesteś za głupia, żeby się na tym poznać! Jak wróci do Waszyngtonu, to ona i jej przyjaciółki będą sobie boki zrywać twoim kosztem! Przemyśl to sobie!

No i przemyślała. Billie Coleman może ją ośmieszyć tylko wtedy, gdy ona sama jej się podłoży.

Zapowiedziana wizyta głowy rodu Colemanów mogła mieć bardzo wiele różnych podtekstów. Tess leżała przez całą noc bezsennie, starając się dociec, o co właściwie chodzi. Najpierw pomyślała oczywiście o Lacey. Córka zerwała z Cole'em, potem się związała z Rileyem. Colemanowie musieli poważnie zastanawiać się nad tą sprawą. Riley zarządzał przedsiębiorstwem Colemanów w zakresie hodowli bydła i wydobywania ropy. Od jego starań zależała ich fortuna, dobrze o tym wiedzieli. Tess gotowa była założyć się o swój ulubiony naszyjnik z pereł, że to Coots jakoś sterował postępowaniem Lacey. Czuła to przez skórę. Coots stawiał na pewniaki, a jego zdaniem ten żółtek do nich należał. Coots wiedział, jak robić forszę na ropie. Nie znał się na takich skomplikowanych sprawach jak lotnictwo czy elektronika, nigdy nie zdołał wbić sobie tego do łba, że to wszystko było ze sobą powiązane.

Tess zajęła się swoimi rzadkimi włosami. Były przesuszone i łamliwe od zbyt częstego rozjaśniania i tapirowania. Coots mówił, że są jak puste wronie gniazdo. Tess prychnęła i wyszczerzyła zęby do

lustra. Błyszczące porcelanowe korony zaśniły w świetle lampy. Skrzywiła się. Za te pieniądze, które musiała za nie zapłacić, można by było pokryć rachunki za zużycie gazu, wody i elektryczności w Buckalew Big Wells przez dobre kilka lat. Zresztą, nie przejmowała się tym specjalnie. Trzeba dbać o pozory. A poza tym miała swoje oszczędności, pieniądze, które jeszcze przed ślubem stanowiły jej własność, nietknięte z wyjątkiem tego, co musiała wydać na opłaty hipoteczne. Po raz pierwszy w czasie małżeństwa sięgnęła do . tych oszczędności. Ostatni wypis z konta upewnił ją, że ma prawie ćwierć miliona. I były to wyłącznie jej pieniądze. Tylko jej. W spadku po tatusiu.

Ostatnio często jej się śniło, że jest bezdomna. Noc w noc wędrowała po ulicach z torbami (takimi od Neimana-Marcusa), a Coots ją gonił i starał się wydrzeć.

Tess po raz ostatni przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Billie Kingsley nie będzie miała dzisiaj do czego się przyczepić, jeśli chodzi o suknię. Dzięki Bogu, miała świeżo pomalowane sztuczne paznokcie. Kolor był dyskretny, więc ich długość nie rzucała się specjalnie w oczy. Coots ryczał ze śmiechu, kiedy je po raz pierwszy zobaczył, i dopytywał się, jak też Tess wytrze sobie teraz dupę?! Był taki cholernie ordynarny! Przecież wszyscy nosili podobne paznokcie, więc czemu ona nie miałaby ich mieć? Cootsa zatkało, kiedy mu powiedziała, że jeden paznokieć kosztuje dziesięć dolarów, a cotygodniowe umocowywanie ich – dwadzieścia pięć. Była w siódmym niebie, kiedy Coots siniał z wściekłości, bo udało się jej przechytrzyć go. Pomyślała przelotnie, że w gruncie rzeczy chyba nienawidzi swego męża.

Zostało jeszcze około dziesięciu minut do przybycia Billie. Zdaży się uperfumować i wybierze odpowiedni pierścionek.

W łazience panował nieprawdopodobny bałagan. Mokre ręczniki i zalana mata poniewierały się w kącie. Lustro w pozłacanej ramie było powalane tuszem. Kolorowe grudki pasty do zębów przylgnęły do toalety. Spinki do włosów poniewierały się w umywalce, a dwie z nich nawet w sedesie. Na powierzchni lustra zastygł lakier do włosów i utrwalił na amen czarne smugi tuszu. Nadanie Tess przyzwoitego wyglądu wymagało wiele zachodu!

Tess wyszła z obrzydliwej łazienki wiedząc, że kiedy tu wróci, wszystko będzie znowu wysprzątane i czyściutkie.

Coots nie znosił tej łazienki. Wrzeszczał i wściekał się przez kilka dni, gdy Tess kazała zainstalować w niej bidet. Nazywał go „pizdetem” i zaklinał się, że prędzej wszyscy święci przemaszerują przez główną aleję w Buckalew Big Wells, niż on będzie mył dupę w tym połączonym świństwie!

– Potrafisz tylko puszczać moją forszę z wodą! – darł się. Tess śmiała się, Cootsowi, który nie miał za grosz poczucia humoru, prawie udał się dowcip!

Uśmiechała się, wkładając na palec pierścionek z czerokaratowym brylantem. Był to prezent od Cootsa, który sama sobie wybrała, rekompensata po jego ostatnim skoku w bok. Tworzące komplet z pierścionkiem kolczyki znajdowały się w depozycie. Kolejny prezent od męża, tym razem po dwumiesięcznej przygodzie Cootsa z puszczalską kelnerką z Crystal City.

Tess uniosła wysoko głowę, jej chuda szyja zatrzęsała się jak u indyka. Była wierną żoną. Mężczyźni to bydlaki. Jak chcą porozrabiać, niech za to płacą!

Pantofle z jaszczurki, pasujące do paska ze skórzanej plecionki, będą idealnym uzupełnieniem jej toalety. Tess pomyślała, że wygląda jak prawdziwa dama. Na pewno zrobi to wrażenie na Billie Kingsley.

Zjedzą lunch w pokoju śniadaniowym. Tess spędziła kilka godzin obmyślając, którego serwisu użyć i jakie ma być menu; w końcu zdecydowała się na porcelanową zastawę od Lenoxa, zarówno do sałatki z krewetek, jak i czekoladowego ciasta. Przepis na nie dostała od swojej matki i nie zdradziłaby go nikomu za żadne skarby! Pęk świeżych tulipanów przybranych paprotką i gipsówką, stojący na środku stołu, stanowił doskonały efekt końcowy. Wszystko było teraz w sam raz. Gdyby przyjmowała którąś ze swoich przyjaciółek, wyjęłaby talerze ze złotym brzeżkiem, połączone srebrne sztuce i frymuśny obrus sprowadzony z Belgii. Taka piękna koronka! Na środek stołu zamówiłaby rzeźbę z lodu. Ten skromny dzisiejszy lunch był jej zdaniem prawie dziadowski. Tyle że nie chodziło o jej zdanie, ile o opinię Billie Kingsley.

Tess przyznała w duchu, że Billie jest piękną kobietą. Żoną senatora w każdym calu. Jej miękkie siwe włosy były starannie wypielegnowane, choć fryzura nie rzucała się w oczy. Makijaż Billie był bardzo dyskretny: nie musiała ratować się wieloma kosmetykami. Prawie nie miała zmarszczek z wyjątkiem delikatnych kresek koło

oczu. Były one dowodem nie wieku, lecz pogodnego charakteru i wesołego usposobienia. Nie miała na sobie biżuterii, jedynie małe perełki w uszach. Ich różowy odcień zdradził Tess, że perły są prawdziwe. Dziś Billie ubrała się w prostą sukienkę z granatowej wełny z dobraną do niej apaszką. Tess po prostu zatkało na jej widok; była ona prawdziwym dziełem sztuki, musiała kosztować majątek! Billie nosiła ją tak, jakby została specjalnie dla niej zaprojektowana (nawiasem mówiąc, tak było istotnie).

Obie panie delikatnie dotknęły się nawzajem policzkami. Tess zaczęła paplać na temat mrozu i zachwyciła się futrem z kojotów, które miała na sobie Billie. Billie odplaciła komplementem za komplement podążając za gospodynią do pokoju śniadaniowego.

– Jakże tu ładnie, Tess! Ubóstwiam słońce! Gdybym miała takie okna, siedziałabym przy nich od rana do nocy. Jesteśmy już w tym wieku, kiedy słońce i ciepło stają się niezbędne.

Tess przytaknęła, choć w duchu miała gościowi za złe wzmiankę o „ich wieku”. Była przynajmniej o dziesięć lat młodsza od Billie Coleman!

Billie usiadła. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała, ale ten miły pokój i skromny lunch były dla niej zaskoczeniem. I sama Tess wyglądała prawie normalnie! Nigdy się ze sobą nie przyjaźniły, rzecz jasna, ale czasami pracowały w tych samych komitetach. Tess zawsze była krzykliwą efekciarką, a jej zachowanie bywało żenujące dla otoczenia. Billie zdała sobie sprawę, że Tess patrzy na nią podejrzliwie. Nie spuszczała z niej wzroku: Billie zrozumiała, że ona w napięciu czeka, co też się wydarzy. Orientowała się przecież, że damy takie jak Billie Kingsley nie wpadają ot tak sobie do kobiet jej pokroju po to tylko, żeby zamówić horoskop.

Billie skosztowała czekoladowego placka.

– Przepyszny, Tess! – Był to komplement płynący wprost z serca, ale wyraz oczu Tess nie uległ zmianie. – Bardzo bym chciała dostać przepis, jeśli mogłabyś mi go dać.

Bardzo proszę. Przyślę ci go na pewno. (Akurat! Już ci zdradzę nasz sekret rodzinny!).

Billie nie była pierwszą osobą, która o ten przepis prosiła. Podobnie jak jej poprzedniczki dostanie przepis zamieszczony w książce kucharskiej Amelii Earhardt\* [Popularna w Ameryce Północnej książka kucharska opublikowana pod nazwiskiem Amelii



Earhardt, słynnej kobiety pilota, która zginęła w 1937 roku podczas próby lotu dookoła świata (przyp. tłum)] I tak nie pozna, że to coś całkiem innego, a jeśli nawet dostrzeże różnice, po prostu pomyśli, że ona sama w czymś się pomyliła.

– Czy chciałabyś, Tess, żebym ci pomogła przy organizowaniu przyjęcia zaręczynowego?

– O Boże, skądże znowu, Billie! Świetnie sobie ze wszystkim poradzę. Mamy jeszcze dobre dwa miesiące, więc czasu aż za dużo. Ale wielkie dzięki za dobre chęci! – dodała mimochodem. Jasne, Billie nie zaoferowała się, że pokryje połowę kosztów. Pomoc tego rodzaju naprawdę by się przydała!

– Jeżeli zmienisz zdanie, zadzwoń do mnie. Jak się miewa Lacey?

– Po prostu świetnie. Cóż, zakochana! Wiesz przecież, jak to jest, kiedy się dziewczyna zakocha; szkoda tylko, że Riley jest taki zaganiany.

– Chyba każdy nafciarz w Teksasie jest ostatnio nieprzytomnie zajęty – zauważyła Billie, kończąc swoją porcję ciasta. – Po prostu dzieją się tu straszne rzeczy. A jak wy sobie radzicie z Oakesem? (Za żadne skarby nie nazwałaby męża Tess jego przezwoiskiem!). Riley powiedział mi, że twój mąż przerwał wiercenia. Czy to było rozsądne, Tess?

A więc chodziło o interesy, a nie sprawy sercowe! Nie tylko o Lacey!

– Rozsądne czy nie, ale to zrobił. Riley nie poinformował go na temat EOR, zanim Coots przerwał wiercenia. Nawet nie wiem, czy dałoby się z tym teraz coś zrobić, czy nie.

Tess doszła do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli ona i Coots będą mówili na ten temat. Wszyscy w Austin i tak już wiedzieli o przerwaniu wierceń. No i o tym, że ten japoński smarkacz odradzał to Cootsowi. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Coots jest przyparty do muru. Błagał Rileya, żeby przejął jego leasingi naftowe, ale ten odmówił. Gdyby Riley wyraził zgodę, same tylko kontakty z Colemanami sprawiłyby, że pozycja Cootsa stałaby się lepsza: uwierzono by, że nie całkiem się jeszcze skończył. Ale Riley nie dał się namówić, a Lacey nie potrafiła czynić cudów, choć na to właśnie liczył jej ojciec! Ten zółtek nie był głupi! Tess posunęła się nawet dalej w swoich przewidywaniach: przyznała, co prawda tylko przed samą sobą, że do zaręczyn i wesela też pewnie w końcu nie dojdzie.

Wszystko sprzysięgło się przeciw Cootsowi! Najpierw nie udało mu się kupić rancza Jarvisów, a potem zawiódł się na Rileyu. Nawet rodzona córka mu nie pomogła.

– Zlituj się, Billie! – Tess usiłowała mówić lekkim tonem. – Nie znam się ani trochę na ropie! Wiem tylko, że jest nam wszystkim potrzebna. To męskie sprawy. Nie powinniśmy rozmawiać o czymś, o czym nie mamy pojęcia! Ty też się na tym nie znasz, prawda? – spytała ostro.

Billie pomyślała, że Tess wygląda jak wygłodzona stara kocica.

– Orientuję się na tyle, żeby wiedzieć, że znaleźliśmy się wszyscy w wielkim kłopotcie. Jeżeli nie dotyczy to Oakesa, bardzo się cieszę. Słyszałam, że kazał dokonać specjalnych badań geologicznych na terenie Jarvisa. To chyba jedyne ranczo w Teksasie, na którym nie ma ropy. Biedny Adam!

– O, ropa tam była! – wyrwało się Tess. Natychmiast tego pożałowała, widząc zainteresowanie w oczach Billie.

– Adam powiedział mi, że nie była ani śladu. Musiałam go widać źle zrozumieć.

Ponieważ już się wygadała, należało brnąć dalej.

– Ja słyszałam, że to Adam nie wyraził zgody na sprzedaż terenów naftowych. Był gotów oddać ziemię, lecz zachować leasingi. Nikt nie zgodziłby się na taki układ, Coots oczywiście także nie – broniła męża.

Billie skinęła głową na znak, że się z nią zgadza i zmieniła temat.

– Gdzie macie zamiar urządzić przyjęcie zaręczynowe? – spytała z ożywieniem.

– Oczywiście w Mirandzie. – Tess westchnęła głęboko. – Czy Riley nie wspomniał, gdzie zamieszkają po ślubie? Lacey mówi o tym tak wymijająco, że mam czasem ochotę mocno nią potrząsnąć!

– Przypuszczam, że w Sunbridge. Maggie wspominała coś o tym, że Cole przeniesie się do apartamentu w Mirandzie, ale nie powtarzaj tego, bo nie jestem całkiem pewna.

– Boże wielki! – Tess uśmiechnęła się szeroko, ukazując pełny zestaw porcelanowych koron. – Będzie panią na Sunbridge, tak jak niegdyś ty! Fortuna kołem się toczy, no nie?

Billie starała się ukryć swój uśmiech. Stary Seth pewnie przewraca się w grobie, jeśli to słyszy!

– Jestem pewna, że Lacey świetnie sobie poradzi – powiedziała

serdecznie – a w Sunbridge przyda się kobieca ręka i trochę świeżej krwi.

– Kto by pomyślał, że dojdzie do połączenia Sunbridge i Buckalew Big Wells! – w głosie Tess brzmiał zbożny podziw.

Na pewno nie ja – miała ochotę powiedzieć Billie. Zamiast tego zaczęła grzebać w torebce szukając kartki, na której zapisane były nazwiska żon senatorów i daty ich urodzenia. Podała notatkę Tess.

– Jak wyglądają teraz kontakty Oakesa z Rileyem?

Tess odparła z roztargnieniem, wpatrzona w podaną jej kartkę.

– Nie tak dobrze jak dawniej. Coots najwyraźniej czymś się gryzie i odbija to sobie na wszystkich. A Riley nie ma zamiaru pozwolić mu na takie traktowanie. Spodziewam się jednak, że kiedy pobiorą się z Lacey, Riley okaże należny szacunek swojemu teściowi.

– Wiesz, o co im poszło? Riley jest zawsze tak pełen względów dla innych!

– Hmm. Trzy Panny. Nie lubię opracowywać horoskopów dla osób spod tego znaku. To chyba najgorszy znak Zodiaku. Riley jest młody, jakoś się z tym pogodzi.

Billie aż podskoczyła.

– Z czym się pogodzi, Tess?

– No... ze wszystkim, cokolwiek by to było. Boże wielki, Billie, przesłuchujesz mnie czy co?! Wiem tylko, że Riley kiedyś zasięgał opinii Cootsa w każdej sprawie, ale potem coś się popsuło. Powiedzmy sobie otwarcie: mój mąż zna się na ropie o wiele lepiej niż ten młokos! Jeżeli Riley popełnił jakieś błędy, może o to mieć pretensję tylko do siebie! Jestem zresztą pewna, że wszystko naprawi. Świat nie zawali się od tego, prawda, Billie?

– Myślę, że to zależy od skali popełnionych omyłek. Dla wielu rodzin Coleman Oil stanowi podstawę egzystencji.

– Zdaje mi się, że przekazałaś kierownictwo Coleman Oil Rileyowi, bo uważałaś, że się do tego nadaje. Czyżbyś sądziła, że popełniłaś omyłkę?

– Wcale tego nie twierdzę. Ale mam zamiar porozmawiać z Rileyem dziś wieczorem. I ja, i pozostali członkowie rodziny musimy wiedzieć, na czym stoimy i jak się przedstawia obecna sytuacja.

– Nie martwiłabym się o to na twoim miejscu, Billie. Tych dwóch chłopaków to istny dynamit! Cole umie podejmować decyzje, a Riley zna się na rzeczy. Są jeszcze młodzi i niedoświadczeni, ale to długo

nie potrwa.

Billie najeżyła siew duchu.

– To już nie chłopcy, Tess. Prawdę mówiąc, mają duże doświadczenie, więc nie mogę się zgodzić z tym, co twierdzisz. I mam do nich obu zaufanie.

Tess złożyła trzymaną w rękę kartkę. Pochyliła się przez stół.

– Więc po co tu przysłaś, Billie?

Billie czuła, że padnie to pytanie. Tess Buckalew nie była idiotką.

– Ależ po horoskopy, rzecz jasna! Zawiadom mnie, kiedy będą gotowe. Jeśli chcesz, zapłacę ci za nie od ręki.

– Wystarczy wtedy, gdy je opracuję. Jutro się do tego zabiorę. – Świdrowała Billie oczyma.

– Będę ci bardzo wdzięczna, Tess. Wiem, że masz dużo zamówień, a poza tym wiele innych zajęć! Ale to może być dla ciebie dobra reklama. Moje znajome polecą cię swoim przyjaciółkom. Tego rodzaju interesy rosną lawinowo. No, pora się zbierać. Lunch był naprawdę wyborny.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Billie. Kiedy następnym razem zjawisz siew Sunbridge, musimy to powtórzyć.

Tess siedziała w pokoju śniadaniowym długo po odejściu Billie. Dałaby sobie rękę uciąć, żeby mieć taką klasę jak ona! Zazdrość to paskudna choroba! W głębi duszy wiedziała, że nigdy nie dorośnie do poziomu Colemanów. Buckalew Big Walls nie dorównają Sunbridge. Coots i ona sama byli prostakami i tego się, niestety, nie da ukryć. Ale jeśli Lacey wejdzie do rodziny Colemanów, sytuacja ulegnie zmianie. Pod warunkiem, że Lacey nie pokpi sprawy. I jeśli Coots będzie się zachowywał jak należy. Akurat można na to liczyć! – pomyślała zgryźliwie.

Jonquil Doolittle, dochodząca gosposia Riley'a i Cole'a, przyrządziła wyśmienity obiad. Oczy Thada rozszerzyły się radosnym zdumieniem, gdy podała wielki udziec jagnięcy. Było to jego ulubione danie, nie licząc typowej jankeskiej grochówki. Billie zastanawiała się, gdzie Jonquil o tej porze roku zdobyła świeżutki zielony groszek i perłowo białe kartofelki. W stojącej obok salaterce piętrzyła się czerwonoziłota marchewka, przybrana siekanymi migdałami i świeżą natką. Była to potrawa, za którą przepadał Cole; poza tym wyglądała tak efektownie i smakowicie, że dosłownie ślinka napływała do ust.

Na widok lekkich, puszystych biszkoptów z masłem, wyglądającym, jakby je dopiero co wydobyto z maselnicy, Riley aż jęknął z zachwytu. Dwa rodzaje ciasta z owocami: bananowe i truskawkowo-rabarbarowe stały na kredensie.

Nie był to pierwszy lepszy obiad w Sunbridge i wszyscy siedzący przy stole wyraźnie zdawali sobie z tego sprawę. Nastąpią po nim pytania i dyskusja. Billie dałaby nie wiem co, byle z twarzy Riley'a zniknęło napięcie i obawa. Thad jak zawsze pośpieszył na ratunek i raczył wszystkich opowieściami o tym, co się dzieje w Waszyngtonie.

Kiedy Jonquil odniosła resztę talerzy do kuchni, Billie skinęła głową, dając mężowi znak, by poszedł na spacer.

Riley wciągnął szycę w ramiona, a w jego oczach błysnął niepokój. Cole zapalił papierosa, co mu się rzadko zdarzało, a już nigdy przy stole.

Rileyowi wszystko dosłownie wywracało się w brzuchu, gdy przechodził wraz z babką i Cole'em do salonu. Nadeszła chwila obrachunku. Był rad, że może liczyć na wsparcie Cole'a, że kuzyn siądzie przy nim, gdy będzie zdawał sprawozdanie ze sposobu zarządzania Coleman Oil. Riley nie bał się gniewu babki. Kurcze w żołądku spowodowane były obawą, że w jej oczach ujrzy rozczarowanie. Przełknął z trudem ślinę.

Billie położyła dłonie na ramionach Riley'a. Jakże nieszczęśliwie wyglądał! Spojrzała na Cole'a – i on nie przedstawiał się lepiej. Czyżby uważali ją za potwora? Co też myśleli o niej ci przystojni, inteligentni wnukowie? Prawdopodobnie sądzili, że zjawiała się tu, by wziąć ich w obroty, krytykować, obwiniać... Musi sprawić, by ten ponury wyraz zniknął z ich twarzy. Powinni znaleźć w niej oparcie, byli przecież rodziną, a w rodzinie nie zrzucą się nawzajem na siebie win!

– Na litość boską, czy nie moglibyście obaj choć trochę się rozpogodzić? Chcę tylko dowiedzieć się, co się dzieje. Kto mi o tym powie? – spytała lekkim tonem.

Riley wyprostował się i nabrał powietrza głęboko w płuca.

– To ja za wszystko ponoszę odpowiedzialność, więc ja to wyjaśnię – odezwał się zdławionym głosem.

– Nie słuchaj go, babciu! Jeszcze być uwierzyła, że wyłącznie z winy Riley'a OPEC obniżył ceny ropy do ośmiu dolarów za baryłkę! On ciągle się oskarża bezpodstawnie – powiedział gwałtownie Cole.

– To ja prognozowałem nasze zyski, kiedy cena baryłki wynosiła trzydzieści dolarów i ja zabezpieczyłem je na drodze wymiany towarowej, ale nie wystarczająco. Myślałem, że cena ropy utrzyma się, ale tak sienie stało.

– Posłuchaj, babciu! – ciągnął błagalnie Cole. – Inne przedsiębiorstwa naftowe, nawet większe od naszego, w ogóle sienie zabezpieczyły. Większość małych przedsiębiorstw, takich jak Cootsa, też o to nie zadbała. Riley przynajmniej robił co mógł, żeby nas uratować. To, co się stało, nie jest jego winą!

Riley nie zwrócił uwagi na słowa kuzyna.

– Zdobyłem leasingi na inne szyby; myślałem, że będą produkować ropę w cenie trzydziestu dolarów. Wydałem dziesięć milionów za prawa eksploatacji złóż mineralnych. Drugie dziesięć milionów poszło na opłacenie siły roboczej i materiałów. Oceniałem, że osiągniemy zysk w wysokości trzydziestu milionów dolarów. Kiedy cena ropy spadła, znalazłem się z ręką w nocniku. Wypożyczyłem też sprzęt za pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Podpisałem umowy roczne z obsługującymi go robotnikami. Zarabiają trzydzieści kawałków na godzinę. Wynająłem usługi pięciu geologów za tysiąc dolarów od godziny. Wszystko na podstawie ważnych kontraktów. Musiałem za to zapłacić i płacę nadal. Trzeba dotrzymać tych umów. Forsa płynie jak woda. Ani mi się śniło, że ceny ropy mogą polecieć w dół. Włożyliśmy pieniądze w grunty, zabudowania administracyjne, masę innych inwestycji, licząc na przewidywany przeze mnie zysk. Moje działania w ramach EOR są nadal w fazie eksperymentalnej, ale to przynajmniej coś, co działa na naszą korzyść. Metoda, wykorzystująca ostatnie osiągnięcia techniczne, pozwala na wzmożone wydobycie ropy. – Głos Riley'a pełen bólu załamywał się.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, babciu – powiedział z całym przekonaniem Cole. – Lepiej będzie, jeśli się dowiesz, że i Coleman Aviation przechodzi podobny kryzys. Większość zamówień na nasze samoloty, a przynajmniej duża ich część, pochodziła od producentów ropy naftowej. Zamówienia zostały odwołane, a my znaleźliśmy się na lodzie. Coleman Aviation także może zbankrutować.

– Byłem zbyt pewny siebie, brakowało mi doświadczenia. Powinienem przewidzieć, co się stanie, postarać się o lepsze zabezpieczenie – powiedział żałośnie Riley.

– Jak to jeszcze raz powtórzysz, dam ci w łeb! – zagrział Cole. – Nic nie mogłeś na to poradzić! Chyba że potrafisz czytać w myślach albo masz wtyczkę w OPEC! Powiedz mu, babciu, że mam rację! – zaklinał ją Cole.

– Cole ma słuszość, Rileyu. Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że ktokolwiek z rodziny będzie cię obwiniał? Odpowiedz mi! – powiedziała łagodnie Billie.

– Zawiodłem was. Pożyczyłem w dodatku półtora miliona dolarów Cootsowi Buckalewowi, żeby nie poszedł na dno. Człowiek haruje przez całe życie, a potem zdycha, bo banki nie chcą mu pomóc. Musiałem go ratować!

– Oczywiście, że tak. Postąpiłabym tak samo. I każdy z nas. Jesteśmy przecież ludźmi, a nie maszynami do robienia interesów. Myślę, że zapominasz o tym, Rileyu. O ludziach, o rodzinie. W tej trudnej chwili tworzymy wspólny front.

Cole uśmiechnął się szeroko.

– Cieszę się, że mamy w rodzinie kogoś rozsądnego! Od miesiący powtarzałem to Rileyowi słowo w słowo, ale mi nie wierzył. Dzięki, babciu!

– Chyba powinniśmy napić się brandy i kawy, i to właśnie w tej kolejności – oświadczyła Billie. – A potem chciałabym dowiedzieć się o tych leasingach naftowych w Ameryce Południowej. Rileyu, nie znałeś swego pradziadka Setha, ale ja go znałam. Chciałabym, żebyś uwierzył w to, co ci powiem: z pewnością nie byłby tobą rozczarowany! – Billie modliła się do Boga, żeby Bóg wybaczył jej to kłamstwo. Gdyby Seth żył, wykończyłby swego prawnuka i wdeptał go w ziemię!

Riley skrzywił się.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć, ale ponieważ ty mi to mówisz, babciu, spróbuję! Pójdę po brandy.

Cole spojrział na babkę i uśmiechnął się krzywo.

– No więc skłamałam, i co z tego? Każdy z nas czasem jest do tego zmuszony – szepnęła Billie. Cole pochylił się, żeby zawiązać sznurowadło, a w gruncie rzeczy, żeby ukryć uśmiech.

Godzinę później Billie wchodziła po wysokich, krętych schodach w towarzystwie swych wnuków Ucałowała mocno ich obu, żegnając się przy drzwiach swego pokoju.

– Tkwimy w tym wszyscy razem, nie wolno wam nigdy o tym

zapominać. A teraz dobranoc i przyjemnych snów!

Gdy znaleźli się z powrotem w salonie, Cole wziął puszkę piwa i spojrzał na kuzyna.

– Ulżyło ci?

– Prawdę mówiąc, ogromnie. Nie znoszę, gdy jesteśmy odmiennego zdania. Dzięki za poparcie!

– Po prostu powiedziałem, jak się sprawy mają. Babcia nie przyjechała tu, żeby się z nami rozprawić. Zawsze stoi za nami murem, a reszta rodziny też. Co byś powiedział, żebyśmy strzelili sobie po piwie i zapomnieli o interesach przynajmniej na jeden wieczór?

– Popieram – odparł Riley, podnosząc w górę puszkę. Cole zauważył, że uśmiechają się tylko jego usta, a nie oczy. Ale sytuacja zaczęła się jednak poprawiać.

– Bardzo będzie mi cię brak, Rileyu – powiedziała miękko Lacey.

Riley popatrzył na dziewczynę, która miała zostać jego żoną. Była piękna – jak twardy, lśniący posąg. Ivy nazywała ją manekinem z plastiku. Riley czuł, że w brzuchu znów mu się wywraca. Wrzód dawał się we znaki bardziej niż kiedykolwiek. Żadne lekarstwa jakoś nie pomagały. Postanowił, że odbędzie tego wieczoru poważną rozmowę z Lacey, zanim wyjedzie do Rio. Niełatwo będzie jej powiedzieć, że wolałby przesunąć termin ogłoszenia oficjalnych zaręczyn. Miał nadzieję, że Lacey sienie popłacze.

– Prosiłem cię, żebyś ze mną pojechała, ale powiedziałaś, że masz dużo roboty i nie możesz mi towarzyszyć – zaczął Riley. – Dlaczego nie wspomniałaś mi, że rzuciłaś pracę? Dowiedziałem się o tym z ostatniego listu Ivy.

– Ivy wtyka nos w nie swoje sprawy. Miałam zamiar ci o tym powiedzieć, ale byłeś stale zajęty. Anie chciałam rozmawiać na ten temat przez telefon. Czy to zresztą takie ważne?

– Nie dla mnie, ale dla ciebie powinno to mieć jakieś znaczenie. I wcale nie uważam, że Ivy wtyka nos w cudze sprawy. Wspomniała o tym, bo była pewna, że o wszystkim wiem. Nawiasem mówiąc, wyraża się o tobie zawsze miło i przyjaźnie. Wydawało mi się, że lubiłaś swoją pracę? – Wiedział, że mówi oskarżycielskim tonem, ale nic na to nie mógł poradzić.

– Owszem, lubię... to znaczy lubiłam. Miałam jednak tyle kramu z



tym przyjęciem zaręczynowym i w ogóle... – przerwała, gdy zjawił się kelner z dwoma smakowicie wyglądającymi koktajlami z krewetek. Riley pochylił się ku niej przez stół. Światło świec dziwnie zmieniło jego rysy: oczy wydawały się płonąć, a wargi zacisnęły się w cienką, stanowczą linię. Wyglądał tak groźnie, że Lacey poczuła, jak serce w niej na chwilę zamarło. Powinna była przewidzieć, że coś się święci! Samo zaproszenie na obiad było czymś niezwykłym, nawet jeśli to był ostatni wieczór przed odlotem Riley'a. Nigdy nie miał czasu na imprezy towarzyskie w środku tygodnia. Bardzo jato właśnie irytowało.

– Chyba powinniśmy odłożyć nasze przyjęcie zaręczynowe, Lacey. Wygląda na to, że będę musiał spędzić dłuższy czas w Ameryce Południowej. Jeśli sprawy nie ułożą się pomyślniej, wrócę co prawda wcześniej, ale będę miał jeszcze więcej kłopotów na głowie. Tak czy owak, byłbym wobec ciebie nie w porządku.

Lacey ujęła go za rękę. Łzy stanęły jej w oczach. Potrafiła płakać na zawołanie.

– A może pozwolisz, że sama osądzę, co jest wobec mnie w porządku, a co nie? Jak na to zareaguje twoja i moja rodzina? Wszyscy byli pewni, ja sama też, że dostanę od ciebie na Gwiazdkę zaręczynowy pierścienek. Czy chcesz mi powiedzieć, że się rozmyśliłeś? Uważasz, że popełniłeś omyłkę?

Na widok jej łez poczuł się okropnie. Bardzo lubił Lacey! Do diabła, jak to się stało, że wpakował się w taką sytuację?! Czy się rozmyślił? No pewnie, chociaż prawdę mówiąc nigdy w pełni nie był zdecydowany na te zaręczyny. To była robota Lacey, a on po prostu nie oponował. Zdecydowanie ponosił za to winę. A teraz musi jej sprawić przykrość, jego stres jeszcze się przez to zwiększy.

– Bez względu na to, co ci powiem, wyjdę na ostatnią świnię. Jestem bardzo do ciebie przywiązany, Lacey, ale chyba nie kocham cię, a i ty nie jesteś we mnie zakochana.

– Myślisz, że nadal zależy mi na Cole'u? Chodzi ci o niego? – drażzyła Lacey.

– Cole nie ma z tym nic wspólnego – powiedział żałośnie Riley.

– Więc chodzi o mojego ojca? Co on ci powiedział? Wiedziałam, że to ma coś wspólnego z moim ojcem! – syknęła Lacey.

Riley nie zaprzeczył.

– Potrzeba nam obojgu trochę luzu. Jeżeli naprawdę jesteśmy sobie

przeznaczeni, czas będzie naszym sprzymierzeńcem. Nie chcę, żebyś się czuła związana, kiedy mnie tu nie będzie.

Pozbył się jej, odrzucił jak stary kapeć! On też! Lacey poczuła lodowate dotknięcie paniki. Matka rozповідаła na prawo i lewo o zbliżających się zaręczynach. Cole... Cole umrze chyba ze śmiechu! Lacey zastanawiała się, jak dalece presja rodziny Colemanów wpłynęła na decyzję Riley'a. Od szesnastego roku życia stale miała pod ręką jakiegoś chłopaka. Zawsze był ktoś, na kogo mogła liczyć. Co się teraz stało?

– Wydaje mi się, panie Coleman, że doszedł pan do wniosku, że nie jestem dosyć dobra dla waszej rodziny! Macie takie wysokie wymagania, a my nie dorastamy wam do pięt, co? O to chodzi, prawda?

Riley miał na końcu języka, że Ivy prawdopodobnie prędzej by została zaakceptowana, ale się pohamował.

– Nie, wcale nie o to chodzi. Mam strasznie dużo różnych problemów, Lacey. Orientujesz się, jak wygląda sytuacja na rynku paliwowym. Wiesz także, że mój dziadek jest chory. Bardzo możliwe, że będę musiał w niedalekiej przyszłości wrócić do Japonii. Powinienem wszystko przemyśleć i znaleźć najlepsze dla wszystkich rozwiązanie. W tej chwili nie jestem w stanie brać na siebie innych poważnych zobowiązań. Bardzo bym chciał, żebyś mnie zrozumiała.

Nie może do tego dopuścić! Choćby nawet miała się przed nim czołgać!

– Rozumiem cię, oczywiście. Poszukam nowej pracy. Powiem matce, że przesuniemy termin przyjęcia zaręczynowego. Bardzo cię kocham, Rileyu – skłamała bez mrugnienia okiem. – Absolutnie się nie zgadzam z tym, co mówisz! Kiedy wrócisz z Ameryki Południowej, wszystko będzie jak dawniej. Proszę cię, Rileyu! – przymilała się uroczo. Tak łatwo było zachwiać jego postanowieniem, zwłaszcza gdy zabrała się do tego kobieta.

Riley czuł, jak mu serce wali. Nic nie szło tak, jak sobie zaplanował. Żołądek palił go żywym ogniem. Przełknął jednym haustem Alexander Brandy z kieliszka Lacey i poczuł chwilową ulgę. Śmietanka w każdej postaci dobrze mu robiła.

Nie chciał krzywdzić Lacey, ani teraz, ani w przyszłości. Już raz musiała przejść przez piekło. W żadnym wypadku nie chciał sprawić jej więcej bólu. Czuł się jednak patentowanym durniem, gdy skinął

głową, zgadzając się na jej prośbę. Nie dostrzegł triumfalnego, pełnego samozadowolenia uśmiešku na twarzy Lacey. Przeszkodził mu w tym kelner, który zjawiał się, by posprzątać nie zjedzone przystawki.

Do końca obiadu Riley czuł się jak otumaniony. W czasie powrotu do domu Lacey tuliła się do niego, co jeszcze bardziej go zirytowało. Odprowadził ją pod drzwi. Kiedy wspięła się na palce, by go pocałować, uchylił się i jej całus wylądował na policzku.

W drodze powrotnej do Sunbridge wymyślał sobie od ostatnich. Był nadal równie mocno związany jak przedtem. Może jeszcze silniej! Cholera jasna!

Nadzieje Lacey na to, że uda jej się przemknąć na górę, unikając spotkania z matką, spełzły na niczym, gdy Tess wybiegła z salonu i popędziła za nią po schodach.

– Jakoś wczesnie wracasz, Lacey! Myślałam, że nie zobaczę cię aż rano – powiedziała chytrze. – Tym bardziej że Riley wyjeżdża jutro i w ogóle.

– Myliłaś się, mamó – odparła chłodno Lacey.

– Coś się stało! Widzę to po twojej twarzy. Tylko mi nie mów, że ten złotek puścił cię w trąbę! O to chodzi, nie?

– Nie, matko. Riley mnie nie puścił w trąbę. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że odłożymy zaręczyny, zanim Riley nie upora się ze wszystkimi swoimi problemami. Jego dziadek jest ciężko chory. Coleman Oil stoi na skraju bankructwa. Jest masa różnych kłopotów. Riley pragnie, żebym była szczęśliwa, więc ustaliliśmy, że nie powinien jeszcze do tego wszystkiego zamartwiać się o mnie. Uspokój się, mamó. Zostanę w końcu panią Coleman, tylko że dłużej trzeba będzie na to poczekać.

– Nie skacz mi do oczu, złotko. Po prostu martwię się o ciebie.

– No pewnie, mamó. Jak mi się nie uda wżenić w Colemanów, to nigdy nie wejdiesz do dobrego towarzystwa, na co się od lat szykujesz!

– Wredna z ciebie smarkula, Lacey! – sarknęła Tess. – Żadna matka nie pozwoliłaby córce na takie odzywki! Do rodziców trzeba się zwracać z szacunkiem!

Lacey nie chciało się nawet odpowiadać. Strzeliła drzwiami tuż pod nosem matki, a potem zamknęła je na klucz.

Została w swoim pokoju przez cztery dni. Wymykała się stamtąd

jedynie po to, żeby zrobić sobie herbaty i grzanek. Resztę czasu spędzała czytając stare listy od Cole'a, oglądając ich wspólne fotografie i czytając dawne wycinki prasowe dotyczące Colemanów. Aż dwadzieścia sześć razy próbowała się do niego dodzwonić w pracy i ty leż razy informowano ją, że jest zajęty albo ma zebranie. Kiedy telefonowała do Sunbridge wcześniej rano lub późno w nocy, nie podnosił słuchawki. Lacey przez cały ten czas nie kąpała się ani nie myła zębów. Jej włosy, sztywne od pianki i lakieru, sterczały jak bezbarwne kolce na wszystkie strony. Wyglądała okropnie i czuła się jeszcze gorzej. Istna karykatura, którą ujrzała, gdy zerknęła do lustra w łazience, sprawiła, że miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Przysunęła się bliżej do lustra. Tusz na sztucznych rzęsach zbił się w grudki. Nie była pewna, czy ciemne kręgi pod oczami pochodziły ze zmęczenia, czy też był to rozmazany od płaczu makijaż. Wyglądała jak poczwara! Zerwała lepkie rzęsy i wrzuciła je do kosza. Usta miała suche i popękane. Może się odwodniła? Nawet skóra, zazwyczaj wilgotna i elastyczna, była przesuszona i łuszczyła się. Lacey weszła na wagę i uważnie przyjrzała się skali. Dziewięćdziesiąt dwa funty. W ciągu czterech dni ubyło jej dziewięć!

O drugiej nad ranem piątego dnia Lacey wypęzła z łóżka i powlokła się do łazienki. Wzięła prysznic, umyła głowę, cztery razy wyczyściła zęby, energicznie przepłukała usta i gardło płynem dezynfekującym. Ponieważ został po nim niemiły posmak, umyła zęby po raz piąty. Naciągnęła majtki i dżinsy, nie zważając na to, jakie się zrobiły luźne. Nie zwracała sobie głowy biustonoszem, nie rozczesała nawet wilgotnych, skręconych włosów, wciągnęła tylko na siebie zbyt obszerną teraz podkoszulkę. Poszukała w szafie elastycznych tenisówek i już była gotowa. Bezszelestnie zeszła ze schodów, stąpając po grubym, wytłaczanym w deseń chodniku. Przemknęła przez tonący w ciemności dom i wyszła bocznymi drzwiami, kierując się w stronę garażu. Czekał tam na nią lśniący jak czerwone kandyzowane jabłuszko wóz Tess 560 SL. Wiedziała, że kluczyki tkwią w stacyjce. Nacisnęła guziczek elektronicznego otwieracza drzwi. Wrzuciła tylny bieg, wóz wysunął się z garażu i pomknął podjazdem. Dopiero gdy znalazła się w bezpiecznej odległości od domu, włączyła światła. Jechała z wyraźnym wytyczonym celem, koncentrując się na prowadzeniu. Nie pozwoliła sobie na myślenie o tym, co się stanie, gdy przybędzie na miejsce.

Kiedy wjechała w długą aleję prowadzącą do Sunbridge, wyłączyła światła. Zgasiła potężny silnik i zaparkowała wóz daleko od domu. Zamknęła po cichu drzwiczki auta i weszła przez kuchenne drzwi, stąpając bezszelestnie na gumowych podszewkach. W Sunbridge nigdy nie zamykano drzwi wejściowych. Po cichu, na paluszkach przemknęła w kierunku frontowego holu i weszła po schodach na górę. Dziewiąty stopień skrzypiał, więc go wyminęła. Serce jej zaczęło walić jak oszałałe.

Pod drzwiami pokoju Cole'a potrząsnęła głową, bo wszystko zaczęło przed nią wirować. Ręce drżały jej tak mocno, że z trudem ujęła klamkę. Poczekała chwilę, a potem po cichu nacisnęła ją. Równie dyskretnie zamknęła drzwi za sobą. Stała przez moment bez ruchu, by zorientować się, w jakim kierunku ma iść. Nic się nie poruszyło. Tym lepiej. Oddechu wiązał jej w gardle, gdy ujrzała rozciągniętego w poprzek łóżka Cole'a; kołdra leżała skopana w nogach. Pierwsze odblaski jutrzeńki, które przeniknęły przez szczeliny między deseczkami żaluzji, lśniły jak srebrne smugi na muskularnych nogach Cole'a. Lacey zsunęła buty i zrzuciła ubranie. Podeszła nago do okna, by zasunąć całkowicie żaluzje. Wróciła do łóżka i stała przez kilka chwil, wpatrując się w Cole'a i czekając, aż uspokoi się jej przyspieszony oddech.

Ostrożnie wsunęła się do łóżka i podciągnęła kołdrę. Znowu czekała, wstrzymując oddech. Ponieważ Cole spał nadal, przysunęła się bliżej, aż wreszcie leżała tuż obok, wtulona w niego. Wyciągnęła rękę i równocześnie osunęła się w dół, tak że jej głowa znalazła się pomiędzy nogami Cole'a. Musnęła językiem koniuszek jego członka raz, drugi i trzeci. Natychmiastowy wzwód i jęk Cole'a sprawiły, że uśmiechnęła się w ciemności. Gdy członek gwałtownie zaczął pęcznieć, Lacey przesunęła się do góry wzdłuż ciała Cole'a. Całowała go namiętnie i gorąco, jej drobne, krągłe piersi tuliły się do niego. Drażniła go, zachwycona jego jękami pożądania i za każdym razem przerywała pieszczoty w chwili, gdy jego podniecenie wzrastało do maksimum. Pochyliła się nad nim, ocierając się piersiami o jego wargi, dręcząc go, radując się każdą sekundą tych igraszek. Siadła na nim okrakiem; intymne wgłębienie pomiędzy jej nogami, wilgotne i śliskie, dotykało jego brzucha. Obiema rękami ujęła swe piersi, podając mu je. Poczuli się zawiedziona, gdy zdała sobie sprawę z tego, że Cole nie rozbudził się całkiem. Drzemie i zapewne

półprzytomnie sądzi, że to sen. Łagodnie rozchyliła jego wargi i wetknęła mu do ust naprężony sutek. Czuła, jak zwierają się mięśnie jego brzucha, a męskość gwałtownie pulsuje. Skóra na jej piersiach i twarzy okryła się śliską wilgocią, gdy Lacey zsunęła się niżej, póki nie natrafiła na jego sztywnie wzniesiony członek. Ostrożnie opadła tak, by wypełnił ją całą.

– Weź mnie, Cole, teraz, już! – nalegała gardłowym szeptem. – Weź mnie. Kochaj mnie! – Przewróciła się na plecy, obejmując go kurczowo ramionami i pociągając za sobą.

Cole zacisnął powieki i wgniótł ją w poduszki. Wtargnął w jej wnętrze, ruchy jego były gorączkowe i desperackie. Lacey z krzykiem wygięła się w łuk, gdy pchnięcia stawały się coraz mocniejsze, słabły, i znowu głębiej wnikały w nią. Z zaciśniętych warg Cole'a wydobył się niski, zwierzęcy odgłos, gdy zanurzał się w nią, doprowadzając oboje do orgazmu.

Kiedy oddech jego stał się na powrót regularny, Cole pochylił się i zapalił lampę. Gdy spojrział na Lacey, jego twarz była pełna nienawiści.

– Nigdy ci tego nie wybaczę! – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

– Cole, posłuchaj mnie, proszę – błagała Lacey. – Musiałam się przekonać, czy ty i ja...

– No to już wiesz. Nie kochaliśmy się. Zakradłaś się tu w nocy jak złodziej, więc cię przeleciałem. I to wszystko. Ubierz się i do domu!

– Nie zapomniałeś o mnie! Pragnąłeś tego, przyznaj sam! – popłakiwała Lacey.

– A co z Rileyem? Boże, nie mogę w to uwierzyć, żeś tu przylazła! Że postawiłaś mnie w takim położeniu! Cóż za podła dziwa z ciebie!

– Kocham cię. Czy to nie wystarczający powód? – Lacey nie przestawała szlochać.

– Nie truj, Lacey. Kochasz wyłącznie samą siebie. Co będzie, jeśli Riley się o tym dowie? Jak mu spojrzysz w oczy?!

– Riley dowie się jedynie wtedy, jeżeli ty mu o tym powiesz. Nie śpiam z Rileyem, więc o co w końcu chodzi?!

– Co z ciebie za typ?! Wprost nie wierzę własnym uszom! No już, ubieraj się i wynocha! Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił jeszcze coś, czego będziemy oboje żałowali!

Cole wyskoczył z łóżka i stał patrząc na Lacey z szaleńczą wściekłością.

– Sama wstaniesz, czy mam cię zwalić ze schodów i wyrzucić z domu kopniakiem w dupę, w gołą dupę?! – Jego głos był ochryply i wrogi, a ruchy podobnie jak spojrzenie pełne wściekłości.

– Nie przypuszczałam, że jesteś taki podły i okrutny! – skarżyła się Lacey zsuwając nogi z łóżka.

– To teraz już wiesz! – warknął Cole. – Niech twoja noga nigdy tu więcej nie postanie! Zrozumiano?!

Lacey uznała, że nie warto nawet odpowiadać. Wciągnęła przez głowę koszulkę. Zastanawiała się, czy gdyby powiedziała Cole’owi o decyzji Rileya, zrobiłoby to jakąś różnicę? Ale nie, dla Cole’a to nie miało znaczenia, tak czy owak. Był pozbawionym uczuć sukinsynem! Skąd te złudzenia, że Cole jest serdeczny i kochający?

Od drzwi odwróciła się w jego stronę.

– Chyba musiałam usłyszeć to wszystko z twoich własnych ust, żeby wreszcie wrócić do rozumu! Bardzo długo kochałam cię, Cole. Kiedy... kiedy zerwaliśmy ze sobą, nie potrafiłam się z tym pogodzić. Riley starał się pomóc mi, jak umiał i zaczęłam za bardzo na nim polegać. Nie martw się o Rileya, nie pisnę mu ani słówka.

– Po prostu wspaniale! – mruknął Cole. – A co ze mną?! Jak na miłość boską spojrzę mu w twarz?! Ile razy go zobaczę, będę myślał o tym!

Na twarzy Lacey pojawił się niemiły uśmiech.

– Zawsze chciałam, żebyś o mnie długo pamiętał. Żegnaj, Cole.

Pałący gniew przeniknął całe jego ciało. Chcąc się wyładować, kopnął z całej siły w podstawę łóżka, krzesło, nocny stolik, drzwi... Ból przeszył całą jego nogę, sięgając aż do pachwiny. Cole kopnął drzwi drugą nogą. Padł na kolana przy łóżku i bił głową w materac. Jego ramiona trzęsły się, całe ciało nie mogło znieść bezmiernego poczucia winy.

Wiedział, że od tej chwili jego życie nigdy już nie będzie takie jak poprzednio.

Kiedy Tess zeszła na dół, minęła pomieszczenie, które określała jako „nasze solarium”, ale które było w rzeczywistości krytą werandą. Cofnęła się o krok, gdy ujrzała Lacey siedzącą na białym wiklinowym krześle. Córka coś pisała.

– Wcześniej dziś wstałaś, co? Nie pokazujesz się przez cztery dni, a potem wstajesz skoro świt. Coś ci dolega?

Lacey uznała to pytanie za retoryczne. Nie przerwała pisania.

– Już piszesz do Riley'a? Zobaczysz, że wróci, nim list do niego dotrze. Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Lacey. Czy jesteś chora? Dlaczego wstałaś tak wcześnie?

– Nie jestem chora, mamó. A piszę do Ivy. – Nie warto było wspominać, że do Riley'a już napisała. Skończyła tamten list akurat w momencie, gdy zapiał pierwszy kogut.

– Do Ivy?! – zdumiała się Tess. – Dlaczego, na litość boską, piszesz do niej?!

– Bo chcę. Czy to nie wystarczy? Tobie też by nic się nie stało, gdybyś od czasu do czasu do niej napisała. Jest twoją córką. Wiesz, chyba nigdy nie słyszałam, żebyś powiedziała Ivy dobre słowo. Możesz mi wyjaśnić, dlaczego?

– Aleśmy ciekawi dzisiejszego ranka! – powiedziała Tess, by zyskać na czasie. Nie lubiła, gdy przypierano ją do muru! – Nie pisuję do mojej córki, Lacey, bo wolę z nią porozmawiać przez telefon.

– Czyżby?! Kiedyż to ostatnio do niej dzwoniłaś?

– Nie zniosę takiej bezczelności ze strony własnego dziecka, Lacey! To nie twój interes, kiedy i czy w ogóle dzwonię do Ivy!

Lacey roześmiała się szyderczo.

– Możesz się nie martwić. Twoje bezczelna córka nie będzie ci już zawadzać. Postanowiłam wyjechać do Nowego Jorku, Wynoszę się stąd jutro. Przyślę po moje rzeczy, kiedy się już na dobre urządzę.

– Co takiego?! – zaskrzeczała Tess. – Wiedziałam, że do tego dojdzie! Riley puścił cię w trąbę i nie miej złudzeń, że nie wiem, gdzie się włóczyłaś w środku nocy! Nie masz wstydu!

– Masz rację, matko! Zeszłej nocy rzeczywiście nie miałam wstydu. Ale dzisiaj mi wrócił. Właśnie dlatego wyjeżdżam. Gdybyś chociaż raz, jeden jedyny raz przyszła do mnie albo jak prawdziwa matka okazała mi pomoc, kiedy jej naprawdę potrzebowałam, może nie musiałabym stąd wyjeżdżać. Ale nigdy tego nie zrobiłaś, ani dla mnie, ani dla Ivy. Piszę do niej, żeby wiedziała, że ma przynajmniej siostrę, choć diabli wiedzą, czy będzie to miało dla niej jakieś znaczenie. Mocno się z tym spóźniłam, ale przynajmniej staram się odrobić to, co było.

– Mogłaś przecież zwrócić się do mnie w każdej chwili, Lacey moje złotko! Na pewno bym cię wysłuchała – jęczała Tess.

Lacey puściła to mimo uszu. Tess odeszła, jak zamierzała



poprzednio, w stronę kuchni. Sama nie wiedziała, czy jest przygnębiona, zła, czy też odczuwa ulgę. Kiedy nie zdołała tego ostatecznie rozstrzygnąć, zasiadła do śniadania. Żując grzanekę doszło do wniosku, że Lacey zachowywała się jak dziwka już w wieku dziesięciu lat. To spostrzeżenie skłoniło ją do sięgnięcia po następną grzanekę; posmarowała ją grubo konfiturą z rajskich jabłuszek.

Tylko idiotka miałaby teraz jakieś złudzenia co do zaręczyn. Musiały zostać zerwane, jeśli Lacey wynosi się do Nowego Jorku. Pewność, że nie uda jej się wkroczyć do rodziny Colemanów, spowodowała gorzki posmak w ustach. Tess połknęła czubatą łyżeczkę konfitur, ale to nie pomogło. Łzy bezsilnego gniewu napłynęły jej do oczu. Do nikogo nie mogła mieć pretensji oprócz siebie samej! Gwiazdy ją ostrzegały, i to bardzo wyraźnie, ale ona ciągle się łudziła, że dojdzie do połączenia obu rodzin. Sprawa była z góry przegrana – pomyślała ponuro. Nie zawracała sobie głowy odjazdem Lacey ani listem, który pisała do siostry.

Tess wysilała cały swój umysł, aby obmyśleć sposób, w jaki ma potraktować Rileya po jego powrocie. Postanowiła, że będzie grać rolę nieszczęsnej matki o złamanym sercu. Jeżeli dobrze to rozegra, kto wie, może Riley uda się do Nowego Jorku i przywiezie Lacey z powrotem? Tess od razu poczuła się lepiej. Teraz jedyna decyzja, którą musiała podjąć, dotyczyła zjedzenia jagodzianki. Może od jagód szernieją jej porcelanowe korony? Ale Tess nigdy nie lubiła odmawiać sobie tego, na co miała ochotę. Sięgnęła po największą jagodziankę, jaka była w koszyczku, i wepchnęła ją sobie do ust. Ostatecznie, po co wynaleźli pastę do zębów?

Lacey powtórnie przeczytała listy, żeby upewnić się, że niczego w nich nie pominęła.

*Kochany Rileyu!*

*Od chwili Twego wyjazdu myślałam i myślałam, i chcę, żebyś wiedział, że zgadzam się ze wszystkim, coś powiedział tamtej nocy w restauracji. Bardzo jestem do Ciebie przywiązana, ale nie zakochana w Tobie, a i Ty mnie także nie kochasz. Przyjrzałam się sobie długo i uważnie, przypominałam sobie wydarzenia, kilku ostatnich lat – i wcale mi się nie spodobało to, co dostrzegłam. Mam nadzieję, że moja decyzja wyjazdu do Nowego Jorku ułatwi nam wszystkim życie. Postaram się jakoś dojść z sobą do ładu. Kiedy wrócisz do domu, mnie*

*już tu nie będzie. Ale jestem przekonana, że będziesz mi życzył powodzenia. Zwracam Ci słowo, Rileyu. Nasze małżeństwo nigdy by się nie udało. Po co Ci taka egoistyczna żona jak ja? Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi i bardzo Ci jestem wdzięczna, że okazałeś mi tyle serca, kiedy tak strasznie potrzebowałam pomocy. Mam nadzieję, że powiesz Ci się we wszystkim.*

*Ze szczerą przyjaźnią Lacey.*

Dragi list skierowany był do Ivy.

*Droga Ivy!*

*Wiem, że mój list będzie dla Ciebie całkowitym zaskoczeniem. Proszę, nie wyrzucaj go, chcę, żebyś go przeczytała. Zrób to dla mnie. Żałuję, że nie byłam dla Ciebie lepszą siostrą. Gdy myślę o przeszłości, widzę, jak musiało Ci być ciężko. Szkoda, że nie byłam taką siostrą, jakiej potrzebowałaś, ale mam nadzieję, że to się jeszcze zmieni. Bardzo pragnę siostry, którą mogłabym kochać i która by mnie kochała.*

*Byłam taka głupia, Ivy! Tak strasznie kochałam Cole 'a, że nie potrafiłam jasno myśleć. Kiedy mnie rzucił (jasne, że mnie rzucił; kłamałam mówiąc, że wspólnie doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie się rozstać), postępowałam tak, że bardzo się tego teraz wstydzę. Przez jakiś czas myślałam, że nie zdołam już niczego naprawić, ale doszłam do wniosku, że jednak spróbuję. Wyjeżdżam jutro do Nowego Jorku. Kiedy znajdę sobie stałe lokum, przyślę Ci swój adres. Nigdy nie kochałam Riley'a ani on mnie. Prawie zmusiłam go do zaręczyn ze względu na tatę. Riley to dżentelmen, więc poszedł mi na rękę. Jest teraz w Rio, ale zanim wyjechał, powiedział mi, że wolałby odwołać nasze zaręczyny. Bardzo to dla mnie ważne, żebyś wiedziała, że ja i Riley nigdy nie spaliśmy ze sobą. Wiem, że zawsze Ci na nim zależało. On też coś do Ciebie czuje, tyle że sobie tego jeszcze nie uświadamia. Zawsze od razu staje w Twojej obronie. To nie jest chłopak, którego łatwo można w sobie rozkochać. Jeśli komuś się to w ogóle uda, to chyba tylko Tobie.*

*Będziemy w kontakcie. Bardzo Cię Kocham Lacey.*

Lacey zakleiła koperty i poczuła, że ogromny ciężar spadł z jej ramion. Zachowała się jak normalny człowiek! Niezbyt szczęśliwy,

ale normalny. Wiedziała, że zmiana w niej zachodząca musi dokonać się jak najszybciej, bo inaczej nie da pożądaných rezultatów. Nic tak, jak wstyd i poczucie winy, nie skłania do zmiany życia, tylko że potem nie ma już odwrotu. Biegła naprzód, zostawiając za sobą całą przeszłość. Miała nadzieję, że starczy jej sił i odwagi, żeby nie osłabnąć i nie obejrzeć się wstecz. Ale jeżeli Ivy stać było na coś takiego, to i ona zdoła tego dokonać!

Lacey spędziła resztę dnia pakując dwie walizki, które chciała zabrać do Nowego Jorku. Reszta jej rzeczy powędrowała do trzech kufrów, które miały zostać wysłane, gdy znajdzie sobie stałe mieszkanie.

Ostatnią czynnością przed położeniem się po raz ostatni do łóżka w rodzinnym domu było zniszczenie wszystkich listów od Cole'a i jego fotografii. Wycinki prasowe dotyczące Colemanów powędrowały do kosza na papiery. Nie miała zamiaru oglądać się do tyłu ani zostawiać żadnych śladów swej przeszłości. Postanowiła zacząć całkiem nowe życie.

Spała głęboko i bez marzeń.

Pięć następnych dni, aż do powrotu Rileya, było dla Cole'a prawdziwym piekłem. Każdego dnia dziesiątki razy postanawiał wyznać wszystko kuzynowi. Jeszcze częściej podejmował decyzję przemilczenia przed nim całej sprawy i zadręczania się do końca życia wyrzutami sumienia. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się aż tak podle! Jedzenie stawało mu kością w gardle; nie był w stanie spać. Na dzień przed powrotem Rileya dotarł do Sunbridge list do Cole'a z dopiskiem na kopercie „Do rąk własnych”. Nazwiska nadawcy nie było. Jonquil położyła list na biurku Cole'a. Było już późno, koło północy, gdy Cole przejrzał korespondencję. Wiedział, że jest mocno zalany, ale bez trudu przeczytał krótki list od Lacey.

*Drogi Cole!*

*Jestem w Nowym Jorku, jak możesz przekonać się ze stempla pocztowego.*

*Doszłam do wniosku, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.*

*Tamta noc była pomyłką, której będę żałować do końca życia, tak samo jak Ty. Mam nadzieję i proszę Boga, żebyś nie uparł się , , postąpić honorowo”*

*i wyznać wszystko Rileyowi. To zbyt dobry chłopak, żeby mu to*

*zwalać na głowę. Ja się wyniosłam, Ty się też jakoś uporasz z życiem, a Riley a i tak czeka to, co mu sądzone. Proszę Cię, Cole, jeżeli kiedykolwiek coś dla mnie czuleś, wyrządź mi tę ostatnią przysługę i nie mów nic Rileyowi!*

*Lacey.*

Cole rzucił list na biurko obok reszty swojej korespondencji. Musiał koniecznie z kimś pomówić. Adam! Adam lubił rozmawiać i dawać rady. Nakręcił jego numer i czekał. Wreszcie w telefonie odezwał się zaspany głos Adama.

– Wiesz, która jest godzina, Cole?!

– Nie mam pojęcia – odparł wojowniczo Cole. – Zadzwoń do ciebie, dlatego że muszę z kimś porozmawiać, a nie żeby dowiedzieć się, która godzina!

W głosie Adama zabrzmiała czujność.

– Co się stało? Jesteś pijany?

– Wszystko mi się zawaliło. Pijany? Chyba jestem. W butelce zostało już bardzo niewiele szkockiej.

– A była pełna, jak zacząłeś pić?

– Wczoraj czy dziś?

– Jesteś w domu? Dobra. Nie ruszaj się. Przyjadę najszybciej, jak tylko zdołam. Kiedy Adam się zjawił, zatrzymał się w drzwiach i gwizdnął.

– Myślałem, że macie tu gospodynię? Co ma znaczyć ten śmietnik?! – spytał wskazując na stertę ubrań, buty nie do pary, porozwalane po całym pokój u książki, papiery i czasopisma. Mokre ręczniki zwisały z krzesel i poręczy łóżka. Adam starał się nie patrzeć na rząd stojących na kredensie butelek. Cole nie był pijakiem. Za papierosami też nie przepadał, ale teraz popielniczka była pełna niedopałków, które wysypywały się aż na nocny stolik.

– Chcesz drinka? Chyba coś znajdę. Może zejdę na dół po następną butelkę – bełkotał Cole rozglądając się po pokoju.

– Nie, dziękuję. Wolę mieć jasną głowę do wysłuchania tego, o czym chyba zaraz mi powiesz.

– Nic ci nie powiem, tylko pokażę. – Cole sięgnął po leżący na biurku list od Lacey. – Przeczytaj!

– A więc ściągnąłeś portki, kiedy nie trzeba – zauważył Adam pogodnym tonem. – Zdarza się nawet najlepszym z nas. Jeżeli

będziesz trzymał język za zębami, jak o to prosi Lacey, nie powinno być problemu.

– Riley to porządny gość. Jesteśmy kumplami. Nawet jak mu nic nie powiem, czegoś się domyśli. Jest przecież Japończykiem.

– Wyrzuty sumienia to coś okropnego, Cole. Możesz albo się wiecznie uginać pod ich ciężarem, jakby to był kamień zawieszony u twojej szyi, albo starać się o wszystkim zapomnieć. Gdybym był tobą, wybrałbym tę drugą ewentualność. Tylko mi nie mów, że chcesz wszystko wyznać! Chyba aż tak głupi nie jesteś!

Ale żałosna mina Cole'a świadczyła wyraźnie o tym, że podejrzenia Adama były słuszne.

– Słuchaj, ściągnąłeś mnie tu po to, żeby ze mną porozmawiać i pewnie zasięgnąć mojej rady. Więc ci radzę: nie mów nic! Uwierz mi, wcale się po tym nie poczujesz lepiej! Riley ci nigdy, ale to nigdy nie wybaczy. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że, jak wspomniałeś, jest Japończykiem. A kiedy raz się coś powie, nie da się tego cofnąć. Pamiętaj o tym!

– Myślałem, że to tylko sen, a potem... A co byś ty, do cholery, zrobił na moim miejscu, Adamie?

– Pewnie to samo co ty. Co bynajmniej nie oznacza, że obaj postąpilibyśmy słusznie – dodał pospiesznie. – Zapomnij o tym. Nie jesteś już dzieckiem. Chcesz grać w I lidze, przygotuj się na cięższe treningi!

– Jak ja mu spojrzę w oczy! – Cole ukrył twarz w dłoniach.

Adam stał nad nim bezradnie, poklepując go po zgarbionych plecach.

– Riley jutro wraca do domu. Cholera jasna, nawet nie wie, że Lacey wyjechała!

– Cole, chcesz pojechać ze mną na ranczo?

– Nie. Wracaj do domu, Adamie. Przykro mi, że cię tu ściągnąłem w środku nocy. Masz własne problemy.

– Od tego są przecież przyjaciele, Jezu, po prostu boję się tak cię zostawić! Jesteś pewny, że nie zrobisz nic głupiego?

Cole prychnął pogardliwie.

– Nie mam zamiaru ze sobą skończyć, jeśli tego się właśnie obawiasz. I nic nie powiem. Idę spać. Przepraszam, że cię wyciągnąłem z wyra – dodał spostrzegając nogawki od pizamy wystające ze spodni Adama.

– Co tam, dopiero zasypiałem. Rozbieraj się. Poczekam, aż będziesz w łóżku. – Adam zrobił jak zapowiedział. Zrzucił na podłogę kłęb odzieży i różne śmiecie i usiadł na stojącym w kącie fotelu. Potrząsnął niespokojnie głową, nie spuszczać oczu z Cole’a, dopóki po dwudziestu minutach nie stwierdził, że Cole głęboko zasnął. Potem wstał, pocierając zeszywniałe kolana. Przez moment kusilo go, żeby posprzątać bałagan w pokoju. Cole obudzi się z monstualnym kacem. Adam wzruszył ramionami i wychodząc zgasił światło, pozostawiając tylko małą różową lampkę.

Brakowało kilku minut do drugiej, kiedy udał się w stronę swego rancza. Bardzo chciał zrobić coś dla Cole’a, coś konkretnego, co pomogłoby mu poczuć się lepiej. Życie było wystarczająco ciężkie, nawet bez obnoszenia się z nieustannym poczuciem winy. Jak zawsze, gdy czuł się związany z Colemanami, myśli Adama uleciały ku Sawyer. Pragnął, żeby tu była, by mógł zwierzyć się jej ze swoich kłopotów. Na pewno wiedziałyby, co powiedzieć Cole’owi, a i jemu samemu nie pożałowałyby rad, jak należy postępować z Jeffem. Bóg obdarzył ją zdrowym rozsądkiem i ciętym językiem. Adam uśmiechnął się w ciemnym wnętrzu samochodu. Pewnego dnia Sawyer zda sobie sprawę z tego, że nie potrafi dłużej bez niego żyć. Przynajmniej miał taką nadzieję. A może on sam wpadnie znienacka do niej i powie jej coś, co w końcu do niej dotrze, na przykład: „Skończmy z tą ciuciubabką! Kocham cię i wiem, że ty mnie też kochasz, więc zabieram cię stąd i...” – nigdy nie myślał o tym, co stanie się potem, bo panicznie obawiał się, że Sawyer może się na niego wściec i krzyknąć, że go wcale nie kocha!

Lepiej jeszcze trochę poczekać. Czas to idealny lek na wszystko.

Skończył się długi, męczący dzień. Riley ustawił bronco na jego stałym miejscu. Jonquil miała dziś wolne, a więc będzie ciemno i pusto, chyba że Cole pozostał w domu. Rozejrzył się za porsche kuzyna, ale go nie dostrzegł. Cole pewnie wyskoczył na obiad albo drinka z przyjaciółmi. Sama myśl o jedzeniu przyprawiała Rileya o mdłości. Wystarczy mu na razie jabłko albo kilka krakersów. Marzył jedynie o gorącym prysznicu, czystym ubraniu i mocnym drinku.

Zapalił światło w kuchni i rozejrzył się po niej. Bardzo lubił tę część domu. Pierwszy raz, kiedy ją ujrzał, dosłownie zbaraniał. Był wtedy jeszcze dzieciakiem i po raz pierwszy przyjechał do Sunbridge.

Nie miał pojęcia, że na Zachodzie żyje się w ten sposób. Od razu spodobało mu się to ciepłe, wygodne, tętniące życiem pomieszczenie. Zakochał się po prostu w wiklinowym fotelu na biegunach stojącym koło paleniska z polnego kamienia. Kiedy był tu z pierwszą wizytą, w kuchni drzemał wielki rudy kot. Przyjechała z nim wtedy jego matka. Riley potarł oczy, nie wiedząc, czy pieką go od łez czy też z braku snu.

Belki stropowe z ciemnego drewna, błyszczące mosiężne naczynia i lśniące zielone rośliny powitały go w kuchni jak starzy znajomi. Pełno tu było wspomnień. Jego matka powiedziała mu, że tatuś miał zwyczaj podkraść ciasteczka z wielkiej puszeki stojącej w kącie kredensu. Z przyzwyczajenia Riley sięgnął tam wiedząc, że naczynie będzie jak zawsze pełne. Był to jedyny warunek, jaki postawił Jonquil, gdy wraz z Cole'em przyjmowali ją do pracy. Riley wydobył pokryte lukrem ciasteczko; był to ulubiony gatunek jego ojca. Delikatny smak bardzo odpowiadał także Rileyowi. Jaki ojciec, taki syn.

Riley przewędrował cały dom, zapalając wszędzie światła. Kochał Sunbridge z całego serca. Cofnął się, stanął w pozycji koszykarza i rzucił swą czapkę baseballową prosto na przeznaczony na nią kołek wieszadła. Szeroko się uśmiechnął, kiedy czapka drużyny Jankesów zawisała na właściwym miejscu. Był w domu! Powinien postarać się o psa, żeby go ktoś witał po powrocie. Popędził po schodach do swego pokoju.

Siekący deszcz kropel z prysznicą wlewał w niego nowe życie. Namydlił się od stóp do głów. Nie wiadomo dlaczego poczuł niepokój, kiedy wytarł się ręcznikiem i porządnie go rozwiesił. Obaj z Cole'em często nazywali siebie „największymi czyścioszkami spośród Colemanów”, krytykując Sawyer jako najgorszą bałaganiarę i zaklinając się, że nie potrafiliby żyć w takim jak ona chaosie.

Wilgotne stopy Riley'a pewnie kroczyły po wykładzinie koloru kawy, gdy wybierał kasetę do stereo. Niebawem jeden z jego ulubieńców, Billy Ocean, wypełnił pokój swoim śpiewem. Riley nie czuł się już samotnie.

Wiedział, że na jego biurku czeka korespondencja i kątem oka dostrzegł pasiastą kopertę lotniczą, znajdującą się na samym wierzchu. List od dziadka. Nie będzie odkładał tego ani chwili dłużej. Zapalił stojącą na biurku lampę i przejrzał całą pocztę. Wyciąg z konta American Express, Visy, rachunek z lokalnego garażu za nowe

opony bronco. Wszelkiego rodzaju ulotki reklamowe wędrowały od razu do kosza. Karta od dentysty, ozdobiona rysunkiem zębów przypominających klawisze fortepianu informowała go, że powinien zapłacić za ostatnią wizytę kontrolną. Zmarszczył brwi, dostrzegając list od Lacey. W tej chwili nie był w odpowiednim nastroju, by zajmować się Lacey czy listem od niej. Rzucił go na biurko i zapomniał o nim. Trzymając w ręku kieliszek z drinkiem, który sobie wcześniej obiecał, Riley zasiadł do czytania listu od dziadka. Billie Ocean nucił miękim szeptem, ale nawet jego melodyjny głos nie mógł zmniejszyć napięcia Riley'a.

List był krótki, pisany po japońsku własną ręką dziadka.

*Mój drogi wnuku!*

*Zechciej mi wybaczyć nieco drżące pismo. Ułynęło wiele czasu, odkąd otrzymałem ostatni list od Ciebie. Wiem, że przebywasz obecnie w Ameryce Południowej, ale Sumi zapewnia mnie, że będziesz już z powrotem, gdy ten list dotrze do Sunbridge.*

*Z wielkim smutkiem muszę Ci donieść, że w tym roku drzewka wiśniowe na wzgórzu nie pokryją się zapewne kwiatem.. Tyle zdarza się w obecnych czasach spraw, które martwią starego człowieka.*

*Sawyer mówi, że jesteś zdrowy i moje serce raduje się, że znalazłeś w Ameryce sens życia i zadowolenie. Może zechcesz sprawić staremu człowiekowi ogromną radość i odwiedzić go niebawem? Będę pocieszał się tą nadzieją.*

*Twój jak zawsze kochający cię dziadek.*

Riley złożył list i wsadził z powrotem do cienkiej koperty. Odpisać, nie odpisać? Cóż mógłby mu powiedzieć? Czy nie lepiej nie mówić nic? Prawdopodobnie, gdyby się postarał, zdołałby napisać list pełen miłych ploteczek, nie zobowiązujący do niczego. Ale byłaby to kolejna tortura dla Starego Pana, który umiał czytać między wierszami. Mógł też napisać tak szczerze, jak na to jego dziadek zasługiwał, podając wszystkie powody, dla których nie może wrócić do Japonii i chce zostać tu, w domu swojego ojca. Mógł wreszcie oświadczyć, że nie podjął jeszcze żadnej decyzji i nie jest w stanie tego uczynić, póki nie uporządkuje wszystkich swoich życiowych spraw. Mógł wyznać dziadkowi, że serce jego przepięnia miłość i ból, że choroba dziadka jest dla niego prawdziwą tragedią. Mógł zwierzyć



się ze swej obsesji na temat Sunbridge i jego amerykańskiej rodziny. Mógł nawet napisać o kwitnących drzewach wiśniowych i powiedzieć, jak często wspomina owo pełne spokoju wzgórze. Gdyby chciał, mógłby mu także wyznać, że dzwonił do Sawyer co tydzień i dopytywał się o stan jego zdrowia. Mógł napisać wszystkie te rzeczy, ale zarazem nie potrafił. Zamiast tego wysłał zdawkowy list tylko po to, by oczy Starego Pana rozjaśniły się, kiedy go otrzyma.

Riley poszukał papieru listowego i długopisu. Napisze po angielsku, nie po japońsku.

*Drogi Dziadku!*

*Sumi miała rację, kiedy zapewniała, że będę już w Sunbridge, gdy Twój Ust się zjawi. Razem z Tobą boleję nad prawdopodobną stratą naszych kwitnących wiśni. Tutaj także był mróz. Może w przyszłym roku narodzą się za to dubeltowe kwiaty? Moja Matka opowiadała mi kiedyś o tym, ale nie pamiętam, czy sam oglądałem taki cud natury.*

*Moja podróż do Ameryki Południowej była prawie bezowocna. Panuje tam taka korupcja i chciwość, że nie potrafię sobie z tymi ludźmi poradzić. Ponieważ moim obowiązkiem jest uaktywnienie leasingów naftowych, wiem, że muszę znaleźć jakieś rozwiązanie. I znajdę, tylko że zajmie mi to trochę czasu. Nie wspomniałeś mi o swoim zdrowiu, Dziadku. Modlę się, żebyś czuł się jak najlepiej.*

*Nie jestem w stanie napisać Ci tego, czego ode mnie oczekujesz. Błagam Cię, postaraj się mnie zrozumieć, mój pełen mądrości Dziadku. Nigdy, w całym moim życiu, nie domagałem się od Ciebie niczego. Dziś jednak błagam na wszystko, żebyś mi dał nieco więcej czasu, który jest mi tak bardzo potrzebny, i żebyś okazał zrozumienie dla mojej niemożności wzięcia na siebie zobowiązań, których chyba nie byłbym w stanie dotrzymać. Czuję, że mam prawo błagać Cię o to w imię mojej bezgranicznej miłości do Ciebie.*

*Proszę Cię gorąco, dbaj o swoje zdrowie. Twój kochający wnuk Riley.*

Riley przeczytał ponownie list, potem jeszcze raz. Było to najlepsze, na co mógł się zdobyć. Przeszukał całe biurko, chcąc znaleźć kopertę i znaczek. Natrafił tylko na znaczek. Przysięgłby, że miał całą paczkę kopert! Cole musiał się do nich dostać.

Mimo że często nawzajem pożyczali od siebie różne drobiazgi,

Rileyowi nie podobała się myśl o przeszukiwaniu biurka Cole'a. Ale wydawało mu się, że nie spełni obowiązku wobec swego dziadka, póki nie wyśle tego listu. Przestał się jednak wahać, bo chciał jak najprędzej odnieść napisany przed chwilą list do holu na dole i położyć go na stoliku, gdzie korespondencja czekała na wysyłkę.

Kiedy otworzył drzwi pokoju Cole'a, dosłownie szczeka mu opadła. W pierwszej chwili pomyślał, że Jonquil zrezygnowała z pracy u nich! Potem przyszło mu do głowy inne wytłumaczenie i uśmiechnął się od ucha do ucha: Cole musiał urządzić sobie orgię! Cały pokój cuchnął alkoholem, potem, dymem z papierosów. Riley uśmiechnął się ponownie na widok całej baterii pustych butelek na kredensie. Zdawało mu się, że poczuł też marihuanę. Cole jej nie palił, podobnie jak on sam; musiała więc palić jego towarzyszka, kimkolwiek była. Riley z trudem torował sobie drogę wśród rozrzuconych butów, brudnych naczyń i walających się różnych części garderoby.

Biurko Cole'a z zasuwaną klapą było zarzucone papierzyskami: dokumenty urzędowe, korespondencja prywatna. Było sporo listów w ogóle nie otwartych. Wśród papierów poniewierały się książeczka czekowa Cole'a, kalkulator na baterie słoneczne i portfel. Riley zmarszczył brwi. Jak Cole mógł wyjść bez portfela i książeczki czekowej? Jeszcze raz obiegł spojrzeniem pokój kuzyna. Nie, to nie były ślady orgii. Raczej depresji.

Sięgnął po telefon, ale zaraz odłożył słuchawkę z powrotem. Jakikolwiek były kłopoty Cole'a, nie miały z pewnością żadnego związku z nim. Były to sprawy osobiste kuzyna. Nie mógł się wtrącać! Przyszedł po kopertę, więc znajdzie ją i wyjdzie, zamykając za sobą drzwi. Gdyby Cole chciał mu się zwierzyć, zrobiłby to już dawniej.

Z kopertą w ręku zamknął szufladę biurka. Chcąc jak najprędzej opuścić pokój potracił stos leżących na biurku listów. Rozsypały się na wszystkie strony. Riley medytował przez chwilę, czy nie lepiej tak je zostawić? W tym zabałaganionym pokoju Cole na pewno nie dostrzeże różnicy. Ale on je wywalił, powinien więc pozbierać. Właśnie w tym momencie zauważył ozdobioną niebiesko-czerwonym paskiem kopertę lotniczą i odczytał adres nadawcy. Jego dziadek pisał do Cole'a! Za żadne skarby nie wtargnąłby w osobiste sprawy kuzyna. Nigdy dotąd niczego podobnego nie robił. Ale znajoma koperta i

ciekawość, co też ona zawiera, kusiły go tak bardzo, że otworzył list. Przeczytał go i jego oczy zwięzły się w szparki. Odłożył kopertę na miejsce. I wówczas ujrzał drugi list, najwyraźniej zmięty, a potem wygładzony i rzucony na biurko. Jeśli już szpiegował Cole'a, mógł równie dobrze zobaczyć, co to takiego. Poznał charakter pisma Lacey.

Koperta, po którą przyszedł, leżała zapomniana na biurku, gdy Riley opuszczał pokój trzasnąwszy drzwiami. Strzelił nimi tak mocno, że stojąca na nocnym stoliku lampa zatrzęsła się i spadła na podłogę. To ścierwo! Podły, podstępny skurwysyn!

Riley miotał się po pokoju, tupał nogami, kłął. Jego przyjaciel. Jego kuzyn. Jego nieodłączny kompan! Zgniłek!

Było dziesięć po trzeciej, kiedy reflektory samochodu rozświetliły mroczny pokój Riley'a. Odetchnął głęboko i czekał, co będzie dalej. Usłyszał kroki Cole'a w kuchni, która znajdowała się tuż pod jego pokojem. Trzasnęły drzwiczki lodówki. Kuzyn wyjął pewnie piwo albo jakiś napój gazowany, wypił jednym tchem i wstawił puszkę do zlewu. Słysząc było, jak chodzi po domu i zapala wszędzie światła. A więc nie jest pijany. Najpierw nie było słychać kroków na schodach, potem zaskrzypiał dziewiąty stopień. Dobrze go poznali, gdy mieli po siedemnaście lat i zdarzyło im się wracać po ciemku później, niż mieli zapowiedziane. Cole był już na korytarzu. Jeden krok, dwa, trzy, cztery. Riley zapalił światło w tym momencie, gdy Cole dotarł pod jego drzwi.

– Cześć, myślałem, że już śpisz. Żałuję, że ci nie zorganizowałem komitetu powitalnego! Jak sprawy stoją?

– Tak jak tego oczekiwałem. Leasingi bez zmian. Cole poczuł niepokój i spytał:

– Czemu, do cholery, siedzisz po nocy? Czy coś się stało? Riley podniósł się z krzesła.

– Właśnie zamierzałem zadać ci to samo pytanie.

– A to czemu?... O, myślisz o tym, że żary wam noc w środku tygodnia? Byłem u Adama i czas nam jakoś zleciał... Mówiliśmy o Jeffie i o jego wadach i zaletach. Słuchaj, Rileyu, ja... – dostrzegł grożący mu cios i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że Riley wie o Lacey. Dostał prosto w twarz i zatoczył się do tyłu.

– Ty skurwysynu! – syknął Riley. – Czekales, aż wyjadę i potem od razu wpakowales się na moje miejsce! – Jego pięść wystrzeliła ponownie, lądując na lewej kości policzkowej Cole'a. Z rany siknęła

krew. – No już, wymyśl jakąś bujkę, powiedz mi, że wcale nie sprowadziłeś tu sobie Lacey, ty zdradzieckie ścierwo!

Cole poczuł smak krwi, jego przednie zęby były chyba obruszone.

– Nic nie rozumiesz, wcale tak nie było, jak... – spostrzegł, że kuzyn zamierza go kopnąć, próbował uskoczyć, ale cios trafił go w pachwinę. Zwinął się, a wtedy but Rileya uderzył go po raz drugi, tym razem w bok głowy. Cole przewrócił się, uderzenie pozbawiło go tchu; czekał na kolejne kopnięcie w żebra; widział jak nadchodzi. Ból przeszył całe jego ciało. Prawie nie czuł już ciosów w ramię i w bark. Riley pochylił się i schwyciwszy obiema rękami marynarkę Cole'a podniósł go na nogi. Cole półprzymkniętymi oczyma widział, jak Riley zamachnął się pięścią.

– Nie przedstawiasz się najgorzej, ty bydlaku! Nie zaszkodzi ci złamany nos i jeszcze jedno podbite oko! Mógłbym ci bez trudu wywalić przednie zęby!

– No to do roboty, a może lepiej, żebyś od razu mnie zabił?! – wrzasnął Cole.

– I mam z twojego powodu iść do pierdła?! Nie jesteś tego wart!

Ustawił Cole'a możliwie prosto na uginających się pod nim nogach i trzasnął go pięścią w twarz. Roześmiał się, słysząc chrupnięcie złamanego nosa. Otwarta rana i puchnące gwałtownie oko rozbawiły go jeszcze bardziej.

– Z nami koniec. Cole. Jeżeli się kiedykolwiek do mnie zbliżysz albo odezwiesz, zatłukę cię. Doszło do ciebie?

Cole prawie nic nie widział i czuł, że zaraz straci przytomność. Próbował utrzymać się na nogach, ale nie był w stanie. Wyciągnął rękę w stronę krzesła stojącego przy biurku Rileya, żeby się o nie oprzeć i wyprostować. Cały świat wirował wokół niego. Wiedział, że ma połamane żebra. Starał się mówić, choć język miał spuchnięty a w ustach pełno krwi.

– Tak – wykrztusił – doszło. Ale następnym razem, jeśli w ogóle będzie, to ja zabiję ciebie. Zrozumiano?

– Z czyją pomocą? – odparł szyderczo Riley. Chwycił Cole'a za ramię i wyciągnął go na korytarz. – Wynoś się z mojego pokoju i nigdy tu nie wracaj, skurwielu! – Pchnął go obiema rękami, a potem kopnął w nasadę szyi. Cole dosłownie poszybował przez korytarz. Nie był w stanie złapać równowagi i stoczył się ze schodów.

Riley stał na górze, opierając się o barierkę z gorzkim, pełnym

nienawiści wyrazem twarzy.

– Jeśli myślisz, że wezwę pogotowie, grubo się mylisz. Leż tam i zdychaj, nic mnie to nie obchodzi.

Cole zastanawiał się, czy rzeczywiście jest bliski śmierci? Jeszcze nigdy nie odczuwał takiego bólu. Nic prawie nie widział, a twarz miał spuchniętą do monstrualnych rozmiarów. Dobrze wiedział, że nie jest w stanie zrobić ani kroku. Spróbuje się czołgać. Zostawiał za sobą krwawe ślady i kłął przez całą drogę do kuchni i na podwórze. Spodnie miał w strzępach, dłonie odarte ze skóry krwawiły, resztki marynarki zwisały z ramion. Dopiero czwarta próba otwarcia drzwiczek wozu powiodła się, a pięciokrotnie się ześlizgiwał, zanim udało mu się wgramolić do środka.

Jechał po omacku przez pola, kierując się raczej jakimś instynktem niż wzrokiem, dopóki nie natrafił na ranczo Janasów. Długie światła wozu rozjaśniały przed nim drogę. Kiedy ujrzał dom, przygniół całym swym ciężarem klakson. Ujrawszy, że w całym domu zapalają się światła, przestał trąbić i równocześnie zdjął nogę z pedału gazu i wyszarpnął kluczyki. Ponownie zwałił się na klakson. Zdawało mu się, że upłynęło kilka godzin, nim dobiegł do niego krzyk Adama.

– Pomóż, Jeff! – Poczul, jak dwie pary rąk unoszą go do góry.

– Co się, do cholery, stało?! – wrzasnął Adam, gdy znaleźli się w jasno oświetlonej kuchni. – Ciekaw jestem, jak wygląda twój przeciwnik! Kto cię tak urządził, Cole? Jesteś w strasznym stanie. Zabieram cię do szpitala!

– Nie! Sam możesz mnie opatrzyć. Owiń mi żebra plastrem. O nos się nie martw, już go raz złamałem.

– Rany na twarzy powinno się zaszyć. Co z twoimi oczyma?

– Widzę twoją paskudną gębę, czego chcesz więcej? – warknął Cole.

– Jeff, marsz na górę po apteczkę.

Oczy chłopca były szeroko otwarte ze zdumienia. Wyraz twarzy Adama i ton jego głosu sprawiły, że pomknął jak błyskawica po schodach. Facet, który dostał takie lanie jak ten, a mimo to zdołał dojechać tu w jednym kawałku, musiał być niesamowitym twardzielem! Jeff dałby nie wiem co, żeby zobaczyć, jak wygląda tamten drugi. Sapał z podniecenia wracając do kuchni; zdążył akurat usłyszeć, jak Adam spytał:

– Riley ci to zrobił? Nie mogę się doczekać, kiedy mi powiesz, jak

ty go urządziłeś!

– Nic mu nie jest. Nie tknąłem go nawet palcem. Tylko na niego patrzyłem. Należało mi się. Może byś tak zabrał się do moich cholernych żeber i przestał zadawać pytania?

– Poszło wam o dziewczynę, co? – ćwierknął Jeff.

– Aha – mruknął Cole.

– Pozwoliłeś, żeby rodzony kuzyn tak cię zmasakrował o jakąś cizię?! Nie wierzę! Mój stary opowiadał mi, jakie z was obu kozaki, a tu masz! – Na twarzy chłopca widać było niesmak.

– A co byś powiedział, jakbym wykitował? Bardziej by cię to rajcowało? Chłopiec szurał nogami, unikając wzroku Cole'a.

Mówienie sprawiało Cole'owi straszny ból, ale czuł, że z tego nieludzkiego lania może wyniknąć coś dobrego, jeśli potrafi jakoś dotrzeć do tego dzieciaka.

– Pozwoliłem tak się skatować, bo zrobiłem coś paskudnego. Dopuszciliem się wobec niego zdrady. Zasluguję na każde złamanie, siniak i ranę, którą mi zadał. Wracaj do łóżka, Jeff, i przemyśl to sobie.

Wyraz całkowitej dezorientacji na twarzy dziecka sprawił, że Adam uścisnął go za ramię. Zrozumiał intencje Cole'a. Jeff mruknął „dobranoc” i wyszedł z pokoju. Cole zauważył, że chłopiec obejrzał się przez ramię. Pokiwał mu niepewnie ręką, a Cole spróbował odwzajemnić pozdrowienie.

– Dzięki powiedział Adam cicho.

– Chcę ci się odwdzięczyć za opiekę medyczną.

– Mógł cię zabić, wiesz?

Cole próbował się roześmiać, ale zbyt go to bolało.

– Powiedział, że zrobiłby to, ale nie chce wylądować w kiciu. Zrzucił mnie ze schodów i oświadczył, że nie wezwie pogotowia.

– Jezu!

– Przysięgnij, Adamie, że to nie zniszczy twojej przyjaźni z nim!

– Jasne. Słuchaj, to wszystko, co mogłem zrobić. Przyłożę ci lód do twarzy i chyba będzie lepiej, jak się położysz do łóżka. Podrzemię sobie w fotelu, wiesz, będę czuwał nad tobą jak niania! – Adam bał się, że Cole zacznie protestować, ale tak się nie stało.

Podczas gdy Adam opatrywał Cole'a, Rilley stał pod lodowatym prysznicem. Prawie zabił swego kuzyna. Powinien coś odczuwać: satysfakcję czy wyrzuty sumienia z powodu tego brutalnego ataku.

Nie czuł jednak nic. Wiedział, że jest w stanie zabić, gdyby to było konieczne. Cole też nie był słabeuszem. W uczciwej walce nie wiadomo, kto by wyszedł zwycięsko. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia, do cholery!

Leżąc w łóżku i czując, że nie zaśnie, Riley zastanawiał się, co też Cole usiłował mu powiedzieć? Wiedział, że gdyby jego ktoś tak zaatakował, nieważne z jakiego powodu, walczyłby z przeciwnikiem. Skrzywił się z bólu. Jego japońska natura mówiła mu, że Cole okazał się lepszy od niego, znosząc ciosy bez względu na to, czy były one usprawiedliwione czy nie. Przypominał sobie raz po raz całe zajście. Fizycznie ucierpiał na tym Cole, ale w głębi duszy Riley w ten sposób masakrował samego siebie.

Co się stało, to się nie odstanie. Skończone. Należało już do przeszłości, jak wiele innych wydarzeń z jego życia. Trzeba iść naprzód i nie zastanawiać się nad tym, co było. Gdyby tylko mógł znaleźć jakiś cudowny sposób umożliwiający to, skorzystałby z niego. Ale nie ma takich sposobów, takich czarodziejskich leków. Trzeba samemu spłacać własne długi i wykorzystać każdą szansę.

Od czasu do czasu drzemał i przyśniło mu się, że Cole grzebie go żywcem pod stertą kwiatów wiśni. Podczas tej ceremonii wszyscy radośnie chichotali. Jedynie Cole się nie śmiał.

## Rozdział dziesiąty

Julie sama wymyśliła reguły tej gry. Grała w nią codziennie od chwili, gdy dostarczono jej automatyczną sekretarkę – prezent Cary’ego. Kiedy wracała z pracy do domu, nie wolno jej było nawet spojrzeć w kierunku stołu w salonie, na którym znajdowała się sekretarka, aby sprawdzić, czy migocze czerwone światełko. Odsuwała od siebie ten moment wieszając płaszcz, przeglądając pocztę, zrzucając swój biurowy strój i wkładając trykotową koszulkę i kapcie. Następnie zamykała oczy i wędrowała po omacku do kuchni. Przychodziła kolej na włączenie maszynki do kawy. Odmierzała dokładnie tyle, by starczyło na dwie porcje. Obok stało mleko pół na pół ze śmietanką i kubek z napisem „Mistrzynie Zakupów”. Z początku Julie potrafiła wyliczyć dokładnie, ile razy ścieknie kawowa strużka i przewidzieć co do sekundy moment, gdy woda zacznie lać się wartkim strumyczkiem.

Dziś pomyliła się i ostatnia strużka kawy spłynęła z sykiem na rozżarzony metal. Z filiżanką w rękę, powoli, Julie przeszła do salonu. Umieściła ostrożnie kawę na podstawce chroniąc blat stolika.

Dopiero wtedy wolno jej było spojrzeć w tamtą stronę! Maleńkie czerwone światełko mrugało zachęcająco. Przeczynała, że dziś będzie wiadomość! Cary dzwonił w każdy wtorek i czwartek, zawsze w środku dnia, gdy nie było jej w domu. Za każdym razem podawał godzinę, zanim odłożył słuchawkę. Albo obawiał się mówić z nią bezpośrednio, albo nie mógł dzwonić wieczorami, ponieważ Amelia była w domu. Julie nie po raz pierwszy zastanawiała się, jak też Cary wyjaśni te rozmowy, gdy przyjdzie ich wykaz w rachunku telefonicznym? Może zresztą dzwonił do niej z budki?

Kiedy po raz pierwszy wróciła do domu po zainstalowaniu automatycznej sekretarki, prawie zemdląła ujrawszy czerwone światełko. Był to zresztą telefon z firmy czyszczącej dywany: zawiadamiali, że skontaktują się z nią niebawem. Jak dotąd, nie spełnili swej obietnicy.

Julie lubiła przesłuchiwać nagrane na sekretarce wiadomości. Nie mogła się doczekać, kiedy je odtworzy. Mało brakowało, a żyłaby wyłącznie dla tej chwili, nie daj tego, Boże! Już koło trzeciej zaczynała mieć przeczucie, że na pewno dziś zostanie jakąś



wiadomość! Stuknęło jej już trzydzieści dziewięć lat, a taka jest infantylną! – strofowała sama siebie.

Serce waliło jej jak szalone, gdy włączała odtwarzanie. Rozległ się głos Cary'ego, wyraźny i energiczny, podobnie jak na poprzednich zapisach; przegrała je na mały magnetofon stojący koło jej łóżka. Późno w nocy odtwarzała sobie jego poprzednie telefony. Do tej pory uzbierała się spora kolekcja. Zawsze zasypiała potem z uśmiechem na twarzy.

– Mówi Cary Assante z Austin w Teksasie. – Żartobliwy ton jego głosu niezmiennie wywoływał uśmiech Julie. – Miałem dziś zamiar zadeklamować ci wiersz, ale kiedy zrobiłem generalną próbę, poczułem się jakoś głupio. Od razu muszę wyjaśnić, że to nie był mój wiersz, tylko coś, co wyczytałem w „Wieczornych Wiadomościach Mirandy”. Mają tam stały kącik poezji. Żebyś nie była rozczarowana, zadeklamuję coś innego. Taki wierszyk, który można komuś wpisać do pamiętnika: „Rozkwitają kwiatki na gruszy i wiśni. Zgadnij teraz szybko, kto o tobie myśli?” Ja o tobie myślę, Julie. Częściej niż trzeba. To chyba musi coś znaczyć? Nieraz żałuję, że nie mogę, ot tak, wyjść na ulicę i zderzyć się z tobą na rogu. Podniósłbym cię wysoko i okręcił na wszystkie strony, powtarzając w kółko „Julie, Julie, Julie!” całkiem jak Cary Grant. Wzięlibyśmy się potem za ręce i poszli do jakiejś zacisznej kawiarenki, gdzie można sączyć wino i gadać godzinami.

Amelia czuje, że coś jest nie tak. Poznają to po jej zachowaniu wobec mnie. Czasem mam ochotę pomówić z nią o tym, co do ciebie czuję. Myślę, że zrozumiałaby, albo przynajmniej starała się mnie zrozumieć. Ale pewnie nigdy o niczym jej nie powiem. Nie uważałem się dotąd za tchórza, ale wygląda na to, że nim jestem. Nie mogę skrzywdzić Amelii, ale nie krzywdząc jej, sprawiam ból samemu sobie i tobie też. Jest za piętnaście szósta. Niedługo wrócisz z pracy. Już widzę, jak słuchasz mojego nagrania. Strasznie chciałbym się z tobą zobaczyć, Julie. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek w świecie.

Sekretarka zazgrzytała. Nagranie było skończona. Julie wyłączyła aparaturę. Nagła cisza w pokoju zaskoczyła ją.

Dokładnie teraz, w tej właśnie sekundzie, Cary myślał o niej. Pragnął spotkania z nią bardziej niż czegokolwiek w świecie! Przeszkadzała mu w tym jedynie Amelia. Jego żona stała pomiędzy

nimi. Przez ułamek sekundy Julie życzyła Amelii śmierci. Nie, nie chcę tego! Dobry Boże, ja tego nie pomyślałam! Nie wiem, co mi się stało! Nigdy nie życzyłam nikomu śmierci! Wybacz mi, Boże! Wcale tego nie pragnę! – Co się z nią dzieje?...

Julie nie napisała dotąd listu z podziękowaniem, który zamierzała wysłać do Amelii i Cary'ego. Dzisiaj to zrobi, żeby nawet miała skonać! Tylko przedtem przesłucha znowu nagranie – może z dziesięć razy.

Nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby na swojej sekretarce zostawić wiadomość dla Cary'ego. Kilka zwykłych słów. Ale jeśli to zrobi, umocni jeszcze więź łączącą ją z Carym. Mogła też wyłączyć sekretarkę. Wyrwać ją z kontaktu, wsadzić do pudła i schować w szafie na półce. Nawet wyrzucić, żeby uniknąć pokusy włączenia jej z powrotem.

Julie żałowała, że nie ma żadnej serdecznej przyjaciółki, prawdziwej powiernicy. Kogoś, kto by jej spokojnie wysłuchał, nie osądzał ani nie potępiał.

Grzmociła pięściami miękkie poduszki leżące na kanapie. Amelia była taką dobrą, serdeczną, cudowną istotą! Ubóstwiam cię, Amelio, ale chyba zakochałam się w twoim mężu. – Waliła w pomarańczowe poduchy, dopóki nie zabrakło jej sił. Nie poczuła się dzięki temu wcale lepiej. Odwrotnie, zrobiło jej się gorzej. Siedziała w łóżku oglądając koniec nadawanych o jedenastej wiadomości. Nacisnęła pilota i przerwała komentatorowi w środku zdania. Skrzywiła się. Nie lubiła mężczyzn, którzy mieli artystycznie rozburzone fryzury. Zastanawiała się, jakiej też farby do włosów używa ten typek?

Na jej kolanach leżało grube czasopismo; wsparła o nie blok listowy. Postanowiła napisać, co jej przyjdzie do głowy. Już zbyt długo z tym zwlekała. Kiedy skończyła, odczytała stworzone przez siebie dzieło. Najpierw po cichu, potem na głos. Pociągnęła nosem, jakiegokolwiek to jest, musi wystarczyć!

*Moi drodzy, Amelio i Caryl*

*Wybaczcie mi, że nie napisałam do Was wcześniej. Możecie być pewni, że na zawsze zachowam otrzymaną od Was bransoletkę. Noszę ją codziennie i wiele osób już się nią zachwycało. Ogromnie jestem Wam wdzięczna, że zadaliście sobie dla mnie tyle trudu.*

*To uroczę z Twojej strony, Amelio, że zamówiłaś dla mnie, , Pod*

*Lwią Skalą „, tort urodzinowy. Od bardzo wielu lat nie dostałam prawdziwego urodzinowego tortu ze świeczkami!*

*Mam nadzieję, że oboje z Carym miewacie się dobrze i nie daliście się grypie, która skosiła połowę nowojorczyków. Moje biuro w zeszłym tygodniu było prawie wymarłe. Mnie na razie choroba nie złapała. Trzymam mocno palce, żeby nie zapeszyć!*

*Bardzo bym chciała spotkać się z Wami, jeżeli przyjdziecie do Nowego Jorku. Cary wspominał, że jest to możliwe.*

*Z wyrazami szczerzej przyjaźni Julie.*

Powinna za jednym zamachem napisać kilka słów do Thada i Billie. A może wsiąść jutro po pracy w pociąg do Waszyngtonu i złożyć im nie zapowiadzaną wizytę? Wiedziała, że się ucieszą. Mogła przenocować u nich i wrócić pierwszym rannym pociągiem. Zdaży akurat do pracy.

Musiała koniecznie z kimś porozmawiać, i to z jakąś kobietą. Któż nadawał się do tego lepiej niż Billie? Billie rozumieją. Billie nigdy nie osądzała bliźnich. Tego sobie właśnie życzysz, zrozumienia? A może jeszcze aprobaty? – odezwał się w jej mózgu cichy głosik.

– Jednego i drugiego – szepnęła Julie.

– A co? Zrobiłam wam niespodziankę – zawołała Julie, gdy Billie otworzyła jej drzwi następnego wieczoru.

– Julie! Jak cudownie znowu cię zobaczyć! Wchodź prędko, bo zimno! Czy coś się stało? – spytała niespokojnie Billie.

– Ależ nic! Przyjechałam, bo... stęskniłam się za wami. Chyba czułam się ostatnio trochę osamotniona. Potrzeba mi kogoś, kto by mi pomógł, pocieszy i innie... czy coś w tym rodzaju. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

– Przeszkadzasz? Ależ co znowu! Możesz u nas przenocować? Julie skinęła głową.

– Myślałam, że wrócę porannym pociągiem. Stryjek Thad w domu?

– Nie. Zazwyczaj zjawia się koło dziewiątej. – Billie skrzywiła się. – Jeżeli zależy mu na wolnym wieczorze, musi go zaplanować na kilka tygodni wcześniej. Nie mogę się doczekać chwili, gdy wreszcie odejdzie z Senatu! Naprawdę stęskniłam się za naszą farmą. Za Vermont i za psami.

– Doskonale cię rozumiem! Nigdy nie przypuszczałam, że będę

tęsknić za domem, ale tak jest. Coraz częściej zaczynam myśleć o powrocie.

Billie usłyszała niepokój w głosie Julie.

– Zjesz obiad, Julie? Upiekłam wcześniej kurczaka. Mam też wspaniałą sałatkę i „angielski placek”. Zazwyczaj nie czekam na Thada, więc jeżeli się do mnie przyłączysz. ..

– Z ochotą.

Billie krzątając się po kuchni, nakrywając do stołu i przyprawiając sałatkę gawędziła o tym i owym, starając się zmniejszyć napięcie Julie.

– Już się urządziłaś? Jak się czujesz w Nowym Jorku?

– Owszem, urządziłam się, ale jak ci już wspomniałam, myślę o powrocie do domu. Lubię Nowy Jork i odpowiada mi moja praca, ale...

– Wszystko jest dla ciebie takie obce? Poczekaj jeszcze trochę. Znajdziesz sobie przyjaciół, a Nowy Jork to takie cudowne miasto! Ciągle dzieje się w nim coś nowego!

– Przyjaciół mi nie brakuje. Tylko ja sama jakoś nie pasuję do tego miasta. Jestem widać typową małomiasteczkową dziewczyną. Słyszysz, co ja mówię? Dziewczyną! Jestem kobietą w średnim wieku! Mężczyźni nie przepadają... wolą młodsze... sama wiesz... – plątała się Julie.

– Julie, zbyt nisko się cenisz. Z pewnością jest ktoś stworzony właśnie dla ciebie, tylko jeszcze sienie odnaleźliście.

Julie wzruszyła ramionami.

– Może i masz rację, choć bardzo w to wątpię. Co o tym powiesz?

– Odgarnęła włosy z uszu, ukazując kolczyki, które Billie przysłała jej na urodziny.

– Że ślicznie w nich wyglądasz. Maggie twierdzi, że onyksy są ostatnio w modzie. Czy ci się naprawdę podobają?

– Ciociu Billie, ubóstwiam je! Nie masz pojęcia, ile osób się nimi zachwycało. Dałaś mi wspaniały prezent! Nie powinnaś tak się wykosztowywać, ale rada jestem, że to zrobiłaś.

Bransoletka też jest nowa – pomyślała Billie. A przynajmniej nigdy dotąd Julie jej nie nosiła. Ciągle jej dotykała, jakby zawadzała jej lub chciała ją zdjąć. Billie zmusiła się do uśmiechu.

– Bardzo często sama mówię coś podobnego. Jak minęły twoje urodziny? Uroczyście je obchodziłaś, czy też wolisz, podobnie jak ja,

żeby ci o nich nie przypomniano?

Julie nabrała powietrza głęboko w płuca.

– Spotkałam nieoczekiwanie w delikatesach Cary'ego Assante i zaprosił mnie na obiad dla uczczenia moich urodzin. Było bardzo przyjemnie. Zjedliśmy pyszny obiad w ich ulubionej restauracji. Dostałam od nich obojga tę złotą bransoletkę, a Amelia zamówiła dla mnie tort ze świeczką. Czułam się zażenowana, ale Cary wyjaśnił mi, że nie ma powodu: każdemu się należy urodzinowy tort! Cary jest ogromnie miły i świetnie się bawiłam. – Boże, skąd w jej głosie tyle zachwyty? Julie znowu głęboko odetchnęła.

Billie od lat nie widziała Julie tak podnieconej. Zazwyczaj była pogodna i opanowana. Ta nowa Julie po prostu tryskała radością. Billie musiała zadać sobie pytanie, co było tego przyczyną?

– Nic nie mówisz, Billie. Czy powiedziałam coś nie tak?

– Ależ skądże. – Billie pojęła, że Julie chce jej się zwierzyć. Przełknęła z trudem ślinę, czując co się zbliża i trochę się tego obawiając.

– Ciociu Billie... Muszę z kimś porozmawiać. Zorientowałam się, że Cary ogromnie mnie pociąga, a i ja jego też. Ubóstwiam Amelię, więc muszę... chcę... – Opowiedziała Billie o automatycznej sekretarce i swojej „grze w cierpliwość”. – Z jednej strony uświadamiam sobie, że igrzm z ogniem, ale z drugiej... nie potrafię zapanować nad swoimi uczuciami. Tak łatwo mogłabym zakochać się w Carym... I jeszcze nie... ja nigdy dotąd nie wierzyłam w te romantyczne bzdury o miłości... tak od razu... – pstryknęła palcem. – Nigdy przedtem nie czułam czegoś podobnego. Miałam przygody, romanse, nazwij to, jak chcesz. Nie jestem dzieckiem. On tak nagle wtargnął w moje życie... dosłownie wyciągnęłam tylko rękę i... Nie wiem, jak to wytłumaczyć – powiedziała Julie nieporadnie.

Billie usiadła naprzeciw niej.

– Tak, kochanie. Cary jest dobrym, wspaniałym człowiekiem i mężem równie dobrej i wspaniałej kobiety. Tych najlepszych zawsze już ktoś przed nami złapał! – dodała ze smutnym uśmiechem. – Muszę zadać ci pewne pytanie. – Zamilkła na chwilę i spojrzała Julie prosto w oczy. – Chcesz tylko o tym porozmawiać czy też przyszłaś po radę?

– Sama nie wiem. Chyba tylko porozmawiać. Sama potrafię dać sobie dobrą radę, którą bym na pewno od ciebie usłyszała. Sprawiam ci zawód, prawda?

– Proszę cię, nie myśl tak, Julie! Wiem, że takie rzeczy się zdarzają. Mnie samej kiedyś także się to przytrafiło, więc mówię z doświadczenia. Ale to może spowodować tyle złego... Ludzie, którzy nie zasługują na to, by ich krzywdzić, mogą zostać zniszczeni... Musisz być przygotowana na wszelkie konsekwencje... swojej decyzji.

W głosie Julie zabrzmiało wyzwanie:

– Dobrze o tym wiem! Nic innego nie robię, tylko myślę... o Carym i Amelii, o sobie samej... odkąd nieoczekiwanie się z nim spotkałam. To był przypadek, ciociu Billie! Ani ja nie miałam na to wpływu, ani Cary. Zupełnie jakby... jakby nam to było sądzone. – Nutka uporu w jej głosie sprawiła ból Billie. – A co ze mną, ciociu Billie? Co będzie ze mną?! Mam trzydzieści dziewięć lat. Spotkałam w końcu kogoś, z kim mogłoby mi być dobrze... kogo pragnę znowu zobaczyć i pomówić z nim. Dlaczego miałabym się tego wyrzekać? Wszystko widzę jasno! Nie spotkam się już pewnie nigdy z Amelią Assante. Ja też mam swoje pragnienia, swoje potrzeby. Do cholery, ciociu Billie, to niesprawiedliwe! Billie starannie dobierała słowa.

– Jestem starsza od ciebie, kochanie, może niekoniecznie mądrzejsza, ale przekonałam się przez te wszystkie lata, że nie ma co liczyć na to, iż los potraktuje nas sprawiedliwie. Tylko od nas samych zależy, czy postąpimy uczciwie czy też nie. Każde z nas musi podjąć własną decyzję. To nie rada, Julie, tylko stwierdzenie dobrze mi znanego faktu. Nie sądzę, byś mogła cieszyć się szczęściem, zrodzonym z czyjejś krzywdy, bez względu na to, czy wyrządzisz ją świadomie czy nieświadomie.

Julie skinęła głową.

– Dziękuję, że chciałaś ze mną o tym porozmawiać. Nie będę składać żadnych przyrzeczeń tobie ani sobie samej, ale głęboko wszystko przemyślę.

Serce Billie przestało szaleć. Julie obiecała jej więcej, niż Billie miała nadzieję uzyskać, choć trudno przypuszczać, że wszystko ułoży się jak najlepiej! Wstała po deserowe talerzyki i odwróciła się plecami, żeby Julie nie dostrzegła wyrazu jej twarzy. Niepokoila się o Amelię, ale nie należało się z tym zdradzać.

Obie kobiety siedziały nadal przy stole, gdy o wpół do dziesiątej powrócił Thad. Uścisnął i ucałował Julie, a ujrzawszy prawie niedostrzegalny znak, jaki dała mu Billie, chwycił udko kurczaka i przeprosił, że z nimi nie usiądzie, bo musi jeszcze przejrzeć całą stertę

pilnych dokumentów.

Kiedy w kuchni zapanował znów idealny porządek, Julie wymówiła się zmęczeniem i powiedziała, że marzy o gorącej, relaksującej kąpeli. Zamiast przyłączyć się do Thada, Billie włączyła telewizor: samą wizję, bez fonii. Wpatrzona w milczący ekran błędziła myślami gdzieś daleko. Julie... Amelia... Cary. Boże, dlaczego takie problemy muszą zdarzać się ludziom, których najbardziej kochała? W końcu Julie i Cary postąpią tak, jak będzie dla nich najlepiej. A Amelia zrobi to, co będzie najlepsze dla Cary'ego.

Amelia wróciła trochę po piątej. Rzuciła ciepłą wełnianą czapkę na wieszadło. Płaszcz zawisł na oparciu fotela w salonie. Lewy pantofel poszybował w stronę kominka, prawy wpadł do jadalni. Rękawiczki, torebka i szalik wylądowały na stoliku do kawy.

W mieszkaniu zaszła jakaś zmiana; nie chodziło tu o świeże kwiaty na stole! Cała atmosfera wydała się jej mniej napięta.

– Kochanie, wróciłam! – zawołała Amelia.

– Słyszałem! – odpowiedział Cary z kuchni. – Usiądź, nogi do góry, a pan domu zaraz ci poda herbatę!

Znużone oczy Amelii otwały się szeroko. Miała nadzieję, że Cary nie dostrzeże w nich błysku podejrzliwości, gdy stawiał tacę i nalewał herbatę.

– Dwie kostki – powiedział, wrzucając z wprawą białe sześcianiki do filiżanki.

– Pomyślałem sobie, że może zjemy dziś obiad na mieście? Prawdę mówiąc, zamówiłem stolik u Andrego na siódmą. Mamy jeszcze dwie godziny. Myślę, że nam dobrze zrobi taki wieczorny wypad. Zaczynałem już dostawać klaustrofobii!

– No to umówiliśmy się. – Amelia nie wiedziała, jaka jest przyczyna pogodnego nastroju męża, ale cokolwiek by to było, miała nadzieję, że potrwa dłużej. Oby zawsze Cary miał taki dobry humor!

– Jak ci minął dzień? – spytał Cary. Zabrzmiało to tak, jakby się tym naprawdę interesował. Odpowiedziała mu. Słuchał z uwagą. Kiedy skończyła, uśmiechnął się. – Jestem z ciebie bardzo dumny, Amelio. Niewielu ludzi podjęłoby się takiego trudnego zadania, jakie wzięłaś na siebie. Bardzo bym chciał jakoś ci pomóc. Wiem, że pragniesz zrobić to sama i podziwiam cię za to. Ale nie chcę, żebyś się zamęczała i żeby ucierpiało na tym twoje zdrowie. Pomyśl, w czym

mógłbym cię wyręczyć? Gotów jestem wkładać listy do kopert, naklejać znaczki, zanosić je na pocztę, cokolwiek!

– Nie startuję przecież w wyborach, Cary. Wierzaj mi, gdybyś mógł mi być pomocny, przykułabym się do ciebie kajdankami! I wcale się nie przemęczam. To, co robię, jest mi teraz bardzo potrzebne. Pojedziesz ze mną do Waszyngtonu, gdy wygłoszę tam swoją mowę?

– Dziecinko, nie odstąpię cię ani na krok! Wyobrażam sobie, jaką wywołasz sensację! Kiedy to będzie?

– Pierwszego marca. – Gdyby nie wpatrywała się tak w męża, nie dostrzegłaby prawie nieuchwytnej zmiany w wyrazie jego twarzy.

– Nie powinno to być zbyt męczące. Może polecimy w przeddzień, żebyśmy byli wypoczęci, a wrócimy pierwszym samolotem, jak tylko skończysz przemówienie?

– Inaczej to sobie zaplanowałam, Cary. Będę mogła się stąd wyrwać na trochę dłużej. Pomyślałam, że jak już tam będziemy, zwiedzimy dokładnie Waszyngton. Jak szaleć, to na całego! Billie i Thad na pewno nas zatrzymają na kilka dni. Może pobędziemy u nich jakiś tydzień? Nareszcie razem – uśmiechnęła się uwodzicielsko.

– Tydzień, powiadasz? Mnie to pasuje.

– Jesteś pewny? Nie masz żadnych innych planów?

– Gdybym nawet miał, to bym z nich zrezygnował, bo to jest ważniejsze – oświadczył Cary z nieco wymuszonym entuzjazmem.

– Więc umowa stoi. Kto pierwszy pod prysznic? Idź ty, bo nie znosisz, gdy łazienka jest zaparowana. Przejrzę tymczasem pocztę. Tylko nie siedź tam bez końca! Jestem głodna jak wilk!

– Ja też! Pięć minut, nie dłużej!

Serce Amelii rozśpiewało się z radości. Tydzień w Waszyngtonie z Carym i dwojgiem najlepszych przyjaciół na świecie, Billie i Thadem! Westchnęła ze szczęścia. Niekiedy sprawy same jakoś wracały do normy. Wystarczyło po prostu trochę cierpliwości.

Przejrzała korespondencję. Rachunki, reklamy, pocztówka z Ameryki Południowej. Amelia uśmiechnęła się. Riley wrócił już stamtąd Bóg wie kiedy!

Mała, seledynowa koperta schowała się pomiędzy zaproszeniem na uroczyste przyjęcie a rachunkiem za elektryczność. Amelia ujęła kartkę ostrożnie, jakby roilo się na niej od zarazków. Przeczytała liścik trzykrotnie. Ciężko opadła na wyściełane krzesło przy biurku.



Boże wielki, czy taki strzępek papieru może wyrządzić tyle złego? Oczywiście, że tak. Już to zrobił. Plecy Amelii zgarbiły się. Zbierając wszystkie siły ponownie się wyprostowała.

– To tylko list z podziękowaniem od bardzo miłej osoby. Nie myśl o tym więcej ! – mruknęła do siebie usłyszawszy, że Cary wychodzi spod prysznic.

Ostatnio nie rozbierała się w sypialni i nie biegła jak dawniej nago do łazienki. Teraz zanosila tam wszystkie swoje rzeczy, rozbierała się i ubierała przy drzwiach nie tylko przymkniętych, ale zamkniętych na klucz. Luźne fałdy skóry i blizna po wszczepieniu bypassów to widok przeznaczony jedynie dla jej oczu!

W restauracji Amelia grzebała tylko w leżącym na talerzu jedzeniu. Cary miał za to wilczy apetyt.

– Czy nie mówiłaś, że jesteś bardzo głodna? – zauważył.

– Byłam. Ale zjadłam spory lunch. No i dwa kawałki tego pysznego chleba, specjalności Andrego, razem z sałatką. Zawsze się na to połakomię i potem nie mam już apetytu na obiad.

– To jest pycha! – Cary wskazał na swój talerz. Amelia za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć, co mąż zamawiał. Chyba jakąś rybę w białym sosie. Nie miała też pojęcia, co sama zamówiła. Coś z kurczęcia. Tonęło w sosie śliwkowym, który wykrzywił jej usta. Po raz pierwszy w życiu zastanowiła się, czy oboje z Carym przypominają inne pary siedzące w restauracji. Małżeństwa można było rozpoznać od razu. Mąż i żona jedli, pili i mówili bardzo niewiele lub w ogóle nic, dopóki nie zjawił się rachunek i mała kobietka koniecznie musiała się dowiedzieć, ile pan i władca na nią wydał. Inaczej było z zakochaną parą: mogli pić sikacza i zagryzać jakąś straszną marynatą – i nawet by tego nie zauważyli! Podstawę uczyły stanowiły ciche szepty i intymne spojrzenia.

Cary odchylił się z krzesłem do tyłu.

– Dobry był obiadek! Powinienem dostać medal, że zmożem to wszystko! – pochwalił się jak mały chłopczyk.

– Powinieneś! Zamawiamy jakiś deser?

– Nie wiem jak ty, aleja owszem. Ten morelowy deser z płomyczkami, specjalność zakładu. I zamówmy więcej wina, dziecinko! – „Dziecinko”. Tak najchętniej zwracał się obecnie do żony. Amelia uśmiechnęła się. Pamiętała czasy, gdy nazywał ją

„swoją lalunią”. Bardzo jej się to podobało!

Cary zamówił deser i wino u kelnera. Był w wyśmienitym humorze.

– Widziałaś liścik z podziękowaniem od Julie? Bardzo to ładnie z jej strony, prawda?

Jego głos był wprost nieprzyzwoicie rozradowany. Amelia miała ochotę przechylić się przez stół i dać mu po gębie. Skinęła głową.

– Julie jest ogromnie miła – powiedziała szczerze.

– Wiem. Zdumiewające, jak łatwo się z nią rozmawia! I jest bardzo wesoła. Ma ogromne poczucie humoru. Potrafi nawet śmiać się z samej siebie. Większość kobiet myśli tylko o tym, jak zrobić karierę. Julie chyba znalazła już swoje miejsce w świecie i jest szczęśliwa. Mówiła mi, że podoba się jej Nowy Jork, ale czasami budzi w niej lęk. Powiedziałem jej, że ty za nim przepadasz. Ogromnie cię podziwia, dziecinko.

– Ona też mi się ogromnie podoba. Jest bratanicą Thada, cóż w tym dziwnego? – (Przymknij się, Cary! Zmień temat! Nic już nie mów, nie zniosę tego! Powinieneś usłyszeć własny głos! Paplesz jak zakochany nastolatek!).

– Bardzo wiele rozmawialiśmy na twój temat. Powiedziała, że masz cudowne stroje i umiesz je nosić. Podziwia twoje poświęcenie dla idei. Po prostu trudno uwierzyć, że Julie ma już trzydzieści dziewięć lat. Wygląda najwyżej na trzydziestkę, prawda? – pytał Cary nie dostrzegając cierpienia na twarzy żony.

– Tak, na trzydziestkę lub coś koło tego. Zupełnie się z tobą zgadzam. Popatrz, twój deser z płomyczkiem.

– Julie bardzo by się to spodobało! Zachowuje się zupełnie jak dziecko, kiedy zobaczy coś nieoczekiwanego lub niezwykłego. Czy wiesz, że ma własną kasetę filmu rysunkowego „Czarodziejski smok Dymek”? Zawsze go ogląda, kiedy chce sobie poprawić nastrój. Czy to nie zdumiewające?

Amelia zgrzytnęła zębami. Poprawić nastrój, akurat! Nie będzie z tym walczyć! Nie da rady!... Gdybyś mógł się sam usłyszeć, Cary!

– Nie uważam, żeby to było takie zdumiewające. Po prostu bardzo mądrze ze strony Julie, że wie, przy czym się może odprężyć, choćby to był nawet głupi film rysunkowy.

Cary zatrzymał łyżeczkę w pół drogi do ust.

– Dlaczego uważasz, że to głupi film?

– Czy wszystkie filmy rysunkowe nie są naiwne? I stworzone po to, żebyśmy się z nich śmiali? Właśnie dlatego uważam je za niemądre.

– Myślałem, że się naśmiewasz z Julie – powiedział cicho Cary.

– Czy teraz, kiedy już wiesz, że wcale tak nie jest, poczułeś się lepiej? Zawsze warto otwarcie pomówić o takich drobiazgach, inaczej rozrastają się do monstrualnych rozmiarów – zauważyła Amelia słodko.

– Masz rację, dziecinko. Kiedyś się wreszcie nauczę nigdy z tobą się nie spierać. Masz zawsze rację.

– Nie zawsze. Ale przeważnie. – Amelia zmusiła się do śmiechu.

– Nie jesz deseru. Przydałoby ci się trochę mięsa na kościach, dziecinko. No. spróbuj tylko: jest pyszny.

Amelia zanurzyła łyżeczkę w gęstej morelowej mazi. Trochę mięsa na kościach. Jaku puszystej Julie! Okazałej Julie. Pызatej Julie. Biodrzastej Julie. Julie z prawdziwymi piegami. Julie ze wspaniałym poczuciem humoru. Julie o śmiejących się oczach. Była kiedyś piosenka o śmiejących się oczach. Śpiewał ją Frank Sinatra – tylko że Cary leżał wtedy w pieluszkach. Amelia poczuła wstręt do własnych myśli.

Zmusiła się do zjedzenia całego deseru.

Minęły całe dwa tygodnie, zanim Cole wrócił jako tako do formy. Następnego dnia po wypadku Adam zmusił go do odwiedzenia szpitala. Zaszyto mu rany i złożono nos. Student odbywający praktykę szpitalną pogratulował Adamowi dobrej roboty, jeśli chodzi o unieruchomienie żeber, ale mimo to zrastały się one bardzo wolno. Jedynymi śladami pobicia było już tylko kilka ciemnych sińców na twarzy. Cole maskował je przyciemniającym żelem.

Przez cały ten czas jego noga nie powstała w Sunbridge. Teraz zaś wracał tylko po to, by zabrać swoje rzeczy. Ubiegłe tygodnie były dla niego prawdziwą męczarnią; starał się unikać Rileya tak, żeby nie było to zbyt rażące.

Nalał trzeciego drinka, by dodać sobie odwagi przed ostatnią próbą wyjaśnienia wszystkiego Rileyowi. Po dwóch tygodniach każdy powinien trochę ochłonać, nawet Riley – myślał. Sam był prawie spokojny. Początkowo sprzeczał się z Adamem, twierdząc, że Riley nie będzie go słuchać, po co więc ma się narażać na kolejny atak?

Adam oczywiście znalazł na to znakomitą odpowiedź:

– Musisz spróbować to wyjaśnić, żebyś wiedział, że zrobiłeś co w twojej mocy. Jeżeli Riley nie będzie cię słuchał, to już jego problem, nie twój. Zrób to dla samego siebie, Cole!

Cole wtargnął do pokoju Riley'a koło północy. Trzy kieliszki burbona, jeden po drugim, dodały mu odwagi, by zastosować się do rady Adama.

– Odłóż to, czym się teraz zajmujesz. Muszę z tobą porozmawiać, jak mężczyzna z mężczyzną. Nie jesteśmy już smarkaczami. Wysłuchasz mnie, choćby to miała być nasza ostatnia rozmowa.

Riley odwrócił się od biurka, przy którym usiłował napisać list do dziadka. Nawet ta niepożądana wizyta sprawiła mu ulgę, pozwalając odłożyć na potem ciężki obowiązek.

– Wszystko już sobie powiedzieliśmy. Nie każ mi zmieniać tutejszych tradycji i nie zmuszaj mnie do zamykania drzwi!

– Nigdy jeszcze nie byłeś tak cholernie uparty! Zgadza się, że to było świństwo. Ale, o Boże, ona weszła mi do łóżka w środku nocy! Z początku myślałem, że to tylko sen. Kiedy zorientowałem się, że tak nie jest, było już za późno. Cała nienawiść, jaką masz do mnie, jest bez powodu! Chciałem ci o tym sam powiedzieć i pewnie bym to zrobił, ale nie zdążyłem. To było wstrętne. Dobrze o tym wiem. Dałbym nie wiem co, żeby to odrobić, jakoś cofnąć czas, żeby się to w ogóle nie zdarzyło ale przecież nie mogę! Powiedziałem Lacey, że między nami absolutnie wszystko skończone. Właśnie dlatego wyjechała. Jezu, czy ty nie możesz tego zrozumieć?! Ona cienie kochała! Po prostu wykorzystywała cię! Nie można nikogo zmusić do miłości! Lacey to wreszcie zrozumiała. Dlaczego ty nie potrafisz?!

– Wynoś się stąd do wszystkich diabłów, Cole! Niczego od ciebie nie chcę!

– Nie musisz niczego chcieć! Nic ci przecież nie proponuję! Staram się tylko wyjaśnić! Znowu się odezwała ta dawna rywalizacja między nami, co? Ja o niej zapomniałem, dlaczego ty nie możesz?! Lacey jest w Nowym Jorku, pewnie bawi się jak szalona, a my się tu przez nią kłócimy! To dziwka! Zrozum, tak mnie napaliła, że nie mogłem nic na to poradzić!

– Oszczędź sobie gadania! Już i tak słyszałem więcej niż trzeba! Wynoś się, zanim cię wyrzucę!

– Jak będą teraz wyglądały nasze kontakty w pracy?! Będiesz mnie unikał ile wlezie. A ja będę się z tobą cackał jak ze śmierdzącym jajkiem, ciągle tylko uważał, czy nie powiedziałem czegoś nie tak! Opamiętaj się, Riley! Nie zachowuj się jak gówniarz!

– A ty nie zachowałeś się jak gówniarz wciskając za moimi plecami różne kłamstwa mojemu dziadkowi? Kto ci pozwolił korespondować z nim, wkradać się w jego zaufanie? Odpowiadaj, sukinsynu! Stary Pan nie tylko powtarza w listach, jaki to z ciebie wspaniały młody człowiek, jakie mam szczęście, że jestem z tobą spokrewniony! Myślałeś, że o tym nie wiem?! Wiem o wszystkim! Nie tylko jesteś złodziejem, ale i oszustem! Jeżeli już nigdy cię nie zobaczę ani nie usłyszę, będę bardzo szczęśliwy!

– Opowiadałem kłamstwa twojemu dziadkowi, bo chciałem zmniejszyć ból, który mu zadałeś! Wmawiałem mu, że ciebie nie ma w mieście, że wyjechałeś, wszystko, co tylko mogłem wymyślić, żeby sądził, że harujesz od rana do nocy. Robiłem to dla ciebie, – ty dupku! Stary Pan nie zasługuje na takie traktowanie! Już się go wstydzisz, co? Chcesz zostać tu ze wszystkimi bogatymi, ważnymi Colemanami! Spodobało ci się tutaj! Jesteś dumny, że babcia Billie powierzyła ci prowadzenie naszych interesów?! Chciałbyś być ostoją Colemanów, co? Przyznaj sam! Nic cię już nie obchodzi tamten stary i wszystko, co sam stworzył! Zrobił to dla ciebie, a ty na to naplułeś. I na niego też! Nie masz najmniejszego zamiaru wrócić do Japonii – widzę to po twoich oczach! Umiesz bardzo przekonywająco gadać, ale brak ci odwagi, żeby uczciwie postąpić! Żałuję, że tu przyszedłem. Mam nadzieję, że zostaniesz tu na zawsze, bo okazuje się, że jesteś naprawdę tylko Colemanem! Jesteś wart dokładnie tyle co oni wszyscy!

– Zamknij się, Cole! Nie wciągaj do tego mojej rodziny!

– Której rodziny? Colemanów czy tych drugich, na których się wypiąłeś? No, jakiej rodziny? Gówno z ciebie, a nie wnuk. Możesz nie wstawać. Zachowaj sobie takie grzeczności na inną okazję. Jeśli jeszcze kiedykolwiek się spotkamy, to któregoś z nas szlag trafi.

– Spieprzaj stąd! – wrzasnął Riley. Cole w drzwiach odwrócił się.

– Nie wrócę tu. Jutro rano przeniosę się do apartamentu w Mirandzie. Sunbridge jest do twojej wyłącznej dyspozycji, koleś! Calutkie. Nie chciałem go nawet wtedy, Kiedy moja matka przepisała je na nas obu. Teraz też nic chcę. Ud jutra należy tylko do ciebie.

– Nie chcę od ciebie niczego! – ryknął Riley.

– To fatalnie – zaśmiał się Cole – bo jest twoje, chcesz czy nie chcesz.

Riley siedział przez dłuższy czas za biurkiem. Nawet nie próbował powstrzymać łez, płynących mu po policzkach. Zmiał w rękę rozpoczęty list. Pstryknął dwoma palcami jak przy dziecinnej grze w kuleczki. Papier wylądował na skraju kosza od śmieci, a potem wpadł do środka. Podobnie postąpił Riley z listem od dziadka.

Był już najwyższy czas, by podjąć decyzję.

## Rozdział jedenasty

Zaraz po wylądowaniu na lotnisku Heathrow Rand zatelefonował do swojego adwokata zawiadamiając go, że już do niego jedzie. Przemknął przez odprawę celną i wezwał taksówkę. Był typowy mokry i zimny londyński dzień. Mimo ciepłego płaszcza Rand czuł dreszcze i marzył o tym, by znaleźć się znów na Hawajach, na plaży razem z Maggie.

Hiram Laskey był chyba starszy niż Matuzalem, tak przynajmniej uważał Rand, wiek jednakże nie osłabił jego inteligencji ani bystrości wzroku.

– Wygląda na to, że masz jakieś kłopoty, Randzie – powiedział drżącym głosem. ~ W czym mogę ci pomóc?

– Chciałbym dokonać pewnych zmian w moim... po prostu pewnych zmian – powiedział wymijająco Rand. Teraz, gdy już tu był, pożałował, że w ogóle przyjechał. Mógł najpierw przeprowadzić śledztwo, a dopiero potem zwrócić się do prawnika. Dojdzie on z pewnością do takiego samego wniosku jak on, że to wszystko bujda. A poza tym Hiram nie należał chyba do ludzi, którzy zdołaliby go zrozumieć. Był taki okropnie stary! Niewielka, łysa głowa i rzadka bródka poplamiona zupą pomidorową działały Randowi na nerwy. Tak samo jak przybrudzony krawat. Prawnik ubrany był w ten sam podniszczony garnitur, który Rand znał od lat. Najwyraźniej Hiram nie szastał pieniędzmi na krawca czy fryzjera.

Głos adwokata był łagodny, znikło z niego drżenie.

– Może poczujesz się mniej skrępowany omawiając problem, który wprawia cię w taką rozterkę, z kimś młodszym ode mnie? Zapewniam cię, że nie poczuję się wcale urażony. Prawdę mówiąc, zdecydowanie na to nalegam. – Udał, że się namyśla, przebierając palcami. – Arthur Mittington powinien okazać się kimś odpowiednim. Jego gabinet znajduje się na końcu korytarza. Powiedz mu, że to ja cię przysłałem. Sądzę, że będzie się wam dobrze rozmawiało.

Rand poczuł wstyd. Nic mu ostatnio nie wychodziło jak należy! Ale starszy pan miał rację. Powinien pomówić z kimś, w czyjej obecności czułby się swobodniej.

– Bardzo miło było mi znów pana spotkać, Hiramie.

W głosie starszego pana znów odezwało się drżenie.

– Nie będzie ci tak znowu miło, kiedy dostaniesz od nas rachunek. A w odpowiedzi na pytanie, którego mi nie zadałeś, zdradzę ci, że mam dziewięćdziesiąt jeden lat. I będę praktykował do setki. Mogę ci to wyjawić, kiedy już przekazałem cię w kompetentne ręce Arthura. Nie wolno ci tylko pod żadnym pozorem zdradzić mu, ile mam lat. Wiem, że od wieków trwają na ten temat zakłady.

Uścisk dłoni starca był prawie równie krzepki jak Randa.

Arthur Mittington przypominał z wyglądu gracza w rugby. Zdaniem Randa miał koło czterdziestki i niezłe się trzymał. Wyszedł na powitanie zza biurka z wyciągniętą ręką. Randowi spodobał się jego garnitur w jodełkę, prawdopodobnie szyty na Carnaby Street.

Arthur wysłuchał uważnie opowieści Randa. Gdy ten na zakończenie uniósł ręce w górę i powiedział: – I to wszystko – adwokat uśmiechnął się.

– Doskonale rozumiem, co pan przeżywa. Uważam też, że podjął pan słuszną decyzję, chcąc wszystko sprawdzić osobiście. Jeżeli wynajmiemy kogoś w tym celu, może to skomplikować sprawę. Jest pan stroną zainteresowaną, że tak powiem. Zatem będzie miał pan wiadomości z pierwszej ręki i sam będzie mógł przyjrzeć się wszystkiemu. Prywatni wywiadowcy na ogół podchodzą do sprawy całkiem bezosobowo, a nie sądzę, żeby to panu odpowiadało. Czy wolno mi zapytać, co zamierza pan uczynić, jeżeli okaże się, że to wszystko prawda?

– Jeszcze nie sięgam myślą tak daleko. Nigdy przedtem nie byłem niczym ojcem.

Arthur roześmiał się.

– A ja owszem, i mogę panu powiedzieć, że to nie przelewki! Wyznam panu też, że za każdego z moich czterech smyków dałbym się porąbać na kawałki. Jak człowiek widzi, że rośnie obok niego ktoś z jego krwi i kości, życie nabiera zupełnie nowych wymiarów. Nie znaczy to, że każdy ma identyczne odczucia, ale jestem przekonany, że jeśli panna Brighton okaże się pańską córką, zrobi pan dla niej wszystko, co panu serce podyktuje. Proszę się ze mną skontaktować, jeżeli będę mógł w czymś panu pomóc. Podam panu mój domowy telefon. Niech się pan nie krępuje i dzwoni, choćby tylko po to, żeby ze mną pogadać. Zdaje się że wy, Amerykanie, nazywacie to „wywnętrzaniem się”?

– Chyba tak.



Zmarnował dwie godziny i niczego nie osiągnął! Być może jednak nie należało lekceważyć ewentualnych korzyści z nowo zawartej znajomości – zauważył w duchu Rand.

Podjechał taksówką do hotelu Dorchester. Zgłosił się w recepcji, sam wniósł swój bagaż do windy i udał się do pokoju. Był zmęczony. Prysznic, podany na górę obiad i jedna czy dwie whisky powinny zapewnić mu sen. Wystarczy, jeśli zajmie się jutro rano tym, co miał zamiar zrobić.

Wynajęta przez Randa na cały dzień taksówka z piskiem opon zahamowała przed głównym wejściem do sierocińca, w którym Chesney spędziła swoje dzieciństwo. Był to ponuro wyglądający budynek z niewielkimi oknami, zbudowany z szarego kamienia. Rand nie próbował sobie nawet wyobrazić uczuć dziecka, przywiezionego do tej starej, groźnej fortecy. A Chesney żyła tu latami. Poczuł, że serce ściska mu się z bólu. Jak zdoła kiedykolwiek jej to wynagrodzić?

Wnętrze budynku nie robiło korzystniejszego wrażenia. Było tu wilgotno i chłodno. Wszystkie krzątające się w nim kobiety miały na sobie grube wełniane bluzki albo swetry. Nikt nie zwrócił uwagi na Randa. Błądził po długich korytarzach, zaglądając do skąpo umeblowanych pokoi. Przeważnie były to różne pomieszczenia administracyjne. Zastanawiał się, jak dużo bezdomnych, nie chcianych dzieci tutaj mieszka. Pewnie całe setki.

Korytarz rozgałęział się na prawo i lewo. Rand poszedł na prawo. Sale lekcyjne. Zajrzał do jednej z nich przez niewielką szybkę. Mniej więcej dwadzieścioro dzieci. W wieku pięciu lat czy coś koło tego. Zbyt małe na to, by znosić samotność! Wszystkie ubrane identycznie. Rand zmarszczył czoło. Czyżby umyślnie tak ubierano dzieci, żeby zatraciły własną osobowość? Czy stawały się tylko kolejnymi numerkami statystycznymi? Miały własne nazwiska czy też nadawano im jakieś? Szkoda, że tego nie wiedział. Z drugiej strony, może je ubierano jednakowo, żeby żadne nie uważało, że jest lepsze od innych? Rand potrząsnął głową. Sam już nie wiedział co myśleć. Nieco dalej zajrzał do innej klasy. Tutaj dzieci były starsze. Wydawały mu się jednak również identyczne. Nie dostrzegął džinsów czy adidasów. Stał dłuższą chwilę przyglądając się. W żadnym dziecku nie było śladu ożywienia, ani żdźbła radości życia. Z całą

pewnością nie miały one słonecznego dzieciństwa. Jak tym dzieciakom spodobałyby się Hawaje! Nieustanne słońce. Ciepło i radość. Rand poczuł się wprost chory.

Jak to możliwe, że Chesney, dziewczyna o ciepłym spojrzeniu i łagodnym uśmiechu, wywodziła się z takiego miejsca? Gdyby on sam spędził tu osiemnaście lat i potem nagle odkrył, kim byli jego rodzice, urządziłby istne piekło! Chesney niczego nie żądała, o nic nawet nie poprosiła. Zjawiała się nieoczekiwanie w jego życiu i nagle zniknęła. Jego samopoczucie pogarszało się z minuty na minutę.

Wędrował korytarzami coraz dalej i dalej. Chciał opuścić to ponure miejsce, ale nie mógł zdobyć się na to, by stąd wyjść. W końcu podszedł do drzwi z napisem KIEROWNIK. Zastukał i od razu otworzył.

– Czym mogę służyć? – spytał sympatyczny głos.

– Chciałbym uzyskać jakieś informacje o Chesney Brighton – odparł Rand. Szczupła kobieta zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów; wyczytał w jej oczach wyraźną niechęć. Trudno się temu było dziwić.

– A tak, Chesney – powiedziała kierowniczką mniej ujmującym tonem. – Bardzo dobrze ją pamiętam. Była wspaniałym dzieckiem. Zawsze posłuszna, nigdy ani jednego bezczelnego słowa.

– A co by się stało, gdyby była mniej posłuszna lub bezczelna? – spytał cicho Rand.

– Oczywiście, zostałaaby ukarana. Jesteśmy dumni z zachowania naszych wychowanków. Każde dziecko, najwcześniej jak tylko można, powinno zorientować się, że życie w normalnym świecie to nie zabawa. Dajemy naszym wychowankom porządne wykształcenie i wychowanie. Wszystkie dzieci mają swoje obowiązki, a starsze oczywiście opiekują się młodszymi. Chesney świetnie radziła sobie z maluchami. Opowiadała im bajki i umiała je rozbawić. Sama bardzo często się uśmiechała, ale nigdy nie śmiała. Ciekawam, dlaczego akurat przyszło mi to na myśl?

Chesney odwiedza nasz sierociniec. Na Boże Narodzenie przynosi furę prezentów. Wydaje na nie chyba całą swoją pensję! To naprawdę wyjątkowa dziewczyna. Większość naszych wychowanków nigdy tu nie wraca i przyznam, że nie mam im tego za złe. – Kierowniczką przerwała i spojrzała na Randa. – Czy jest pan jej ojcem?

– Sam nie wiem.

– Jeśli pan nim jest, to dość późno wybrał się pan w odwiedzin. Naprawdę przydałby się jej pan wiele lat temu. Nie wiem, co teraz mógłby pan zrobić dobrego – powiedziała kwaśno.

– Ja również nie mam pojęcia. Dopiero teraz się dowiedziałem. To oczywiście żadne usprawiedliwienie, ale gdybym wiedział wcześniej...

– Wszyscy tak mówią. Przepraszam, że tyle we mnie goryczy. Widzi pan, tak wielu mężczyzn i kobiet zjawia się tu w nagłym ataku wyrzutów sumienia! Nagle zdają sobie sprawę z tego, że ich rodzone dziecko żyło jak w więzieniu albo zostało zmuszone do samotnej walki o byt, i żałują tego, o zrobili. Powiedziałam już panu wszystko, co wiem o Chesney.

– Dała mi adres swojej matki – rzekł Rand.

– Ja...

– Jeżeli pan zdecyduje się skontaktować z nią, proszę to zrobić w środku dnia, żeby nie niepokoić jej rodziny. Chesney zwierzyła mi się, że matka nie była zachwycona jej odwiedzinami. Bardzo mi było jej żal. Wszystkie dzieci marzą o rodzicach, którzy tylko czekają, żeby zjawily się na ich progę. Pragną być utulone i poczuć się kochane. Staramy się pieścić je i okazywać im naszą miłość, ale to nie to samo. Dzieci zdają sobie z tego sprawę i ciągle żyją tylko nadzieją.

– Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Nie znam nawet pani nazwiska.

– Ardeth Wilkes. To nieważne, czy je pan zna, czy też nie. Przecież nigdy pan tu nie wróci.

– Do widzenia, pani Wilkes.

– Panno Wilkes. Nie jestem zamężna. Ten dom i te dzieci to cała moja rodzina. Do widzenia panu.

Jadąc do Stepney Green Rand złożył głowę na oparciu i przymknął oczy. Nigdy jeszcze nie czuł się tak podle. Zasługiwał na Bóg wie jakie cięgi! W tej chwili śmierć wydałaby mu się wybawieniem. Nie miał wcale ochoty na rozmowę z matką Chesney.

– Jesteśmy na miejscu, szefie! – odezwał się wesoło kierowca. – Chciał pan, żebym się zatrzymał na rogu, no to ma pan ten róg. Poczekam tu na pana.

Była to schludna dzielnica. Domy prawie się od siebie nie różniły, co najwyżej kolorem. Przy chodniku stał rząd drzew. Maggie powiedziałaby pewnie, że uliczka jest malownicza. Mieszkali tu

niewątpliwie ciężko pracujący ludzie.

Rand z trudem przełknął ślinę, zanim zastukał do drzwi. Czuł się jak na rauszu i nadal trochę go mdliło.

Ta kobieta musiała być kiedyś śliczna. Teraz wyglądała na przepracowaną i znużoną. Wychować pięcioro dzieci mając do dyspozycji tylko zarobki męża stolarza nie było pewnie łatwo. Uśmiechnęła się i wówczas Rand przypomniał ją sobie.

– Jestem Rand Nelson – przedstawił się.

– Poznałam cię. Wejź.

– Jakim cudem mnie poznałaś?

– Każda kobieta pamięta swoją pierwszą miłość. Wyglądałeś zabójczo w mundurze! Dałam Chesney naszą fotografię. Sama nie wiem, po co ją tak długo przechowywałam. Pewnie przez głupie sentymenty.

– Musiałaś się zdziwić, kiedy się zjawiała.

– Zawsze przeczuwałam, że się kiedyś zjawi. Gdy dowiedziałam się, że wyszła ta ustawa pozwalająca sierotom na poszukiwanie rodziców, wiedziałam, że tak będzie.

– Jak się poczułaś na jej widok?

– Okropnie! Tak bardzo pragnęłam przytulić ją i nie wypuszczać z ramion! Powiedzieć jej, że wszystko już będzie dobrze, że musi przenieść się tu i zamieszkać razem z nami! Ale nie mogłam tego zrobić. Mój mąż nigdy by mi tego nie wybaczył. Porzuciłby mnie, a jak zdołałabym sama wychować pięcioro dzieci? Rozmawiałam z Chesney jak z obcą osobą. Serce mi się rozdzierało. Ciągle jeszcze płaczę, kiedy o tym pomyślę.

– Powinnaś była ją przytulić! Powinnaś była przynajmniej raz zachować się jak prawdziwa matka! – wybuchnął Rand.

Kobieta cofnęła się o krok.

– Chwileczkę. Jakie masz prawo zjawiać się tu i mówić mi, co powinnam, a czego nie powinnam? Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata? Wy, szykowni piloci, umieliście tylko zawrócić dziewczynie w głowie, a potem już was nie było! Nie mam obowiązku tłumaczyć się z niczego ani przed tobą, ani przed nikim innym! Masz szczęście, że w ogóle chcę z tobą gadać.

– Przepraszam. Nie miałem prawa nic mówić. Tylko byłem dziś rano w sierocińcu i wyszedłem stamtąd po prostu chory.

– Ja też tam byłam po wizycie Chesney.

– Dałem ci wtedy pieniądze. Dlaczego postanowiłaś... nie zdecydowałaś się...

– Zabić dziecka? Po pierwsze dlatego, że to byłby grzech. A poza tym nie było doktora, który by się tego podjął i nie chciałam zdychać z głodu. Za te twoje pieniądze zdobyłam na czarnym rynku dokumenty tranzytowe. Czerwony Krzyż pomógł mi wrócić do Anglii. Ciebie to nic nie obchodziło. Pamiętam, jak zamasyście pomachałeś mi ręką na pożegnanie. Pewnie ani razu o mnie nie pomyślałeś, póki Chesney cię nie odnalazła.

Tak było rzeczywiście.

– A poza tym kochałam cię. Nie mogłam zabić naszego dziecka. Zrobiłam to, co uważałam za najlepsze dla niej. Przesyłałam jej drobne prezenty, bo nie stać mnie było na coś większego, z okazji jej urodzin i na Gwiazdkę. Chesney powiedziała mi, że zachowała je wszystkie. A w dniu urodzin zawsze piekłam tort i tłumaczyłam mojej rodzinie, że to dla starej cioci, której nie widziałam od lat. Tyle tylko mogłam zrobić.

– Nie wiedziałem – powiedział Rand zdławionym głosem.

– A gdybyś wiedział, to co byś zrobił?

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze.

– Jakoś mi się wydaje, że nie bardzo wierzysz, żęto twoja córka.

– Z początku w to nie wierzyłem. Niewiele pamiętam z tamtych czasów. I wydawało mi się, że musiałbym w jakiś sposób przeczuwać, że mam dziecko. Moja żona tłumaczyła mi, że wyłącznie kobiety posiadają taki instynkt – Miała słusność. Czy chcesz, żebym ci powiedziała coś, co by ci dowiodło, że... byłeś wtedy jedyny?...

– Nie musisz mi niczego udowadniać. Wiem, że byłaś dziewczicą. Nie należałaś do tego typu dziewcząt, co... co chodzą z kilkoma na raz. Wiedziałem, że byłaś we mnie zakochana, chociaż nasza miłość nie miała żadnej przyszłości. Musiałem odejść, mogłem zginąć. Udało mi się całkiem zapomnieć o tamtych czasach. Nawet nie wiem, kiedy są jej urodziny.

– Dziewiątego września. Gezy kobiety złagodniały.

– Mieliśmy własne żarty i powiedzonka, lubiliśmy się z nich śmiać. Zachowałam wszystkie w pamięci. Mam ci przypomnieć, a może przypomnisz sobie sam? Często wspominaliśmy swoje lata dziecięce i opowiadaliśmy o naszych psotach.

– Rozmawialiśmy o naszych przyjaciółach, o zwierzętach? O

moim kocie?

– To była zabawka. Najdroższa Sally.

Rand omal nie zemdlął. Kobieta podtrzymała go i podprowadziła do krzesła. Rand wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że odbyli całą rozmowę na stojąco.

– A ty miałaś prawdziwego, żywego kota – powiedział cicho. – Nazywał się Mruczek.

– Tak. Jesteśmy oboje rodzicami Chesney, Randzie. Co teraz zrobisz, to już wyłącznie twoja sprawa. Mam rację?

Rand nie ufał swemu głosowi, więc skinął głową.

– I może napiszesz czasem, co tam u ciebie? Lepiej na poste restante. Jeżeli się na to zdecydujesz, napisz pierwszego, żeby nie musiała codziennie latać na pocztę.

Rand ponownie skinął głową.

– Może nie jesteśmy wcale potrzebni Chesney – powiedział. – Nie prosiła o nic. Powiedziała tylko, że powinienem wiedzieć, że mam córkę. Że ona nią jest.

– Mnie powiedziała to samo. Naprawdę nie wiem, czy jesteśmy jej potrzebni. Może już na to za późno. Niezależna z niej dziewczyna. Chyba lepiej, jak już sobie pójdiesz. Proszę, nie przychodź więcej. Jeżeli będziesz musiał się skontaktować, zrób to listownie.

– Bardzo mi przykro – powiedział Rand.

– Mnie też. Teraz twoja kolej, żeby to odrobić, jeżeli nie jest już za późno. Do widzenia, Randzie.

Znalazłszy się z powrotem w hotelu Rand usiadł, kryjąc głowę w dłoniach. Po prostu pękała od nawału myśli. Tyle rzeczy trzeba będzie odrobić! Czy to potrafi? Z pomocą Maggie mogło się to udać. Sam pewnie nie zdołałby tego zrobić.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Arthura Mittingtona. Wymienili kilka uprzejmych słów.

– Chciałbym, żeby pan aż do odwołania przysyłał pierwszego każdego miesiąca po pięćset funtów matce Chesney. Na poste restante. Nie wiem, czy to mądrze czy głupio z mojej strony. Wiem tylko, że muszę tak postąpić.

– Załatwione. Czy mam załączyć jakieś wyjaśnienie?

– Tylko za pierwszym razem. Potem już tylko czek.

– Czy szczęśliwemu tatusiowi należą się gratulacje?

– Czuję się jakbym dostał pałką w łeb. Arthur roześmiał się.

– Zawsze tak bywa przy pierwszym dziecku. Za czwartym razem reakcja jest trochę słabsza.

– Nigdy specjalnie nie przepadałem za dziećmi – wyznał Rand.

– Teraz już nic się z tym nie da zrobić. Uważam dzieci za dar od Boga. Niech pan spróbuje też tak na to spojrzeć. Gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc, proszę zadzwonić.

– Na pewno.

Sawyer siedziała w ciepłym, zalanym słońcem kąciku śniadaniowym w towarzystwie swej babki. Przyleciała samolotem z Japonii do Nowego Jorku na coroczne badania kontrolne u neurochirurga, który stwierdził, że wszystko jest w najlepszym porządku. Sawyer zrobiła sobie potem frajdę i odwiedziła Billie i Thada. Jak cudownie było siedzieć tutaj w towarzystwie Billie i czuć się absolutnie zdrową! Szkoda tylko, że musiała przekazać jej teczkę pełną złych wiadomości. Nie mogła z tym dłużej zwlekać.

Denerwował ją kot siedzący na parapecie. Nigdy specjalnie nie przepadała za kotami, za psami zresztą też nie. Powiedziała o tym babce.

– Jest zupełnie w porządku, jak na kota – odparła Billie. – Ale wolałam naszą Duchess i jej szczeniaki na farmie. Nigdy nie mieliśmy kotów. Tego dostaliśmy razem z mieszkaniem, więc nie było wyboru. Nie lubię tylko, kiedy to kocisko spaceruje po serwecie.

– A dlaczego tak się na nas gapi? – Sawyer podejrzliwie przyglądała się kotu. Billie wzruszyła ramionami.

– Nie zwracaj na to uwagi, tak jak ja. Bardzo się cieszę, że wpadłaś do nas z wizytą. Jak długo możesz zostać?

– Muszę jutro wyjechać. Chciałam ci to doręczyć osobiście – wskazała na grubą teczkę. – Przekonasz się dzięki niej, jak stoją interesy Colemanów.

– Mam jakieś dziwne przeczucie, że stoją równie źle jak to się już raz przydarzyło.

– Niestety, nie omyliło cię – odparła szorstko Sawyer.

– Ale Riley powiedział...

– Riley nie ma głowy do cyfr, babciu. To działka Cole'a i moja. Billie poczuła ściskanie w gardle. Z trudem przełknęła ślinę.

– Przecież Cole zgadzał się z Rileyem.

– I ja też się zgadzam z Rileyem. Po prostu zabrakło nam

pieniędzy. Zostało jeszcze to i owo, na co można zaciągnąć hipotekę, ale to nie przyniesie tyle, ile potrzebujemy. Sunbridge pozostało nie obciążone. To będzie ostatni obiekt, który zaryzykujemy. – Sawyer gwałtownie uniosła ręce w górę. – Jesteśmy o włos od bankructwa.

– Mam trochę pieniędzy z BILLIE, Inc. Dysponujcie nimi. Sawyer zaśmiała się z goryczą.

– Może to było bezczelne z mojej strony, ale uwzględniłam to w naszych aktywach. Tak samo jeśli chodzi o Maggie. Nawet zaciągnęliśmy pożyczkę od Randa. Chciałam prosić cię o skontaktowanie się z Carym i Amelią. Wszystko, co mają, umieszczone jest w papierach, więc nie liczę na żadne wysokie pożyczki. Jesteśmy na dnie, babciu.

– Już nam się to przytrafiło, Sawyer.

– Tak, ale wtedy chodziło o urzeczywistnienie wymarzonego projektu i w dodatku o produkt poszukiwany na rynku. Teraz niczym takim nie dysponujemy. Kiedy trzeba będzie spłacić zaciągnięte pożyczki i długi hipoteczne, nie wiem skąd weźmiemy na to pieniądze.

– Znajdziemy jakieś wyjście.

– Babciu, myślisz, że nie próbowałam znaleźć? Żaden bank w Teksasie nie udzieli nam pożyczki. Powiedzmy jeszcze dobitniej: w ogóle żaden bank nie pożyczy nam pieniędzy.

– Chłopcy nie... Myślałam, że wszystko pójdzie dobrze.

– Nie możesz nic zarzucić Rileyowi ani winić Cole'a czy mnie. Nikt nie zawinił. Po prostu. Sama nie wiedziałam, jak sprawy stoją, do wczoraj, kiedy rozpatrzyłam się w naszym stanie posiadania. Nie mamy ani trochę żywej gotówki, babciu.

– A pan Hasegawa? Już kiedyś nam pomógł. Zainteresowany jest działaniami EOR. Jestem pewna, że nie odmówi nam pomocy – powiedziała Billie desperackim tonem.

– Babciu, ciągle jeszcze mamy długi związane z „Machiną Snów”. Minie wiele lat, nim zostaną spłacone do końca. Pan Hasegawa włożył w ten projekt bardzo dużo pieniędzy. Więcej, niż początkowo zamierzał.

– Chcesz powiedzieć, że nam nie pomoże?

– Mówię tylko, że pan Hasegawa jest starym człowiekiem. W dodatku śmiertelnie chorym. Już jesteśmy u niego zadłużeni na miliony dolarów. Nasza rodzina nie może naciągać na pieniądze



umierającego człowieka. Nie zrobię tego!

– A Riley? – zapytała gwałtownie Billie.

– Jak możesz oczekiwać, że Riley uda się do dziadka po pieniądze, które umożliwią mu pozostanie na zawsze z Colemanami? Riley nigdy tego nie zrobi! Nie wiem, czy uczynił to świadomie, ale podjął już decyzję: zostaje tutaj. Tylko głupiec pożyczyłby pieniądze w takiej sytuacji. Pan Hasegawa jest chory, ale rozumu nie stracił. Nigdy nie splami swego honoru. To dobry, hojny człowiek i wygląda na to, że posiada niewyczerpane zasoby finansowe. Jestem prawie pewna, że rozczarował się co do Colemanów; chyba uważa, że powinniśmy namówić Rileyę do powrotu do Japonii. Babciu, on był przekonany, że przysyła do nas Rileyę tylko na krótki czas! Kiedy Riley postanowił z nami zostać, straciliśmy twarz w oczach jego dziadka. To oczywiście wyłącznie moje zdanie.

– Musimy więc przekonać pana Hasegawę, że nie ma racji – powiedziała Billie gorączkowo.

– Sama to zrobisz? – spytała prosto z mostu Sawyer.

– Tak! Nie... Thad... może on...

– Babciu, nie słuchałaś tego, co mówiłam. Pan Hasegawa uważa (niesłusznie, sama to przyznaję!), że tak opętaliśmy Rileyę urokami naszego życia, że zbuntował się przeciwko temu, co on sam reprezentuje. W jego oczach to grzech nie do wybaczenia. To przekonanie opiera się na tysiącletniej tradycji japońskiej.

– Trzeba mu udowodnić, że nie ma racji! – zawołała Billie. – Rozumiem wszystko, co mówisz, Sawyer, ale Riley to nie dziecko. Jest inteligentnym młodym człowiekiem. Sam podejmuje własne decyzje. A to nie jest japoński zwyczaj.

– Właśnie.

– Riley musi porozmawiać ze swoim dziadkiem!

– Japońska strona jego natury nigdy mu nie pozwoli podważać przekonania dziadka ani jego poczucia honoru.

– Przyprawiłaś mnie o największy ból głowy w całym moim życiu, Sawyer!

– No to możemy sobie podać ręce, babciu – odparła Sawyer.

– Masz jakieś pomysły?

– Nie. Tylko Riley i Cole mogą podjąć decyzję, czy zaczną ostrą grę o te leasingi naftowe w Ameryce Południowej. Jeżeli zużyjemy resztę posiadanych pieniędzy na to, by uzyskać od tamtejszych władz

pozwolenie na wywóz ropy, podejmiemy olbrzymie ryzyko. Jeżeli nie zrobimy tego, i tak wszystko stracimy. A więc bardzo niepewna wygrana albo też pewna przegrana. Do tego się to wszystko sprowadza.

– Riley i Cole są zdania, że nie należy pośpiesznie rezygnować z tych leasingów, prawda? – spytała cicho Billie.

– Tak, ale mylą się. Znam dobrze mentalność tamtych ludzi, babciu. Obiecują, co chcesz, a nawet o wiele więcej, byleby zacząć wiercenia na ich terenie. Mogę ci przedstawić długą listę teksaskich nafcjarzy, którzy tam się udali i wpadli w tę pułapkę. Nawet wielkie amerykańskie kompanie naftowe musiały dać za wygraną i wracać do domu. Jeżeli im sienie udało przeprowadzić sprawy po swojej myśli, wątpię, czy my mamy jakieś szanse.

– Lepsze ryzyko niż nic.

– Ależ to wyrzucanie pieniędzy w błoto! Jeżeli nie możemy zaatakować z pozycji siły, nie będziemy w stanie z nimi wygrać! A znajdujemy się w rozpaczliwym położeniu. Należy wziąć pod uwagę i to, że Riley jest młody. Oni są przyzwyczajeni do kontaktów ze starszymi, doświadczonymi fachowcami. Ze mną nawet nie chcieli gadać, a co dopiero zawierać układów: jestem kobietą, więc nie należę do świata interesu. Dlatego właśnie nie towarzyszyłam Rileyowi w jego podróży w zeszłym miesiącu. Riley ma wiedzę fachową, ale brak mu osobistego doświadczenia. Jestem prawie przekonana, że powinniśmy zrezygnować z tych leasingów i wycofać się stamtąd. Lepiej od razu przyznać się do porażki niż podejmować dalsze ryzyko.

Billie westchnęła. Cudownie było dowiedzieć się, że Sawyer jest zupełnie zdrowa! Ale teraz to... Jak się jedno udaje, to się od razu coś innego zaczyna walić! – pomyślała z goryczą. Pożałowała od razu swego pesymizmu i próbowała się uśmiechnąć.

Kot głośno miauknął i przespacerował się po stole.

Kiedy Riley przeczytał przysłane mu przez Sawyer raporty, świat zniknął mu na chwilę sprzed oczu. Lektura ich sprawiła, że skrzywił się z bólu. Notatka na końcu ostatniej strony, dotycząca procentów należnych Koncernowi Hasegawa oraz decyzji podjętej przez Sawyer, by nie zwracać się o kolejną pożyczkę, wywołała w nim wściekły gniew. Kiedy w końcu ochłonął, poczuł wstyd. Byłby ostatnim sukinsynem, wyciągając od dziadka pieniądze po to, by pozostać tutaj

i być nadal jednym z Colemanów! Nawet najgorszy podlec nie wykorzysta umierającego! A przecież przed chwilą zamierzał być takim właśnie podlecem! Gdyby nie notatka Sawyer na dole raportu, znów by wyciągnął łapę po więcej i więcej.

Tak, to była godzina rozrachunku.

Z samym sobą.

Tess doszła do wniosku, że już najwyższy czas, aby dokładnie zbadać, w jak głębokim dołku znajdują się Coots i oni wszyscy. Przemaszerowała przez całą długość domu do jego biura. Dwie godziny później przed oczyma jej stanęła ponura wizja przyszłości: zastawia w lombardzie swoją biżuterię i futra, gotowa przyjąć każdą sumę, którą wręczyłby za nie podły typek za kontuarem, byleby tylko wystarczyła na opłacenie rachunków za wodę, gaz i elektryczność.

Sterna gazet, leżących na stoliczku obok biurka Cootsa, uświadomiła jej, jak fatalnie stoją sprawy w przemyśle paliwowym. Jakim cudem nie zwróciła na to uwagi?! Dlaczego Coots jej nie ostrzegł? Musiała przyznać, że próbował to robić, ale lekceważyła jego słowa i tylko szastała forszą! Nic dziwnego, że mąż nie sypiał po nocach i uganiał się za każdym napotkanym babskiem! Sytuacja go po prostu przerosła! Tess osunęła się ciężko na krzesło i wzrok jej padł na leżący na biurku druk. Było to zawiadomienie o licytacji rancza Sidneya Lavera, dziś po południu o drugiej. Cały dochód miał przejść na rzecz sądu upadłościowego. Tess znała Laverów. Prawdę mówiąc, mniej więcej przed rokiem opracowała horoskop dla Lois Laver. A teraz Laverowie zbankrutowali. Tess poczuła, że krew zastyga jej w żyłach. W drugiej kolumnie znajdowało się ogłoszenie o kolejnym bankructwie; dotyczyło ono starego przyjaciela Cootsa, Jacka Petersa, lepiej wszystkim znanego jako Boots\* [Kolejne żartobliwe przezwisko. Dosłownie znaczy „Pucybut”, może zresztą powstało jako skrót określenia Sly Boots – „Spryciarz” (przyp. tłum. )]. Tess nigdy nie przyjaźniła się specjalnie z Carol ani Bootsem, ale jej mąż był z nimi blisko. Carol kupowała wszystko na rachunek. Nic, tylko papier! Cały ich majątek istniał wyłącznie na papierze! Ani żdźbła gotówki! Coots postępował identycznie, a za jego przykładem i ona sama. Dzięki Bogu, że miała własne oszczędności, które w każdej chwili mogła podjąć. Umarłaby ze wstydu, gdyby opublikowano zawiadomienie o bankructwie jej i Cootsa! Teraz, gdy Buckalew Big

Wells zostały już przepisane na nią, coś podobnego nigdy się nie wydarzy, ale musi wymyślić jakiś sposób na spłacenie wszystkich należności. Zacznie od tych z nadrukiem OSTATECZNE UPOMNIENIE. Ile jeszcze nieszczęść spadnie na jej głowę – rozmyślała. Najpierw Lacey zrywa z Rileyern i niszczy jej szanse na spowinowacenie się z Colemanami. Potem Coots wyznaje, że fatalnie stoją ich sprawy oraz ujawnia, że sprzęt wiertniczy zostanie mu zabrany, jeśli nie zapłaci reszty należności. Boże, wiadomość o tym może dostać się do gazet! Tess tupnęła ze złością. Gwiazdy nie uprzedzały jej o żadnych kłopotach! Trzeba sobie postawić specjalny horoskop!

Nagle przypomniała sobie o czymś i podrzuciła głowę, jakby ją ugryzł szerszeń. Przecież wcale nie jest w gruncie rzeczy właścicielką Buckalew Big Wells! Coots powiedział, że tytuł prawny nie został wciągnięty do akt! To znaczyło, że wierzyciele Cootsa mogli położyć łapę na domu! Pozostawało tylko jedno: dla ratowania skóry Cootsa i Buckalew Big Wells musi sięgnąć do swoich oszczędności, choćby nawet nie zostało jej nic na stare lata, a ona sama miałaby skończyć jako żebraczka!

Tess zastanawiała się, czy któraś z córek zaopiekuje się na starość nią i Cootsem, jeżeli stracą cały majątek? Napiszę do Ivy! – pomyślała w panice. Tylko kilka słów! Taki zwyczajny liścik od matki do córki przebywającej poza domem. Przekaze jej najnowsze ploteczki, opowie o tym, że Billie Coleman była na lunchu i zamówiła te wszystkie pięćsetdolarowe horoskopy, a także o tym, że Lacey i Riley postanowili ze sobą zerwać. Może nawet zasugeruje Ivy, żeby teraz ona zabrała się za Rileya? Kiedy już opracowała w myśli dokładny tekst listu do córki, poczuła się lepiej. To Ivy będzie jej podporą w starości. Może nie zechce sama się nią opiekować, ale zapłaci komuś, żeby się o nią troszczył. Tak, z pewnością będzie to Ivy.

Uściski Cary'ego były namiętne, żywiołowe i nie pozostawiały nic do życzenia, gdyby Amelia czuła, że nie tylko jego ciało, ale i myśli są przy niej. Tego wieczoru po pieszczotach nie nastąpiła pogawędka. Cary od razu zasnął z głową opartą o jej ramię.

Od wielu tygodni czuła rozżalenie i wściekłość, i wiedziała, że jeżeli nie opanuje gniewu, uczucie to ją zniszczy. Z poczuciem krzywdy jakoś nauczyła się żyć, gdyż kochała Cary'ego. Miłość polega na tym – rozważała ze smutkiem – że pragniemy szczęścia

drugiej osoby bardziej niż własnego. Amelia przez całą noc wpatrywała się w sufit. Gdy nastał ranek, poczuła się lepiej. Przede wszystkim postanowiła, że zaakceptuje istniejącą sytuację. Potem zadzwoni do Billie i zawiadomi ją o swoim przyjeździe do stolicy. Zrobi to jeszcze przed wyjściem z mieszkania.

Ubierając się Amelia była w pogodnym nastroju, prawie wesoła. Czuła się tak, jak gdyby jakaś niewidzialna istota zjawiała się i ujęła jej sprawy w swoje ręce. Chyba rzeczywiście Pan Bóg jakoś okazał jej swoją pomoc.

Billie zdała Amelii relację z wizyty Sawyer.

– Wiedziałam, że sytuacja źle się przedstawia. Każdego to dotknęło, ale myślałam, że my damy sobie radę lepiej niż inni. Pomów z Carym i jeśli okaże się, że macie jakąś wolną gotówkę, skontaktuj się znowu ze mną.

– Oczywiście, że tak zrobię. Cary jeszcze śpi, a ja zaraz wychodzę, ale zostawię dla niego liścik na kredensie, żeby sam do ciebie zatelefonował. Czy miałaś wiadomość od Maggie? Rand z pewnością też pomoże!

– Mam zamiar zadzwonić tak wcześnie, jak na to pozwala pięciogodzinna różnica czasu. Nie ma sensu zrywać ich w środku nocy.

– Billie, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale jestem tego samego zdania co Sawyer, jeśli chodzi o dziadka Rileya. Co ten młody człowiek właściwie sobie myśli?

– To nie wina Rileya, Amelio – broniła go wielkodusznie Billie.

– Nie mówię, że jest winien. Po prostu nie rozumiem jego postępowania wobec dziadka.

– Jeżeli zbierzemy razem wszystkie siły, jestem pewna, że uda się nam z tego wyjść. Znajdowaliśmy się już w równie rozpaczliwej sytuacji – powiedziała Billie ze sztucznym optymizmem. – Dzisiaj jest widać mój dzień na odbieranie telefonów! Julie dzwoniła, zanim wyszła do pracy. Prosiła mnie o adres Maggie i Randa, żeby mogła ich odwiedzić, gdy będzie w pobliżu.

– Czyżby wybierała się na Hawaje? – spytała ze zdumieniem Amelia.

– Zdaje się, że wyjeżdża pierwszego marca. Była bardzo podekscytowana. Maggie tak rzadko miewa gości, że przyjazd Julie będzie pożądanym urozmaiceniem. Poza tym jest prawie członkiem

naszej rodziny!

– Bardziej niż ci się wydaje – szepnęła Amelia.

– Nie usłyszałam, co powiedziałaś, Amelio.

– Mówiłam, że to wspaniała nowina. Szykuj już czerwony chodnik na moje powitanie!

– Bardzo się na to cieszę. Urządzimy sobie taką babską pogawędkę, tylko ty i ja. Wymienimy wszystkie najnowsze ploteczki. Ale na rajd po sklepach się nie piszę!

Amelia roześmiała się.

– Umowa stoi. Zadzwoń do ciebie przed samym wyjazdem.

– Mówiłaś, że Cary przyjedzie razem z tobą, prawda?

– Nie jestem pewna, Billie. Iak myśleliśmy początkowo, ale chyba ma inne plany. Dam ci znać.

Coś, co powiedziałam, spowodowało zmianę nastroju Amelii, uświadomiła sobie Billie. – Musiała to być wzmianka o Julie. Jej wakacjach. Najpierw Cary miał przyjechać do Waszyngtonu razem z Amelią, a teraz się okazuje, że nie!

– Nie mogę się doczekać twojej wizyty, Amelio. Uważaj na siebie!

Amelia westchnęła odkładając słuchawkę. A więc taki był powód dziwnego błysku w oczach Cary’ego, który dostrzegła przypadkiem poprzedniego wieczoru. Zdarzyło się to zaraz po tym, jak wspomniała, że wybiera się do Waszyngtonu pierwszego marca. Julie akurat wtedy wyjeżdżała na wakacje, a Cary o tym wiedział.

Amelia spiesznie podeszła do biurka. Schwyciła za papier i pióro.

*Cary, kochanie!*

*Wczorajsza noc była równie cudowna jak ten pyszny deser Andrego! Przemyślałam sobie wszystko, najmiłszy, i doszłam do wniosku, że wolę, byś nie jechał ze mną do Waszyngtonu. Byłabym jeszcze bardziej spięta w Twojej obecności. Bardzo się pogniewasz, jeżeli pojedę sama? Myślę, że będzie to najlepsze rozwiązanie. Spędzę dzień czy dwa u Billie i wrócę do domu. Możemy sobie urządzić wielkie wakacje w końcu kwietnia, jeżeli ci to odpowiada. Proszę, postaraj się mnie zrozumieć!*

*Kocham Cię Amelia.*

Zwariowała, czy co?! Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie ułatwiałaby w ten sposób własnemu mężowi... Ale przecież

prawdziwa miłość – powtarzała sobie Amelia – pragnie jedynie szczęścia ukochanej osoby! Zastanawiała się ze smutkiem, czy przyjdzie kiedyś dzień, gdy Cary wróci myślą do przeszłości i uświadomi sobie, jak ona poświęcała się, żeby mógł spotkać się z Julie. Cóż za egoistyczna zachcianka! Jakie to miało znaczenie! Nie będzie jej tu wówczas, żeby usłyszeć, cokolwiek miałby do powiedzenia.

Cary zwlókł się z łóżka o jedenastej. Zrobił kilka przysiadów i skłonów. Wziął prysznic, ogolił się, znalazł na komodzie liścik od Amelii i udał się do kuchni zaparzyć kawę.

Przeczytał kilkakrotnie notatkę żony. Amelia nie życzyła sobie, żeby pojechał z nią do Waszyngtonu, więc będzie musiał obijać się samotnie przez kilka dni. Pierwszy marca, pierwszy marca, pierwszy marca – nucił odmierzając kawę do garnka.

Gdzie, u licha, podział ostatni list od Randa, w którym pytał go, czy byłby zainteresowany plantacją trzciny cukrowej w Hilo? Chyba wiedział wystarczająco dużo o trzcinie cukrowej? Jaki byłby świat bez cukru? Niezbyt słodki! Zaśmiał się ze swojego żartu. Rand wspomniał, że trzcinę cukrową przewozi się na kontynent, tam poddaje rafinacji, a cukier mieszkańcy Hawajów muszą kupować. Rafineria. Cary doszedł do wniosku, że go to interesuje. Poczekaj do pierwszej, zadzwoni na Hawaje i powie, że pociąga go ten projekt.

– Cary? Jak miło, że dzwonisz! Mam nadzieję, że nie stało się nic złego?

– Oczywiście, że nie. Przemyślałem tę ofertę Randa w sprawie plantacji trzciny cukrowej.

– O! Słuchaj, Cary, Rand jest teraz w Anglii. Nie wiem dokładnie, kiedy wróci. Jego wyjazd może się przedłużyć. To sprawa związana z jego córką; może raczej powinnam powiedzieć: z dziewczyną, która podaje się za jego córkę. Rand na razie nie ma głowy do niczego. Zatrzymał się w hotelu Dorchester w Londynie. Zadzwoń tam do niego. Jeżeli sprawa jest nadal aktualna, a ty poważnie zainteresowany, jestem pewna, że i Rand się do tego włączy. Był zdania, że rafineria to wspaniały pomysł.

– Ja też tak sądzę. Zaraz do niego zatelefonuję. Myślałem, że wpadnę na Hawaje koło pierwszego marca.

– Cudownie! oczywiście zatrzymasz się u nas w domu.

– Niewygodny byłby ze mnie lokator. Czasami nie mogę spać i

włóczę się po nocy. Nie mam regularnego rozkładu dnia. Lepiej zatrzymam się w hotelu.

– Nie chcę nawet o tym słyszeć! Bardzo chętnie widzimy u nas gości.

– Jeszcze do ciebie zadzwonię, dobrze?

– Świetnie, ale pamiętaj, że nie przyjmę żadnych wymówek. Rand byłby zawiedziony, gdyby nie mógł odegrać roli pana i władcy naszego maleńkiego rajku. A ja niecierpliwie czekam chwili, gdy oprowadzę Amelię po moim domu! Na pewno będzie zachwycona i, nim się spostrzeżesz, zażąda, żebyście się tu przenieśli. Wspomnisz moje słowa! – Cisza, jaka zapanowała w słuchawce, zaskoczyła Maggie. – Cary, jesteś tam?!

– Tak, tak. Jestem. Tylko nie wiem, czy Amelia ze mną przyjedzie. Może słyszałaś, że ma wystąpić przed Kongresem mniej więcej w pierwszym tygodniu marca. Najpierw chciała, żebym z nią pojechał, a potem zmieniła zdanie. Oświadczyła, że moja obecność będzie ją peszyła. Chyba ją rozumiem – powiedział Cary bezbarwnym tonem.

– Możesz poczekać, odłożyć przyjazd na później, albo ona może potem do ciebie dołączyć – paplała Maggie.

– No cóż, Maggie, ciesz się słońcem i wchłaniaj je, ile wlezie, za siebie i za mnie! Zadzwonię teraz do Randa. Miło mi było z tobą pogawędzić. – Cary pragnął jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Speszyły go uwagi Maggie; nie był przygotowany na udzielanie odpowiedzi i wyjaśnień.

Maggie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon. Miała niewyraźne poczucie, że coś tu nie gra. Cary tutaj, a Amelia w Waszyngtonie? Samo przez się to żadna tragedia, ale ton głosu Cary'ego i jego lekkie wahanie, no i to, że tak szybko zakończył rozmowę! To zupełnie nie w jego stylu! Amelia i Cary stanowili najbardziej zgrane małżeństwo świata. Szli łąb w łąb z Billie i Thadem, no i oczywiście z nią samą i Randem! Bardzo miło byłoby spotkać się z nimi!

– Boże wielki! To naprawdę ty, Cary?! Co się stało? – dopytywał się Rand.

– Nic się nie stało – odparł Cary. – Najlepszy dowód, że zbyt rzadko się ze sobą kontaktujemy. Maggie spytała o to samo, kiedy do niej zadzwoniłem. A telefonuję dlatego, że nareszcie zdobyłem się na



porządne przejrzenie mojej korespondencji i jeszcze raz przestudiowałem twoją ofertę w sprawie plantacji trzciny cukrowej i rafinerii. Jeżeli propozycja jest nadal aktualna, to jestem nią zainteresowany.

– Nie zajmowałem się tym od kilku tygodni, Cary. Nawet nie odpowiadałem na telefony i nie skontaktowałem się w tej sprawie z prawnikiem, jak zamierzałem. Może wszystko zaprzepąściłem, a stąd niewiele mogę załatwić. Zadzwoń do Maggie i poproś, żeby ci przesała ekspresem lotniczym niebieską teczkę leżącą na moim biurku. Sam potem zatelefonujesz w parę miejsc i zorientujesz się, jak sprawy wyglądają. Powiedz, że jesteś moim wspólnikiem i nabujaj, że byłeś nieuchwytny, a ja nie mogłem się z tobą skontaktować. Musisz być przygotowany na pewne ryzyko. Zdradzę ci jedno: potencjalni nabywcy nie ustawiają się w kolejce, a ja ze swej strony zrobiłem co mogłem, żeby powiązać zakup plantacji z budową rafinerii. Może wpadniesz na lepsze pomysły niż ja. W tej chwili wszystkie moje myśli są zajęte czymś zupełnie innym.

– A jak twoje problemy osobiste, Randzie? – spytał Cary. – Taka niepewność musi być bardzo dręcząca – dodał ze współczuciem.

– Jestem już całkiem pewny. Dziś się o tym przekonałem. Nawet jeszcze nie zawiadomiłem o tym Maggie. Chesney to moja córka, nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Kłopot polega na tym, że wyjechała na trzytygodniowy urlop. Wróciłbym na Hawaje, ale jest tu pewien interes, który mógłbym załatwić, żeby czas mi szybciej zleciał. Właśnie zastanawiałem się, czy nie poprosić Maggie, żeby do mnie dołączyła.

– Jestem pewien, że tylko czeka na taką propozycję. Kobiety bardzo lubią, żeby je prosić. Nigdy nie zrozumie tej płci! Ale bez względu na wszystko inne, chciałbym skorzystać z twojej oferty. Miałem zamiar przylecieć na Hawaje pierwszego marca, gdybyś nadal był tym zainteresowany. Maggie zaprosiła mnie do waszego domu.

– Obiema rękami podpisuję się pod tym zaproszeniem! Nawet gdybyśmy sami nadal przebywali w Anglii, bardzo cię proszę, zamieszkaj u nas. Namów Amelię, żeby przyjechała do ciebie, kiedy załatwi swoje sprawy w Waszyngtonie. To dom wprost stworzony dla zakochanych, wiesz przecież. Billie, Moss i Thad! Maggie i ja. To po prostu nieuniknione.

– Przemyślę sprawę – zaśmiał się Cary. – Nie powiedziałeś mi

jeszcze, jak się człowiek czuje, kiedy ma córkę... Chyba że nie chcesz rozmawiać na ten temat?

– To bardzo dziwne uczucie, Cary. Sam nie wiem, co czuję... poza wyrzutami sumienia. Moja córka wychowywała się w nieprawdopodobnie pośpym, zupełnie przygnębiającym miejscu, nie zaznała miłości ani czułości. Ten sierociniec przypomina więzienie! Nie ma w nim uśmiechów ani słońca, Cary. Maggie wniosła w moje życie tyle ciepła i światła, że wprost serce mi się kraje na myśl o tych dzieciach. Gdybym tylko wiedział, przecież bym coś na to poradził! Będzie mnie to dręczyło do końca życia!

Cary wyraził mu swoje współczucie. Ostatnio wiedział coś niecoś o wyrzutach sumienia.

– Chesney wyszła z tej próby bez skazy. To coś, czego nie mogę pojąć! Powiedzieli mi, że przyjeżdża do sierocińca i przywozi prezenty dla malców. Ta moja córka to cudowna dziewczyna! Obawiałem się, że wystąpi z jakimiś żądaniem wobec mnie, a teraz jestem wściekły, bo jej tu nie ma, bo nie czeka na to, aż ją uznam za córkę. Wygląda, że jej na tym nie zależy. Zjawiała się nieoczekiwanie w moim życiu i odeszła. – Zapadła długa cisza. – Na litość boską, Cary, powiedz coś!

Cary wzruszył ramionami, a potem zdał sobie sprawę, że Rand przecież nie może tego zobaczyć.

– Nie wiem nic o dzieciach, dużych czy małych. Przypuszczam, że Bóg zsyła nam dzieci, kiedy powinniśmy je mieć. Ty otrzymujesz w darze całkiem dorosłe dziecko, a to chyba plus! Przynajmniej tak mi się wydaje. Jesteście po prostu parą współczesnych dorosłych ludzi. Zaczynaj od tego, że się zaprzyjaźnicie, a potem w odpowiednim czasie staniesz się dla niej prawdziwym ojcem. Na twoim miejscu nie robiłbym nic na siłę. Sam nie wiem, dlaczego to mówię, po prostu tak czuję. Spójrz na to z dobrej strony, Randzie!

– To wszystko przyszło tak nagle! Wczoraj nie wierzyłem, że to moja córka. Dzisiaj jestem o tym przekonany. I nie mam pojęcia, co czuje prawdziwy ojciec.

– Coś ci poradzę – odparł żywo Cary. – Skończmy naszą rozmowę i zadzwoń do Maggie. Przy okazji sam jej powiesz, żeby mi przysłała niebieską teczkę!

Cary uśmiechnął się zadowolony ze swoich planów. O niczym nie powie Amelii, dopóki nie będzie miał tej teczki w ręku. Humor tak mu

się poprawił, że postanowił uczcić drinkiem swoje nowe przedsięwzięcie. Nie będzie już siedział beczynnie! Wraca do zwykłej harówki. Jeżeli się na czymś znał, to na pewno na zawieraniu korzystnych umów. Gdyby zaniedbanie całej sprawy przez Randa wpłynęło ujemnie na umowę, postanowił wystąpić jako niezależny od niego reflektant i dopiero potem wciągnąć w to Randa. To zresztą nie miało większego znaczenia. Istotnym aspektem całej sprawy było jej powiązanie z Hawajami. Kraj czarujących uśmiechów, złocistych ciał, słońca od rana do nocy! Gorące pasaty, kołyszące się palmy i... Julie.

Opanowały go wyrzuty sumienia. Miał zamiar zdradzić żonę! Kobieta, którą kochał z całego serca. Jakiś wewnętrzny głos zaczął z nim polemizować: mały skok w bok, czemuż by nie? Nikt się o tym nie dowie, nikomu się krzywda nie stanie, wszyscy będą zadowoleni!

Amelia z pewnością poczuje, że coś jest nie w porządku. Nie umiał kłamać. „Uda ci się wszystko ukryć” – dowodził tamten głos. – „Amelia ma już za sobą upajanie się słońcem. Teraz woli przycupnąć koło kominka. Przez ostatnie lata pracowałeś jak maszyna. Taki odpoczynek po prostu ci się należy! Wykorzystaj go”.

Cary krążył po luksusowo urządzonej apartamencie. „To idiotyczne” – mówił sobie. „Nigdy się na to nie zdobędę! Zapomnijmy o tym!” – jęknął. Wewnętrzny głos kusił w dalszym ciągu. „Pomyśl, Amelia nie ma już tych potrzeb i pragnień co dawniej. Ty to co innego. Dzięki Julie twoje pragnienia stały się jeszcze silniejsze. Nigdy nie zdołasz wyrzucić jej z pamięci! Masz ją we krwi! Ani się spostrzegłeś, a wkradła się do twego serca i zamieszkała w nim na dobre. Oczywiście, nie zrobiła tego umyślnie! Ale tak to już bywa” mądrył się głos. „Poza tym jeśli (jeśli, nie kiedy!) Amelia dowie się o wszystkim, przebaczy ci, bo cię kocha. Niczym nie ryzykujesz. Wszyscy tak robią! No, startuj!”.

– Zamknij się! – wrzasnął Cary w pustkę pokoju.

Przebiegł na drugą stronę salonu i walnął nogą o stolik do kawy. Utykając podszedł do rozsuwanych oszklonych drzwi, uchylił je i stanął na balkonie, wdychając pełną piersią chłodne, świeże powietrze. Chyba zwariował! Nie było innego wytłumaczenia. Zbyt długo siedział beczynnie gapiąc się w telewizor i opychając. Najwyraźniej doznał otłuszczenia mózgu! Tylko ostatni kretyn zrobiłby coś takiego, nad czym on się zastanawiał.

Powinien skończyć tę zabawę w nagrywanie monologów na

automatycznej sekretarce Julie. Jeżeli się postara, uda mu się nie spotkać z Julie Kingsley do końca życia. Jeśli się postara.

Oczy Cary'ego padły na zegar słoneczny z brązu. Znał na pamięć znajdujący się na nim napis. Były to słowa poety, Browninga – jak wyjaśniła mu Amelia. „Zestarzej się obok mnie. Przed nami najlepsze dni”. Schwycił ze złością zegar.

Zrzuciłby przez balustradę ten pięćdziesięciofuntowy kawał brązu, ale na szczęście przypomniał sobie o przechodniach na dole. Ostrożnie umieścił zegar z powrotem na postumencie. Napis kłamał! Przeżyli już z Amelią najlepsze dni – mieli to już za sobą. To, co ich czekało, w żadnym wypadku nie będzie lepsze od tego, co było. Mógł znowu przeżyć takie chwile – z Julie. Wszystkie te cudowne uniesienia, nieliczne nieuniknione troski... Udałoby mu się rozdzielić dwie ścieżki swego życia. Mnóstwo mężczyzn tak postępuje! Noga bolała go. Wbiegł z powrotem do domu, po wariacku strzelając drzwiami. Uderzyły ciężko o framugę i ponownie się rozsunęły. Cary zawrócił i zamknął je jak należy.

Nadal niespokojnie miotał się po pokoju. Jego wzrok padł na niewielkie zdjęcie, na którym byli oboje z żoną. Jezu, jaka ta Amelia piękna! I, do diabła, on też nie wyglądał najgorzej! Naprawdę ją kochał. Będzie zawsze kochał Amelię. Pomyślał z goryczą o truizmach, które powtarzał jak litanie od lat: „Wiek nie gra żadnej roli, jest bez znaczenia. Liczymy się tylko my dwoje”. – Mówił to wówczas szczerze i wierzył w to nadal. Kłamczuch! – odezwał się oskarżycielski głos. – Dostrzegasz przecież, jaką ma papierową skórę, wystające kości, jaka jest wychudzona!

Amelia była teraz tak kruchutka, jak jedna z porcelanowych figurynek, które kolekcjonowała Billie.

Boże, przecież on też się postarzał, tyle że inaczej. Różnica dwudziestu lat uwydatniła się.

– Potrzeba mi czegoś więcej! – zawołał Cary w pustkę pokoju. – Dlaczego muszę zrezygnować, zadowolić się tym, co posiadam, jeżeli mógłbym zdobyć to, czego pragnę?

Dlatego – ostrzegł go wewnętrzny głos – że zawarłeś pewien układ. Ożeniłeś się z Amelią. „W zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć was nie rozłączy”. Tak brzmi wasz kontrakt. Cary zauważył, że zamienili się rolami ze swoim niewidzialnym rozmówcą. Teraz on sam bawił się w adwokata diabła!

Tylko ten raz, ten jeden raz!, bezgłośnie błagał Cary. – Jest mi to niezbędne! Muszę znowu to przeżyć, poczuć, że naprawdę żyję! Teraz tylko marnuję czas. Jestem zbyt młody na to, by dławić wszystkie swoje uczucia i wyżywać się jedynie w pracy! Cóż to za życie?!

„Takie, jakie z pełną świadomością wybrałeś. Istnieje dokument, który udowodni ci, że wszystko inne jest grzechem”.

Nic mnie to nie obchodzi, do cholery! – wyklócał się w duchu Cary. – Jeżeli to coś, co gada, to mój Anioł Stróż, to przypominam, że istniejesz podobno dla mojego dobra!

„Ależ tak. Mówiłem ci przecież: zdobądź, czego pragniesz”.

– Cóż to? Wewnętrzny głos znów zmienił front?!

– To wszystko na cholere się nie zda! – wrzasnął Cary. – Wiem, kim jesteś: diabłem, który mnie kusi! – Usłyszawszy własne słowa Cary poczuł się nieprawdopodobnie głupio. „Nie muszę cię wcale kusić. Sam się do tego aż palisz!”.

– A czyja to wina?! – wrzasnął Cary. I nagle znów on i głos stali się jednym. – W porządku, sukinsynu, sprawa skończona! Zaraz zadzwonię do Julie i zostawię jej wiadomość, że wrócił mi rozum. I już więcej do niej nie zatelefonuję. Wyjedziemy na Hawaje z Amelią, kiedy Julie już tam nie będzie.

Z wściekłością Cary nakręcił nowojorski numer. I nagle wszystka krew odpłynęła mu z twarzy; zbladł jak papier i zaczął drzeć. Wysłuchał do końca pozostawionej na sekretarce wiadomości, odłożył słuchawkę, a potem ponownie nakręcił numer Julie. Jej czysty głos rozległ się w słuchawce: „Rozkwitają grusze, rozkwitają wiśnie. Pewnie nie powinnam, lecz o tobie myślę”. Cary rzucił słuchawkę tak, że nie trafiła na widełki. Gdy w końcu odstawił aparat telefoniczny, przekonał się, że zarysował blat biurka Amelii, antyku z różanego drewna.

Minęły trzy dni, zanim Cary zdecydował się napomknąć Amelii o niebieskiej teczce, znajdującej się w górnej szufladzie kredensu. Musiał odbyć dokładnie dziewięć rozmów telefonicznych, żeby przekonać się, że nie stracił z winy Randa możliwości ubicia interesu. Ponieważ wchodził do tej rozgrywki jako nowy gracz, Cary nie był zaskoczony tym, że cena wzrosła do stu tysięcy dolarów. Wielu ludzi próbowało go już nabić w butelkę. Nauczył się więcej dzięki kontaktom z Teksaszczykami, niż zdążył wykorzystać w praktyce.

Biznesmen z Hawajów, chcący za wszelką cenę ubić dobry interes, nie różnił się chyba od Teksasńczyka, który miał ochotę zaznaczyć kolejną szczerbę na swoim pasie. Niepokoił Cary'ego jedynie fakt, że dwóch japońskich inwestorów interesowało się nieruchomością. Skomentował to zjadliwie:

– I tak już zagarnęli pół waszej wyspy. Oddajcie im resztę i będziecie mieli spokój.

Rozmówca roześmiał się z uznaniem. Inwestorzy z Japonii wykupywali nieruchomości i przedsiębiorstwa na terenie całych Hawajów. Podejrzewano, że w ich rękach znajduje się ponad połowa wyspy, ponieważ jen stał tak wysoko. Rozmaici mędrkowie twierdzili, że Japończycy w ten sposób zapewniają sobie to, czego nie udało im się zagarnąć siłą podczas wojny, i że sana najlepszej drodze do wykupienia wszystkiego. Cary zastanawiał się, jaka część hawajskich nieruchomości należy do dziadka Riley'a.

Kolejne trzy telefony i Cary nabrał pewności, że ma całkiem niezłe szanse. Następnym krokiem będzie wyjazd na Hawaje i przypieczętowanie umowy.

W będącej chlubą Amelii kuchni – ósmym cudzie świata Cary czuł się, jakby miał cztery lewe ręce! Zawsze bardzo się denerwował, gdy zabierał się do szykowania obiadu dla siebie i Amelii. Nie był najlepszym kucharzem, uważał jednak, że każdy potrafi przyrządzić kurczaka i wsadzić jarzyny do kuchenki mikrofalowej. A upieczenie ziemniaków to po prostu dziecinna igraszka. Nie trzeba też być szefem kuchni, żeby wygarnąć z plastikowego pojemnika lody (śmietankowo-rumowe, jego ulubiony gatunek). Żeby zaś porządnie nakryć do stołu, nie musi kończyć kursów dla dobrze wychowanych panienek.

Cary odsunął się, żeby podziwiać swoje dzieło. Kurczę było gotowe, nie przesuszyl je zanadto. Wymyte kartofle spoczywały już w kuchence mikrofalowej. Tylko czekały, aż Cary naciśnie guziczek. Warzywa rozmrażały się: pójdą do mikrofalówki, gdy ziemniaki będą gotowe. Cary spojrzal na stół ze szklanym blatem i znajdujące się na nim serwetki z aplikacjami w kształcie motyli. Porcelanowy serwis od Lenoxa był prosty, ale elegancki. Kryształ skrzyły się w blasku kuchennych lamp. Amelia powinna być zadowolona. Czegoś jednak brakowało, stół wyglądał dziwnie pusto. Brak dekoracji na środku! – domyślił się Cary. Ale skąd ją wytrzasnąć?! Rozejrzał się po całym

apartamencie i pięknych drobiazgach, które zbierali z Amelią od lat. Wszystko było albo za duże, albo za małe, czy wreszcie w nieodpowiednim kolorze. Powinien był zamówić świeże kwiaty w kwiaciarni. Wszystkie jego wysiłki pójdą daremnie, jeśli nie będzie dekoracji na środku stołu, Amelia tak dbała o każdy szczegół. Podczas powtórnego przemarszu przez mieszkanie Cary zająrzył przez uchylone drzwi do przeznaczony na użytek gości łazienki. Toaletkę zdobiły tu sztuczne kwiaty w identycznym kolorze jak motyle na serwetkach. Zabrał je do kuchni i umieścił na środku stołu. Efekt był bezbłędny. Cary wydał głośne westchnienie ulgi. Skończone!

Wino chłodziło się, ze stereo sączyła się dyskretna muzyka, stare hity Nat King Cole'a, które Amelia tak lubiła.

Poczucie winy sprawiło, że Cary stał się perfekcjonistą.

Przy obiedzie opowiedział Amelii o planowanym interesie, podsuwając jej niebieską teczkę, którą przesłała mu Maggie, oraz notatki dotyczące przeprowadzonych przez niego rozmów telefonicznych.

– Kochanie, jak to znakomicie na ciebie wpłynęło! – zauważyła Amelia. Cary był tak podniecony, że aż musiała się uśmiechnąć. Już od bardzo dawna nie był taki ożywiony. Obserwowanie go i słuchanie jego pełnego entuzjazmu głosu sprawiło Amelii ogromną radość. Będzie myśleć tylko o tym, niczym więcej! Nie zacznie się zastanawiać, jaka mogła być inna przyczyna tego entuzjazmu.

– Posprzątam po obiedzie, a potem posiedzimy przy kominku – oświadczyła. – Muszę ci zadać setki pytań i podsunę jedną czy dwie sugestie.

– Dziecinko, nie pragnę niczego więcej jak twojego udziału! Widzisz, jak się do tego palę! Zrobię kawę. Bardzo lubię pić kawę przy kominku. O Boże, Amelio, nawet nie spytałem, jak ci minął dzień!

Amelia zaśmiała się.

– Każda sprawa ma swoje plusy i minusy. Ale jakoś posuwamy się naprzód. Twój projekt jest o wiele bardziej pasjonujący. Strasznie się cieszę, Cary!

– Ja też, dziecinko! – odparł Cary ściskając ją. Rzeczywiście, był zachwycony. Oczywiście tym kontraktem. Potrzebował zwykłej, codziennej harówki. Przez cały obiad, aż do tego momentu, nawet nie

pomyślał o Julie. W tej chwili też udało mu się usunąć ją ze swoich myśli. Pragnął tylko siedzieć przy kominku z Amelią i rozmawiać z nią o plantacji i rafinerii. Jeśli miał być szczery, cenił zdanie Amelii wyżej niż własną opinię. Umiała przewidzieć przyszłość, dostrzec zagrożenia, wskazać niebezpieczeństwa. Amelia wsadziła naczynia do zmywarki, wytrzepała serwetki i starannie je złożyła.

– Czyżby zanosilo się na to, że zamieszkamy w rajku?

– Mamy na to duże szanse. Czuję przez skórę, że to może nastąpić, mimo że Rand będzie moim wspólnikiem w tym przedsięwzięciu... Posłuchaj!... Wydaje mi się, że umowa zostanie zawarta....

– To tylko kwestia czasu – powiedziała Amelia lekkim tonem.

– Dziecinko, co też ja bym zrobił bez ciebie?! – rozpromienił się Cary. – Tworzymy nierozłączny duet: ty i ja! Ja i ty. Jak pieprz i sól, orzeł i reszka.

– Już jestem gotowa. Idź przodem: niesiesz przecież tacę! – szczebiotała Amelia. Do licha, ależ wspaniale się czuła! Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów! Nic więcej nie miało znaczenia. Choćby nawet to wspaniałe poczucie łączącej ich więzi nie trwało dłużej niż godzinę, warto było! Amelia chciała zapomnieć o wszystkim oprócz Cary'ego.

Czuła się kochana.

Gadali na temat projektowanej umowy do jedenastej, gdy Cary podsumował ich dyskusję:

– To musi się udać! Czuję to, dziecinko. Nie mogę się wprost doczekać, kiedy wreszcie skontaktuję się z Randem!

– Nie dziw się, jeśli nie będzie aż tak entuzjastycznie do tego nastawiony jak ty. Ma teraz inne sprawy na głowie – ostrzegła go Amelia. Ziewnęła przeciągle.

– Tylko nie mów, że chcesz już iść do łóżka! – poskarżył się Cary.

– Jestem gotowa iść do łóżka, ale nic nie mówiłam o spaniu – uśmiechnęła się szeroko Amelia.

– Spieszę za tobą, piękna damo! – oświadczył szarmancko Cary.

Tej nocy Cary kochał się niewątpliwie z nią. Jej serce i ciało na chwilę odzyskało świeżość szesnastolatki, a jej namiętność dorównywała żarliwym pieszczotom Cary'ego. Było już dobrze po pierwszej, nim oboje, Cary i Amelia, przytulili się do siebie znużeni w gniazdku z rozgrzanej, wilgotnej od ich potu pościeli.

– Wiesz na co miałabym w tej chwili ochotę? – szepnęła Amelia.



– Na jointa?

– Mam jeszcze kilka sztuk Panama Red i odrobinę sinsemilli\*  
[Bardzo mocny rodzaj marihuany (przyp. tłum. )]

– Znowu się nabuzujemy! – zaśmiał się Cary.

– Wam, starym dziadom, przydałoby się trochę kobiecego hartu! – zachichotała Amelia.

– Zaoszczędź sił na oblewanie kontraktu – ziewnął Cary.

Amelia wtuliła się jeszcze ciaśniej w ramiona męża. – Ahaaa – mruknęła sennie. Zanim Cary podążył za Amelią w krainę snu, zdążył jeszcze pomyśleć: Byłbym ostatnim kretyńcem ryzykując utratę tego, co posiadam. Kocham swoją żonę!